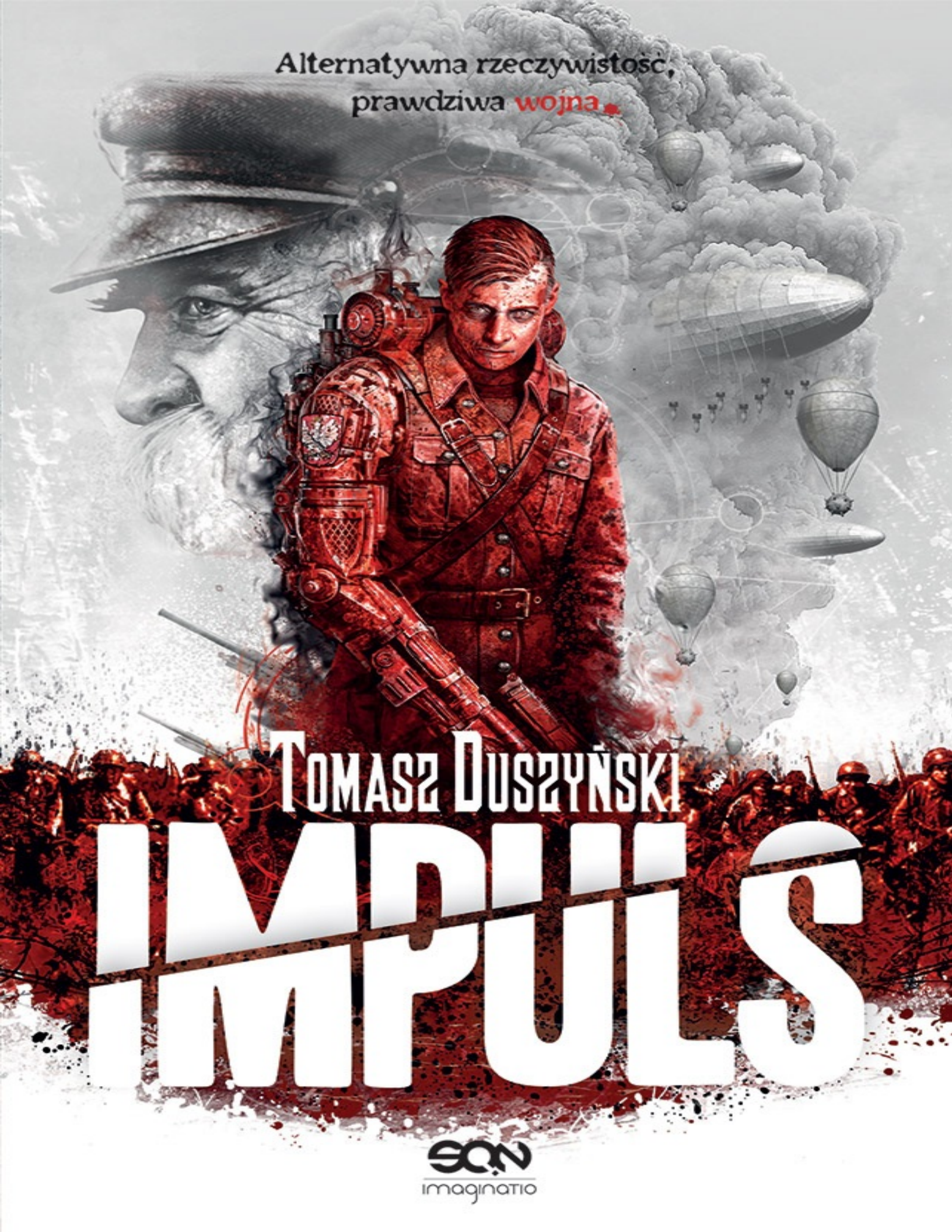


Alternatywna rzeczywistość,
prawdziwa wojna.



TOMASZ DUSZYŃSKI

IMPULS

EQN
imaginatio

TOMASZ DUSZYŃSKI
IMPULS

Kraków 2017

1919 WSPOMNIENIA

Te kilka eksperymentów z inżynierem Stefanem Ossowieckim można uznać za czynione z początku dla zabawy. Zapewne chciałem przekonać sam siebie, czy zdolności, które posiadałem, są prawdziwe czy też śni mi się wszystko na jawie, a widzenia stały się projekcją dotkniętego chorobą umysłu. Z czasem jednak sens owych prób diametralnie się zmienił.

Potrzebnych mi było kilku świadków, takich jak generał Sosnkowski czy Wieniawa - Długoszowski, ale i tych sceptycznych, a może zwłaszcza ich, którzy pasją uczynili demaskowanie hochsztaplerów podobnych Stanisławie Popielskiej i Janowi Guzikowi.

Podjąłem ryzyko po raz kolejny, ale wiedziałem, o jaką stawkę gram i jak wiele zależy ode mnie.

Dzisiejszy eksperyment zaskoczył mnie samego. Umówiłem się z inżynierem, że równo o północy, każdy w swoim domu, skoncentrujemy się, a następnie wypowiemy w myślach zdanie – najpierw Ossowiecki, a po dziesięciu minutach ja.

Rzeczywiście, równo o północy usłyszałem wyraźne słowa wypowiedziane przez pana Stefana i jednego z jego domowników. Była to żona Ossowieckiego, której, niech mi będzie wolno zacytować: „Liche warunki mieszkaniowe spędzają sen z powiek”.

Przyznam, wciąż nie mogę powstrzymać śmiechu, gdy przypomnę sobie, jak mieszkanie inżyniera porównała do wilgotnej jamy i jak narzekała na marnowanie przez męża elektryczności. Z szacunku dla Ossowieckiego nie wspomnę, że dokładnie rozróżniłem wszystkie słowa i pojąłem ich sens. Nie chcę go zawstydzić, sam wie na pewno, jak zrzędliwą ma małżonkę.

Jutro wyślę Wieniawę do pana Stefana i poproszę, żeby ten spotkał się ze mną u ministra Ignacego Paderewskiego. Jeśli potwierdzą, że słowa, które usłyszałem, wypowiedziane były przez inżyniera, będzie to kolejny dowód, iż moje wizje są rzeczywiste.

Obym potrafił wyciągnąć z nich korzyści dla ojczyzny w obecnej wojnie.

1919
WARSZAWA, SASKA KĘPA,
DOM DOKTORA
ANDRZEJA WINNICKIEGO

Marek zacisnął pięści i przymknął powieki. Serce waliło mu jak oszalałe. Odliczył do dziesięciu, ale to niewiele pomogło.

Czekał na ten moment od dawna, planował go z najdrobniejszymi szczegółami. Niecierpliwił się, próbował ukryć zdenerwowanie, ale emocje przejmowały nad nim kontrolę. W końcu wyszedł ze swojego pokoju i znalazł się na korytarzu.

Patrzył, jak ojciec wkłada płaszcz podany mu przez Olafa. Jak obaj wymieniają kilka szybkich, urywanych zdań. Rytuał, który powtarzał się co rano od kilku miesięcy. Ojciec znów jechał do szpitala, do matki, spędzał przy niej każdą wolną chwilę. Marek rozumiał, że z mamą jest źle. Czytał w zmęczonej, zrezygnowanej twarzy ojca jak w otwartej księdze. Choć wszyscy domownicy ukrywali przed nim i rodzeństwem prawdę, jego serce i umysł powoli ogarniała ciemność. Wiedział, że mama wkrótce odejdzie. Myśli miał otepiałe, a postać wysokiej, chorobliwie chudej kobiety coraz częściej stawała się nieuchwytna, gdy próbował przywołać ją w pamięci.

– Marku, słuchaj Marty i pilnuj rodzeństwa. Marianna i Staszek powinni położyć się spać zaraz po kolacji. – Doktor Andrzej Winnicki nawet nie spojrzał na syna. Wydał kolejne polecenia, jakich wydawał tysiące w swoim życiu. Dzieci i żonę traktował tak samo jak asystentów w gmachu elektrotechniki.

– Dobrze, papo – odpowiedział chłopak. Chciał jeszcze coś dodać, ale jego słowa uleciały w stronę zamkniętych drzwi.

Ojciec i Olaf wyszli z kamienicy, a Marek poczuł na ramieniu szorstką dłoń kucharki.

– Pójdęm obiad robić, a ty do rodzeństwa leć, niech sami nie siedzą.

Chłopak skinął głową. Marta była prostą kobietą i dyskusje z nią nie miały sensu. Wiedział, że najpewniej za chwilę zaśnie nad garnkami. Mógł się założyć, że znów coś przypali, a potem zmusi domowników do przelknięcia mięsa twardego jak podeszwa.

– Niech Marta idzie – odparł krótko. – Słyszałem, co ojciec powiedział.

Kobieta zawahała się, ale w końcu skinęła głową i podreptała do kuchni.

Młody Winnicki jeszcze przez chwilę nasłuchiwał. Staszek z Marianną bawili się na górze w niemal kompletnej ciszy.

Ojciec nie lubił, gdy ktoś rozpraszał go przy pracy. Kłótnie, piski i krzyki tłumione były w kilku ostrych słowach. Młodsze rodzeństwo Marka na szczęście miało ze sobą bardzo dobry kontakt. On z kolei pozostawał na uboczu. Raczej z własnego wyboru. Wolał obserwować zabawy młodszych, sam nigdy nie brał w nich udziału. Marianna i Staszek już dawno zrezygnowali z zapraszania go do swojego pokoju. Wiedzieli, że w tej materii nic nie wskórają.

– Już czas... – wyszeptał Marek.

Odetchnął głęboko i wyciągnął z kieszeni klucz, który podebrał ojcu.

Jeszcze wczoraj się wahał. Uznał, że to, co robi, jest szalone, spodziewał się, że oberwie w skórę za swoją lekkomyślność. W nocy nie mógł zasnąć, wiercił się niespokojnie i z każdą upływającą chwilą coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że po prostu musi zebrać się na odwagę. To był test jego męstwa. Nawet jeśli potem nie usiądzie na obolałych pośladkach przez kolejny miesiąc, już się nie wycofa.

Serce biło mu coraz mocniej.

Podszedł do drzwi prowadzących z korytarza do piwnicy. Wsunął klucz w dziurkę i po chwili przekreślił. Zamek szcęknął i drzwi stanęły otworem. Ot, i już. Liche zabezpieczenie jak na skarby, które kryły się w środku. Marek wiedział, że ojciec był pewny, iż wystarczy jego słowo, a nikt nie śmie przekroczyć bramy

magicznego sezamu. Jednak staruszek się przeliczył.

Chłopak przekroczył próg, zamknął za sobą drzwi i wolno ruszył w dół.

W wąskim przejściu panował półmrok. W powietrzu unosił się dziwny zapach ni to smarów, ni formaliny. Nagle Marek stracił cały rezon, ugięły się pod nim kolana. Z miejsca, w którym się zatrzymał, dostrzegł wielki metalowy stół i wybrzuszenie pod śnieżnobiałym prześcieradłem.

Zdusił w sobie okrzyk strachu.

W pierwszej chwili wydało mu się, że pod przykryciem znajduje się trup, ale jego umysł szybko odrzucił to przypuszczenie. Ojciec wciąż prowadził praktykę medyczną, ale nie trzymałby w domu, w piwnicy, nieboszczyka. Poza tym gdyby rzeczywiście pod prześcieradłem znajdował się człowiek, musiałby być ponad dwuipółmetrowym olbrzymem.

Płótno okrywało bowiem bryłę mniej więcej takich rozmiarów.

- Spokojnie...

Jeśli chłopak łudził się, że jego własny drżący głos pomoże mu się uspokoić, to na próżno. Poczł parcie na pęcherz.

Wiedział, że tę nagłą chęć wyjścia za potrzebą spowodował strach. Gdyby teraz pod pretekstem skorzystania z wychodka opuścił warsztat ojca, już by tu nie wrócił. Znalazłby tysiące wymówek, by po raz kolejny nie przekraczać progu piwnicy.

Wziął głęboki oddech i ruszył wolno przed siebie, do stołu.

Niespokojnie rozejrzał się wokół. Ściany zastawione były regałami z książkami, oprócz tego w kilku miejscach drogę tarasowały kolejne stoły z mnóstwem piętujących się na blatach metalowych blach i rur. Marek dostrzegł spawarkę i inne urządzenia, których przeznaczenia nie był w stanie się domyślić.

Zatrzymał się przy stole. Zbierał się dłuższą chwilę na odwagę, a potem dotknął palcami prześcieradła i pociągnął w swoją stronę. Coś się zahaczyło, okrycie nie chciało zejść. Marek zapomniał o strachu, pociągnął mocniej. Płachta zafalowała i w końcu zsunęła się na podłogę.

Chłopcu zabrakło tchu w płucach. Był pewny, że uległ przywidzeniu, a może, w tym dziwnym stanie umysłu, w którym się znalazł, tak naprawdę śnił. Po wielu godzinach niecierpliwego przewracania się w łóżku i planowania włamania do warsztatu ojca zasnął i wciąż się nie obudził.

Wytrzeszczył oczy w bezgranicznym zdumieniu.

Przed nim leżał metalowy stwór. Ogromny, cały lśniący, z masywnymi odnóżami i diaboliczną głową. Marek wpatrywał się oniemiały w wąskie kreski oczu na srebrzystej powierzchni imitującej twarz.

- Do jasnej Anielki... - wydusił w końcu.

Stracił równowagę. Wystawił w bok rękę i oparł się o wajchę przymocowaną do boku stołu. Pod naporem jego ciała metalowy drzątek szczęknął, zadrżał i opadł.

Młody Winnicki odskoczył jak oparzony. Coś zgrzytnęło. Wydało mu się, że przez swoją nieostrożność obudził metalowego potwora. Klapnął na podłogę, mocno objając kość ogonową. Zastygł, wstrzymał nawet oddech.

Stół drgnął ponownie. Ku rosnącemu przerażeniu chłopaka tylna część blatu zaczęła się unosić. Wyglądało to tak, jakby leżący dotąd nieruchomo metalowy goliat ożywał, powstawał z martwych. W końcu ruch ustał.

Markowi pociemniało przed oczami, w skroniach pulsowała krew. Przed nim w pełnej okazałości stał stalowy rycerz.

Choć przytrzymywany był w pionie szerokimi obręczami, wydawało się, że zaraz ruszy przed siebie i całym ciężarem metalowego cielska przygniecie intruza zakłócającego mu spokój.

Dopiero po dłuższej chwili chłopak odważył się podnieść z podłogi. Wciąż czuł, że kolana ma jak z waty, ale zwalczył słabość.

Zaczął nawet nerwowo chichotać, ale natychmiast przestał, gdy zobaczył, że rycerz znów zaczyna się poruszać.

Płyty pancerza i przyłbica rozsunęły się z groźnym sykiem. Ułamek sekundy później podobnie stało się z warstwą chroniącą odnóża. Potem i ten ruch ustał, a metalowy potwór zamarł.

Marek zdawał sobie sprawę, że przekroczył linię, zza której nie ma już odwrotu. Przypomniał mu się

Cezar przekraczający Rubikon. Przeklęte staranne wykształcenie, o które dbał ojciec. Nieproszone porównania i metafory, które wciąż przychodziły mu do głowy. Doznał teraz mieszanki intensywnych uczuć, jakie pewnie nieobce były legendarnemu wodzowi. Podekscytowanie walczyło w nim ze strachem. Teraz pozostało mu jedno – wykonać kolejny krok. Przemógł się i wreszcie nabrał odwagi.

Nachylił się do metalowego potwora i przyjrzał mu się uważniej. Wnętrze maszyny zostało obite miękkim materiałem, przypominało futerał na drogocenny instrument. Były też podpórki na ręce i nogi.

Chłopak szybko skojarzył fakty. Przypomniał sobie urywki rozmów taty prowadzone późnymi wieczorami z jego przyjacielem Tadeuszem Sieniawą i profesorem Zygmuntem Syboniem, a także z asystentami, z którymi pracował na Politechnice. Rozprawiali o problemach z nowym projektem. O operatorze potrzebnym do sterowania tajemniczym „Golemem”, o problemach z kontrolowaniem ruchu, o nowych rozwiązaniach przy montażu części skrętnych. Dopiero teraz wszystkie te z pozoru niezrozumiałe informacje nabrały nowego znaczenia i ułożyły się w całość.

Marek zaczął działać jak w transie. Wyciągnął dłoń do pancerza, dotknął go. Zdziwił się, że metal jest ciepły. Podeszedł bliżej i nie do końca zdając sobie sprawę, co właściwie robi, uniosł nogę i postawił stopę na metalowej podpórce. Chwilę później złapał się uchwytów i podciągnął. A potem... wystarczyło się obrócić, by wejść do środka.

Podpórki pod stopami drgnęły i uniosły się, dostosowując do długości kończyn Marka. Podobnie zaczepy przy ramionach zostały nieznacznie skrócone. Pokrywy drgnęły. Chłopak zawahał się dopiero teraz, ale było już za późno na zmianę decyzji. Metalowe płyty pancerza zasunęły się, a pokrywa hełmu z sykiem przylgnęła do przewodnic.

Marek miał wrażenie, że został zamknięty w stalowej trumnie.

Wystraszył się, zaczęło mu brakować powietrza. Wcześniej nie przypuszczał, że może znaleźć się w pułapce, nie wiedział, jak się z niej uwolnić. W skroniach łomotała krew.

Zamknął oczy i spróbował uspokoić oddech. Nie był w stanie zapanować nad rosnącym przerażeniem. Po chwili znów gwałtownie uniosł powieki. Odchylił głowę do tyłu i uderzył potylicą o miękką powierzchnię. To wywołało kolejny ruch maszyny. Z góry na włosy chłopaka zsunęło się coś kleistego. Marek zaczął krzyczeć. Miał wrażenie, że głowę oplatają mu oślizgłe węże. Przylgnęły do skroni, wczepiły się w tył głowy, objęły całą czaszkę.

Chłopak wydarł się teraz na całe gardło. Próbował kopać w metalowe pokrywy, próbował uwolnić unieruchomione ręce. Mechaniczny rycerz ani drgnął.

- Tato... – wyszeptał Marek. Przed oczami zawirowały ciemne plamy.

I wtedy przyszło najgorsze.

Ciałem chłopaka wstrząsnęły dreszcze, zemdlilo go, gdy gdzieś głęboko we wnętrzu czaszki poczuł świdrujący ból, doświadczenie na granicy męki fizycznej i psychicznej. Wydało mu się, że w jego umysł wdarł się ktoś obcy, zimny i odpychający. Odczuwał to tak, jakby coś wciskało się w jego mózg, przenikało go, a co gorsza, myśli zaczynała wypełniać inna świadomość.

– Niiieee!

Kolejny zawrót głowy. Stal, zimna i ciepła zarazem. Drętwienie rąk i nóg, zalewający je ołów. Klatka piersiowa chłopca przestała się unosić, wypełniła ją stal, zamiast serca pojawiła się żelazna bryła. Zmysły wyostrzyły się, zmieniło się postrzeganie świata. Dłonie, nogi... rozrosły się, przekształciły w silne, niezniszczalne kolumny. Kruche ciało, które służyło Markowi do tej pory, było jedynie miękkim pojemnikiem na umysł. Teraz zostało odrzucone jako ułomne, zastąpiła je forma doskonalsza.

Zimno wdarło się w umysł chłopaka jeszcze głębiej, zalewało go i przenikało. Marek dostrzegł w tym sens, przestał walczyć. Zaciśnął metalowe palce, które były teraz jego palcami. Poruszył metalową głową, która była jego głową. Oto stał się metalowym rycerzem – a właściwie był nim zawsze, a teraz odnalazł zagubioną część siebie samego.

- To ja... – wyszeptał.

Nie usłyszał jednak swojego głosu. Głos nie był mu potrzebny. Wystarczyło działanie. Oswajał się z metalowym ciałem, a jego umysł szukał dalej, rozrastał się, był w stanie objąć coraz więcej, pragnął więcej. Ta metalowa forma była jedynie początkiem, przeistoczenie nie miało ograniczeń.

Ból... Ogień. Sprężenie.

Gdy już wydawało mu się, że sięgnie gwiazd, skulił się w sobie. Połączenie zostało przerwane, umysł wyrzucił obcą świadomość. Marek znów stał się wystraszonym, słabym chłopcem uwięzionym w stalowej trumnie.

Krzyczał.

Jego ramię objęły płomienie, wżerały się w ciało, paliły ubranie. Skóra pękała pod wpływem temperatury.

Czyjeś wołanie dobiegło go z daleka, z ciemności. Ktoś płakał, ktoś uderzał w metalowy korpus.

Marek nie miał siły wydobyć głosu z opuchniętego gardła, ogień wędrował już w stronę głowy.

Zgrzyt. Ciałem metalowego rycerza wstrząsnął dreszcz. Palący płomień dotknął szyi i policzka, serce chłopaka zacisnęło się mocno, a potem pod wpływem wstrząsu przestało bić.

Był w pełni świadom tego, co się z nim działo. O dziwo nie ogarnęła go ciemność, której się spodziewał. Otoczyło go za to oślepiające światło. Chciał się poruszyć, jednak utknął w czymś na kształt kleistej, nieprzeniknionej mazi. Trwało to zaledwie chwilę.

Nagle uniósł się nad ziemię, na wysokość głowy metalowego rycerza. To było zadziwiające uczucie. Znów widział, choć to, co działo się z jego ciałem, obserwował jakby zza grubej, przydymionej szyby. Stalowe płyty Golema rozsunęły się.

Marek zobaczył, jak drobny dwunastolatek osuwa się i pada bezwładnie na podłogę. Widział, jak ktoś obraca go na plecy.

Dostrzegł trupioblade twarze Marty, Staszka i Marianny. Kucharka zarzuciła prześcieradło na jego twarz i pierś, próbowała zdusić ogień. Na schodach rozległ się tupot.

W polu widzenia pojawili się ojciec i Olaf. A potem Marek poczuł, że jego umysł znów wypełnia się ciężką, płynną substancją. Pozwolił, by to uczucie przejęło nad nim kontrolę.

1932

PRZEDMIEŚCIA WARSZAWY, OKOLICE ZIELONKI

Doktor Andrzej Winnicki walczył z szumem narastającym w głowie. Kierowca paromobilu mknął bezdrożami z oszałamiającą prędkością. Śmieszna sprawa – większość woźniców już dawno przesiadła się na te maszyny, a w Warszawie wciąż żywe były sprośne żarty o zamianie jednego żywego konia na kilka mechanicznych. Zresztą paromobile wyparły też automobile, dla których zabrakło paliwa. Zamknięcie granic nie pozwalało na jego sprowadzanie, a rodzimy przemysł wydobywczy nie sprostał wymaganiom.

Fiakier – tak kazali się nazywać kierowcy – próbował przekrzyczeć maszynę. Jego słowa eksplodowały w uszach niczym petardy, doktor nie miał jednak siły na reprimendę. Chętnie kazałby temu człowiekowi stulić pysk, ale wydobyć głosu z obolałego gardła było ponad jego siły.

Mgła gęstniała. Już w mieście spowił ich gęsty, duszny smog, teraz wydawało się, że wjeżdżali w kleistą substancję, która pochłaniała ich niczym morskie odmęty. W tym szaleńczym obrazie brakowało jedynie syren wodzących nieostrożnych awanturników na pokuszenie. Fiakier radził sobie jednak doskonale – omijał dziury i gałęzie rzucone na drogę przez nocną wichurę, jakby obdarzono go nadludzkim instynktem. Wysłany po Winnickiego automobil, będący w posiadaniu Prezydium Policji, szybko przemieszczał się ku przedmieściom.

Doktor nie został poinformowany, co jest przyczyną pośpiechu ani dlaczego w środku nocy został wyciągnięty z łóżka, zaledwie po kilku godzinach snu. Nie miał kogo zapytać, fiakier wiele wiedzieć nie mógł, a poza tym było jasne, że za kilkadziesiąt minut, po przybyciu na miejsce, dowie się wszystkiego.

Zastanawiał się, czy w ogóle zależy mu na tych informacjach, skoro niewiedza była najczęściej błogosławieństwem.

W tym wypadku miał przecucie, że to mądre powiedzenie doskonale pasuje do sytuacji.

- Z Piłsudskim źle, słyszał pan doktor? Mówią, że nie dotrzyma zimy.

Fiakier mówił głośno, by przebić się przez otaczający ich huk, mimo to Winnicki ledwie rozróżniał słowa. Odpowiadać nie miał zamiaru. W gardle czuł pustynię, ledwo przełykał ślinę. Wspomnienie o Marszałku poruszyło jednak jakąś strunę.

Było to kilkanaście lat temu. Doktor wrócił pamięcią do tamtego wieczoru. Został zaproszony do Belwederu, gdzie otrzymał z rąk Naczelnika odznaczenie, którego przyjęcia nie mógł odmówić. Przekazanie medalu zostało poprzedzone odczytem Winnickiego. Marszałek był żywotnie zainteresowany tą gałęzią nauki, którą doktor starał się rozwijać. Choć Andrzej podejrzewał, że podczas gdy on sam traktował rzecz naukowo, Piłsudski doszukiwał się w eksperymentach czegoś na pograniczu metafizyki.

Doktor pamiętał jednak, że podczas tamtego odczytu miał w Marszałku uważnego słuchacza. To chyba imponowało mu bardziej niż kolejny z medali zdobiących kłapę znoszonego surduta, zwłaszcza że odczyt przerodził się w końcu w jałową dyskusję. Co na salonach warszawskich nie było niczym zaskakującym i Winnicki zdążył się już do tego przyzwyczaić, niczym do kataru w pierwszych dniach wiosny.

Przymknął oczy, walcząc z bólem rozsadzającym czaszkę. Nawet dziś pamiętał zadane tamtego wieczoru pytania i swoje odpowiedzi.

– Szanowny doktorze, czy badany przez pana mózg gryzonია przejawiał jakąkolwiek aktywność w momencie śmierci albo... po?

– Cóż. Przeprowadziliśmy doświadczenia, podczas których badano aktywność mózgow szczerów w momencie, o którym pan wspominał. Po kilkudziesięciu sekundach od zatrzymania pracy serca na odczytach z elektroencefalogramu pojawiał się bardzo silny impuls elektryczny. Ów impuls, drodzy państwo, był ośmiokrotnie silniejszy niż w przypadku przytomnego mózgu. Największa aktywność dotyczyła obszaru odpowiedzialnego za jeden ze zmysłów: widzenie.

Oznaczać to może, że silne impulsy elektryczne sprowadzają niezwykle wyraźne wizje w momencie śmierci...

– Doktorze, abstrahując od gryzoni. Wielu pacjentów wróciło z tamtej strony. Nieraz słyszeliśmy, jak opowiadają o niezwyklej doświadczeniach związanych nie tylko ze zjawiskiem eksterioryzacji, ale i czymś bardziej mistycznym...

– Widzeniem Boga i świetlnych tuneli?

Na sali zabrzmiało kilka przytłumionych śmiechów, większość osób zachowywała jednak powagę.

– Tak, można to tak ująć... – pytający nie wydawał się zbity z tropu. – Jak doktor się na to zapatruje?

– Uważam, że owe impulsy są zwykłym mechanizmem obronnym. Podczas zatrzymania krążenia następuje nagle obniżenie się poziomu cukrów i tlenu w mózgu. To może stymulować jego aktywność.

– I to stąd, pana zdaniem, biorą się doświadczenia pacjentów z... pogranicza śmierci?

– Tak. Uważam, że opisywane wrażenia mają charakter czysto biologiczny, nie metafizyczny. Zresztą dowodzą tego przekazywane przez pacjentów doznania – wszystkie są projekcją tego, co już znamy, co zakorzenione jest w naszej świadomości kulturowej.

– A czy pan wierzy w życie po śmierci, panie doktorze?

– Wierzę w naukę i myślę, że państwo także powinniście w niej pokładać zaufanie.

– To skąd się bierze tak szczegółowy opis owych tuneli? Pacjenci mówią o intensywnym świetle, promieniach, a nawet postaciach bliskich zmarłych.

– Już tłumaczę. Niedokrwienie siatkówki powoduje zawężenie pola widzenia i stąd poczucie przebywania w tunelu.

Z kolei związki chemiczne uwalniane podczas zatrzymania krążenia mogą powodować stan euforyczny, a także doznania halucynogenne. Zakłócenia w różnych ośrodkach mózgu dają odczucie opuszczenia ciała...

Piłsudski, który do tej pory bez komentarza przysłuchiwał się wymianie zdań, zabrał nagle głos, wybawiając Winnickiego od brnięcia w jałową dysputę.

– Powiedzmy więcej o elektromaszynie czy też maszynie impulsowej, jak pan ją nazwał. Czym, doktorze, jest to urządzenie przez pana zaprojektowane i zbudowane, jakie jest jego zastosowanie?

Winnicki pamiętał, że uklonił się wtedy przesadnie, czego później żałował.

– Podczas konstrukcji urządzenia oparłem się na badaniach Hansa Bergera, Richarda Catona, ale przede wszystkim profesora Adolfa Becka, który już w 1890 roku w swojej pracy doktorskiej, *Oznaczenie lokalizacji w mózgu i rdzeniu za pomocą zjawisk elektrycznych*, poruszał najważniejsze dla mnie zagadnienia. Dorobek owych naukowców to między innymi opisanie rodzajów fal i rytmów obecnych w prawidłowo działającym mózgu. Krótko mówiąc, obecnie jestem w stanie nie tylko zapisać pracę mózgu w postaci fal mózgowych oznaczonych dzięki Catonowi za pomocą liter alfabetu greckiego, ale także przełożyć ją na język zrozumiały dla nas. Maszyna impulsowa rejestruje i rozpoznaje impulsy elektryczne, a potem tworzy z nich zapis, zamienia odczytywane impulsy na litery i słowa...

– Te zapisy, czy za każdym razem przetwarza pan impulsy z pełnym sukcesem?

– U każdego człowieka praca mózgu wygląda inaczej, elektromaszyna uczy się indywidualnie każdego mózgu.

Niezmiernie ważna jest kalibracja. Moje urządzenie można porównać do urządzeń deszyfrujących. W tym przypadku wystarczy jednak zaledwie kilka impulsów, by maszyna nauczyła się języka danego mózgu. Następnie jest w stanie odtworzyć skomplikowane słowa powiązane z wyobrażeniami konkretnych rzeczy i postaci, a także pojęć abstrakcyjnych.

Założyłem, że niektóre słowa u wszystkich ludzi pobudzają te same części mózgu...

– Poda pan przykład takiego słowa?

– Wojna! – Winnicki potoczył wzrokiem po zebranych. Był zadowolony z reakcji. – W dzisiejszych czasach słowo to jak żadne inne pobudza ciało migdałowe, odpowiadające za poczucie lęku i instynkt walki o życie... Gdybym podłączył wszystkich państwa do elektromaszyny, okazałoby się, że w tej chwili uaktywniła się u was właśnie ta część mózgu.

Po chwili ciszy ktoś zadał pytanie, które musiało paść: – Odczytuje pan myśli?

- Tak można powiedzieć. Staram się tworzyć słownik ludzkich myśli.

- A jakie korzyści będziemy mieć z tego urzędnika, doktorze?

- Moim głównym celem była pomoc osobom niepełnosprawnym. Doświadczenia z ostatniej wojny utwierdziły mnie w przekonaniu, że powinniśmy skupić się na pomocy tym, którzy zostali przez tę wojnę poszkodowani. Dziesiątki tysięcy kalek w całej Europie wciąż oczekują na pomoc od państwa, dla którego przelewali krew.

- Jak pan chce zmienić ich los?

- Maszyna impulsowa to pierwszy krok w mojej pracy. Chcę stworzyć nowego typu protezy. Prowadzimy już badania.

Czujniki umieszczone na czaszkach ochotników przesyłają sygnał z kory ruchowo - sensorycznej do odpowiednika maszyny impulsowej umieszczonej w specjalnej protezie. W przyszłości dzięki temu rozwiązaniu niepełnosprawną rękę czy nogę będziemy mogli zastąpić kończyną mechaniczną, która będzie kontrolowana myślami...

Tamten wykład wystarczył, by Winnicki otrzymał własną placówkę badawczą i budżet pozwalający rozwijać ambicje.

Projekt został objęty klauzulą tajności i nietrudno było się domyślić, że po kilku miesiącach priorytety ulegną zmianie.

Piłsudski i jego zaufani generałowie zainteresowali się pracami Winnickiego, widząc w nim szansę na stworzenie narzędzia, które pozwoliłoby uzyskać przewagę na polu walki. Doktor nie widział problemu w tych dążeniach, był w stanie się nagiąć, byle otrzymać to, na czym mu zależało. Cele wojskowych nie wykluczały przecież jego własnych, wręcz przeciwnie. Wierzył, że projekt „Golem” zakończy się sukcesem.

Cóż, od tamtych dni minął szmat czasu, blisko czterdzieści lat. Z pierwotnego projektu nie pozostało niemal nic.

Niespełnione ambicje i elektromaszyna, którą teraz Winnicki przytrzymywał kurczowo obok siebie na niewygodnym fotelu paromobilu.

Ta podróż stawała się ponad jego siły. Świt, jeden z tych, jakich doktor szczerze nienawidził. Kłęby pary, stukot kół na wyboistej drodze i chrzęst parowego silnika. Tortury ducha i ciała, systematyczne, stałe, w tej samej tonacji i wibracji.

Czuł się dużo gorzej niż kilka godzin wcześniej, gdy zatonął w ramionach niedzielnej kurtyzany. Tak nazywał kobiety, które były świadkami jego skrytych słabości. Czy na pewno skrytych?

Fiakier wiedział, gdzie szukać Winnickiego. Chłopcy z IV Wydziału Policji Państwowej nie próżnowali. Zresztą trudno byłoby powiedzieć, że doktor kryje się ze swoimi słabościami. Nie miały one wpływu na jego pracę i umiejętności. A to, że posłano po niego, świadczyło o tym, że i reputacja mogła mieć dwa oblicza. Ta profesjonalisty nigdy nie została narażona na szwank.

- Daleko jeszcze?! - krzyknął i zaraz pożałował nierozważnego nadwężenia strun głosowych.

- Już blisko! - odwrzasnął fiakier. Obrócił się nawet do doktora, a ten nie mógł oprzeć się wrażeniu, że mężczyzna w goglach opinających wąską twarz wygląda niczym mechaniczna wałka. - Za chwilę będziemy na miejscu. Nadkomisarz będzie na doktora czekał...

- Sieniawa? - Winnicki tym razem słowa wychrypiał. I tak nie doszły do uszu fiakra. Zresztą nie on był ich adresatem.

Doktor przyciągnął do siebie walizkę. Nagle zrobiło mu się zimniej, jakby lepka mgła dostała się w głąb ciała, do płuc, a stamtąd z tlenem do krwi.

„Melancholia się z Ciebie wylewa”. Przypomniał sobie słowa Anastazji. Jeszcze wczoraj pochylała się nad nim, muskając sutkami jego usta. Patrzyła mu w oczy i mówiła o melancholii. O tym, że tacy mężczyźni wzbudzają w niej matczyne odruchy. Wtedy jej uwaga wzbudziła w nim sprzeciw, ale teraz czuł, że miała rację. Melancholia wypełniła go po brzegi, sączyła się porami, przelewała przez burtę pojazdu i wypełniała przestrzeń. Ta mgła była melancholią, tworem chorego serca i umysłu, zmęczonego życiem i nieumiejętnością życia.

- Mgła poszła w pieruny!

Winnicki uniósł brwi w zdziwieniu. Rzeczywiście. Mgła rozplynęła się, jakby paromobil wyjechał z jednego świata w drugi. Wstające nad drzewami słońce przebiło się przez bladą zawiesinę, odznaczając mleczny krąg na horyzoncie, a potem nad ich głowami pojawiło się niebo. Zupełnie jakby ktoś rozciągnął nad nimi błękitną płachtę.

Andrzej spojrzął przed siebie, wyjeżdżali z lasu. Złote i miedziane liście wirowały w powietrzu, pędzone podmuchami mechanicznej bestii. Stukot maszyny stał się żywszy, pewnie wcześniej tłumiała go kleista trucizna. Teraz i Winnicki poczuł, że puściły pęta, które ciągnęły go w dół, do ziemi.

Dojeżdżali na miejsce. Kordon policyjny nie zatrzymał ich, jeden z aspirantów machnął tylko ręką, by jechali dalej.

Wokół zgromadziło się sporo gapiów z pobliskich wsi. Odczuwało się jakąś nabożną ekscytację. Winnicki czuł na sobie spojrzenia odprowadzające paromobil.

Droga była tu rozjechana, przemieszczało się nią wcześniej więcej ciężkich pojazdów. W nozdrza uderzał zapach spalenizny, który nie wróżył najlepiej. Winnicki uodpornił się na makabryczne obrazy, może dlatego, że szybko potrafił zepchnąć je w niepamięć. Ale ten dym stawał się katalizatorem, wyostrzał zmysły i przynosił wspomnienia.

Drugi kordon. Tego akurat Winnicki się nie spodziewał. Tym razem obok policjantów pojawili się wojskowi. Byli tam chłopcy z Samodzielnego Referatu Wojskowego. Robiło się ciekawie. Doktor postanowił odłożyć na bok spekulacje i domysły. Chłonał jednak wzrokiem wszystko, co go otaczało. Trybiki w mózgu Andrzeja drgnęły, jakby zaciekawione dochodzącymi informacjami. Musiało stać się coś poważnego. To tłumaczyło pośpiech, z jakim po niego posłano.

Zwiastowało też, że stało się najgorsze.

- Jedźcie... jedźcie, żwawo!

Policjanci musieli być uprzedzeni o przejeździe paromobilu. Kordon rozstał się. Szlaban, który pojawił się tu nie wiadomo skąd, został błyskawicznie uniesiony. Winnicki znów wyczuł na sobie spojrzenia, tym razem wojskowych, którzy zabezpieczali teren. W ich oczach zobaczył coś zupełnie innego niż w ciekawskim wzroku gapiów. Tylko przez chwilę zastanawiał się, co to było. Znał przecież takie spojrzenia.

Fiakier od dłuższego czasu milczał. Teraz akurat zaczęło to Winnickiemu przeszkadzać.

- Co wiesz?! - wykrzyczał do ucha mężczyzny, pochylając się w jego stronę.

Ten wzruszył ramionami.

- Spójrz pan w niebo - powiedział.

Winnicki opadł bezsilnie na siedzenie przy kolejnym wyboju. Patrzył już przecież w niebo chwilę wcześniej. Pozbawione mgły, było gładkie, lazuruwe, bezchmurne. Złota polska jesień.

- Spójrz pan w niebo - wymamrotał ponownie fiakier, międląc każde słowo niczym suchy kawał mięsa.

Winnicki uniósł głowę i wtedy zrozumiał. Transporty. Transporty zostały wstrzymane. W czasie, w którym pokonali kilkanaście kilometrów, powinny pojawić się przynajmniej dwa pociski kontynentalne. Atu nic.

- Patrz pan!

Winnicki spojrzął w stronę, którą wskazywał fiakier. Dym unosił się nad młodnikiem. Z daleka widać było ogrom katastrofy. Wypalony pas lasu, sterczące kikuty połamanych i nadpalonych drzew. Ludzie, którzy niczym mrówki pokonywali trasę od początku tej krwawiącej rany w ziemi aż do szczątków rozzerwanej metalicznej kapsuły. Czego szukali, pochyleni, wpatrujący się w nadpaloną ściółkę? Ciało, fragmentów, szczątków. Wszystkiego, co trzeba oznaczyć i przekazać w raportach komisji wypadkowej.

- Pospiesz się pan! - ryknął Winnicki, uderzając fiakra w plecy.

- Robię, co mogę, pary już mało w tłokach...

Doktor przyspieszał kierowcę nie dlatego, że miał nadzieję pomóc ocalałym cudem z katastrofy. Nie miał złudzeń, że ktoś może przeżyć tak potężny wybuch. Zresztą nie tego od niego oczekiwano. Winnicki wiedział, że nie wszystko, a właściwie nie wszystkich strawił ogień. I tu było zadanie dla niego i dla jego wynalazku.

Kurczowo zacisnął palce na skórzanym pasku. Torba powędrowała w górę, a Winnicki wyskoczył

z paromobilu, gdy tylko fiakier zatrzymał się przy namiotach rozbitych kilkaset metrów od miejsca katastrofy.

1932
FRONT ZACHODNI,
OKOLICE RAWICZA

Szeregowy Sylwester Biegus pokręcił głową z niedowierzaniem. Zdał sobie sprawę, że wciąż ma otwarte usta. Nie mógł się pozbyć tego odruchu, za który w szkole często mu się obrywało. Na tablicę z wzorami z fizyki gapił się wówczas równie intensywnie, jak teraz na swojego dowódcę.

- Jeszcze raz...

Biegus patrzył, jak młody porucznik, którego wszyscy nazywali Blizną, wyciąga przed siebie dłoń. Metal zaślnił w porannym słońcu. Coś kliknęło, powtarzający się szczepek przekładni. W lesie rozległ się stłumiony odgłos wystrzałów.

Puszki po konserwach, ustawione kilkadziesiąt metrów od ich stanowiska, podskoczyły, jakby oderwane magiczną siłą.

- Co za diabelstwo ma tam pan porucznik? - wydusił w końcu Biegus. Nie mógł oderwać wzroku od Blizny.

Ten opuścił dłoń, z której jeszcze przez chwilę się dymiło. Poruszył nią, jakby chciał poprawić krążenie, choć przecież - Biegus nie miał wątpliwości - całe ramię było metalowe.

- Diabelstwo? - Blizna zaśmiał się. - Dobrze powiedziane, szeregowy.

Sylwester skinął głową. Dowódca prosił go o asystę już kilka razy. Wczoraj dostał paczkę, niby nic nadzwyczajnego na froncie, ale zamiast domowego żarcia i rodzinnych pamiątek, którymi wypełnione były przesyłki innych żołnierzy, dostał kupę złomu. Przynajmniej tak się Biegusowi wydawało, gdy zobaczył zawartość pudła. Po minie Blizny widział jednak, że ten jest wniebowzięty. Teraz poznał przyczynę tego zadowolenia.

- Celny, cholera...

- Kilka ulepszeń od staruszka, Biegus.

- A Zawisłak przekazał porucznikowi list? To chyba też od ojca.

- Przekazał - potwierdził młodzian. - Poczekaj na lepsze czasy. Wolę teraz sprawdzić ten nowy magazynek, widzisz?

Szeregowy podszedł do dowódcy i spojrzał na odsłonięte metalowe ramię. Walczył z odruchem, by go nie dotknąć.

- Stary magazynek ślimakowy nie spełniał założenia, był zawodny, chociaż cholernie pojemny. Ten jest czterorzędowy i jak słyszysz, daje radę.

- Ma łeb, że tak powiem, ojciec pana dowódcy.

- Zmiany oparł na rozwiązaniach Schmeissera. Jak by nie patrzeć, to Szwaby mają głowę do broni.

- Mają - powtórzył Biegus. Zdał sobie sprawę, że znów wgapia się w ramię Blizny jak sroka w gnat.

Dowódca był do tego przyzwyczajony. Zanim Sylwester dobrze go poznał, sam nazywał młodego porucznika dziwolągiem. Ciemna, rozległa blizna pokrywająca prawą stronę szyi i prawy policzek sprawiała upiorne wrażenie. Ten młody i przystojny mężczyzna został trwale oszpecony i nikt w oddziale do dziś nie dowiedział się, jak to się stało. Wersji było tyle, ilu ludzi w pułku, a każda z nich bardziej fantastyczna.

Teraz i rozległa oparzelina, i metalowe ramię wszystkim spowszedniało. Chociaż z tego, co Sylwester słyszał, w dowództwie było kilku zatwardziałych skurwieli, którzy wciąż traktowali chłopaka jak wybryk natury. Uważali, że stanowi zagrożenie dla siebie i innych, jednak żaden z dowodzących ze sztabu nie odważył się jawnie wystąpić przeciw porucznikowi. Pewnie przez wzgląd na sławę ojca, doktora Andrzeja Winnickiego, nazywanego czasem Wielkim Konstrukтором. Staruszek dowódcy miał poważanie w Warszawie wśród najwyższych szczebli państwowych. Swego czasu pijał herbatkę z Naczelnikiem,

potem z premierem i prezydentem. Biegus słyszał, że ojciec porucznika miał łeb tęższy od stu Schmeisserów razem wziętych.

Blizna nigdy nie mówił o ojcu. Dzisiaj zrobił wyjątek, chyba ze względu na ten prezent, który otrzymał, i którym cieszył się jak dziecko. Jak nową zabawką, pomyślał Biegus. Dowódca nie wywyższał się, nie był jak inni wyżsi rangą żołnierze, wskazujący palcem podkomendnym, co mają robić; sam potrafił zakasać rękawy i podnieść tą swoją metalową ręką belę, której nie dało rady kilku chłopu. Szybko zyskał szacunek w oddziale, bo nie był w gorącej wodzie kąpany i szanował ludzi.

A to, że nie wyglądał jak inni? Z głową miał przecież wszystko w porządku, w przeciwieństwie do niektórych tam, wyższych stopniem.

– Każdemu z nas przydałoby się takie... ramię. – Biegus nie zdążył ugryźć się w język. Jak zwykle szybciej powiedział, niż pomyślał. Popatrzył stropiony na dowódcę.

Ten jednak w odpowiedzi zaśmiał się rubasznie.

– Nic w tym przyjemnego, Biegus. Są plusy, ale nie wiem, czy minusów nie ma więcej.

Dowódca rzadko zdobywał się na taką szczerłość. Sylwester spojrzał na niego trochę inaczej. Zapadnięte policzki, podkrążone oczy... Oficer był blady jak śmierć, tylko ta blizna kładła się cieniem na prawej stronie twarzy, jakby wciąż próbowała się rozrosnąć i pokryć resztę ciała. Wcześniej Biegusowi nie przyszło do głowy, że metalowe ramię musi być przecież jakoś wszczepione w ciało, może w kości. Na pewno sprawiało ból, poza tym musiało sporo ważyć. Biegus poczuł dreszcz na plecach. Nie, na pewno nie oddałby swojego zdrowego ramienia za to żelastwo.

- Zbieramy się.

Blizna opuścił rękaw płaszcza i założył skórzane rękawiczki.

– Tak jest! – odpowiedział Sylwester, a potem ruszyli w stronę okopów.

– Aspirant Wojtas. – Starszy mężczyzna z sumiastym wąsem zsalutował doktorowi Winnickiemu. Stuknął też obcasami, wzbijając brunatny pył. – Nadkomisarz Sieniawa kazał mi towarzyszyć panu aż do jego przyjazdu.

– Prowadź pan. – Andrzej uniósł ciężką torbę. Włożył ją pod pachę, otaczając troskliwie ramieniem, i ruszył do wraku.

Nie czekał na aspiranta.

Ten dołączył do Winnickiego w kilku krokach. Miał niesłychanie długie nogi.

– Mówcie, macie kogoś?

– Tak, doktorze. Brzozowski z kryminalnej powiedział, że jeden z denatów najprawdopodobniej uniknął ognia. Nie wiem, czy jest cały, ale...

– Głowa! Człowieku, mów, czy ocalała głowa!

– Brzozowski mówi, że tak...

– Dobrze. – Winnicki przeskoczył brudę w ziemi. Śwąd stawał się coraz bardziej nieznośny, ogień udało się jednak opanować; kilku strażaków wciąż dogaszało ściółkę. Doktor dostrzegł wóz strażacki i tank wodny z warszawskiej jednostki rezerwy. Nawet to tutaj przytargali, armatkę wodną, chlubę Zakładów Mechanicznych „Ursus”.

– Lepiej bokiem. – Wojtas długim ramieniem odgrodził Winnickiego od zwęglonych szczątków, wskazując ścieżkę wydeptaną w ostatnich godzinach przez służby ratunkowe.

Doktor z irytacją wypuścił powietrze. Przecież był lekarzem, takie widoki nie powodowały u niego torsji jak u pierwszych lepszych praktykantów. Spieszył się jednak, więc darował sobie reprimendę.

Minęli kilku ludzi przypominających Winnickiemu bociany. Zupełnie bowiem jak te majestatyczne ptaki kroczyli ostrożnie, szeroko rozstawiając nogi i wlepiając w ziemię uważne spojrzenia. W dłoniach trzymali plastikowe worki, do których zbierali rzeczy osobiste albo szczątki tych nieszczęśników, którzy oddali ducha w katastrofie.

– Doktorze!

Andrzej rozpoznał majora Żygadłę. Spotkał go kilka razy. Zostali sobie przedstawieni na Służewcu, na jednym z wyścigów o puchar Prezydenta Warszawy. Pasja do koni Żygadły była znana, a on sam jako fachowiec ogromnie ceniony. Major odznaczał się nienagannymi manierami. Patrzył rozmówcy prosto w oczy i mówił z taką samą pasją o koniach, jak i o wojnie, z którą młode państwo zmagало się już od trzynastu lat. Swego czasu był jednym z zaufanych oficerów Marszałka; być może połączyła ich wspólna pasja do koni. Podczas bitwy warszawskiej został ciężko ranny, przez co do dzisiaj utykał na prawą nogę. Nie przeszedł jednak w stan spoczynku, deklarując, że zasłuży na odpoczynek, dopiero gdy nastanie pokój, a bolszewicy dostaną to, na co zasłużyli. Winnicki przeczuwał, że na szybką emeryturę Żygadły się nie zanoszą. Oprócz bolszewików za przeciwników mieli teraz Niemców. Impas na froncie mógł trwać jeszcze długo.

– Okoliczności niezbyt, niezbyt, mój drogi doktorze, doprawdy! – Major wyciągnął prawicę. Jego uścisk był pewny, żyłasta dłoń zaciskała się niczym imadło. – Jednak zawsze miło widzieć drogiego koleżę.

– Ile godzin? – Winnicki nie baczył na obcesowość pytania. Zauważył uniesione krzaczaste brwi Żygadły, zdziwionego złamaniem etykiety. Major nawet w ogniu walki, pod ostrzałem mózdzierzy, stałby wyprostowany jak struna, witając się z szacunkiem i oczekując od towarzysza takiego samego zachowania. Ale doktorowi zależało na czasie. Informacja od Żygadły była istotniejsza niż dbanie o opinię nienagannie wychowanego.

– Dwie... z minutami. – Major spojrzał na srebrną cebulę, którą wyciągnął z kieszeni wojskowej kurtki.

Dopiero wówczas się zmiętył, jakby przyszło na niego olśnienie w związku z zadziwiającym zachowaniem człowieka, o którym miał jak najlepszą opinię. – Drogi kolego, czy to nie za długo?

– Mamy jeszcze czas. Jednak z każdą chwilą ślady po impulsach elektrycznych w mózgu denata zanikają. Majorze, niech mnie pan do niego zaprowadzi.

– Oczywiście! – Żygadło skinął na towarzyszących mu aspirantów. – Idziemy natychmiast.

Winnicki obserwował ogrom zniszczeń. Pocisk transportowy musiał uderzyć w ziemię pod ostrym kątem. Przeorał ziemię, a pod koniec najprawdopodobniej wykonał ewolucję, którą doktor mógł opisać jedynie jako salto mortale. Doktor wiedział, że przy lądowaniu, a także awaryjnym spadaniu, powinny się otworzyć spadochrony. Nigdzie ich jednak nie dostrzegł, na pobliskich brzoźkach brakowało choćby strzępu białej czaszy. Choć w tym wypadku można się było pokusić o domysł, że uległy one spaleni pod wpływem ogromnej temperatury.

Kapsuła rozbiła się najwyraźniej dopiero po uderzeniu, części wraku rozsypane były na przestrzeni kilkuset metrów.

Znajdą się pewnie tacy, którzy będą się dopatrywać teorii spiskowych, będą mówić o obecności ładunków wybuchowych na pokładzie transportera, ale Winnicki wiedział, że przyczyny tego typu katastrof bywały w większości wypadków te same: błąd ludzki lub wada sprzętu.

Dostrzegł dwa ciała przykryte workami, znacznie oddalone od siebie. Najprawdopodobniej nieszczęśnicy ci wypadli w trakcie uderzenia kapsuły w ziemię.

– Majorze? Ich nie można poddać badaniu?

– Obawiam się, że niewiele z tych biednych chłopaków zostało. Wciąż kompletujemy szczątki.

Winnicki skinął głową ze zrozumieniem. Domyślił się, że reszta denatów powinna się znajdować w zdemolowanej komorze transportowca. Tam właśnie się skierowali.

– Ilu było na pokładzie?

– Trzydziestu. – Żygadło zazgrzytał zębami – w tym trzech oficerów. Dwa parotanki zajmowały większą część ładowni.

Na szczęście w tym rzucie nie było amunicji, bo zupełnie nie mielibyśmy co zbierać.

Winnicki skinął głową. Zobaczył błyskające światła. To magnezja rozświetlała mroczne wnętrza kapsuły transportowej.

Technicy policyjni i wojskowi skrupulatnie uzupełniali dokumentację. Doktor wiedział, że nie pominą żadnego szczegółu – z większością z nich współpracował od lat.

Wejście do kapsuły przyprawiło go o dreszcz. Na zewnętrznym korpusie dostrzegł numer seryjny transportera powietrznego i wizerunek ogromnego morskiego potwora. Przez chwilę zastanawiał się, skąd na pocisku transkontynentalnym to oznaczenie, ale ostatecznie zajęły go inne sprawy. Poczł spaleni i zapach zatęchłej wody, która wymieszała się z toksycznymi oparami. Czuł też swąd spalonego mięsa. Ludzkiego mięsa.

Metalowe ściany ociekały lepłą cieczą, jeszcze rozprężyły się pod wpływem różnicy temperatur. Woda zmoczyła doktorowi buty, kapła mu też na kapeluszu.

Błyski magnezji nadawały obrazom widok podobny do nocnych koszmarów. Winnicki zorientował się, że jeden z parotanków przebił metalowy boks, w którym został umocowany, i zmiażdżył pomieszczenie kontrolne z systemami podtrzymywania życia. Kilka kroków dalej doktor ujrzał przedział osobowy. A właściwie to, co z niego zostało.

Żołnierze w większości wciąż tkwili na siedzeniach. Część z nich wisiała na pasach, jakby szykowali się do skoku.

Zwęglone szczątki i błyszczące w światłach guziki z orzełkiem w koronie... Kilkanaście ciał. Powykrzywiane członki, kilku skulonych w pozycji embrionalnej, kilku z rozpostartymi ramionami, jakby szykowali się na kolejny lot. Winnicki zdał sobie sprawę, że niektórzy z nich mogli przeżyć uderzenie. Spłonęli żywcem, nie mając możliwości wydostania się ze swoich siedzeń.

– Zginęli, służąc ojczyźnie... Pokój ich duszom, cześć ich pamięci! – zagrmiał Żygadło.

– Cześć ich pamięci! – zawtórowali mu towarzyszący aspiranci.

– Gdzie jest ciało? – zapytał krótko doktor.

- Tam, tuż obok. Musiał wypaść z siedzenia...

Żygadło wskazał kolejny boks, zapewne z rzeczami osobistymi zmarłych. Winnicki dostrzegł jednego z wojskowych stojącego przy zwłokach. Postąpił w tamtą stronę i przykucnął.

Ciało było całkowicie zwęglone od pasa w dół, korpus i głowa pozostały jednak niemal nietknięte. Jedynie policzek młodego mężczyzny szpeciła głęboka szrama, a na szyi widniało owalne poparzenie.

- Wypadł z pasów, wleciał do boksu – potwierdził relację Żygadły aspirant, którego Winnicki nie znał. – Przywaliła go ognioodporna półka. I częściowo ocalała od płomieni.

- Potrzebuję światła – zakomenderował doktor. – Iodsuńcie się, na litość boską!

Za plecami Winnickiego pojawił się reflektor. Doktor postawił swoją ogromną torbę w suchym miejscu i ją otworzył.

Delikatnie sięgnął do środka. Wyjął kilka futerałów i metalową obręcz, którą jako pierwszą miał nasadzić na czubek głowy denata.

Za swoimi plecami wyczuł poruszenie, ale je zignorował. Wciąż budziło sensację użycie nawet prostego elektroencefalogramu, a co dopiero tego urządzenia – lekkiego i przenośnego, ale kojarzącego się bardziej z wynalazkami z tanich futurystycznych powieści Tadeusza Peipera.

Doktor rozsunął obręcz i skinął na jednego z aspirantów, by ten uniósł głowę denata. Potem nasadził stelaż i przekręcił śrubki na tyle mocno, by nie zsunął się w czasie badań. Teraz przyszła kolej na elektrody.

Według metody Winnickiego wystarczyło ich kilkanaście, rozmieszczonych we właściwych miejscach: najwięcej nad korą płatów czołowych i ciemieniowych. Doktor nie rezygnował jednak także z elektrod referencyjnych przymocowanych do płatka ucha. Całość została spięta razem, a okablowanie podłączone do urządzenia, wynalazku Winnickiego.

- Odsuńcie się – zakomenderował. Obejrzał się za siebie, marszcząc brwi. – Jeszcze dalej!

Dopiero gdy zgromadzeni wykonali polecenie, wyraźnie uspokojony włożył kartę perforowaną do urządzenia i je włączył. Lampki i elektrody zamigotały niespokojnie. Za plecami usłyszał szmer ściszonych rozmów. Wiedział, że wszyscy patrzą w jego stronę.

Maszyna zahaczała. Mechanizm szczyknął. Przez chwilę jakby się zawahał, a potem wypluł pierwszy impuls, tłocząc go na karcie.

- Matko! – Bezosobowy, metaliczny głos urządzenia wywołał poruszenie. Winnicki nic sobie z tego nie robił. W takich chwilach czuł się jak magik: lubił zadziwiać, wprawiać w osłupienie, a jego urządzenie nadawało się do tego doskonale.

- Mamo – rozbrzmiało w głośnikach.

- To on? – wysapał cicho nad uchem Andrzeja major Żygadło.

- Tak, jego przetworzony głos. A te słowa to fusy... zaraz dobierzemy się do głównego impulsu.

- Fusy? – Żygadło aż się wzdygnął, jakby doktor powiedział jakieś obrzydliwe słowo.

- Zakłócenia, impuls przenikający fale mózgowie. Najczęściej związany ze stanem emocjonalnym. Matka była najdroższa denatowi. O niej pomyślał tuż przed śmiercią.

Winnicki napisał o tym rozprawę do „Scientific American Magazine” – o ostatnich słowach wypowiedzianych tuż przed śmiercią. Żygadło zdziwiłby się, gdyby usłyszał, że w większości wypadków ludzie świadomi zbliżającej się katastrofy nie przywołują na pomoc swojej matki ani nawet Boga, a najczęściej dosadnie żegnają się z tym padole. Stare znajome „kurwa” pojawiało się przytłaczającą liczbę razy.

Maszyna impulsowa przetwarzała częstotliwości fal mózgowych, odczytywała je i rozpoznawała. Najważniejsza w tym wypadku była kalibracja urządzenia. U każdego człowieka praca mózgu wygląda nieco inaczej i ta sama częstotliwość mogła oznaczać co innego. Podstawowe bodźce były jednak wspólne. Maszyna w trakcie kalibracji skupiała się na falach beta i theta. Wyłapywała, rozpoznawała i analizowała ostatnie impulsy elektryczne. Na ich podstawie można było z dużą dokładnością zamienić impuls – myśl denata – na słowa, a nawet zdania, które ten „wyrzucił” z siebie w chwili śmierci.

Współpraca Winnickiego z Referatem Spraw Kryminalnych często przynosiła sukcesy. Choć nie tak często, jak doktor by sobie życzył. Wiele razy denat w ostatniej chwili rozpoznawał swojego oprawcę. Maszyna określała słowo: mąż, sąsiad, brat, przyjaciel. Czasem opis: wysoki blondyn, kobieta. Innym

razem skojarzenia: listonosz. Rzadko imiona. Te ostatnie były najtrudniejsze do uzyskania – wiązało się to ze żmudną pracą, z porównywaniem fal mózgowych niosących w sobie kod danego nazwiska lub imienia.

Zdarzały się też jednak fusy. One były najgorsze. Zanieczyszczenia, które pojawiały się wraz z osłabieniem fal mózgowych, i te późniejsze, których natury Winnicki do końca nie zgłębił.

– Ijak? – Żygadło chyba sam zapomniał o etykietce, której był orędownikiem.

- Cierpliwości.

Winnicki odczytał zakres fal. Impuls elektryczny był wciąż mocny. Najprawdopodobniej przyczynił się do tego fakt, że młody mężczyzna nie zginął od razu – przeżył upadek i przygnieciony cierpiał męki, kiedy ogień trawił jego ciało. Doktor podkreślił skalę odczytu.

- Ogień... parotank... zaczepy... zaczepy... zaczepy... Za...

Winnicki przerwał odtwarzanie nagrania z karty.

– Potwierdzają się nasze wstępne ustalenia. – Żygadło powiedział to głośno, tak żeby wszyscy go usłyszeli. – Obawialiśmy się aktu sabotażu, ale najwyraźniej to błąd ludzki. Parotank został źle przymocowany.

Winnicki nie skomentował oświadczenia majora. Sam nie wiedział, czego się spodziewał. Zwykły błąd człowieka, nic, czego nie można by ustalić bez jego urządzenia. Wchodząc do kapsuły transportowej, zdążył zauważyć pomieszczenie kontrolne zmiążdżone przez potężną maszynę wojenną. I chociaż nie pochwałał wyciągania wniosków na gorąco, bez analizy wszystkich dostępnych danych, sprawa od początku była dla niego jasna.

Wyłączył głośniki. Pozwolił, by urządzenie zapisało na karcie całość impulsów i zakres fal. Potem odłączył elektrody i zdjął stelaż z głowy denata. Spakował wszystko do futerałów, a te włożył do torby.

- To tyle, jeśli chodzi o mnie. Przynajmniej na razie.

– Dobra robota. – Żygadło pomógł doktorowi wstać, po czym uściśnął jego prawicę. – Nadkomisarz Sieniawa właśnie zjechał. Zaoferował, że odwiezie pana do domu.

– A co z moim fiakrem? – Winnicki nawet nie starał się ukryć niezadowolenia.

– Odesłaliśmy go z najnowszą dokumentacją na Komendę Główną, ale naprawdę, nadkomisarz Sieniawa będzie niezwykle rad z użyczenia swojego paromobilu.

– W porządku. – Doktor zgodził się niechętnie. I tak nie miał wyboru, nie uśmiechało mu się bowiem łapanie wozu z sianem i próba dostania się do Warszawy na własną rękę. Do tego rozbolało go kontuzjowane kolano. Przekłete jesienne zmiany pogody.

– Proszę za mną. – Major znów strzelił obcasami. Uśmiechał się szeroko, jakby przed chwilą był świadkiem wygranej w obstawianej gonitwie, a nie katastrofy, o której będzie mówiła cała Polska.

1919 WSPOMNIENIA

Nie opisywałem wcześniej doświadczenia, które przeprowadzone zostało w 1915 roku. Zrobił to Wieniawa z charakterystycznym dla siebie polotem.

Byliśmy wtedy na froncie, walczyliśmy z Moskalami. Nastaly wieczory ciężkie, ale też i takie, w które więcej czasu mieliśmy na rozmowy i zwykłą nudę. Chyba Adam Dobrodzicki jako pierwszy poruszył temat duchów. Większość kadry sceptycznie nastawiona była do wirujących stolików, upiorów i ektoplazmy. Ktoś z zebranych zaproponował eksperyment, a ja się zgodziłem. Miałem przeczucie, które mówiło mi, że wydarzy się coś ważnego.

Oficerowie ustawili stół, na arkuszu wypisali alfabet, a na porcelanowym spodku oznaczyli wskazówkę.

Już wcześniej wyczuwałem w pomieszczeniu czyjś obecność. Ktoś chciał się ze mną porozumieć, ale nie potrafił znaleźć na to sposobu. W tym momencie wszystko uległo zmianie.

W kilka chwil po ustawieniu na blacie talerzyk zaczął się obracać.

Wieniawa i Dobrodzicki zapisywali litery, które wskazywała strzałka. Nie znali rosyjskiego, więc najlepiej się nadawali do przekonania sceptyków, iż eksperyment nie jest oszustwem.

Pozostaje mi potwierdzić dalszą relację Wieniawy. Nawiązaliśmy kontakt z duchem generała Liniewicza. Liniewicz był mi wcześniej znany jako jeden z dowódców wojny japońsko - rosyjskiej. Nie mogłem oprzeć się pokusie, by nie wykorzystać nadarzającej się okazji. Zapytałem go, czy będziemy mieli spokojne święta. Generał zaprzeczył, ostrzegł nas, że szykuje się atak. Pierwej jednak pozorowany, bo ten właściwy pójdzie bardziej na południe.

Ostrzeżenie okazało się trafne. Na relacje z owych wydarzeń można natrafić w prasie. Nikt nie wie jednak, co wydarzyło się kilka godzin później.

Gdy znalazłem się sam w swoim pokoju, znów wyczułem czyjś obecność. Zdecydowałem się na ponowienie eksperymentu. Tym razem jednak nie rozmawiałem z Liniewiczem. Duch, zjawa czy jakkolwiek inna forma energii nie przedstawiła się, choć miałem wrażenie, że znam ją bardzo dobrze.

Zapamiętałem każde słowo wypowiedziane tamtej nocy, każde ostrzeżenie. Zjawa nawiązywała do zdarzeń, które miały dopiero nadejść, a które zmrozić mogły krew w żyłach.

W ciągu kolejnych lat miałem się przekonać, iż każda wypowiedziana tamtej nocy przepowiednia miała się ziścić. I ta o odzyskaniu niepodległości, i ta o walce o jej utrzymanie.

Jedno z opisywanych przez zjawę wydarzeń zapadło mi w pamięci szczególnie. Cud nad Wisłą – tak nazwała bitwę, która miała odmienić losy naszego kraju i powstrzymać czerwień zalewającą nas od wschodu. Były też jednak złe wieści.

Nasi odwieczni wrogowie w zdradzieckim przymierzu, my w kleszczach zaciskających się niczym imadło. Polska ziemia pochłaniana przez tych spod sztandaru połamanego krzyża i tych spod sztandaru sierpa i młota.

Cóż, ta przyszłość w świetle ostatnich wydarzeń wydaje się nieunikniona. Od moich wyborów zależy, czy dokonamy wystarczających zmian i przetrwamy.

Rok 1920 się zbliża. Niezależnie od tego, co ostatecznie przyniesie, wiem, że będzie szczególny. Mój własny naród zniechęci mnie za decyzje, których podjęcia jestem tak bliski. Ale myśl o ich zaniechaniu wcale nie przynosi ukojenia.

Czy warto wycierpieć teraz, by więcej nikt nie odważył się podnieść na nas ręki? Nie mówię o swoim poświęceniu; na nie jestem gotowy. Dekada wysiłku... A po niej pokój!

1932 FRONT ZACHODNI, OKOLICE RAWICZA

Mundur szybko przesiąkał wilgocią. W regimencie było zbyt mało pałatek przeciwdeszczowych – chłopcy z zaopatrzenia robili, co w ich mocy, żeby dowieźć na czas sprzęt i amunicję, reszta zapotrzebowania zesłała na plan dalszy. Jedyne, czego nie brakowało w okopach, to konserwy, a często dostarczano nawet rawickie kiełbaski z fabryki konserw mięsnych Scholza. Mimo to kilka miesięcy na froncie potrafiło dać w kość. Latem upały stawały się nie do zniesienia, a wiosną i jesienią hektolitry wody zamieniały okopy w bagno. Blizna nie miał jeszcze szczęścia, a właściwie nieszczęścia, spędzić w okopach zimy.

– Poruczniku, wzywają pana do sztabu.

– Dziękuję, Widelski. – Marek odsalutował łącznikowi i jeszcze raz spojrzął przez peryskop na stronę wroga.

Niemcy okopali się jak w twierdzy. Zabetonowali nawet największe działa kaliber 22. Mniejsze osiemnastki czy piętnastki szybko przemieszczali pomiędzy pierwszą a trzecią linią. Czuli się pewnie. Front stanął. Tylko co jakiś czas słychać było komendy „Przygotować się!” i „Do broni!”. Wtedy dywizja ruszała. W pierwsze rowy udawało się wejść, ale potem następował odwrót. Do walki włączała się artyleria przeciwnika, która miała kąsać za zbytnią zuchwałość, lecz i ona szybko milkła.

Nad wszystkim górowały balony.

Powietrzne miny, które wydawały się zaporą nie do przebycia. Tysiące, dziesiątki tysięcy zawieszonych nad ziemią baniek wypełnionych gorącym powietrzem. W dowództwie nazywano je drapieżnikami. Marek był zafascynowany ich działaniem. Czekwały na swoją ofiarę, najczęściej samolot, który zapuścił się za linię wroga, po czym błyskawicznie wyrzucały w jego stronę masę szrapneli. Odłamki pędziły do ofiary, jakby przyciągane magnesem. Po zetknięciu rozrywały kadłub, nie dając pilotowi szans na opuszczenie maszyny.

Wszystko stało w miejscu. Wojna na wyniszczenie i na przetrwanie. I jedni, i drudzy nie mieli sił na frontalny atak.

Czego się spodziewać, gdy prowadzi się wojnę pozycyjną, z jednej strony ma Niemców, z drugiej Moskali. Front wydłużony, aprowizacja kulejąca, ludzi coraz mniej i coraz mniej zapala. Jedyńm plusem, który Marek dostrzegał, był fakt, że na skutek niepisanej umowy między wrogami granaty gazowe poszły w odstawkę. Jedni i drudzy wiedzieli już, jaka to straszna broń.

Marek schylił się i ruszył w stronę sztabu. Szybko przeszedł przez skrzyżowanie okopu komunikacyjnego z przednim.

Ten newralgiczny punkt był najsilniej ufortyfikowany. Porucznik zlustrował zabezpieczenia i wyżej uniósł kołnierzą płaszcz. Przemarzył do szpiku kości. Nocki w listopadzie stały się chłodniejsze i dawały się we znaki, człowiek nie potrafił czasem utrzymać w zgrabiących dłoniach kubka z herbatą. Na szczęście skarpety Marek wciąż miał suche, ale to tylko dzięki dobrym butom. Był wdzięczny ojcu, że ten przysłał mu impregnat do skóry.

– Poruczniku! Czekają na pana!

– Spocznij, Wasyl.

Blizna wyminął stanowisko wartownicze i znów się schylił. Ruszył w dół ciemnym korytarzem kilka metrów pod powierzchnię ziemi. Przeszedł obok wartowników i w końcu znalazł się w jasno oświetlonym pomieszczeniu.

– Długo każe nam pan na siebie czekać!

– To już się nie powtórzy, pułkowniku.

Marek zasalutował. Z pułkownikiem Kolbergiem nie darzyli się sympatią. Dowódca starej daty ceniał

bardziej wykonanie rozkazu za wszelką cenę niż ludzi, których miał pod sobą. Oprócz uporu cechowały go przede wszystkim złośliwość i zawiść nieprzystające do piastowanego stanowiska.

- Czołem, Blizna!

Maksymilian Branicki, były legionista, wyciągnął dłoń w jego stronę. Znali się z Oficerskiej Szkoły Artylerii, gdzie Branicki mimo młodego wieku był wykładowcą. Wymienili silny uścisk. To odwróciło uwagę Kolberga od porucznika.

Branicki uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po plecach.

– Przygotuj się na informacje, które nie przypadną ci do serca – szepnął cicho.

Marek przyjrzał się pozostałym oficerom stojącym przy stole. Wezwano wszystkich, ledwo się tutaj mieścili.

– Panowie! – zaczął Kolberg. – Kilka godzin temu grupa saperów kapitana Majewskiego wykonywała zadanie w pasie ziemi niczyjej. Natknęli się na patrol niemiecki, który zmusił ich do przemieszczenia się za linię wroga. Podczas akcji odkryto sztab dowództwa naszych przeciwników...

Kilku oficerów poruszyło się nerwowo, większość nie dała po sobie niczego znać – być może wcześniej zostali poinformowani o sytuacji.

– Doszło do wymiany ognia. Nasi saperzy wysadzili sztab. Najprawdopodobniej w tym momencie odbywała się narada głównodowodzących...

– Szlag! – Major Walewski uderzył pięścią w stół. – Był spokój, teraz znowu zacznie się piekło!

– Mamy wojnę, panowie! – Kolberg ostrzegawczo podniósł głos. – Nie wolno nam o tym zapominać! Dowódcę saperów zamierzam zgłosić do odznaczenia!

Marek spojrział na Branickiego. Na twarzy kapitana nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Jakie są rozkazy, pułkowniku? – wychrypiął kolejny z oficerów.

– Musimy być przygotowani na akcję odwetową.

– Pięknie – wysyczał ktoś za plecami Marka. – Zebraliśmy się tu, żeby ułatwić im zadanie. Jeden ładunek i wszyscy pójdziemy do piachu. Będzie remis.

– Powinniśmy się spodziewać uderzenia na naszym odcinku. Musimy poradzić sobie sami. Nie możemy liczyć na wsparcie...

Nagle, jakby na potwierdzenie słów pułkownika, doszło ich donośne dudnienie. Szklanka stojąca na biurku zadrżała.

– Nadepnęliśmy im na odcisk. – Walewski nie krył oburzenia. – Ja kapitana Majewskiego bym rozstrzelał, a nie dawał mu ordery!

– Milczeć! – Kolberg posiniał na twarzy. – Na stanowiska! Przygotować się!

W DRODZE DO WARSZAWY

- To wszystko, co się stało, przyjacielu... – Tadeusz Sieniawa wpatrywał się uważnie w siedzącego naprzeciw doktora Winnickiego – to wszystko objęte jest tajemnicą państwową. Oficjalnie rozbił się jeden z testowanych „Żubrów”.

Model paromobilu, którym jechali, pozwalał na w miarę swobodną konwersację. Winnicki doszedł do wniosku, że służbom państwowym i mundurowym powodzi się ostatnio wcale nieźle.

Odpowiedział dopiero po chwili, niby kontemplując widok za oknem wehikułu.

– To Piłsudski jeszcze nie odsunął generała Zagórskiego? Myślałem, że jego dni w sztabie są policzone – stwierdził uszczypliwie. – Licencja na „Goliaty”, te cholerne francuskie kolumbryny, zupełnie nie miała sensu. Ludomił Rayski dobija się o swoje. Lada dzień będzie nowym szefem departamentu. I dobrze, postawi na rodzimą produkcję i nasze projekty.

Choć nie wiem, gdzie je wykorzystamy... Teraz jednak rzucicie mu kłodę pod nogi.

- Jak zawsze świetnie poinformowany. – Nadkomisarz Sieniawa uśmiechnął się blade. Spojrzał uważnie na doktora i odezwał się po dłuższej chwili: – Rayski sobie poradzi. Ale bardziej mnie ciekawi, jak ty sobie radzisz, przyjacielu.

Popatrz, ile to czasu minęło. Unikasz mnie od śmierci Anny...

– Od śmierci Anny – potwierdził sucho Winnicki. Zacisnął palce na kapeluszu.

- Zmieniłeś się... nie odpowiadasz na depecze, na zaproszenia, dawno nie było cię u *madame* Kowalewskiej, profesor Kałucki wciąż pyta o ciebie. A zaledwie przedwczoraj ulotniłeś się z Belwederu jak kamfora, i to tuż przed moim przybyciem...

– Nie bawią mnie te sprawy, zresztą nigdy nie bawiły.

- Ale z przyjacielem mógłbyś się spotkać, choćby czasem, na lampkę koniaku. Jak za dawnych czasów.

- Jak za dawnych czasów – znów niczym echo powtórzył Winnicki. Odwrócił wzrok od Sieniawy. Nie mógł znieść jego spojrzenia.

– Brakuje mi naszych rozmów.

– Przecież rozmawiamy. – Doktor opanował mimowolne zaciskanie się krtani. Nawet rozluźnił się na tyle, by się uśmiechnąć.

– No. – Tadeusz jakby na to czekał, na choćby drobny sygnał, który pozwoliłby mu uznać, że w jednej chwili powróciła dawna zażyłość. – Takiego Winnickiego mi brakowało.

– To ty mnie tu wezwałeś? To był twój pomysł?

Sieniawa poruszył wąsem, przechylił się lekko. Uniósł do góry jeden z podłokietników, który jak się okazało, skrywał okazały barek. Wyciągnął karafkę i dwa kieliszki.

– Napijesz się? – zapytał. – Dla odprężenia?

Doktor pokręcił głową, powodując u swojego rozmówcy teatralne opadnięcie ramion.

– Wolę swoją. – Winnicki wyciągnął z wewnętrznej kieszonki płaszczka piersiówkę. Sieniawa tymczasem obsłużył się koniakiem.

– Absynt? Wciąż pijesz to świństwo? – skrzywił się nadinspektor.

Teraz Winnicki zademonstrował spore umiejętności aktorskie: jego ramiona powędrowały na kilka chwil w górę, a brwi uniosły się niemal do linii włosów.

– No nic. Mam nadzieję, że to nie jest twoje ciche wołanie o pomoc. – Sieniawa zaśmiał się chrapliwie. – Twoje zdrowie.

Doktor w odpowiedzi jedynie ledwie zauważalnie skinął głową.

– To, co się stało – zaczął Tadeusz z ciężkim westchnieniem – będzie spędzać mi sen z powiek. Andrzeju, nawet nie wiesz, jak nie na rękę nam dzisiejszy wypadek...

Winnicki przemilczał słowa nadkomisarza. Polityka zawsze ważniejsza była od ludzi, choćby na rzeź szły miliony.

- Transport międzykontynentalny to największe osiągnięcie ostatniego dziesięciolecia! Dzięki niemu jesteśmy w stanie odmienić losy wojny. Dobrze wiesz, że potrzebujemy takich sukcesów. Tylko one i pomoc naszych amerykańskich sprzymierzeńców mogą zapewnić nam zwycięstwo. – Sieniawa zawiesił głos, jakby chciał zachęcić doktora do podjęcia wątku, jednak gdy ten nie mrugnął okiem, ciągnął dalej: – Wojna trwa już szmat czasu, od 1919 roku nie mamy nawet chwili wytchnienia. Front zachodni stanął w miejscu. W naszych rękach Poznań, doszliśmy niemal do Breslau, Szczecin rzut beretem. Ruskich zepchnęliśmy pod Moskwę, na szczęście Piłsudski za Kreml się nie brał. Ale obudzili się Chińczycy i Japończycy. Pierwsi proponują nam sojusz, drudzy grożą wojną. Tokio radzi sobie coraz lepiej w walce na Pacyfiku ze Stanami. Kto wie, czy niedługo nie zaatakują Amerykanów na ich własnej ziemi.

– Stąd pomysł sojuszu z Waszyngtonem?

– Dziwisz się? Kto inny miałby nam pomóc? Czesi? Już piszczą pod butem Berlina. Zresztą oni potrafią się dostosować do każdej sytuacji. Cała niemiecka armia chodzi w butach ze Zlina. Przedsiębiorstwo Baty produkuje dziesięć tysięcy par butów dziennie! Żeby jeszcze to obuwie było kiepskiej jakości. Ale gdzie tam, załóż się, że Niemcy przemaszeraują w nich całą Europę... Bałtyk i Atlantyk straciliśmy całkowicie, nie przecisnąć się nawet mysz. Szwaby zatopiły cały ostatni transport... Rozzuchwaliły się na tyle, że grożą zajęciem Paryża. Włosi dołączyli do ich koalicji przeciw aliantom. A alianci?

Wciąż nie mogą wyjść ze zdumienia, że przeliczyli się w rachubach.

– Nie chcieli ginąć za Gdańsk, to mają za swoje.

– Niby tak, ale jeśli w najbliższych miesiącach nasi sprzymierzeńcy z Europy Zachodniej nie zmienią sposobu myślenia, wojna potrwa kolejne dziesięć, a stawiałbym, że nawet dwadzieścia lat. Jedyna szansa w rządzie Stanów Zjednoczonych.

My pomożemy im, a oni nam.

- Trzeba było w Rydze zawrzeć pokój w dwudziestym pierwszym, a nie zrywać rozejm!

– Mnie to mówisz? To była decyzja Piłsudskiego.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – Winnicki czuł coraz większe zniecierpliwienie. Pociągnął łyk z piersiówki.

Garbło sprzeciwiło się gwałtownie, rozpoznało kata ostatniej nocy. – Bo to ty wezwałeś mnie dzisiaj? Nie mylę się?

– Nie, nie mylisz się. Postawiłem na szalę swoją reputację. – Sieniawa, zajęty dolewaniem trunku do swojego kieliszka, nie dostrzegł nagłego wzburzenia Winnickiego. Doktorowi chwilę zajęło opanowanie emocji. – Bo w ciebie wierzę i wiem, że jesteś właściwą osobą, która będzie w stanie zająć się naszym delikatnym problemem...

– Zapewne powinienem być ci wdzięczny? – wychrypiał Andrzej.

- Te transporty. Loty pocisków zaczęły się zaledwie dwa dni temu. Przerzucamy kilkanaście najlepszych dywizji i masę sprzętu do Stanów – nadkomisarz uderzył w poważny ton. – Japończycy opanowali cały Północny Pacyfik, zajęli Hawaje, a desant na Kalifornię to nie kwestia miesięcy czy tygodni, ale dni. Waszyngton potrzebuje wsparcia. Na szczęście jest jedna dobra wiadomość. Amerykanie pracują nad potężną bronią, która odmieni losy wojny. By przetrwać, potrzebują jednak pomocy. W zamian za nasze zaangażowanie mamy gwarancję interwencji Stanów w Europie Wschodniej...

– Imy szabelką będziemy znów – Winnicki wyginał nadgarstek, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem – za wolność waszą i naszą? Zamierzacie o tym poinformować szanownych obywateli tego kraju? Chyba mają prawo widzieć, co zamierzacie? Front rozciągnięty jak baranie jaja, z minimalną obsadą, a wy wysyłacie wojsko do Stanów. Zostawicie Polskę bezbronną na... niech pomyślę, pół roku? Rok?

– Nie! – Tadeusz Sieniawa niemal wylał alkohol z kieliszka. Rozejrzał się, jakby bał się, że ktoś ich podsłuchuje. – Nie przerzucimy przecież całych sił! Może trzydzieści procent. I to w ramach działań szkoleniowych. Amerykanie poświęcili się całkowicie stworzeniu tej swojej cudownej broni. Udostępniają nam ją. My z kolei przekazemy im technologię, którą już dysponujemy. Wybudujemy u nich wszystkie te zabawki pancerne Piłsudskiego, których zazdrości nam świat. Przewiduję, że cała operacja zajmie nam

najwyżej trzy miesiące. W razie potrzeby wojska zostaną ściągnięte z powrotem. Nasz wywiad upewnił się, że Niemcy dokonali podobnego manewru na swojej zachodniej granicy. Szykują uderzenie na Paryż.

Przewiduję, że będą zajęci na tamtym froncie dużo dłużej. Jeśli zaatakują Francję, ruszy się i Anglia. A wtedy Brytyjczycy zajmą się Niemcami, a my z Amerykanami załatwimy sprawę Moskwy.

– Twoja naiwna wiara w aliantów mnie przeraża, ale to osobna kwestia. Ty naprawdę myślisz, że Niemców stać jeszcze na tak szalone plany? Po co im Francja? Po co Paryż i Londyn?

– Wolałbym się mylić, ale... ten ich Hitler budzi we mnie strach. Wyszedł z więzienia, zebrał wokół siebie najambitniejszych i najbezwzględniejszych popleczników, reaktywował działalność NSDAP. Myślisz, że wyniszczona wojną Niemcy nie pójdą za nim? Wielu z naszych polityków mogłoby się od niego uczyć. Te jego sztuczki, nagłe przejścia od opętańca do natchnionego wodza. Wie, jak ugrać tłum, pociągnie za sobą cały naród. Ruszy na nas masa fanatyków...

– Iwydaje ci się, że Amerykanie też dostrzegają obłęd Hitlera, a co więcej, że przejmą się czerwonymi sztandarami Moskwy maszerującymi na zachód?

– To już się dzieje, Andrzej. Amerykanie w tej chwili bardziej boją się jednak skośnoočních. Najpierw muszą zepchnąć ich z powrotem na wyspy, gdzie ich miejsce. Jeśli im pomożemy...

– Tak, już słyszałem, wtedy oni pomogą nam. Może jednak trzeba było wybrać Azjatów za sojuszników, skoro to takie diabły wcielone?

– Japończycy trzymają z Niemcami. Chińczycy, którzy kłują Moskali, są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami, ale dzieli nas od nich kawał świata i mentalność. Na korzyść jankesów przemawia ta ich nowa broń, która może zmienić losy świata i uczynić ich i nas globalnymi strażnikami pokoju. – Sieniawa westchnął ciężko. – Myślisz, że nie mamy racji, że pomyliliśmy się w rachubach?

– Być może. – Winnicki przesunął dłonią po rondzie kapelusza. – Jesteście aż tak pewni Hoovera? Skąd pewność, że dotrzyma słowa? Pokona przy naszej pomocy Japońców i zapomni o Europie. Ma kraj wyniszczony wojną, jeśli utrzyma się na stołku i Kongres wyrazi zgodę...

– To mnie przekonuje, że podjąłem właściwą decyzję, Andrzej. – Tadeusz przerwał doktorowi i uśmiechnął się tajemniczo. – Herbert Hoover w przyszłym tygodniu pojawi się w naszym sejmie i uroczystie w imieniu swoim i Kongresu złoży obietnicę narodowi polskiemu, wszystkim jego obywatelom!

Winnicki zaniemówił. Po chwili skinął głową z uznaniem.

– To dlatego mnie wezwałeś? Rozumiem już, dlaczego wypadek był wam nie na rękę. Nadszarpnął zaufanie dla transportów międzykontynentalnych... Amerykanie mogą się wystraszyć, jeśli się dowiedzą, że wasza chluba jest zawodna. Nie wyślą prezydenta, plan pójdzie w diabły. A co więcej... – Andrzej pokręcił głową z niedowierzaniem. – Co więcej, podejrzewam, że pociski międzykontynentalne są ważne nie tylko ze względu na przyłot Hoovera. Czyżby odgrywały znaczącą rolę jako karta przetargowa w negocjacjach dotyczących tej cudownej amerykańskiej broni, o której wspominałeś? Ta technologia jest niezbędna jankesom, by w pełni wykorzystać potencjał swojego wynalazku! Nie mylę się?

Sieniawa głośno westchnął.

– Tak, masz rację. Ale czy to źle, że wreszcie rozmawiamy z kimś jak równy z równym, a nie jak ubogi krewny, którego można wystawić za drzwi pod byle pretekstem? – Nadkomisarz po pierwszych pełnych pasji słowach dodał już spokojniej: – My naprawdę chcemy końca tej wojny. Żyliśmy bez państwa zbyt długo. A gdy je odzyskaliśmy, zaraz zostaliśmy wciągnięci w kolejne wojny: najpierw z Moskwą, potem z Berlinem... Staliśmy się potęgą, przyjacielu. Potęgą, z którą muszą się liczyć wszyscy. Jednak wojna permanentna, wojna na wyniszczenie, nic nam nie da. Stajemy przed szansą zakończenia jej w ciągu nie kilku lat, a kilkunastu miesięcy!

– Jaką rolę mi przeznaczyłeś?

– Chciałbym cię prosić, żebyś odwiedził profesora Waldorfięgo. To on zajmuje się projektem dotyczącym pocisków transportowych. Dowiesz się od niego więcej niż ja i moi ludzie razem wzięci. Wy, naukowcy, nadajecie na tych samych falach...

Winnicki zaśmiał się lekceważąco.

– Jeden wypadek i zupełna panika w szeregach? Podkulasz ogon? To do ciebie niepodobne. Chyba że... –

Uśmiech z twarzy Winnickiego znikł w ułamku sekundy. – Ile transportów już straciliście?

- Tylko ten jeden. – Tadeusz Sieniawa nieznacznie zacisnął szczęki. – Poza tym... wysyłam cię do Waldorfięgo nieoficjalnie. Macie wiele wspólnego. A wiem, że on interesuje się tą twoją maszyną impulsową... jej możliwościami.

Będziecie więc mieli kilka wspólnych tematów.

– Uprzejmie odmówię. – Winnicki coraz niecierpliwiej wyglądał przez okno. Na szczęście dostrzegł już zabudowania Warszawy.

- Andrzeju?

Doktor marzył tylko o tym, by wejść do swojego domu, zatopić się w fotelu i otworzyć kolejną butelkę absyntu.

Nadkomisarz wciąż jednak nie dawał mu spokoju.

– Niepokoi mnie coś jeszcze. Chciałbym, żebyś przyjrzał się tej sprawie. Wyciągnął własne wnioski. – Sieniawa nie dawał za wygraną.

– Podjąłem już decyzję. – Doktor zmrugał oczy. Alkohol płynący we krwi zamieniał się w roztopioną magmę.

Winnickiemu robiło się duszno, a nie chciał prosić Sieniawy o otwarcie okna. Za nic na świecie nie okazałby przy nim słabości.

– W najbliższych dniach zostanie przerzucony do Stanów pułk Staszka.

Winnicki zacisnął pięści. Z trudem łapał oddech. Utkwił w Sieniawie szkliste spojrzenie, ten jednak nawet się nie zaczerwienił.

– Co chcesz mi zaproponować? Przeniesienie syna do rezerwy? Przecież wiesz, że znienawidziłby mnie jeszcze bardziej niż... niż Marek.

– Nie to miałem na myśli. – Sieniawa zmitygował się, odpowiedział jednak twardo.

Paromobil się zatrzymał. Winnicki porwał swoją torbę i szarpnął drzwiczki. Wyskoczył na chodnik bez słowa pożegnania.

– Porozmawiaj z Waldorfim – usłyszał za sobą okrzyk nadkomisarza. Wyczuwalne w nim było zakłopotanie. – Zrób to dla mnie... przynajmniej przez wzgląd na dawne czasy.

Doktor zatrzymał się, zamarł. Przez chwilę walczył ze sobą, by nie powiedzieć czegoś, czego potem by żałował, i w końcu ruszył ku domowi. Dopiero gdy lokaj otworzył mu drzwi, usłyszał furkot odjeżdżającego paromobilu. Nawet się nie odwrócił.

Stary Olaf w milczeniu przejął płaszcz doktora Winnickiego i jego kapelusz. Marta czekała w przedpokoju. Doktor ceniał

oboje za to, że bezbłędnie potrafili wyczuć jego nastroj. Nie zagadywali, czekali, aż Winnicki sam zdecyduje się zacząć rozmowę lub po prostu o coś poprosi.

Tak było i tym razem.

– Herbatę, Marto. Do gabinetu... – Doktor ruszył do pokoju. Wyminął rzędy starych obrazów, na które przestał patrzeć wieki temu, i otworzył drzwi do swojego królestwa. W kominku, o co zadbał Olaf, płonęły już szczapy. Mimo to Winnicki uchylił okno.

Był roztrzęsiony, nie potrafił opanować tej drżączki, która ogarnęła jego ciało. Chwilami miał wrażenie, że wyskoczy ze skóry. Zaczął swój marsz wokół dywanu, wokół biurka i fotela. Miał wrażenie, że w ten sposób się uspokoi. Serce uderzało zbyt szybko. Gdyby teraz usiadł, zatrzymał się, mogłoby wyskoczyć z piersi. A tak przynajmniej rytm marszu wyrówna tętno.

Marta pojawiła się w zasięgu wzroku, potem zniknęła. Winnicki dopiero po dłuższej chwili podszedł do biurka i uniósł do ust filiżankę, sporo płynu rozlewając na spodek. Pociągnął drugi łyk. Marta dołała solidną porcję rumu, na pewno był to pomysł Olafa. Doktor uśmiechnął się. Ręce przestały wykonywać stary, znajomy taniec. Odłożył filiżankę i jego dłoń bezwiednie powędrowała do przewróconej ramki ze zdjęciem. Przez chwilę patrzył na kobietę z fotografii, a potem odłożył pamiętkę tak, jak leżała wcześniej.

Jeszcze jeden oddech i wszystko będzie dobrze, przekonywał sam siebie. Mimo szczerych chęci Olafa potrzebował jednak czegoś mocniejszego. Podszedł do półki z książkami i zza tomów *Ilustrowanej encyklopedii* wydanej nakładem Księgarni i Domu Wydawniczego Trzaski, Everta i Michalskiego wyciągnął butelkę szmaragdowego płynu.

– Witaj, przyjaciółko – powiedział w przestrzeń.

Ruszył do fotela, ale się rozmyślił. Kroki zaprowadziły go do przylegającego pokoju. Jeden chciwy łyk, potem drugi.

Winnicki zbliżył się do długiego stołu, chwycił prześcieradła zasłaniające klatki i zrzucił je na ziemię.

Szczury już wcześniej wyczuły jego obecność. Były głodne. Doktor odstawił butelkę i sięgnął po pokarm. Wrzucił ser do jednej z klatek. Gryzonie ufnie pochwytyły smakowite kawałki.

Wrócił po torbę. Położył ją na stole i wyjął elektromaszynę i postawił obok. Po chwili pomieszczenie wypełniło znajome buczenie.

Rano, na miejscu katastrofy, Winnicki z premedytacją odłączył głośniki podczas emisji. Nie chciał, by Żygadło i obecni we wraku aspiranci dosłuchali nagrania z karty do końca. Nie potrzebował zbędnych pytań. Teraz postanowił odtworzyć zapis od miejsca, w którym przerwał.

Maszyna wydała przenikliwy sygnał, a diody na panelu kontrolnym zgłosiły gotowość.

– ...czepy... zaczepty...

Tutaj w nagraniu pojawiła się dłuższa chwila ciszy. Winnicki czekał jednak cierpliwie na ciąg dalszy.

– ...co to...? – Iznów cisza. Winnicki zamknął oczy. Od razu powrócił do niego obraz twarzy martwego żołnierza.

Chłopak był tak podobny do jego syna. Doktor na tę myśl zadrżał. – Boże... to światło... światło! To...

Lampki zgasły.

Andrzej otarł dłonią spocone czoło. Stał w bezruchu jeszcze przez kilka minut, wreszcie popatrzył na klatki.

– Na którego kolej? – zapytał. Jego głos brzmiał obco, jak bezduszny przekaz maszyny. Odkasznął, próbując pozbyć się nieprzyjemnego ucisku w krtani. – Albert, może ty? Jesteś gotowy?

Podszedł do klatki, wrzucił kolejny kawałek pokarmu do oddzielnego korytarzyka. Zgodnie z przewidywaniami Albert ruszył w stronę przejścia pierwszy. Winnicki odgrodził go od reszty. Ten samiec nie był lubiany przez pozostałych lokatorów, miał jednak wśród nich niekwestionowany posłuch. Gdy wchodził do głównego pomieszczenia klatki, pozostałe chowały się w korytarzykach. Gdyby chodziło tylko o hormony, Winnicki pewnie by go wykastrował, ale ten szczur był agresywny wobec swoich pobratymców od trzeciego tygodnia życia. Doktora jednak nigdy nie zaatakował.

Teraz, gdy zniknął, pozostałe szczury, najwyraźniej zazdrosne, rozsiadły się na półeczkach i wcisnęły nosy między pręty.

Winnicki nazywał to zachowanie „sępieniem na więźnia”.

– Poczekaj.

Uniósł pokrywę maszyny i wyciągnął kartę z zapisem. Po chwili wyjął z przegródki torby nową i włożył na miejsce poprzedniej. Dopiero wtedy sięgnął po ampułkę i strzykawkę, które trzymał na półce ponad biurkiem.

Przesunął tłok, wciągając płyn do wnętrza cylindra.

– Małe ukłucie. – Nachylił się nad Albertem i wbił igłę tuż nad karkiem. Szczur nie poruszył się, tylko cicho pisnął.

Doktor wcisnął tłok.

Popatrzył na Alberta, który położył pysk na blacie. Kraty tunelu unieruchomiły go, więc nie miał szansy się odwrócić.

Winnicki sięgnął do torby i wyciągnął miniaturowe elektrody. Przyczepił je do głowy gryzonia, a kable podpiął pod aparaturę.

Przez chwilę nic się nie działo. Ciałem Alberta wstrząsnął dreszcz. Doktor pociągnął kolejny łyk palącego płynu z butelki.

Obraz rozmył się, ale sekundę później ostrość wróciła.

– Na każdego przychodzi czas...

Winnicki chwycił gałki elektromaszyny. Dostroił urządzenie. Strach, strach jest wyznacznikiem. Najsilniejszy impuls z elektrod zawsze związany był z tym uczuciem. Dzięki niemu można było skalibrować urządzenie.

U każdego człowieka czy zwierzęcia praca mózgu wygląda inaczej i ta sama częstotliwość fal może oznaczać zupełnie coś innego, urządzenie trzeba więc najpierw nauczyć języka mózgu. W przypadku istoty rozumnej wystarczy powtarzanie w myślach określonej komendy, na przykład „wstań”, a następnie zapisywanie wyników fal mózgowych. Potem następuje znużająca praca polegająca na porównywaniu zapisów.

U zwierzęcia kalibracja jest trudniejsza. Podstawowe fale mózgowie mogą zostać zbadane przy wykonywaniu przez zwierzę podstawowych czynności. Jednak pozostałe impulsy...

Maszyna zahuczała. Albert był już w stanie śmierci klinicznej.

- On... on...

Winnicki odszedł od stołu. Chwiejnym krokiem ruszył do fotela. Usiadł w nim i zachłannie pociągnął palący płyn.

Zakrztusił się. Przełknął ślinę, oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

- Jedzenie... jedzenie... – zadudniło kolejne mechaniczne słowo.

Chwila dłuższej ciszy. Buczenie maszyny.

Winnicki pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Czekał.

– Światło... światło...

1932 FRONT ZACHODNI

Blizna popatrzył na swoich ludzi. W większości byli to młodzi chłopcy. Poniosły ich tutaj *Mazurek Dąbrowskiego*, opowieści o wojnie polsko - bolszewickiej. Cudzie nad Wisłą i patriotyzm. Dziwne było to pokolenie, romantyczne, a może głupie. Sam się do niego zaliczał. Niepodległość, o którą walczyli jego dziadkowie i ojciec, wydawałoby się, została odzyskana. Ale Polska wciąż krwawiła, wciąż walczyła o to, by znów nie zniknąć z map Europy.

Serce wrywało się do przodu, byle dalej odpędzić Moskali i Niemców. Mogłoby się wydawać, że z czasem zapał zniknie, że w tych okopach romantyzm spłowieje jak płótno na słońcu. Ale wystarczył powrót do Warszawy, spacer po Nowym Świecie w galowym mundurze, i spojrzenia dziewczyn, by zapał wrócił, by znów chciało się wskoczyć w śmierdzące stęchlizną okopy.

Drut kolczasty, zasieki, pasy ziemi niczyjej. Już kolejny rok każda ze stron trzymała wrogów w szachu. Od wschodu Moskale, od Zachodu i południa Niemcy. Ci ostatni, omijając Paryż, przebili się też przez Belgię i Holandię na przedpola Normandii. Tam wojna była jeszcze dziwniejsza. Brytyjczycy i Niemcy przerculali się przez morze inwektywami, jednak nikt nie ruszył się ze swoich pozycji. Na szczęście i Moskale utknęli po drugiej stronie globu. Niejeden miał nadzieję, że zjedzą zęby na Chińczykach.

Ziemia zadrżała. Niemcy walili, czym popadło. Ogniem artyleryjskim przykryli od razu cztery linie. Nikt nie mógł się ruszyć.

– Uwaga, gazują! Zadymili wszystko!

Blizna zrozumiał, że zapowiadany w sztabie odwet rzeczywiście doszedł do skutku, co gorsza, skoro Szwaby nie cofnęły się przed użyciem gazu, nie można było liczyć na pobłażanie. Znowu przyjdzie im walczyć. Nie wiedział tylko, czy Niemcy ruszą na całym froncie, czy skoncentrują się na tym jednym punkcie. Jeśli miała być to zemsta za akcję Majewskiego, szturm mógł potrwać dzień i ustać, lecz mógł też zapoczątkować reakcję łańcuchową, a pożoga w końcu ogarnęłaby całą linię frontu.

- Zakładać słonie!

Nie tylko na jego odcinku nazywano tak maski gazowe RSC. Dostali je w ostatnim transporcie z Wojskowej Wytwórni Sprzętu Przeciwigazowego z Radomia. Przyznano im nową, zmodernizowaną wersję. Długa rura i spory pochłaniacz rzeczywiście mogły nasuwać skojarzenia z królem afrykańskiej sawanny.

– Przygotować się, sprawdzić broń!

Porucznik podwinął rękaw płaszczka. Zdążył uzupełnić magazynki. W prawej dłoni ścisnął visa. Uważał, że to dobra nazwa dla tej niepozornej broni, była w tym pistolecie jakaś ukryta siła. Reszta chłopaków oprócz pistoletów miała własny improwizowany rynsztunek. Blizna na to zezwalał, często standardowe wyposażenie nie nadawało się do walki w okopach – lepsze był drewniane pałki, noże i kastety. Taki Sylwester Biegus operował metalową maczugą sprawniej niż niejeden niemiaszek bagnetem.

- A nasi co?

- Siedź cicho, Lichecki. Nasi zaraz przywalą.

Blizna też się zastanawiał, dlaczego z ich strony nie ma żadnej odpowiedzi. Może dowództwo liczyło na to, że furia Niemców ucichnie i wszystko rozejdzie się po kościach? Marek czuł jednak, że to dopiero początek.

- Zbliżają się!

Do bunkra wbiegł Wardęga. Cały ubłocony, musiał przedzierać się z obserwatorium na oślep.

– Na pozycje!

Chłopakom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Polecenia wykonywali w karnym porządku, jakby to wszystko były ćwiczenia. Dobrze, znaczy nie stracili zimnej krwi.

– Nasi biją, panie poruczniku!

Rzeczywiście, teraz dopiero Polacy przywalili ze starachowickich sto piętek. Chwilę później dołączyły siedemdziesiątki piątki. Waliły jednak daleko – jeśli Niemcy w tym dymie podeszli bliżej, nie miały szans na zrobienie im krzywdy.

– Idą!

Szturm w takich warunkach zawsze mógł zaskoczyć nieprzyjaciela. Blizna poczuł, że od zachodu powiał wiatr. Nagle pole przed nim stało się widoczne. Widok, który ukazał się jego oczom, mógł zmrozić krew w żyłach. Zaczęła się jatka.

Niemcy przeszli w szyk rozproszony, uderzając z impetem na pierwsze umocnienia. Wydawało się, że zatrzymają ich zasieki z drutu kolczastego, ale ciężkie ciągniki, których użyli, torowały przejście. Bagiński na szczęście sprawnie zarządził koncentrację ognia karabinów maszynowych na wyznaczonych punktach, jednak atak niemiecki nie uległ załamaniu.

Marek dostrzegł, że szpica dostała wsparcie dwóch kolejnych batalionów. Jeśli miał to być odwet zorganizowany na szybko, to jego zdaniem Niemcy byli do niego zbyt dobrze przygotowani.

Napięcie wzmagало się z każdą chwilą. Szwaby zatrzymały się na kolejnych zasiekach. Ciągniki utknęły w wykopach, ale teraz służyły za osłony. Nieprzyjaciele zajęli kilka wałów, przytaszczyli za sobą karabiny maszynowe i rozpoczęli walkę o przewagę w ogniu.

Kule zaczęły siec jak oszalałe. Lewe skrzydło Niemców znów ruszyło, nacierając na pierwszą linię okopów, ale tutaj Winnicki sam doglądał ubezpieczenia. Kilka gniazd karabinów mogło powstrzymać przeciwnika przez dłuższy czas.

Marek bał się czegoś innego. Podejrzał już, że Niemcy do ataku przygotowywali się od dawna. Mogli więc odsypać stary rów łączący posty i w ten sposób zaskoczyć jego ludzi. Wydał rozkaz, by pluton ubezpieczał teren na pasie ziemi niczyjej.

Niemcy ponownie ruszyli do przodu, zasileni posiłkami. Teraz rzucili się na umocnienia całymi kolumnami. Marek rozkazał Bagińskiemu przerzucić karabiny maszynowe z tylnych linii. Miał nadzieję, że silny ogniowy kontratak ostudzi Szwabów. Jednocześnie wysłał do dowództwa meldunek z prośbą o wsparcie. Nie przyjmował do wiadomości oświadczenia Kolberga, że zostaną pozostawieni samym sobie.

Rozdzierający huk artylerii znów rozdarł powietrze. Niemcy przywalili z wszystkiego, co mieli. Na szczęście 1

nieszczęście dla Marka i jego ludzi walili daleko za plecy - jednak tym samym całkowicie odcinali ich od uzupełnień.

Po nieudanych próbach przełamania frontu wróg postanowił go oskrzydlić. Blizna wykazał się niebywałą intuicją, wysyłając pluton do ubezpieczenia postu. Dostał meldunek, że okopują się na miejscu. Dotychczasowy bilans w postaci kilkunastu rannych i zabitych świadczył o ciężkiej przeprawie pod ogniem nieprzyjaciela.

Marek się miotał. Próbował przewidzieć kolejny ruch przeciwnika, a jednocześnie nie zapomnieć o swoich ludziach, których w coraz większej liczbie sanitariusze ścigali z pierwszej linii. Przeciwnik też poniósł straty, nieporównanie znaczniejsze, ale wyglądało na to, że Polacy zaledwie kłają rozwścieczoną bestię, która z każdą odniesioną raną ma więcej siły do walki.

– Szwaby coś szykują! – szeregowy Biegus przekrzykiwał diabelski hałas, wskazując dłonią przed siebie.

Porucznik spojrział przez lornetę. Zauważył dym na przedpolu, ale nie był pewny jego źródła. Stawało się jednak jasne, że przeciwnik istotnie przygotował coś paskudnego.

Ciągniki, które służyły za osłonę, nagle się rozsunały, robiąc miejsce ogromnym, naszpikowanym lufami machinom.

Poruszały się z łoskotem na gąsienicach. Były długie, niemal dziesięciometrowe, przystosowane do pokonywania wałów i rowów. Z takim przeciwnikiem Polacy jeszcze nie mieli do czynienia.

Marek zaklął w duchu. Na polu walki pojawiały się coraz to nowe wynalazki, jedne gorsze od drugich. Żałował, że nie mogli liczyć nawet na ostrzał z rozpoznania lotniczego. Musieli znaleźć inny sposób na unieszkodliwienie tego cholerstwa.

– Granaty powiązać! W worki pchać i otoczyć smołą! Potem wrzucać na pancerz, jak to nic nie da,

zakładać w gąsienice!

Chłopcy szybko pojęli, o co chodzi. Niemcy nazywali takie wiązki „geballte ladung”. Do jednego granatu przywiązywali sześć głowic. Blizna już wcześniej stosował ten patent, nie wiedział jednak, czy zadziała na te nowe monstra. I tak nie mieli wyboru.

Niemieckie giganty plunęły ogniem.

Pierwsza kanonada poszła wysoko ponad okopami, zatrzęsała jednak wałami, wzbijając w powietrze bryzgi ziemi.

I wtedy, jakby tego było mało, maszyny wysunęły z bocznych pancerzy długie, lśniące prowadnice.

Wyglądały na potężne wiosła, przez co parowe potwory stały się podobne starożytnym galerom. Blizna szybko zrozumiał, że to kolejne zabezpieczenia obsługi tanków. Wyglądały niczym szable siekące powietrze w poszukiwaniu głów i korpusów przeciwników.

Z gardeł atakujących wydobył się zwierzęcy ryk tryumfu. Marek wiedział, że w Szwabów wstąpił nowy duch walki.

Zaślepieni adrenaliną, nie cofną się przed niczym. Nie było na co czekać, rosnące z każdą chwilą niebezpieczeństwo mogło osłabić ludzi. A kolejne salwy nie tylko były w stanie całkowicie zniszczyć morale oddziałów, ale i wymieść pół obsady postów.

– Pluton, wyskoczyć! Marsz, marsz!

Pierwsza fala ruszyła naprzeciw Niemcom. W powietrzu rozległy się gwizdki sygnałowe. Szwaby włąły się na wzgórze.

Zapanował tumult jeszcze większy niż do tej pory, w ruch poszły bagnety, noże, granaty. Biegus wywijął żelazną sztabą, zrzucając hełmy z niemieckich głów.

Blizna ruszył z ludźmi. Ci z granatami biegli z tyłu, ubezpieczani po bokach. Wystrzał za wystrzałem. Marek uniósł metalową rękę i oddawał salwy w zbliżające się cienie. W drugiej dłoni trzymał visa, którym strzelał w białe plamy twarzy.

Pędzący obok niego towarzysze z impetem zwarli się w uścisku z przeciwnikiem. Kule świstały wokół głów, rozbryzgiwały piach i ziemię.

Szeregowy Raczek padł skoszony z nóg. Dwaj inni złapali się za brzuchy, rozerwane seria pocisków, i kuląc się, opadli na wilgotną ziemię. Marek wyrwał jedną z wiązek z dłoni umierającego.

Rzucił się w stronę bestii taranujących jego ludzi, wgniatających ich gąsienicami w błoto.

– Za mną! – krzyknął, nie przerywając ostrzału.

Biegus zwarł się z dwoma Niemcami, obalając ich na ziemię. Sam oberwał saperką, którą jeden z napastników przysposobił do walki, nabijając na nią dodatkowo długie ćwieki.

Blizna przyspieszył, nisko pochylając głowę. Ludzie chronili go, jak mogli. Wiedział, że musi umieścić ładunek precyzyjnie, że jeśli wrzuci go pod bestię, skutek wybuchu może być różny. Niemcy ostatnio wzmacniali brzuchy maszyn, skuteczniejsze okazywało się unieszkodliwienie gąsienic.

Kolejny trup na jego drodze. Stalowy gigant wyrzucał parę, smolił i kopcził, prując do przodu coraz szybciej, coraz sprawniej. Marek odskoczył w bok, unikając rozjechania, a potem cudem uchylił się przed świszczącym w powietrzu brzeszczotem. Upadając, odbezpieczył granaty i przykleił worek do koła gąsienicy.

– Wybuch! – wrzasnął i dał nura za najbliższy wał.

Eksplozja targnęła powietrzem. Fontanna kamieni i piachu opadła na Bliznę i ludzi malowniczym gejzerem. Diabelska machina zatańczyła w kółko, a potem znieruchomiła. Nie przestawała jednak szyc z wieżyczek do polskich umocnień, wciąż robiąc sporo szkód.

Porucznik, zaślepiiony furją, skoczył na potwora, wspinał się po pancerzu kilka metrów w górę. Nie był w stanie dostrzec włazu, jego akcję zauważyli za to Niemcy, którzy teraz obrali go sobie za cel. Marek zacisnął palce metalowej dłoni, a potem uderzył z całej siły w uszkodzoną, boczną ściankę wieżyczki.

Jego bark przeszył ból. Nie zważając na to, uderzył po raz kolejny. Pięść w końcu przeszła na wylot. Staruszek miał rację, mówiąc, że nowe ramię przysłuży mu się nie raz. Blizna złapał grubą warstwę blachy i pociągnął do siebie.

Ktoś z wnętrza maszyny wypalił do niego z broni ręcznej. Kula odbiła się od stalowego ramienia. Marek

pociągnął pancerz jeszcze mocniej, a potem ze zwierzęcym rykiem wskoczył do wieżyczki.

Uderzał precyzyjnie. Wystrzelił zaledwie raz, ale w końcu cała obsługa stalowego monstrum została zlikwidowana.

– Poruczniku, jest pan tam?!

Blizna spojrział do góry, mrużąc oczy przed ostrym światłem.

– Schodź tu, Biegus. Przywał ze wszystkiego, co ma ta machina, ale we właściwą stronę.

- Tak jest!

Biegus wskoczył do wnętrza wieżyczki. Głowę miał zakrwawioną, jednak pospiesznie przetał czoło, żeby nie zalewała mu oczu, i przejął działą. Chwilę później Blizna przy okienku strzelniczym miał też kaprała Antoniego Morawca.

– Dajcie im popalić, chłopcy!

- Tak jest!

Marek wyczołgał się na pancerz i jednym spojrzeniem ogarnął pole bitwy. Widział, że jego ludzie unieszkodliwili pięć z sześciu niemieckich bestii. Natarcie załamało się. Niemcy w popłochu zarządzili odwrót na swoje pozycje.

Wiatr znów owiał okoliczne wzgórza. Na jednym z nich Blizna dostrzegł ogromny cień. Poczł, jak drętwieje mu skóra na głowie i karku. Miał nadzieję, że uległ przywidzeniu.

Zwalista postać podobna była kamiennemu olbrzymowi, z potężnymi odnóżami i masywną głową. Poruszyła się jednak, jakby zaskoczona, że dym się rozstąpił, odsłaniając ją w pełnej okazałości. Metalowe cielsko zabłysło w słońcu, a potem zawróciło. Dym znów zasłonił wzgórze, pozostawiając Marka z bolesnymi wspomnieniami.

Plac boju przesiąkły opary krwi, słodkawe i wstrętne. Tak pachniało pyrrusowe zwycięstwo. Nagle porucznik zdał sobie sprawę, że dziś jedenastego listopada. I pomyślał, że powinni byli uczcić ten dzień zupełnie inaczej.

1919 WSPOMNIENIA

Spotkałem się z inżynierem Ossowieckim w warszawskim kinie Sfinks. Zostaliśmy na sali sami, a obsługę udoskonalonego biopleografu Prószyńskiego zajmował się jeden z zaufanych ludzi inżyniera. Ossowiecki doskonale potrafił wprowadzać nastrój tajemnicy i konspiracji. W rzeczy samej czułem się bardziej jak przed seansem spirytystycznym, a nie filmowym.

Po chwili znaczącej ciszy pan Stefan odezwał się do mnie poważnym tonem, mniej więcej tymi słowami: – Naczelniku, chcemy podzielić się wynikami jednego z eksperymentów, który przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania...

- Jeśli oczekuje pan, inżynierze, zachęty, to proszę bardzo, już wystarczająco rozbudził pan moją ciekawość. Mam spodziewać się duchów i upiórów wyskakujących zza płótna?

Ossowiecki nawet się nie uśmiechnął. Wtedy dopiero zauważyłem jego bladość.

– Winny jestem Naczelnikowi pierwszej wprowadzenie...

– Śmiało!

– W eksperymencie wzięła udział znana Naczelnikowi Agni Pilchowa...

– Kobieta obdarzona największym talentem jasnowidzenia.

Inżynier na potwierdzenie tych słów skinął głową.

- Zaprosiliśmy do współpracy także Annę Koblińską. Młodą, uzdolnioną artystycznie dziewczynę. Przeprowadzam z nią seanse hipnotyczne.

– Na czym polegał eksperyment?

- Agni Pilchowa pojawiła się u mnie kilka dni temu. Wyglądała bardzo źle, a jej aura... Wydawało mi się, że jej dusza uległa całkowitemu rozchwianiu, jakby kobieta miała stracić zmysły. Po krótkim wywiadzie doszedłem do wniosku, że przyczyną tego są ostatnie wizje, które dręczą ją nieustannie. Straszne wizje, których nie potrafiła opisać słowami, ponieważ jej prosty umysł nie jest w stanie ich pojąć, zdefiniować i zrozumieć. Starłem się jej pomóc ze wszystkich sił, uwolnić ją od tego brzemienia czy choćby sprawić, żeby owe wizje stały się znośniejsze. Z każdym dniem jednak Agni słabła, jakby wezbrana fala natrętnych obrazów napotkała tamę. Zdałem sobie sprawę, że bariery mentalne, które sama sobie narzuciła, doprowadzą ją na skraj przepaści, popchną w szpony szaleństwa lub też zakończą się jej śmiercią, jeśli jej nie pomogę. Musiała te wizje z siebie wyrzucić...

– Udało się wam?

– Wpadłem na pomysł, by użyć talentu Anny Koblińskiej. Wprowadziłem obie w stan hipnozy i dokonałem... jakby to ująć, duchowego zespolenia obu kobiet. Wizje Agni Pilchowej zostały przelane na płótno... Trwało to niemal trzy dni.

- Jak obie to zniosły?

- Agni odzyskała równowagę. Anna natomiast... jest pod opieką lekarzy. Wierzę, że będziemy w stanie jej pomóc.

Skinąłem głową, odczuwając narastający niepokój.

– Chcę pokazać wszystkie prace... Są one... Czy Naczelnik chce je zobaczyć?

– Po to chyba tu przyszedliśmy!

Inżynier dał sygnał mężczyźnie obsługującemu projektor. Widziałem, że drży na całym ciele, nie potrafiąc nad sobą zapanować. W końcu opadł bezsilnie na fotel, a gdy światła zostały całkowicie przyciemnione, skupiłem wzrok na wyświetlanej projekcji.

W pierwszej chwili nie rozumiałem tego, co ukazało się na ekranie. Wydawało mi się, że widzę jakieś historyczne fotografie. Zmyliło mnie to, że spostrzegłem na nich samego siebie.

Dopiero po chwili rozumiałem, że nie rozpoznaję większości miejsc i sytuacji przedstawionych

w obrazach. Na chwilę straciłem oddech, walcząc z przyspieszonym biciem serca.

Zobaczyłem krwawe walki z rosyjską armią toczoną pod Warszawą, bitwy na wschodzie z udziałem naszych żołnierzy, potem samego siebie na moście Poniatowskiego. Towarzyszył mi tam Stanisław Wojciechowski, a sama scena miała w sobie coś tragicznego... Potem pojawiły się kolejne obrazy. Flagi z połamanymi krzyżami na ulicach Warszawy... Stolica w ogniu, młodzi ludzie walczący na jej gruzach. Obozy, w których dokonywano masowej zagłady, wychudzone ciała za drutami kolczastymi... A potem czerwony sztandar na Bramie Brandenburskiej i wielki grzyb ognia wyrastający z ruin nieznanego mi miasta.

Na samym końcu, jako dopełnienie tych przerażających obrazów, pojawiła się postać Agni Pilchowej – i jej egzekucja.

Po tym wstrząsającym seansie z Ossowieckim powierzyłem mu ważną misję. Poprosiłem, by zgromadził kilkoro z najbardziej obiecujących mediów potrafiących przewidywać przyszłość. Podczas eksperymentów nowo powołana grupa miała skupić się na wybranych zagadnieniach dotyczących naszego kraju. Zastrzegłem jednak, że interesuję mnie jedynie konkretne informacje dotyczące nadchodzących wydarzeń. Nie chciałem słyszeć niejasnych, dwuznacznych wróżb o naturze ogólnej, które często stoją w lichych horoskopach.

Co ciekawe, żadne z mediów, w przeciwieństwie do Pilchowej, nie było w stanie wybiec w przewidywaniu przeszłości o kilka najbliższych lat. A i Pilchowa po eksperymencie przeprowadzonym przez Ossowieckiego nie była już w stanie zajrzeć w odległą przyszłość. Większość mediów przewidywała wojnę z bolszewikami, a po niej kilkunastoletni pokój, który miał zwiastować lepsze czasy dla naszej ojczyzny. Dalsza przyszłość stała się dla nich niewiadomą.

Ossowiecki starał się odnaleźć przyczynę problemów. Zasugerował, że osłabienie jasnowidzów może być spowodowane działaniem naszych wrogów. Upierał się, że Niemcy i Rosjanie także eksperymentują z takimi grupami, a działania każdej z nich doprowadzają do zmian w przyszłości, która staje się przez to niedostępna dla naszych specjalistów. Inżynier nie zdawał sobie sprawy, że problemy jasnowidzów pojawiły się tak naprawdę z mojej winy. Przecież już wtedy prowadziłem własne działania, mające na celu zmianę przyszłości Polski. Grupa Ossowieckiego została utworzona jedynie dla potwierdzenia informacji z moich seansów, a gdy przestała być potrzebna, nakazałem jej rozwiązanie.

Skupiłem się na własnych eksperymentach w Belwederze i wykorzystywałem informacje, które przekazywane mi były podczas kontaktów ze zjawą.

1932
WARSZAWA,
DOM DOKTORA WINNICKIEGO

Obudziły go dreszcze. Zimno wychodzące gdzieś z trzewi. Miał wrażenie, że trzeszczą mu kości, dźwięk ten przypominał zderzanie lodowych tafli. Huczał w głowie, w uszach. Do tego dochodził grzmot krwi przelewającej się w arteriach.

Serce się zacisnęło, doktor Winnicki z trudem uniósł się na łokciach. Mięsień jakby się zawahał i niechętnie podjął pracę. Tym razem nierówno, z wysiłkiem przygotowującym o zawrót głowy i mdłości.

Rozbłysk białego światła. Bolesna plama jasności znów odrzuciła doktora na poduszki. Usłyszał szarpnięcie kotar i skrzypnięcie okiennic. Zimny podmuch przeszył mu drobnymi szpileczkami dłonie i twarz.

Olaf. Jego sylwetka odznaczyła się na tle nieba ciemną plamą.

Winnicki zamknął oczy. Dotknął skroni. Ból świdrował czaszkę. W umyśle pojawił się kolejny błysk, tym razem było to wspomnienie.

Podchodził do tego okna nad ranem. Odsuwał kotarę, patrzył w niebo, targany dziwnym przecuciem. Granica nocy i świtu falowała, jakby malarz dopiero co pociągnął pędzlem linię, pozwalając rozlać się nowej barwie na ciemnym podkładzie. Błysk. Kolejny. Zawieszony na niebie punkt odbił promienie wstającego za horyzontem słońca. To nie była odległa gasnąca gwiazda, której blask zastępowała inna, ta najbliższa Ziemi. Świetlisty punkt poruszał się na zachód, wznosił, przyspieszał. Przywidzenie? A może tylko sen?

– ...z panienką Marianną...

Olaf już wyszedł. Jego miejsce zajęła Marta. To ona mówiła coś, czego Winnicki z początku nie zarejestrował.

- Śniadaniegotowe, proszem pana...

– Co mówiłaś, Marto... wcześniej? – wychrypiął. Gdy dotarł do niego zapach jajecznicy i świeżego chleba, znów poczuł mdłości.

– Panienska Marianna bedzie na pana czekać dzisiaj u Bliklego, na Nowiku, Nowym Świecie, znaczy się. W południe...

– W południe – powtórzył Winnicki.

Znów uniósł się na łokciach. Marta odłożyła tacę na stolik przy łóżku. Wstrząsnęła i poprawiła wymiętą poduszkę.

Potem ponownie sięgnęła po tacę i ustawiła ją na pierzynie przed doktorem.

Andrzej przełknął ślinę. Wiedział, że po paru kęsach mdłości miną. Jednak te kilka odrobin jedzenia stanowiło obietnicę rozstroju żołądka.

Marta nalała do filiżanki herbaty. Doktor nie słodził. Podała mu naczynie na spodeczku, podsunęła niemal pod same usta. Dygoczące ciało Winnickiego wprawiło porcelanę w drżenie, doktor miał jednak dopracowane przyjmowanie płynów po nocnych wyskokach. Błyskawicznie dotknął ustami brzegu filiżanki i siorbnął mocnego napoju. Dopiero gdy płynu ubył blisko w połowie, odważył się przejąć spodek.

Skinął głową, wyrażając wdzięczność za zrozumienie dla jego niemocy.

– Niech Olaf przygotuje ubrania...

- Jużto zrobił, proszem pana.

Winnicki znów skinął głową.

– Gazeta?

Marta sięgnęła na brzeg łoża. Musiała wcześniej położyć tam prasę. Przysunęła gazetę bliżej Winnickiego, tak by ten mógł po nią sięgnąć w razie potrzeby.

– Dziękuję.

Kobieta jeszcze przez chwilę patrzyła na doktora, jakby chciała coś powiedzieć. Winnicki zignorował jej surowe spojrzenie, znów upił łyk herbaty. Dopiero wtedy Marta wyszła.

Mdłości trzymały go dłużej niż zwykle. Doszedł do nich ból wątroby. Winnicki wiedział, że będzie mu towarzyszył cały dzień, jak nielubiany przyjaciel.

Ledwo przełknął kęs chleba. Ze wstrętem odłożył tacę na bok i uniósł gazetę. Skrzywił się. Znów „Kurier Czerwony”.

Miał kłopoty ze skupieniem wzroku na drobnym druku. Potrząsnął papierem i otworzył bulwarówkę.

Wpierw zerknął na wieści z frontu. Przejrzał listę poległych, chociaż wiedział, że gdyby znajdowały się tam znane mu nazwiska, Marta i Olaf już by go o tym poinformowali. Potem na próżno szukał informacji o katastrofie transportera.

– Propaganda. Bzdury! Zwycięstwo coraz bliżej? Gówno, a nie zwycięstwo! – wychrypiął z oburzeniem. Choć czego mógł się spodziewać po prorządowej gazecie? – Środek na porost włosów reklamować, a nie za dziennikarstwo się brać!

Winnicki zmełł w ustach kolejne przekleństwo. Wiedział, że front stanął w miejscu, nic nie wskazywało na to, żeby przez najbliższe miesiące miało się coś zmienić. Doktor nienawidził tej wojny, krwi, którą przelewali kolejni młodzi ludzie.

Ci, którzy powinni byli stać się przyszłością odrodzonego narodu, a nie mięsem armatnim. Nienawidził polityków, którzy wepchnęli kraj w permanentną wojnę. Zuchwała szlachta, żołnierzyki z szabelkami i mówcy z sejmowych ław, którzy nie wachali prochu, a jedynie smród drukarskiej farby z broszur powstających w ich własnych drukarniach. A do tego Marszałek, wróżący z fusów i kart tarota stary głupiec. Zmarnował swoją szansę, jego dni i tak były policzone.

Doktor znów potrząsnął gazetą, musnął wzrokiem kolejne strony. Szpalty wypełniały ogłoszenia wróżek i wróżów. Roilo się w Warszawie od hochsztaplerów żerujących na ludzkiej naiwności. W sumie czemu się dziwić? Każdy z czytelników chciał usłyszeć, jaki jest wyjątkowy i jaka to fortuna mu sprzyja, zapewniając po grób wspaniałe dni w szczęściu i bogactwie. W końcu Winnicki odszukał strony z informacjami z zagranicy.

Wszędzie to samo. Duże, krzykliwe tytuły. Emocje i skąpe w informacje doniesienia. Z frontu wschodniego, zachodniego, z frontu francuskiego, włoskiego i chińskiego. Europa i Azja w jakimś niepojętym zawieszeniu. Odcięte od sąsiadów wysepki narodów i państw. Nawet o Stanach tylko krótka enigmatyczna notka. „Nasi sprzymierzeńcy są z nami”. Ani słowa o rewelacjach, które dzień wcześniej wyjawiał mu Sieniawa. Zerwana łączność, brak możliwości transportu drogą wodną i powietrzną.

To wszystko było postawione na głowie, ten kraj żywił się propagandą, gdy brakowało chleba.

Winnicki z wściekłością cisnął gazetę na podłogę w momencie, w którym kamerdyner zapukał do drzwi.

- Wejdz, Olafie...

Doktor uniósł pierzynę i wysunął nogi poza ramę łóżka. Przypomniał sobie o spotkaniu z Marianną. Cieszyła go perspektywa zobaczenia córki. Wiedział, że rozmowa, która ich czeka, nie będzie najłatwiejszą, ale to dziecko, które tak kochał, dawało mu pociechę w najtrudniejszych chwilach. Wystarczył jej uśmiech, jedno słowo, by Winnicki znów nabierał ochoty do życia i odnajdywał sens w każdym kolejnym dniu.

1932 FRONT ZACHODNI

Blizna nie zdążył się nawet umyć. Musiał się stawić na wezwanie dowództwa w sztabie polowym. Mijał posterunki i salutujących mu żołnierzy. Tego dnia stracili wielu ludzi. Sanitariusze wciąż opatrywali rannych, a na tyły ciągnęły wozy z zakrytymi płótnem ciałami.

Wszyscy spodziewali się kolejnego ataku, choć pewnie mieli nadzieję, że szkopom już wystarczy. Ich wypad pozornie pozbawiony był sensu. Polacy stali się świadkami szarży, która ostatnimi czasy zupełnie do Niemców nie pasowała. Ich przeciwnicy zaliczyli straty liczniejsze niż zazwyczaj. Po miesiącach stagnacji wystrzały zabrzmiały zupełnie obco, niezrozumiale. Jakby dotąd obie strony nie znajdowały się na wojnie, a jedynie pośród jakiejś inscenizacji pola walki, bez prawdziwych ofiar w ludziach. Teraz jednak do walczących na powrót dotarło, że wojna jest bezlitosna. Cały czas trzyma cię w paszczy, przyciska, nawet jeśli wydaje się, że o tobie zapomniła. Złudne nadzieje.

– Spóźniłem się? – spytał Marek jednego z wartowników stojących przed bunkrem dowództwa.

– Jeszcze nie zaczęli, poruczniku. – Chłopak wyprostował się jak struna. Patrzył na oficera tak, jakby zobaczył ducha. – Jeśli pan porucznik pozwoli, słyszałem, co pan zrobił z tym niemieckim cholerstwem... Do sztabu doszły informacje, że pan porucznik zginął podczas walki.

– Jak widzisz, złego diabli nie biorą, Borowiak.

– Tak jest, panie poruczniku. – Chłopak wreszcie się uśmiechnął.

Blizna skinął głową. Sam też uśmiechnął się do żołnierza, choć wiedział, że może teraz wyglądać jak upiór błyskający kłami. Pierwszą lepszą szmatą stał z twarzy błoto i krew, ale miał wrażenie, że tylko całe to plugastwo rozmazał.

Zszedł w dół okopu, a potem skręcił do sztabu.

Rozmawiający z dowódcami liniowymi pułkownik Kolberg zawahał się, zauważywszy porucznika. Szybko jednak odzyskał rezon i powrócił do konwersacji. Marek uznał, że wieści o jego śmierci podczas odpierania ataku musiały dojść do uszu zwierzchnika. Mógł się założyć, że stary za bardzo się nimi nie przejął.

Blizna próbował odszukać wzrokiem znajome twarze. W tej chwili w bunkrze pojawił się też Maksymilian Branicki. Ich spojrzenia się spotkały. Maks wyszczerzył zęby i pogroził mu palcem.

– Dałeś tam do wiwatu. – Zagwizdał cicho pod nosem. – Byłem pewny, że już po tobie. W ciągu kilku godzin Niemcy zrzucili tyle żelastwa na wasz odcinek, że ziemia zapadła się chyba o dwa metry.

– Nie dziwi cię to?

Maksymilian przechylił głowę i popatrzył zaskoczony na przyjaciela.

– Przecież stary mówił, że do tego dojdzie. Wszystko po rajdzie Majewskiego. Szwaby nie mogły puścić tego płazem.

Miejmy nadzieję, że się wyszumieili i teraz dadzą spokój.

– Mam inne zdanie. – Marek rozejrzał się dyskretnie, by się upewnić, że nikt nie przysłuchuje się ich rozmowie.

– Co ty mówisz? – Maks zmarszczył brwi. Widać było, że jest zaintrygowany.

– Niemcy planowali to od dawna. Przygotowali się do ataku właśnie na ten odcinek. Co więcej, musieli wiedzieć, że daleko się nie przedrą...

– Dywersja? Odwracali od czegoś uwagę?

Blizna skinął głową. Im dłużej rozważał tę sprawę, tym bardziej był pewny swoich domysłów. Nie mogli jednak kontynuować wątku, bo pułkownik Kolberg odchrząknął donośnie i w bunkrze zapanowała cisza.

– Panowie – stary przesunął dłonią po łysinie, lepkiej od potu – dwa kwadransy temu otrzymaliśmy informację o ruchu nieprzyjaciela na naszej granicy. Kilka kilometrów stąd przez umocnienia przedostał się

niemiecki transport powietrzny...

W sali rozszedł się gniewny pomruk. Blizna spodziewał się, że usłyszy podobną rewelację, ale teraz, gdy wybrzmiała w betonowych ścianach, sam nie mógł w nią uwierzyć. Popatrzyli na siebie z Maksymilianem. Branicki znów cicho zagwizdał pod nosem.

– Jak to możliwe? – wyrwało się jednemu z młodszych oficerów.

Kolberg spiorunował go wzrokiem, jednak odpowiedział: – Dostaliśmy informację o próbnym locie nowego zeppelinu stacjonującego w hali sterowcowej w Poznaniu. Jego zadaniem miał być przelot w bliskiej odległości od niemieckich min powietrznych. Nasi naukowcy opracowali system zabezpieczeń, który chcieli przetestować w warunkach bojowych. Do lotu jednak nie doszło...

Branicki szturchnął młodego porucznika łokciem.

- Widzę teraz rajd naszego niezawodnego Majewskiego w zupełnie nowych barwach... – szepnął. – Czyżby oddany pułkownikowi kapitan Maj - Majewski miał sprowokować Niemców tylko po to, byśmy zademonstrowali nasze nowe osiągnięcia techniczne?

Marek zgadzał się z rozumowaniem przyjaciela. Wiedział, że Majewski jest oddany Kolbergowi niczym bulterier.

Najbardziej zaufany z oficerów, który wskoczyłby w ogień za swoim dowódcą. Wypełniłby każdy rozkaz, nawet ten pozbawiony sensu i nawet gdyby miał mu przynieść ujmę na honorze.

– To by wyjaśniało brak wsparcia z naszej strony – odszeptął. Czuł, że purpurowieje na twarzy. – Czekali na sterowiec.

Miała się odbyć pokazówka. Dopiero gdy się zorientowali, że nie nadleci, zapaliło im się w dupie.

– Oj, mój przyjacielu, jeśli to prawda, sporo kosztowało naszych ludzi to prężenie mięśni.

Blizna zacisnął pięści. Poczł, że metalowe palce zgrzytają pod wpływem naprężeń.

Kolberg tymczasem, jak gdyby nigdy nic, ciągnął dalej: – Sterowiec zostały przejęte przez wrogów jeszcze przed startem. Poznańską halę wysadzono w powietrze.

Kolberg zrobił pauzę i uniósł dłoń, by uciszyć zebranych, choć żaden z nich się nie odezwał.

– Mamy informację, że Niemcom zależało nie tyle na sterowcu, co na najnowszym osiągnięciu naszych naukowców.

Z hali zniknęło pięć balonów stratosferycznych. To one były celem spisku.

Branicki pokręcił głową z niedowierzaniem.

– „Gwiazda Polski” w niemieckich łapach... No ładnie.

Blizna szybko odszukał w pamięci informacje. Czytał o tych największych stratostatach na świecie. Realizacja projektu została ostatnio przyspieszona, podobno pobito nimi rekord wysokości. Ich pułap sięgał trzydzieści tysięcy metrów! Jaka mogła być ich przydatność dla Niemców? Polakom miały służyć w badaniach naukowych, kilka z nich wyprodukowano na zlecenie rządu amerykańskiego. Po co cała akcja Szwabów i tak wielkie ryzyko?

- Wiarygodne źródła przekazały informację, że sterowiec był widziany na południe od Rawicza. To zaledwie siedem kilometrów od naszych linii. Tam wylądował. Jego postój trwał zaledwie kwadrans. Potem znów wzbił się w powietrze i został skierowany na zachód, kursem na Berlin. Nasi specjaliści zastanawiają się nad przyczyną tego międzylądowania.

Być może miało podsunąć nam fałszywy trop. Istnieją trzy możliwe wersje wydarzeń. Pierwsza: wszystkie balony stratosferyczne zostały na sterowcu i lada moment znajdą się w Berlinie. Druga: stratostaty zostały przerzucone na ciężarówce i skierowane do Breslau. Trzecia: ładunek podzielono, część wyleciała do Berlina, część wywieziono do Breslau. Kolumna ciężarówek od strony Rawicza ruszyła kilkadziesiąt minut po lądowaniu sterowca. Zdaje się to potwierdzać drugą lub trzecią możliwość. Dowództwo każe nam to sprawdzić.

- Jak dowództwo wyobraża sobie, że to sprawdzimy? – Major Zbierzycki poruszył sumiastym wąsem. Widać było, że jest wzburzony.

- Wyślemy naszych ludzi na miejsce międzylądowania sterowca.

Tym razem w sali rozległ się głośny pomruk zmuszający Kolberga do ponownego uniesienia ręki.

– Panowie, dzisiejszej nocy przetrzucimy przez granicę grupę, której zadaniem będzie dotarcie do

wyznaczonego punktu i zdobycie informacji o stratostatach.

– Pułkowniku, do tego trzeba dłuższych przygotowań! – Zbierzycki znany był z tego, że mówił wszystko prosto z mostu. – Rozpoznanie terenu zajmie kilka dni. Doszło do znacznych przesunięć na liniach. Poza tym dlaczego Niemcy wykonali taki manewr? Mogli lecieć wprost do Breslau, stamtąd do Berlina. Dzielenie ładunków tuż przy granicy? To niedorzeczność!

– Ocenimy, czy istotnie tak jest. To zadanie powierzam porucznikowi Markowi Winnickiemu. On z kolei dobierze do współpracy odpowiednich ludzi.

Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli na Marka.

– Z całym szacunkiem, pułkowniku, to misja samobójcza – Blizna ledwie rozpoznał swój własny głos.

– Odmawia pan wykonania rozkazu? – Kolberg uniósł brwi, jakby ogarnęło go bezbrzeżne zdumienie.

– Nie, pułkowniku – odparł bezbarwnym tonem. – Tylko że w pojedynkę szansa przedarcia się przez niemieckie umocnienia jest większa. Proszę wyznaczyć do tego zadania jedynie mnie.

Marek usłyszał, że Maksymilian Branicki z sykiem wypuszcza powietrze z płuc.

– Skompletuje pan czwórkę i przedostaniecie się za linię wroga. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie, ale pańscy ludzie mają się zgłosić na ochotnika. Ochotnikom się nie odmawia, rozumiano?

– Za pozwoleniem, pułkowniku, zgłaszam się na ochotnika do grupy porucznika Winnickiego.

Marek otworzył usta, ale się nie odezwał. Kolberg wbił ponury wzrok w Branickiego. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zaprotestować, nie mógł jednak tego zrobić, wszak sam przed chwilą wspominał, że ochotnikom nie można odmówić.

– Macie pięć godzin na wyruszenie. Jesteście tam zdani na siebie. Odmeldować się...

Oficerowie stuknęli obcasami. Nikt jednak nie spieszył się do wyjścia. Wszyscy ruszyli ku Bliźnie i Branickiemu, by krótko, po żołniersku uścisnąć im prawice.

Marek miał wrażenie, że się z nim żegnają, po ich minach widać było jednak, że wszyscy liczą, iż obaj wrócą choćby po to, by utrzyć nosa staremu. W wojsku często dochodziło do konfliktów między żołnierzami wywodzącymi się z trzech armii zaborczych, ale chwile jak ta pokazywały, że najtrudniejsze sprawy z czasem znajdowały swoje rozwiązanie. Ludzie potrafili się jednoczyć w obliczu zagrożenia.

Major Zbierzycki pociągnął Marka za sobą ku wyjściu i szepnął mu do ucha: – Użyj cholerstwa, które dzisiaj wypuściły na nas te psy... Nie wiem, czy wiesz, ale przed całą tą wojenką byłem aktorem... Taka scenka przysłała mi teraz do głowy. Wielka inscenizacja. Kostiumy macie ze szwabskich trupów. Rozumiesz mnie, Winnicki?

– Tak jest, majorze. – Blizna zasalutował. Zaświeciły mu się oczy. – Dziękuję za radę.

– Nie dajcie sobie odstrzelić kuprów, panowie. Chcę was lada dzień widzieć na herbatce i koniaczku u mnie.

– Nie odmówimy sobie tej przyjemności – zaśmiał się cicho Branicki. – Koniaczek z panem majorem to prawdziwy zaszczyt!

1932
WARSZAWA,
KAWIARNIA BLIKLEGO

U Bliklego na Nowym Świecie spotykali się dyrektorzy teatrów szukający talentów aktorskich i młodzi aktorzy. Winnicki wiedział, że nie tylko umiłowanie słodkości ściągnęło jego córkę w to miejsce. Śledził jej postępy, cieszył go jej występy w kółku teatralnym, od najmłodszych lat, a także czwartkowe wypadu na seanse do kina i soboty w teatrze.

Czy jednak mogła zostać aktorką? Oprócz drobnych epizodów w teatrze amatorskim nie odniosła sukcesów na tym polu.

Co prawda miała w sobie jakąś delikatność, skłonność do dramatyzowania, romantyczność. Ale czy to wystarczyło? Cóż, to nie było tak, że nie wierzył we własne dziecko. Może raczej nie chciał jej rozczarowania, może w ten sposób próbował ją chronić przed sobą samą i przed światem.

Poza tym czy aktorstwo powinno być jej ambicją? Doktor skrzywił się na tę myśl, widział przecież niejedną z tych młodych dziewczyn, które marzyły o występach na scenach teatru czy w kasowych filmach. Lądowały jednak w kabaretach lub przybytkach podobnych do pałacu Szli makowskiej, gdzie wywijają nogami przed spoconymi i oślinionymi wieprzami.

Drzwi się otwały i w progu stanęła drobna dziewczęca postać. Winnicki od razu uznał owe obawy za niezasadne. Jego dziecko nie było jak tamte dziewczyny, którym brakowało nie tylko talentu, ale i ambicji. Wierzył w Mariannę, co więcej, nie mógł przecież wtrącać się w jej życie. Znienawidziłaby go za to. Potrzebowała wsparcia, a jeśli miała popełniać błędy, trudno. On będzie w pobliżu, po to, żeby w razie potrzeby jej pomóc.

Marianna uśmiechnęła się promiennie na widok ojca i mu pomachała. Gustowny płaszczyk zsunął jej się z ramion, włosy, złote pukle, wdzięcznie odgarnęła do tyłu. Lśniły jak i cała ona. Panna Winnicka przyciągała spojrzenia mężczyzn zupełnie jak jej matka.

Doktor wstał, gdy się zbliżyła. Ujął dłonie córki w swoje i pocałował ją w oba policzki. Nie wzbraniała się, przywitała go kilkoma słowami o pogodzie i o tym, jak dobrze papa wygląda.

Słodkie kłamstwo, na które był w stanie przymknąć oko.

Marianna omiotła salę spojrzeniem. Zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie robi, z aury, jaką roztacza. Nagle jakby całe pomieszczenie się ożywiło. Kilku mężczyzn poprawiło się na swoich siedzeniach, kobiety próbowały wykonać podobny ruch głową jak dziewczyna, starając się, by ich włosy stały się równie znaczącym atutem. Nic z tego. Stolik, przy którym siedział Winnicki, stał się nagle centrum wszechświata.

– Papo, nie śpisz dobrze... Musisz dbać o siebie.

Doktor uśmiechnął się z czułością, słysząc te słowa przygany.

– Jest dobrze, wszystko jest dobrze – zapewnił. – Jak u ciebie, córuś?

– Z panią Kalicką wybieramy się do Wilanowa. Chcemy pomóc naszym chłopcom na froncie. Mamy wspaniały pomysł na loterię fantową. Z pieniędzy zakupimy koce, żywność, ubrania. Marek pisał, że brakuje im pałatek, a deszcze ostatnio częste...

Doktor skinął głową. Zapał też był taki sam jak u matki. Ten sam ogień w oczach, gestykulacja. Winnicki przestawił kapelusz, gdy na stole pojawiły się dwie filiżanki z herbatą i pączki.

– Tobie też przydałyby się nowe rzeczy. – Marianna się zaśmiała. – Ten kapelusz ma już tyle lat... Mama ci go dała w ostatnią rocznicę ślubu?

– Tak. – Winnicki spojrział na znoszone nakrycie głowy, a potem na córkę. Dostrzegł w jej oczach tę łagodność, którą tak lubił. Dziewczyna myślała, że kapelusz nosi właśnie ze względu na Annę. I choć tak było, nigdy nie byłby w stanie wyjawic córce prawdziwego powodu, który zmuszał go do noszenia owego nakrycia.

– Dostałaś list od Marka... – zmienił temat, starając się, by jego głos nie zdradził emocji.

– Dostałam – speszyła się. – Do ciebie nie napisał?

A przecież wiedziała. Marek od śmierci matki nie rozmawiał z ojcem. Uniezależnił się. Zawsze był samodzielny, choć związany z Anną jakąś niewidzialną pępowiną. Winnickiemu wydawało się, że pójdzie w jego ślady. Często, gdy pracował nad jakimś projektem, syn mu towarzyszył. Chłonał wiedzę niczym gąbka. Był pojętny, miał smykałkę do najbardziej skomplikowanych mechanizmów. Potem jednak coś się stało. Sam nie wiedział, za co syn tak mocno go znienawidził. Bo to była nienawiść. Widoczna w spojrzeniu, zachowaniu, ignorowaniu każdego zapytania, choćby wypowiedzianego z najlepszymi intencjami. Może było tak od czasu tego nieszczęśliwego wypadku w pracowni, a może już wcześniej.

Potem sytuację zaostrzyła ta głupia decyzja o pójściu na ochotnika do wojska. Winnicki sprzeciwił się synowi, ale nie był w stanie na niego wpłynąć i sprawić, by zmienił zdanie.

– Napisałem do niego, wysłałem mu paczkę, nie odpowiedział.

- Tato – Marianna nachyliła się nad stolikiem, położyła swoją ciepłą dłoń na dłoni doktora – on nigdy nie otrząsnął się po śmierci mamy. Wojsko, jego ideały... Walczył od dziecka, wiedział, czego chce. I zawsze był niezłomny w dążeniu do celu. Postanowił pójść swoją drogą.

Winnicki znów skinął głową. Wiedział, że to prawda. On sam poddawał się na każdym kroku. Gdy napotykał przeszkodę, zamykał się w sobie niczym ślimak w skorupie. Marek był inny, cudowne dziecko nowych czasów, miał w sobie coś z legendarnych rycerzy. Ta różnica też z pewnością była przyczyną, przez którą jego drogi z pierwotnym się rozeszły.

– Na pewno nic mu nie jest, papo. Uspokoilo się na froncie. Choć martwi to, że zmiany obsady są coraz rzsadsze. Kiedyś po kilku tygodniach wracali na dłużej do domów, a teraz?

Winnicki zastanowił się nad słowami córki. Miała rację. Ze względu na morale nigdy nie trzymało się długo żołnierzy w okopach. Tymczasem Marka nie było w Warszawie już kilka miesięcy. To mogło potwierdzać słowa Sieniawy.

Brakowało ludzi, całe dywizje czekały na transport do Stanów. Linia frontu od strony Moskali i Niemców była tak długa, że dowództwo potrzebowało mrowia ludzi pod bronią.

– Dobrze przynajmniej, że nic mu nie jest. – Uśmiechnął się blade. Nie chciał, żeby Marianna wyczuła jego rozterkę.

Zaczęłyby się sama niepokoić.

– A Staszek? – Córka nagle się rozpromieniła. Albo z premedytacją próbowała zmienić temat. – Staszek mówił, że nas odwiedzi. Dostał przepustkę!

– Tak, wiem. – Doktor skinął głową.

Najmłodszy z Winnickich w przeciwieństwie do brata nie zerwał kontaktu z ojcem. Doktor sprzeciwił się oddaniu kolejnego syna do armii i na tym polu mogło dojść między nimi do scysji, ale tutaj uwidoczniła się słabość Andrzeja.

Ustał Staszekowi, choć wiedział, że gdyby naciskał, najmłodszy posłuchałby go i nie wdział munduru. A tak... Winnicki cały czas przeklinał się w duchu, że nie był wystarczająco stanowczy. Bał się jednak, że przez swój upór straci kontakt z kolejnym synem.

– Ma dla nas podobno dobrą nowinę. Sama nie wiem... – Marianna uśmiechnęła się znacząco.

- Znając życie, ten lekkoduch znów buja w obłokach.

Oboje się zaśmiali. Marianna sięgnęła po serwetkę i pączka. Ugryzła kęs. Każdą, nawet najbardziej błahą czynność wykonywała z niezwykłą gracją.

– Nawet nie wiesz, jak blisko jesteś. Był tajemniczy, ale wydusiłam to z niego.

- Tak?- Winnicki odczuł irracjonalny niepokój. Odłożył filiżankę, z której nie zdążył upić nawet łyka.

– W tym tygodniu jego pułk zostanie przerzucony do Stanów.

A więc jednak.

Pomieszczenie zawirowało doktorowi przed oczami. Poczł ucisk w skroniach i w klatce piersiowej.

- Tatko. – Marianna uchwyciła jego dłoń. – Tatko, nie bój się o niego. Te transportowce międzykontynentalne są niezwykłe. Czytałam o nich w prasie. Jak będzie po wojnie, jak to wszystko się skończy, chciałabym jednym z takich polecieć. Grać w filmach, chodzić po ulicach Nowego Jorku,

zobaczyć wszystkie te cuda na własne oczy...

– Oczywiście – odpowiedział mechanicznie Winnicki. Przywołał uśmiech na twarz, choć przyszło mu to z ogromnym trudem. – Jak już to się wszystko skończy, to na pewno... na pewno... Porozmawiajmy teraz, porozmawiajmy o tobie, droga panno.

– O mnie? – Marianna oblała się rumieńcem.

Andrzejowi znów zadrżało serce. Słyszał od znajomych, że blisko córki kręcą się jacyś młodzieńcy. Był pewny, że przyczyną tego nagłego zmieszania jest jeden z nich.

Od kilku lat Marianna mieszkała z siostrą jego żony, Barbarą Kozielską. Dom Winnickiego nie nadawał się dla młodej panny, sam ojciec nie potrafiłby zapewnić jej warunków odpowiednich do studiów, nauki i zwykłego życia. Siostra Anny, wdowa po dyrektorze Banku Gospodarstwa Krajowego, który nie widział życia poza weksłami i depozytami, przelała całą miłość na swoją siostrzenicę. Dbała o nią jak matka i była dla niej wspaniałym przykładem. Nastąpił jednak czas, gdy serce młodej dziewczyny zajął mężczyzna. Doktor był pewny swojej obserwacji.

– Jak ma na imię? – zapytał.

– Co też papa – zaśmiała się. Popatrzyła śmiało na ojca, a w jej oczach pojawiły się figlarne iskierki. – Papa jest zazdrosny?

– Oczywiście – odpowiedział. – Ojciec zawsze będzie zazdrosny o fakt, że nie jest już najważniejszym mężczyzną w życiu córki.

– Papo! Zawsze będziesz dla mnie najważniejszy. A Juliusz... jest dobrym przyjacielem. Lubimy się. Nie zamierzam jednak wychodzić za mąż. Przynajmniej nie w tej chwili. Zakończmy ten temat, przecież wiesz, że mam swoje plany i nie w głowie mi romanse.

– Tak, wiem. – Winnicki postanowił nie drążyć tematu. – I jak te twoje plany się mają?

– Dobrze. – Nagle stała się tajemnicza. Marianna odziedziczyła po matce także mimikę. Anna na tysiące sposobów potrafiła okazać szeroką gamę uczuć samym uniesieniem brwi. – Zostałam zaproszona do uczestnictwa we wspaniałej inicjatywie. Sam Juliusz Osterwa polecił mnie do swojego zespołu „Reduta”. To może być przepustka na scenę Narodowego, papo! Nawet nie wiesz, jaka jestem szczęśliwa!

– Cieszę się, dziecko, cieszę się razem z tobą. – Doktor zdobył się na szeroki uśmiech, chociaż był teraz w stanie myśleć tylko o tym, czy bliski przyjaciel córki, Juliusz, jest tym samym Juliuszem, który chciał zatrudnić jego dziecko w „Reducie”.

- Już od jutra dołączę do grupy...

Winnicki pił herbatę i słuchał. Czasem odpowiadał półsłówkami, czasem tylko kiwał głową. Nie potrafił poradzić sobie z natłokiem myśli. Przez chwilę miał wrażenie, że jego córka gra przed nim. Uduje kogoś, kim zupełnie nie jest. Były chwile, gdy śmiała się jak mała dziewczynka, i te, w których zamyślała się głęboko, a w jej oczach widać było większą dojrzałość, niż można byłoby przypuszczać. Widział ją zawsze taką, jaką chciał widzieć, ale jaka była naprawdę? Na to pytanie nie był w stanie znaleźć odpowiedzi.

Minęło jeszcze kilkanaście minut, zanim Marianna wstała i pożegnała się wylewnie.

Doktor siedział przez chwilę w samotności. Potem zapłacił rachunek, założył płaszcz i kapelusz i wyszedł na Nowy Świat.

Nowik w ostatnich latach rzeczywiście stał się zupełnie innym, nowym światem. Bogate witryny ekskluzywnych sklepów, muzyka dobiegająca z kawiarni, zapachy kawy i wanilii, trąbienie samochodów. To miejsce pulsowało energią, która arteriami ulic rozlewała się w stronę Mazowieckiej, Marszałkowskiej czy Alei Jerozolimskich. W nocy neonowe reklamy czyniły z tej ulicy najjaśniejszą w Warszawie, a zdawałoby się – i najbardziej efektowną na świecie.

Doktor minął restaurację U Turka, gdzie często jadał sznycel z jajkiem, a nie gardził też doskonałą kawą. Tym razem jednak nie był w stanie nawet spojrzeć na witrynę. Przez chwilę miał ochotę ruszyć w stronę Wisły – uważał Powiśle za najlepsze miejsce, by stroniąc od miejskiego zgiełku, oczyścić umysł. W centrum odpocząć było już trudno. Do stolicy zjechali wszyscy, którzy uciekali przed wojną, jak również ci, którzy wietrzyli, że dorobią się fortuny. Słyszał tu było wszystkie gwary i narzecza. Kresowiaków, poznaniaków, lwowian... Ludzi wszystkich zaborów.

Wystarczyło jednak znaleźć się za Solcem i przejść ulicę Dobrą, by trafić na odludzie. Miejsca te,

okupowane przez najbiedniejszą część mieszkańców stolicy, nie cieszyły się dobrą sławą, ale Winnicki nigdy nie bał się tam zapuszczać. Czas na tych „wertepach” płynął leniwie, jakby zatrzymał się w miejscu. Był to inny świat, który doktora pociągał i Winnicki nieraz chciał w nim utknąć na dobre.

Po kilku krokach przystanął, a potem zawrócił i skierował się do centrum. Wiedział, że nawet tam, nad leniwie płynącą rzeką, nie uda mu się poskładać na nowo tego, co rozsypało się na miliony drobnych części.

1932 FRONT ZACHODNI

- Po coś się w to, stary, pchał? – Blizna szturchnął Branickiego.
- Wiesz, że gdy proszą do tańca, nie odmawiam. – Maksymilian zaśmiał się serdecznie. Wyminieli kolejny post i skręcili ku pozycjom zajmowanym przez ludzi Marka. – Poza tym chciałem zobaczyć minę starego...
- Porucznik się skrzywił.
- No tak. Zawsze wierzył, że będziesz jego pupilkiem, chętnie by wymienił u swego boku Majewskiego na Branickiego.
- To już wolę w każdą nockę przedzierać się przez linię wroga, niż być u niego na posyłki... – Maks zarechotał głośniejsz od nienaoliwionej dwudziestki piątki. – Kolberga czeka kiedyś sąd połowy. Nikt nie wysłał tylu ludzi na zatracenie co on ...
- Wiesz, że możemy niedługo podbić te niechlubne statystyki?
- Skąd ten pesymizm? – Teraz to Maksymilian szturchnął przyjaciela. – Poza tym beze mnie miałbyś marne szanse na dożycie poranka. Musiałem coś zrobić, by ratować twoje cztery litery.
- Doceniam. – Marek skinął poważnie głową.
- Przez chwilę szli w milczeniu.
- Powiedz lepiej, o czym szeptał do ciebie stary Zbierzycki – Branicki w końcu znów się odezwał. – Nic nie zrozumiałem.
- Hamleta* mamy wystawić w okopach czy inne *Dziady*? Co on się tak uparł na jakąś wielką improwizację?
- Nie, spokojnie. – Blizna przez całą rozmowę układał w głowie plan działania. – Major miał świetną myśl. Mówił o inscenizacji. Pamiętasz, jak kiedyś po starciu nasi ludzie wrócili w zdobyczym tanku? Wszyscy położyli na nich kreskę, a ci przeczekali do nocy na ziemi niczyjej, uruchomili niemiecką gadzinę i w glorii i chwale wjechali w nasze okopy!
- No tak, tak było, dały radę chłopaki... – Maksymilian nagle przystanął. Zdaje się, wreszcie go olśniło. – Zaraz... Nie chcesz mi powiedzieć, że planujesz to wypróbować na Szwabach?! Toż to czyste szaleństwo!
- Zgadza się, choć im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to sensowne. Nie sądzisz?
- Branicki przez dłuższą chwilę przechylał głowę jak ptak, który próbuje dostrzec w oddali jakieś zagrożenie. W końcu twarz rozjaśnił mu uśmiech.
- Może się udać. Jeśli Niemcy nie strzelają do swoich, to na pewno się uda. Tylko trzeba by było się ewakuować w odpowiednim momencie.
- Na to też znajdzie się sposób.
- Chcesz wziąć jeszcze kilku swoich ludzi? Tak jak mówił Kolberg?
- Nie mam wyboru. – Marek przetarł dłonią czoło.
- Myślisz, że nie będą chcieli dołączyć na ochotnika?
- Myślę, że wszyscy będą chcieli, ale to ja będę musiał wybrać...
- Maksymilian skinął głową. Rozumiał, co chce powiedzieć przyjaciel. Znał tę odpowiedzialność. Nawet mimo wysmienitego planu kilku z nich mogło nie przeżyć nocy.

1922 WSPOMNIENIA

Nie wspominałem do tej pory o doktorze Andrzeju Winnickim. Uczyniłem tak z ostrożności. Projekt, któremu się poświęcił, utrzymywany był w ścisłej tajemnicy. Oprócz nielicznego zespołu skompletowanego przez doktora i kilku moich zaufanych współpracowników nikt nie wiedział o zakresie i celu jego badań.

Dlaczego zaufałem właśnie Winnickiemu? Złożył się na to szereg przyczyn, przede wszystkim jednak epizod sprzed kilku lat, który ugruntował moją opinię o doktorze jako niezłomnym i godnym zaufania człowieku.

Wojna, która dała nam niepodległość w 1918 roku, odcisnęła piętno na każdym z nas. Winnicki towarzyszył naszym legionom podczas najcięższych walk. Bitwy, jak choćby ta pod Kostiuchnówką, pociągnęły za sobą ogromne straty w ludziach.

Ofensywa Brusłowa pozbawiła brygady legionowe łączności i wsparcia artylerii. Pozostaliśmy w liczbie pięciu tysięcy przeciw blisko trzynastu tysiącom Rosjan z Czterdziestego Szóstego Korpusu Armijnego.

W lipcu 1916 roku straty bojowe mojego Piątego Pułku Piechoty sięgnęły ponad pięćdziesiąt procent stanu. Mieliliśmy wielu zabitych, wielu ciężko poszkodowanych. Tych ostatnich zgromadziliśmy w kilku prowizorycznych szpitalach potowych, a pieczę nad nimi sprawował zespół doktora Winnickiego. O tym, do czego doszło w tamtych dniach lipca, dowiedziałem się z raportów. Jeden ze szpitali potowych dostał się w ręce wroga, a rannych żołnierzy w sposób bestialski wymordowano. Doktor starał się w tym czasie ewakuować inną placówkę, która z powodu wycofania się Węgrów została narażona na natarcie od strony Medweże. Było jednak jasne, że nie zdąży na czas. Zgromadził więc wszystkich rannych zdolnych do noszenia broni i zaplanował obronę szpitala. Obrońcy wytrzymali dwadzieścia cztery godziny natarcia wroga.

Ci, którzy pojawili się na miejscu z odsieczką, widząc Winnickiego, nazywali go upiorem. Był cały we krwi swojej i wrogów, w dodatku ciężko ranny w nogę, którą ledwo powłóczył. Mimo to nie opuścił swojego stanowiska do momentu zakończenia ewakuacji. Obrońcy opowiadali, jakimi nadludzkimi siłami dysponował ten niepozorny człowiek, broniąc tych, których miał pod opieką. Jego towarzysze dali wyraz szacunku dla doktora, nie odstępując go w tamtych dniach nawet na krok. Sam doktor bardzo mocno przeżył tamto wydarzenie. On, który ratować miał życie, by wypełnić swoje powołanie, został zmuszony także je odbierać. Widziałem ogromną zmianę, jaka zaszła w tym człowieku. Nie było to załamanie, które często towarzyszyło naszym żołnierzom w chwilach nieludzkiego napięcia. Wręcz przeciwnie, Winnicki przekuł rozpacz i bezsilność w działanie, w realizację śmiałych planów, które czynić zamierzał dla dobra ludzkości.

Poświęcenie doktora, który ratował życie i godność naszych ludzi, było godne pochwały. Jednak jeszcze większy szacunek niż heroiczna postawa z dni wojny wzbudziły we mnie późniejsze działania Winnickiego. Starał się on ulżyć w cierpieniu tym, których w służbie ojczyzny dotknęło nieszczęście kalectwa.

Przyznam, że pierwsze informacje, które do mnie docierały, o eksperymentach prowadzonych przez Winnickiego w szpitalach, budziły moje zdumienie. Próby zastąpienia utraconych członków protezami wydawały się zrozumiałe, jednak trudno było mi uwierzyć, by owe protezy mogły z powodzeniem zastępować ludzkie ręce i nogi. A miałem się przekonać, że tak właśnie było.

Winnicki zwrócił się do mnie osobiście o wsparcie finansowe dla swojego projektu. Szybko zobaczyłem pierwsze efekty jego prac, które przeszły moje najśmielsze oczekiwania. To wtedy wraz z Długoszowskim i zaufanymi generałami podjąłem decyzję o rozszerzeniu przedsięwzięcia i przekazaniu go pod kuratelę tajnej jednostki kontrolowanej przez wojsko. Operację oznaczyliśmy nazwą „Projekt Golem”. Na ten cel oddaliśmy do dyspozycji Winnickiego pilnie strzeżony ośrodek badawczy zlokalizowany pod Warszawą.

Nie ukrywam, że w pracach tych pokładałem ogromne nadzieje. Tym bardziej że w ciągu niespełna roku

powstał pierwszy, posługując się nazewnictwem doktora, metaloszkiet. Byłem pewny, że wystarczy rok, może dwa, by stworzyć armię wyposażoną w potężną broń, która uczyni ją niezwycięzoną. Gdybyśmy zdążyli w roku 1921 użyć metaloszkietów w walce z bolszewikami, nie mielibyśmy tych problemów, które dziś trawią nasz kraj. Winnicki napotkał jednak trudności.

Wkrótce doszło do wypadków w placówce i znacznych opóźnień. Osobista tragedia doktora i wypadek z udziałem jego syna także miały wpływ na dalszy los projektu.

W obliczu takiego rozwoju wydarzeń wiele zdziałać nie mogłem. Wciąż wierzyłem w doktora, znałem jego siłę charakteru i niezłomność, musiałem jednak poszukać innej drogi, która dałaby nam przewagę nad Niemcami i Rosją. Czas bowiem płynął nieubłaganie.

1932 WARSZAWA, HOTEL BRISTOL

Stolica odżyła. Ponad milion mieszkańców mozolnie zmieniał to miasto, ale wciąż daleko było mu do metropolii zachodnich. Ów przyrost ludności odbił się na warunkach życia – nie tylko na wąskich parcelach powstało mrowie czynszówek, ale i radykalnie pogorszyły się warunki higieniczne. Zapach Warszawy nie był przyjemny latem. Jesień stawała się więc swoistego rodzaju zbawieniem dla powonienia.

Winnicki lubił patrzeć na miasto i wołał poruszać się po nim na piechotę. Od nienaruszonych przez czas kwartałów ulic zamieszkałych przez ludność żydowską, z ulicą Twardą i Gęsią na czele, po elegancki Mokotów czy Żoliborz. Przez dziesięciolecia stolica rozrastała się bez wyraźnego planu zabudowy. Trudno było przemieścić się z jednego końca miasta na drugie, młode państwo wciąż potrzebowało czasu – chociażby na przebijanie ulic, które stworzyłyby arterie komunikacyjne.

Znakiem zmian były tramwaje i paromobile, przede wszystkim zaliczały się do nich podjęte przez Zenona Wandzika próby stworzenia komunikacji powietrznej pomiędzy dzielnicami. Z racji potężnych kosztów utrzymania balony transportowe służyły jednak nielicznym. Były bardziej ciekawostką, snobistyczną zachcianką dla dam i towarzyszących im dżentelmenów. Lądowiska budowano na dachach większych domów, do których spółka Wandzika i Sadyby wykupiła prawa użytkowe.

Winnicki nie skorzystał nigdy z tej metody przemieszczania się, zbyt wolnej i w jego mniemaniu niebezpiecznej.

Fascynowały go za to tramwaje. I te Mękarskiego, poruszane zbiornikami sprężonego powietrza, i te parowe, w których wagon ciągnięty był przez parowóz obudowany masywnym nadwoziem. Sam zarzucił projekt tramwaju magnetycznego, któremu poświęcił wiele nocy. Jego umysł zaprzętnęła już wtedy zupełnie inna idea – idea elektromaszyny, maszyny impulsowej.

Krótki spacer nie przywrócił doktorowi spokoju ducha, spotęgował za to działanie kwasów żołądkowych i wzmógł głód.

Winnicki uświadomił sobie, że oprócz pączka i kawałka chleba z jajecznicą zbyt wiele tego dnia nie zjadł.

Nastała już pora obiadowa, doktor zawędrował na Krakowskie Przedmieście, a hotel Bristol znajdował się zaledwie kilka minut marszu stąd. Nogi poniosły go już same do tego przybytku, cieszącego się zasłużoną sławą nie tylko ze względu na wyśmienitą kuchnię.

Przed wojną Winnicki często podróżował po Europie – zaproszenia do placówek badawczych i na uniwersytety były na porządku dziennym. Kariera, na której się skupił, powoli rozbijała jego małżeństwo, spowodowała też, że oddalił się od dzieci, a właściwie one od niego. Podczas tych podróży odwiedzał hotele w Londynie, Paryżu, Moskwie czy Berlinie, ale hotel, do którego teraz zmierzał, można było uznać za jeden z najelegantszych w Europie. Odkąd współwłaścicielem pięknego gmachu stał się Paderewski, można w nim było spotkać całą śmietankę polityczną Polski i zagranicy. Dla Winnickiego ważniejsza jednak była kuchnia Bristolu.

Nie robiły już na nim wrażenia secesyjne wnętrza ani nowoczesne windy, które w pierwszych miesiącach były swoistą sensacją dla odwiedzających. W progu witał go odzwierny, a potem recepcjoniści, szef sali czy kelnerzy. Siadał przy swoim ulubionym stoliku i zamawiał to, na co akurat miał ochotę. Najczęściej był to łosoś wiślany z rusztu lub schab pieczony z kapustą. Tym razem zachęcony rekomendacją obera postanowił spróbować nowości w karcie: bryzola z kapłona z groszkiem.

Rozejrzał się po sali. Gości było już sporo. Panowała luźna atmosfera, dopiero wieczorem pojawiali się wyfraczeni panowie i eleganckie damy. Doktor z daleka dostrzegł wchodzącego oficera, emerytowanego majora Podyłę, z którym znał się od przeszło dekady. Spojrzenia mężczyzn spotkały się. Podyła strzelił

obcasami, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Winnicki skinął głową i przyjaznym gestem zaprosił znajomego do stolika. Kilka sprężystych kroków i Podyła zatrzymał się naprzeciw doktora.

– Przyjacielu, jak dobrze cię widzieć! – Major powtórnie strzelił obcasami. Wydawało się, że dużo go kosztuje powstrzymanie się przed zasalutowaniem.

- Ciebie również. Będzie mi miło, jeśli się do mnie przysiądziesz.

– Nie jest to zbytnia zuchwałość z mojej strony? Nie znudzi cię moje towarzystwo?

– Nigdy! – Winnicki się uśmiechnął.

Podyła był pocziwym człowiekiem. Chociaż trudno nazwać tak zawodowego wojskowego, ten był egzemplarzem nie do zdarcia, jeśli chodziło zarówno o przewodzenie towarzystwu, jak i o rozbijającą szczerłość i uczciwość. Winnicki cenił sobie jego towarzystwo. Podyła nie był plotkarzem, był za to ciekawy świata, korzystał z życia, a swoje poglądy, zwłaszcza jeśli kontrowersyjne, zostawiał dla siebie. Nawet pity litrami alkohol nie był w stanie go zmienić, co już samo w sobie stanowiło zaletę nie do przecenienia.

– Wróciłem właśnie z Krakowa. Wynudziłem się tam straszliwie. Z dworca odwiózł mnie mój fiakier, ale zgłodniałem jak wilk. Pomyślałem, że jak nic muszę zawitać do Bristolu!

– Dobry wybór.

– A jakże. Uczta nie tylko dla ciała, ale i dla ducha. Bo towarzystwo przednie mi się dziś trafiło, drogi Winnicki. Cieszę się, że cię widzę, nawet nie wiesz jak bardzo!

- To uczucie odwzajemnione.

Pogoda ducha Podyły dodawała doktorowi energii. W tej chwili potrzebował jego towarzystwa zapewne bardziej niż obiadu.

Ober pojawił się dyskretnie. Podyła machnął ręką.

- To samo co mój przyjaciel, doktor Winnicki. A do picia pod obiad coś mocniejszego. Starka, tylko przednia. Może być, doktorze? – Podyłę ucieszyło skore skiniecie głową Winnickiego i dodał już bardziej konspiracyjnie: – Nie znoszę tych zagranicznych alkoholi. Głowa mnie po tych farbowanych lisach boli okrutnie.

– Zawsze możesz zamówić coś lwowskiego od Baczewskiego albo z poznańskiej fabryki Kantorowicza! Podejrzewam jednak, że głowa cię boli od ilości, nie koloru – zażartował Winnicki.

Podyła skwitował tę uwagę śmiechem i uderzeniem otwartymi dłońmi o kolana.

– Co też mi proponujesz, przyjacielu? Soverain? Curacao blanc, mandarin ginger? Likiery są dla kobiet. Życie mija okrutnie szybko, Andrzej, trzeba z niego korzystać. Już nie jestem pierwszej młodości. Wolę odkażać się uczciwie.

- Twoje życie szybko nie przeminie. Niejeden młodziak pozazdrościłby ci kondycji, nie tylko przy kieliszku. – Winnicki mrugnął znacząco i Podyła znów się roześmiał.

– *a propos* – żołnierz uniósł palec ku górze – dziś, mój drogi, musisz zrezygnować ze swoich planów. Wpadłeś w moje łapy i już cię z nich nie wypuszczę. Tym bardziej że lada moment towarzystwo nasze będzie liczniejsze, do tego pachnące i uwodzicielskie...

– Co też mówisz?

– Niebawem pojawią się tu Anna Bielska i Zdzisia Warecka! Dżentelmenów też nie zabraknie. Na dziś zapowiedzieli się Stanisław Kula i bracia Porajowie!

– To jakaś większa okazja musi być. – Winnicki uniósł brwi. Parujące talerze pojawiły się przed nimi, wzmagając uczucie głodu.

- A jest! Dobrze ci znane towarzystwo postanowiło sprawić mi dziś niespodziankę, o której oczywiście nic a nic nie wiem. – Podyła zatopił widelec w soczystym mięsiwie. – Moje sześćdziesiąte urodziny, przyjacielu!

– Nie wiedziałem, majorze... Winieniem przeprosiny!

– Doktorze, to kobiety mają głowę tak do likierów, jak i do dat, my, mężczyźni, o błahostkach nie pamiętamy.

- Ale sześćdziesiąte urodziny! Winszuję i życzę ci, przyjacielu, wielu lat w takiej kondycji, jaką masz dzisiaj, a jakiej szczerze ci zazdroścę.

– Pięknie! Dziękuję!

Mężczyźni wstali od stołu i uścisnęli się serdecznie, co kilka sąsiednich stolików nagrodziło szczerymi brawami.

Podyła uklonił się dwornie i doktorowi, i obecnym na sali, a potem obaj, wciąż na stojąco, wypili po kieliszku starki, którą ober błyskawicznie uzupełnił w naczyniach.

– Dobry ten kapłon. – Podyła przypuścił frontalny atak na potrawę.

– Dobry... – Winnicki zaspokoił już pierwszy głód, teraz oceniał danie bardziej pod kątem estetycznym. Jeden z kucharzy niewątpliwie miał duszę artysty.

– Winny jestem tobie pewne wyjaśnienie – zaczął Podyła z wahaniem. – Nie mogę cię okłamywać. Nieprzypadkowo pojawiłem się tutaj, w Bristolu...

– No wiem, urodziny.

– Nie tylko...

Winnicki uniósł brwi. Odprężył się przy majorze i stracił czujność. Teraz jego wyznanie zbiło go z tropu.

– Dzieje się coś niedobrego. Bardzo niedobrego... O wczorajszym wypadku wiesz. Byłeś na miejscu.

Doktor odłożył sztućce. Popatrzył z uwagą na starego wiarusa. Kilka spraw stało się jasnych. Major nie był do końca w stanie spoczynku. Musiał wciąż pracować dla służb państwowych. Jego charyzma i kontakty były nie do przecenienia.

Podobnie jak twarda głowa, umiejętność rozmowy i otwartość granicząca niemal z naiwnością. Ale to Winnicki był naiwny, nie doceniając wcześniej Podyły.

– Wywiad wojskowy? Dla nich pracujesz? Czy może bezpośrednio dla rządu?

Major się uśmiechnął. Machnął ręką.

- Jeden czort.

– Czego ode mnie chcesz? – Andrzej starał się rozluźnić, ale był spięty. Dziwiło go, że Podyła zagrał z nim w otwarte karty. Zastanawiał się nad celem tej konfrontacji. Przypisać ją można było pewności siebie majora czy też wręcz przeciwnie? Podyła nie bawił się w podchody. Wyglądało to tak, jakby w jednej chwili podjął decyzję o wyłożeniu kart na stół. Może nie miał wyboru? Może chodziło o czas?

- Twoje badania, które prowadziłeś dla wojska. Prace nad metalowymi golemami, nową, mechaniczną armią... – Podyła wyciągnął pudełko egipskich przednich i spojrzał pytająco na doktora. Winnicki rzadko palił, odmówił. Podyła się nie kłepował.

– Nieudany epizod. Badania, które się nie powiodły...

– Nie wiem, czy ta wiadomość cię zmartwi czy ucieszy – przerwał doktorowi dosyć stanowczo major. – Wszyscy myśleli tak, jak ty teraz. Okazało się jednak, że twój najbliższy współpracownicy fałszowali wyniki badań.

Winnicki nie był w stanie nic powiedzieć. Przeszył go zimny dreszcz. Jego największa porażka w życiu. Moment, w którym stracił wiarę w swoje badania. Początek staczania się, obwiniania siebie i innych. Początek problemów w małżeństwie, gdy swoją frustrację przeniósł na arenę domową.

- Kto?

– Malinowski pracował dla Niemców. Podobnie Tarkowicz...

– Zygmunt Syboń?

- Siedzi w Breslau. – Podyła pokręcił głową. – Trudno powiedzieć. Wiem, że się lubiliście i byłby to dla ciebie potężny cios.

Doktor przypomniał sobie starego profesora, którego darzył sympatią i podziwem. Był to jeden z tych naukowców starej daty, którzy poświęcali się pracy całkowicie. Co więcej, Winnicki wiele mu zawdzięczał - to profesor pomógł mu w nowatorskiej operacji po wypadku syna, kiedy nikt inny nie chciał się na nią zgodzić. Zajął się Markiem jak własnym dzieckiem. Rzeczywiście, gdyby doktor miał teraz usłyszeć, że profesor był jednym ze zdrajców, jego świat dokumentnie ległby w gruzach.

– A Wojtala? – Winnicki czuł gulę w gardle, która rosła z każdą chwilą, powodowała trudności w oddychaniu.

– Wojtala nie. Najprawdopodobniej dowiedział się czegoś o tych zdrajcach. Być może był bliski zdemaskowania spisku.

Pomogli mu...

Pomogli mu przenieść się na tamten świat. Winnicki skinął głową, jakby przyjął wszystkie informacje bez zastrzeżeń, jakby pogodził się z faktami, które teraz stały się oczywiste.

Malinowski i Tarkowicz zginęli w wypadku lotniczym. To była wersja, w którą wierzył do dziś. Okazało się, że sabotowali projekt badawczy, który miał być przełomowym odkryciem. Nie tylko sabotowali, ale i go wykradli. Wojtala tymczasem był najbliższym współpracownikiem Andrzeja. Popełnił samobójstwo kilka tygodni po zamknięciu projektu. Miał problemy rodzinne, nikt nie podawał w wątpliwość przyczyny jego śmierci. Sam Winnicki nie okazał wtedy zainteresowania, był zbyt zajęty przeżywaniem własnej porażki. Zbyt skupiony na sobie, tak jak i przez kolejne długie lata.

– Dlaczego... dlaczego mi o tym mówisz, teraz?

– Niemcy wcielają twój projekt w życie. Tworzą armię mechanicznych żołnierzy. Zagrażają naszemu bezpieczeństwu.

– Boże... – Doktor oparł ręce na białym obrusie.

– Od kilku miesięcy nie mamy kontaktu z ludźmi, których udało nam się wcisnąć do ich placówki badawczej pod Berlinem.

– Szpiegów?

– Tak, szpiegów. Nie wiemy, na jakim etapie są Niemcy. Podobno mieli sporo problemów, ale kto wie, czy już sobie z nimi nie poradzili. W końcu na przygotowania mieli kilka ładnych lat. Pewne jest jedno: wykonali sporo metaloszkieleatów. Czy działają i na jakich zasadach? Nie jestem w stanie powiedzieć.

Doktor próbował objąć umysłem wszystkie te informacje i ich implikacje, a przy tym nie zwariować. To, co mówił Podyła, przerażało go, a jednocześnie wprawiało w stan euforii, niezrozumiałej ekscytacji. Wiedział, że zaniechany projekt „Golem” nie jest mrzonką, wizją szaleńca. A teraz inni próbowali wprowadzić go w życie.

Winnicki poczuł, że kręci mu się w głowie. Brakowało mu powietrza.

– Jest coś jeszcze. Zrobiliśmy Niemcom podobne kuku, jak oni nam. – Podyła wypuścił dym i zza kłębow szarawej zawiesziny utkwiał w doktorze uważne spojrzenie.

– To znaczy? – wydusił Winnicki.

– Sabotowaliśmy jeden z ich projektów i w końcu go wykradliśmy... – Major zdusił papieros w popielniczkę.

– Nie wyglądasz jednak na szczęśliwego z tego powodu – zauważył nie bez złośliwości doktor.

– Bo nie jestem pewny czy to nasz sukces czy może raczej porażka... Domyślasz się, o jakim projekcie mówię?

Winnicki pokręcił głową, ale zamarł.

– Pociski transkontynentalne? Wymyślili je Niemcy?

Podyła skinął głową. Nie odrywał wzroku od Winnickiego.

– Chcemy, żebyś pojechał do Waldorfiego, przyjacielu. – W oczach majora widać było zmęczenie, rzecz zupełnie do Podyły niepodobną. – Wierzę, że będziesz w stanie odkryć, o co w tym wszystkim chodzi, a także czy... czy nie ukręciliśmy sami na siebie bicza.

Doktor chciał coś powiedzieć, ale nagle obok stolika zrobiło się głośno. Przyjaciele Podyły poderwali majora z krzesła.

Towarzystwo było już mocno rozbawione i rozochocone. Podyła szybko podłapał nastrój. Zmienił się nie do poznania.

Stary szarmancki dandys, dusza towarzystwa, zakręcił się wokół stolika, zaraz połała się wódka, pojawiły kolejne potrawy. Winnicki nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Tkwił w dziwnym umysłowym paraliżu, niczym w transie. Gdy patrzył na Podyłę, nie dał się już więcej zwodzić. W oczach majora widział to, czego wcześniej nie był w stanie dostrzec.

Gdyby Winnicki miał nazwać to odczucie, określiłby je mianem strachu.

1918 WSPOMNIENIA

Zawsze bałem się naszej izolacji na arenie międzynarodowej. Postanowiłem zrobić wszystko, by jej przeciwdziałać, a do swoich celów zamyśliłem pozyskać jedną z najbardziej rozpoznawalnych osobistości naszej sceny kulturalnej i politycznej.

Rzeczywiście, trafnie opisywano Paderewskiego, porównując go do egzotycznego ptaka z lśniącym czubem. Podziwiano go za granicą i słuchano, nie tylko na koncertach, ale i w sprawach politycznych, w których nie bał się zabierać głosu.

Chciałem, by za moją namową zmienił się w inne zwierzę. Z ekscentryczną lwią grzywą przypominał zresztą króla zwierząt. Miał posłuch i siłę, której potrzebowaliśmy. Już wtedy, w 1919 roku, mógł wygrać dla nas wiele spraw, co w tamtym czasie, gdy odrodzona Polska była na międzynarodowej arenie izolowana, wydawało się szczególnie ważne.

Paderewski, na wieść o tym, że chcę się spotkać z nim oraz Stanisławem Patkiem i Eustachym Sapiehą, zaproponował na miejsce rozmów swój Bristol, przez długi czas jego oczko w głowie. Zgodziłem się, zastrzegając jednak, by nikt nam podczas konferencji nie przeszkadzał.

Wchodząc do imponującej sali, zauważyłem, że panowie zdążyli się już posilić. Zapewne przeczuwali, że sam odmówię poczęstunku, a czekać ich będzie kilka godzin bez szansy na zaspokojenie głodu.

– Potrzeba czasu – Paderewski czuł się zobowiązany prowadzić rozmowę, gdy Sapieha i Patek ograniczali się do kiwania głowami lub skąpych odpowiedzi na moje pytania. – Na wszystko potrzeba czasu...

– Tego akurat nie mamy, premierze – zauważyłem. – Musimy położyć kres izolacji Polski. Uznanie naszego kraju przez mocarstwa ententy to zaledwie pierwszy krok do zapewnienia nam spokoju. Musicie, panowie, skoncentrować się na nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z szeregiem państw. Nasz głos musi być słyszany wszędzie. Nie tylko w Europie, ale i poza nią.

– Planujemy ustanowić nowe placówki za granicą...

– Macie na to zaledwie kilka miesięcy. – Patek, gdy tylko mu przerywałem, zwykł się straszliwie czerwienić. – Waszyngton, Londyn, Rzym, Madryt, Praga, Antwerpia, Zurych... a nawet Koszyce, Królewiec czy Hamburg! Konsulaty, misje, ambasady obsadzone ludźmi, którzy nie spoczną w najtrudniejszych chwilach, by bronić naszych racji!

– Co chce nam Naczelnik powiedzieć? – Paderewski nalał do kieliszków koniaku, gdzieś z daleka dochodziły do nas dźwięki muzyki, jakby w jednej z sal ktoś zapuścił patefon. – Czeką nas w najbliższym czasie kolejna próba? Myśli Naczelnik, że Niemcy odważą się ruszyć? A może Rosjanie?

– To więcej niż pewne. – Dostrzegłem, że Sapieha poruszył się nerwowo w fotelu. Nie skomentował jednak moich słów. – Zabory rosyjski i austriacki są w ruinie, ludność przetrzebiona, głód, ubóstwo, stolica w opłakanym stanie. Nie możemy skupiać się tylko na odbudowie kraju. Prędzej czy później na wschodzie obudzą się bolszewicy. Nie możemy dopuścić, by Francja i Anglia zostawiły nas samym sobie. Jeśli Niemcy zobaczą dwuznaczne zachowanie mocarstw, poczują się na tyle pewnie, by wystąpić przeciw nam.

– Kiedy Naczelnik przewiduje...

Tym razem równie obcesowo jak wcześniej Patkowi przerwałem Paderewskiemu. Nie mogłem powiedzieć mu wszystkiego. Musiałem się jednak zabezpieczyć na ewentualność przedłużenia działań wojennych.

– Lada miesiąc. Jednak to początek lat dwudziestych rozstrzygnie o losie naszego kraju i losie Europy. Wojna nas czeka, panowie. Potrwa dłużej, niż byśmy chcieli... Wy musicie zapewnić nam głos w krajach, które są w stanie Polsce pomóc. Nie możecie dopuścić, by nasi naturalni sprzymierzeńcy stali się wrogami, którzy obwiniać nas będą o wszczynanie kolejnej wojenki. To od was, panowie, zależy nasz dalszy los. Być może znajdziemy się w kleszczach dwóch mocarstw, naszych odwiecznych wrogów. Nie dopuście do naszej

izolacji i, na Boga, nie pozwólcie, by znów nas sprzedano!

1932 WARSZAWA, HOTEL BRISTOL

– Messalka! Przyjechała!

Winnicki nie musiał wyglądać przez okno, by wiedzieć, że jak co wieczór po przedstawieniu w teatrze Messalka zajechała powozem pod Bristol w towarzystwie swoich licznych adoratorów. Zespół Golda i Petersburskiego zaczął grać już chwilę wcześniej. Zebrało się sporo gości, zrobiło się gorąco. Doktor nie wstawał już nawet od stołu, żeby przywitać coraz to nowych znajomych Podyły.

Większości z zebranych nie znał. Sporo tu było aktorów, kilku oficerów na przepustce i bogatych dam we wspaniałych sukniach wykonanych ze stuprocentowego polskiego jedwabiu z Milanówka, do tego niemała liczba polityków. Tylko wśród tych ostatnich Winnicki był w stanie paru rozpoznać; zamienił z nimi kilka grzecznościowych zdań. Bardziej interesowała go kaczka, którą podano, i śledź, którym nie pogardził jako podkładem pod wódkę.

W tym głośnym, dusznym falowaniu sali Andrzej wkrótce odnalazł rytm. Był tak podobny pulsowaniu jego własnej krwi. Pęd kolejnych postaci wirujących na parkiecie, ściskających się, wymieniających zdania w zażartej rozmowie lub błahym flircie. Widział roześmiane twarze, coś więcej niż zwykłą chęć zabawy, odkrył w tym pragnienie zapomnienia o tym, co było na zewnątrz Bristolu, kilkaset kilometrów dalej. W uderzeniach bębnowych wyczuł głębszy, bardziej złowrogi ton, więcej niż pomruk burzy. Z każdym kieliszkiem, z każdą kroplą palącego płynu wlewane go do gardła ten dźwięk przeistaczał się w powolną agonię, huk dział na froncie, a śmiech bawiących się w jęk rannych i konających.

Zawrót głowy był potężny. Doktor sam nie zdawał sobie sprawy, kiedy stanął na nogach i zachwiał się nad stołem.

Widział zaciekawione spojrzenia, niektóre pełne zdziwienia, inne roześmiane. Być może naigrywali się z niego, widząc ten stan upojenia. Zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma kieliszek w dłoni. Kryjąc zmieszanie, wykrzyknął toast: - Za Polskę i Polaków!

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że kieliszek jest pusty, więc zaśmiał się upiornie. Ktoś usłużnie napełnił szkło, ktoś inny podchwycił toast. Wódka wlała się w dziesiątki gardeł.

Winnicki znów chciał coś zakrzyknąć. Coś o psich synach, o tchórzach, którzy siedzieli w Bristolu, bawiąc się do upadłego, gdy kwiat tego narodu oddawał ostatnie tchnienie, walcząc za takich jak oni. Ale wtedy poczuł na łokciu mocny uścisk. Chciał się wyszarpnąć, poleciał do tyłu. Na szczęście ktoś zapobiegł jego upadkowi i odciągnął go na bok.

Po chwili dopiero zdał sobie sprawę, że to Podyła wybawił go od salonowego samobójstwa. Major uśmiechnął się, poklepał Winnickiego po plecach.

- Zmieniamy otoczenie, przyjacielu. Obaj musimy przewietrzyć łby.

Doktor tylko przytaknął, dając się nieść muzyce i wspierając na ramieniu kompana. Dołączyło do nich kilku innych mężczyzn, przyjaciół majora. Razem ruszyli do windy.

Andrzej potrząsnął głową, próbując przywrócić ostrość wzroku. Białe, żelazne ramy z taflami szkła wyglądały niczym tajemniczy wehikuł. Machina stworzona przez szaleńca, zdolna nie tyle przewieźć ich w górę z prędkością metra na sekundę, co zabrać w przyszłość z prędkością co najmniej dekady na piętro.

I rzeczywiście, gdy wreszcie wylądowali na dachu, Winnicki poczuł się, jakby był świadkiem zmian, które pchną kolejne stulecie w wir następujących po sobie odkryć. Postęp, wizja śmiałków uznawanych za skończonych wariatów, ludzi wydających ostatni grosz na spełnianie marzeń.

Dwaj energiczni mężczyźni, Zenon Wandzik i Franciszek Sadyba, przywitali majora, Winnickiego i towarzyszących im dżentelmenów. Reflektory oświetlały balon z napisem „Warszawski Transport Balonowy”. Kosz przytrzymywany przez kilku ludzi powoli zaczynał się unosić. Płomień rozgrzewający powietrze buchnął żarem. Winnickiemu wwiercily się w uszy oklaski i okrzyki ekscytacji. Sam dał się

ponieść tej euforii – poczuł się lekko, jakby to on napełniał się gorącym gazem i zaraz miał unieść wysoko, do gwiazd.

– Wsiadajmy, panowie! – zagrział Podyła. – Kurs do pałacu Szlimakowskiej!

Znów oklaski. Winnicki spojrział po twarzach rozochoconych mężczyzn. Wiedział, że ma równie szkliste oczy i płonące policzki. Gorąco buchało im z głów, dławili się nagłą wolnością. Jakby mieli świat u stóp i absolutną nad nim władzę.

– Doktor Winnicki? Zaszczyt pana spotkać!

Andrzej rozpoznał Franciszka Sadybę. Widział jego zdjęcia na szpaltach prasy. Sadyba ze współnikiem, uśmiechnięte twarze awanturników, w tle jeden z ich balonów.

– Nie, to zaszczyt dla mnie, panie Franciszku. Zaszczyt poznać wizjonera, który realizuje swoje plany... Takich jest niewiele!

– Dziękuję, w imieniu swoim i Zenka. Słyszeć to z usta człowieka, którego zawsze stawialiśmy sobie za wzór, to wielkie szczęście.

– Co też pan. – Winnicki machnął ręką, choć komplementy na niego podziały. – Mnie zawsze brakowało panów konsekwencji.

– Może brakowało panu współnika, kogoś, kto by pana wsparł w ważnej chwili?

Doktor zadumał się nad słowami młodego człowieka. Zastanawiał się, czy ten mówił poważnie. Jego refleksja wydała mu się szczerą i wygłoszoną bez podszytych złośliwością intencji.

– Może... – odpowiedział krótko. – Może.

– Wchodzimy, panowie! U Szlimakowskiej czekają najpiękniejsze z pięknych!

Sadyba się zaśmiał. Pomógł Winnickiemu i pozostałym mężczyznom zająć miejsca w koszu. Wkrótce wzbili się w powietrze.

Z Bristolu w okolice ulicy Towarowej nie było daleko. Andrzej zastanawiał się, jak balon poradzi sobie z mozolnym unoszeniem, a potem lądowaniem na dachu kolejnego budynku. Szybko jednak zapomniał o tych przemyśleniach, gdy zobaczył odbicie luno w nurtach Wisły i ulice oświetlone mdłym, drżącym światłem. Wystarczy zmienić perspektywę, by sprawy ważne stały się błahymi, by budynki, które wydawały się nowoczesnymi olbrzymami, zmalały do rangi pospolitych karłów, kartonowych pudełek.

Winnicki zastanawiał się, co by zrobił, gdyby rzeczywiście miał świat u stóp. Zgniółby go obcasem czy może hołubił, dbał o niego niczym najbardziej oddany ogrodnik o krzak ukochanych róż?

– Warszawa mieści się w dłoniach, nieprawdaż, przyjacielu? – Podyła zawył niczym wilk do księżycy. Kompani odpowiedzieli mu zachrypniętymi gardłami.

Andrzej poczuł się jak w watasze, która wyruszyła na łowy. Miał kiedyś taki sen: był wilkiem, gnał przed siebie, za przewodnika mając tylko blade światło migoczące pośród drzew. Nie wiedział, dokąd biegnie i po co. Gdy wydawało się, że opada z sił, zatrzymał się nad brzegiem jeziora. Popatrzył w odbicie w wodzie i zobaczył swoją twarz. Inną, niż znał.

Lśniącą, odbijającą światło niczym wypolerowany kawał metalu.

Wyciągnął wtedy ręce i dotknął gładkiej powierzchni. Była ciepła i przyjemna w dotyku. Zabawne, pod palcami czuł twarz człowieka z metalu, ale miała ona w sobie więcej życia niż ta pokryta skórą. Nietrwała, zużywająca się, niszcząca z wiekiem wraz ze swoim właścicielem.

– Ogród Saski pod nami!

– Nasz Sztab. – Podyła wskazał Pałac Saski, który przecież wszyscy widzieli.

– Wspaniała droga, od pałacu królewskiego, liceum naszego Chopina, po dowództwo armii rosyjskiej, a teraz Sztab Generalny Wojska Polskiego... – zaśmiał się Sadyba. – Kto wie, co będzie tu za jakiś czas?

– Lepiej, żeby zostało, jak jest! – zawyrokował Podyła.

– Nic nie trwa wiecznie – zauważył Winnicki.

Przez chwilę wszyscy w ciszy obserwowali pałac. Wydawało się, że znika w ciemnościach, rozplywa się w mrocznej pustce, by znów, ostatkiem sił, pojawić się na tle czarnej otchłani.

– Wiatr się zmienia, panowie! – zagrzemiał Wandzik, rozpraszając tę dziwną wizję. – Czas użyć dysz!

Andrzej z ciekawością przesunął się do konstruktorów. Mężczyźni odkręcili zawory butli przymocowanych z boku kosza. Sadyba wysunął koło sterowe, które operowało ustawieniem dysz. Wandzik w tym czasie nasilił ciśnienie sprężonego powietrza.

– Na kursie! – zawołał Sadyba, nie kryjąc dumy. Dodatkowe śmigła poruszyły się, kierując balon na odpowiedni tor.

Winnicki rozpoznał to urządzenie. Niemal o nim zapomniał. Było jednym z wielu jego projektów, które pozostały na papierze. Jak widać do czasu. Ktoś inny miał więcej sił i energii, by nabrały materialnego, realnego kształtu. Nie, nie był o to zazdrosny. Sadyba i Wandzik budzili raczej jego podziw.

– Nie ma pan za złe, doktorze? – zapytał ten pierwszy.

– Skądże. – Andrzej uśmiechnął się szczerze. – Ważne, że okazały się przydatne.

- Szlimakowska nie może się doczekać. Lądujemy, panowie!

Podyła wyciągnął skądś butelkę szampana. Sadyba był przygotowany, bo w rękach pasażerów pojawiły się kieliszki.

Trunek popłynął pienistym strumieniem.

– Za dzisiejszą noc! – Major znów zawył do księżyca.

- Za dzisiejszą noc! – odpowiedziała mu wataha. Tym razem i Winnicki dołączył do niej swoim zachrypłym głosem.

1932 FRONT ZACHODNI

– To złom, poruczniku, założyliśmy gąsienice, ale nie da rady nim ruszyć. Sprawdzaliśmy, to chyba coś z napędem... – Sylwester Biegus co chwila ocierał pot z czoła, widać było, że coraz bardziej się denerwuje.

Chwilę wcześniej podczołgali się do mechanicznego monstrum. Marek wybrał maszynę, którą wcześniej uszkodził wiązkami granatów. Wpakowali się do środka. Wewnątrz było zadziwiająco mało miejsca, szybko zrobiło się duszno i wszyscy stali się bardziej drażliwi.

– Biegus, nie bądź w gorącej wodzie kąpany – Blizna skarcił podkomendnego. Wiedział, że musi wykazać się opanowaniem. Nie mogli pozwolić sobie na błędy. – Daj pomyśleć.

Rzeczywiście pojazd sprawiał im pewne problemy. Porucznik nie bał się jednak o silnik, wiedział, że w odpowiednim momencie sobie z nim poradzi. Popatrzył na swoich ludzi. Byli umorusani od stóp do głów, w zakrwawionych niemieckich mundurach wyglądali, jakby ledwie uszli z życiem z pola walki. Doskonale, pomyślał, wielka inscenizacja pełną gębą. Teraz tylko zachować spokój.

Do Winnickiego i Branickiego dołączyli Sylwek Biegus i kapral Antoni Morawiec. Gdy tylko Marek z Maksymem znaleźli się w oddziale, ta dwójka wyszła naprzeciw, obwieszczając, że ochotnicy zostali wyłonieni w drodze gruntownej selekcji.

Blizna nie mógł wyjść z podziwu – wieści obieły okopy lotem błyskawicy, jakby w ziemi umieszczony był system rur podsłuchowych. Porucznik domyślał się, że do akcji zgłosił się cały stan osobowy, ale akurat tych dwóch miało największy posłuch.

– Morawiec, jak dam znak, odpalisz ustrojstwo. Wiesz, jak to prowadzić?

– Żadna filozofia, poruczniku. Niech mi porucznik da pary do kotłów, to ruszymy w trymiga.

– W porządku, przygotujcie się.

Marek przecisnął się na tyły maszyny, tam gdzie spodziewał się znaleźć silniki. Branicki pomógł mu unieść pokrywę osłonową.

– Znowu te twoje sztuczki? – wyszeptał. – Mogę popatrzeć?

– Patrz. – Blizna pochylił się nad studzienką w podłodze.

Maks skierował światło tak, żeby oświetlić maszynię. Biegus nie widział tych zabiegów, skupiony przy fotelu, na którym Morawiec walił pięścią w kolejne zegary i przyrządy. Blizna podwinął rękaw i rozprostował palce.

Wsunął metalową dłoń w szparę, sięgając regulatora Watta. Kulki poruszyły się i zanim dotknął którejkolwiek, przeskoczyła między nimi iskra.

– Widziałem to już kilka razy, a wciąż nie mogę uwierzyć – Branicki szeptał, ale w jego głosie wyczuwalne było drżenie. – Masz wspaniały dar, przyjacielu.

– Stój tak, żeby chłopaki nie widziały.

Blizna przesunął się do kotła. Dotknął obudowy zbiornika. Pomiędzy palcami a kotłem rozbłysła niebieska łuna.

– Jeszcze chwila – wyszeptał.

Usłyszeli dudniące trzaski, gdy metalowe części zasobnika zaczęły rozprężyć się pod wpływem ciepła.

– To ładunek elektryczny czy oddajesz raczej część swojej duszy maszynie? – zaśmiał się cicho Maksymilian.

– Chcesz sprawdzić na własnej skórze?

– Broń Boże! Nie chcę, żebyś mnie tym usmażył! Skończyłeś już?

– Za chwilę!

– Morawiec, przygotuj się! – Branicki krzyknął, by ostrzec podkomendnego.

– Czekam na rozkaz!

Marek znów się poruszył. Ktoś z boku mógłby ulec wrażeniu, że porucznik gładzi kocioł z czułością kochanka. Po chwili Blizna sięgnął do cylindra. Od studzienki buchnęło gorącym.

- Teraz!

Tłok został wprowadzony w ruch przez parę puszczonej pod wysokim ciśnieniem. Maszyna zadrżała, gaśienice zabuksowały ze zgrzytem.

- Wiśta wio! – wydarł się Morawiec. – Poruczniku, jest pan czarodziejem!

- Abrakadabra – wyszeptał pod nosem Marek.

- Amen – dodał z powagą Branicki.

Machina zachwiała się na boki i ze zgrzytem ruszyli w ciemność.

- Jechać wyznaczoną trasą, Morawiec! Zaraz wypalą nasi. Nie chcę, żeby nas okopčili!

- Się wie, panie poruczniku!

- Głupio byłoby ginąć od własnych pocisków. – Branicki zaśmiał się zgrzytliwie i podał rękę Bliznie, pomagając mu powstać z kolan. Oba się zatoczyli, gdy niemiecka maszyna podskoczyła na nierówności.

- Byle Morawiec nie jechał za szybko. Szwabymuszą najpierw nas dojrzeć.

- Nie martw się Maks, na pewno już o nas wiedzą.

W odpowiedzi w powietrzu rozległ się świst, a potem ogłuszający wybuch. Kawałki skał uderzyły w pancerny korpus.

- Nasi? Czy tamci?

- Ogłuchłeś, kapralu? – syknął Biegus. – To nasze siedemdziesiątki piątki. Zgodnie z planem walą obok.

- Ino żeby z tą celnością nie przesadzili. – Antoni Morawiec pocił się nad wajchami sterującymi. Machina co chwila podskakiwała jak piłka.

- Nie rób w portki. Ma wyglądać, jakbyśmy się przyczaili, a teraz uciekali do swoich. Wszystko ganc, pierwsza klasa, nie, panie poruczniku? – Branicki poklepał Marka po plecach.

- Sylwek, zacznij szprechać po ichniemu – Blizna ponaglił Biegusa, który swego czasu był radiotelegrafistą. – Kody od chłopaków z wywiadu zabrałeś?

- Pewnie, żem zabrał, panie poruczniku. – Szeregowy rzucił się do reflektorów. Zaczął nadawać świetlny sygnał w stronę niemieckich umocnień.

- Oby wywiadowcy mieli najnowsze dane. – Maks otarł pot z czoła. Nagle wszystkim minęła wesołość. Czekali na reakcję Niemców na ich hucpę.

- Nie walą do nas, to chyba dobrze? – wychrypiał Morawiec.

- Skup się na jeździe – ochrzanił go Biegus. – Tak trzęsiesz, że za cholere tego nie odczytają.

Wybuchy w końcu ustały. Wyjechali z pasa ziemi niczyjej i zbliżyli się do niemieckich umocnień.

- Branicki i Biegus, na mój znak zdejmiecie pokrywę dolnego wjazdu ewakuacyjnego.

- Tak jest, poruczniku.

Od tej chwili jechali w milczeniu, Na twarzach załogi widać było rosnące napięcie. Marek sam zauważył, że bezwiednie zagryza dolną wargę.

- Jest sygnał Niemców! – krzyknął Biegus.

- Co mówią?

- Każą się zatrzymać...

- Cholera jasna – zaklął Morawiec.

- Zatrzymacie się, dopiero jak dam znać, kapralu, zrozumiano?! – krzyknął Blizna. – A ty, Biegus, ślij sygnał, że wieziemy rannych, potrzebni sanitariusze. Przekaż też, że mamy ogień w wieżycze!

- Co chcesz zrobić? – Branicki najwyraźniej nie najlepiej czuł się zamknięty w ciasnym pomieszczeniu. Nie był typem żołnierza, który zdawał się na łaskę maszyn. Czuł się w nich zupełnie bezbronny. – Mają nas na celowniku!

- Zobaczysz... – Młody porucznik przecisnął się obok przyjaciela. Wyciągnął z plecaka dwie butle z mętnym płynem. – Bierz butelki. Wylej zawartość przez dziurę w poszyciu na zewnątrz, tak żeby oblać korpus. Na mój znak podpalisz... Tylko nas nie usmaż!

- Tak jest! – zaśmiał się Maks.

- Ostatnie ostrzeżenie! – Biegus operował reflektorem jak wariat. – Zaraz do nas przyłożą!

– Branicki, gotów?

- Gotów!

W powietrzu rozległ się świst, a potem obok maszyny wybuchł pocisk.

- Teraz! Podpalaj!

Do wnętrza kokpitu dostał się dym. Za tankiem wykwitł pióropusz ognia.

– Rzucili ostrzegawczym. Następny ma być celny! – krzyknął Biegus.

– Sygnalizujcie, że mamy tu ogień, że nie możemy się wydostać. – Blizna patrzył przez wizjer na niemieckie okopy.

Czekał z napięciem na reakcję szkopów.

– Uwaga, odpisują, że... panie poruczniku, dają nam wolną drogę! – Biegus wrzasnął jak potępieniec.

– Brawo, Marek. – Maksymilian wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Przed nami najtrudniejsze, panowie. – Blizna zauważył, że obsada niemiecka rozsuwa zasieki, robiąc miejsce na przejazd. – Morawiec, odbij na prawo, ale zaledwie o kilka stopni, tak jakbyś tracił sterowność...

Marek zauważył, że po prawej znajduje się większa liczba okopów. Najprawdopodobniej tam właśnie okop przedni łączył się z komunikacyjnym. Mogli liczyć na to, że trafią na skrzyżowanie.

– Znajdź równiejszy teren. Na mój znak wyskakują w kolejności Biegus i Branicki. Morawiec, zablokujesz stery i dasz całą naprzód. Wtedy wyskakujemy pod brzuchem obaj.

– Tak jest – w tanku rozległo się ledwie słyszalne potwierdzenie.

– Mamy przed sobą równy kawałek – zakomunikował Biegus.

– Jeszcze nie... – Marek wyczekiwał na odpowiedni moment. – W wypadku rozdzielenia miejsce i czas zbiórki znacie. Na spóźnionych nie czekamy. Otworzyć pokrywę. Sylwek, przygotować się.

Branicki i szeregowy wcześniej poluzowali wąż, teraz unieśli go i odrzucili na bok.

- Wyjazd!

Blizna patrzył, jak jego podkomendni jeden po drugim opuszczają pojazd. Teraz musiał działać szybko.

Morawiec zablokował stery i manetkę gazu. Mieli przed sobą jakieś dwieście metrów płaskiego pola, a potem kolejne zasieki i umocniony post.

– Gotowy, poruczniku! – kaprał popatrzył na Marka, ale nie ruszył się z miejsca.

Blizna wysunął z plecaka lont. Torba jego i Branickiego wyładowana była po brzegi materiałem wybuchowym przygotowanym przez saperów. Po odpaleniu Marek miał do wybuchu kilkanaście sekund.

– Antek, wyskakuj – wydał rozkaz, po czym odpalił lont. Upewnił się, że plecak nie wypadnie w ślad za nim, po czym opuścił się przez wąż.

Jego nogi zaszurały o ziemię, szybko jednak zwolnił uchwyt i przyłgnął do wilgotnej gleby. Stalowy potwór przejechał nad jego głową. Zgrzyt gąsienic wydawał się rozsadzać czaszkę.

Porucznik obrócił się na brzuch. Wzrokiem odszukał najbliższe zagłębienie i odczołgał się w jego kierunku. Wysunął głowę, patrząc, jak niemiecka maszyna prze w stronę najbliższego umocnienia. Odliczał w myślach.

Siedemnastocentymetrowy lont dawał mu tyle samo sekund do detonacji.

- Trzy... dwa...

Eksplozja była potężna. Post otoczył gejzer ognia, w powietrze wyleciały fontanny ziemi, betonu i kamieni.

Blizna podniósł się i pochyłony, pobiegł w stronę okopu komunikacyjnego. Wiedział, że teraz wśród Niemców zapanuje na tym odcinku chaos. Nikt nie będzie wiedział, kto przyjaciel, a kto wróg.

WARSZAWA, PAŁAC SZLI MAKOWSKIEJ

Sadyba z Wandzikiem wysadzili ich na dachu i odebrali stamtąd innych gości, którzy zmierzali do Bristolu. Ten kurs musiał powtarzać się często. Doktor Winnicki uściśnął dłonie obu współników, po czym dał się porwać Podyła i jego przyjaciółom.

Przed wejściem na klatkę schodową popatrzył jeszcze za siebie. Widok odlatującego balonu zakłuł go w sercu jakimś niezrozumiałym żalem. Jakby opuszczał go najwierniejszy przyjaciel. Nie wiedział, skąd wzięło się to uczucie. Nie zdążył przecież przywiązać się do Sadyby i Wandzika, musiało więc to być coś innego. Może ta ich wolność, ta siła, która przebijała nie tylko uścisku ich dłoni, ale i spojrzenia, aury, jaką ci młodzi mężczyźni roztaczali. Jego własna była wymięta, szara i słaba. Tak jak on.

Lokaj oczekujący gości na dachu otworzył przed nimi drzwi. Weszli w ciasny korytarzyk, którego ściany oklejone były wzorzystymi tapetami, i ruszyli w dół schodów, mijając skrzące się złotem kandelabry. Już tutaj zakręciła doktora w nosie specyficzna mieszanina zapachów: perfum, alkoholu i papierosów. Wkrótce zeszedł piętro niżej, gdzie w ukłonach, z serdecznym uśmiechem na twarzy, przywitał ich mężczyzna w białej peruce.

– Witamy w pałacu rozkoszy! – wykrzyknął i otworzył przed nimi podwoje masywnych drzwi.

Teraz nie tylko zmysł węchu Winnickiego został zaatakowany intensywnymi doznaniem. Do jego uszu dotarły skoczne dźwięki pianina, gwar podnieconych rozmów, śmiechy, brzęk szkła. To wszystko wylało się z ogromnej sali, której nie powstydziliby się pałace francuskich markizów.

– U Szlimakowskiej jak w Pałacu Saskim w czasach świetności, nieprawdaż, doktorze? – zaśmiał się Podyła.

Winnicki był w stanie się z nim zgodzić. Spojrzał na marmurowe kolumny i połączone stiuki sufitów. W ramach ogromnych kryształowych lusterek odbijały się postaci gości i bryły najdroższych mebli, jakie swego czasu sprowadzali carscy do Warszawy z najodleglejszych zakątków Europy. Winnicki bywał u Szlimakowskiej, choć rzadko uczestniczył tu w rautach i zabawach, a głównej sali unikał jak ognia. Odwiedzał za to odosobnione pokoje, w których dżentelmeni szukali bardziej kameralnego towarzystwa.

Doktor nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zaspokajanie najniższych instynktów stanowiło tutaj tak naprawdę jedynie skromny dodatek. Było to bowiem miejsce spotkań nie tylko miłośników kobiecych wdzięków, ale i tych, którzy chcieli się odprężyć, zaznać rozrywki w luźnej atmosferze, potaćczyć, posłuchać muzyki, napić się wódki. Na uzalenie się nad sobą nie było tutaj przyzwolenia. Salonik stanowił miejsce zapomnienia, przy dźwiękach galopującego kankana, ale i orkiestry z wiodącą rolą skrzypiec czy barowego pianina.

Wystarczyło raz zejść do tego Hadesu, by wrócić z jeszcze większą ochotą.

Podyła poprowadził ich ku łożu, zapewne wcześniej zarezerwowanej. Winnicki poznał kilku stałych bywalców, z którymi przywitał się zdawkowo. Znał to towarzystwo, skutecznie z owymi dżentelmenami długie dysputy, nieprowadzące do żadnych znaczących konkluzji. Wymiana argumentów, siłowanie się na słowa i odgrzewane anegdoty stanowiły substytut męskich zapasów. Dziś nie był zdolny do jakiegokolwiek poważnej wymiany myśli. Wiedział, że w razie czego będzie odpowiadał półsłówkami, niejasnymi aluzjami, nie chcąc zupełnie oddać pola. Był świadom, że to męska przypadłość, na którą nie miał recepty.

– Wypijmy, panowie, na jedną nóżkę – zaproponował znajomy majora. Z ruchów i zachowania także żołnierz. Łysy, z ostatnimi kępkami siwych włosów po bokach głowy, upodabniającymi ją do kapusty.

– Tych nówek było już tyle, że do północy będziemy jako żywo przypominać stonogi! – zarechotał inny z mężczyzn. Co rusz rzucał rozgorączkowane spojrzenia na tancerki w kabaretkach.

– Nie ma co kryć, że z facjaty jako żywo stonogę przypominasz, drogi Kudelski! – przygadał mu kolejny, ponury urzędnik, którego Winnicki znał z widzenia. Kilka razy widział go w ministerstwie. Zdaje się, że

niegdyś pełnił funkcję jednego z sekretarzy w gabinecie premiera Walerego Sławka.

Widać było, że ci dwaj mają mocno w czubie. Musieli mieć ze sobą na pieńku jeszcze przed przybyciem nowych gości.

Winnicki wiedział, jak sprawa się rozwinie. Nieraz był świadkiem podobnych awantur. Dżentelmenów tego pokroju nie brakowało. Zaczynali od rozmów o polityce, używali wyszukanych słów, by po kilku kieliszkach bełkotać i skakać do siebie niczym koguciki. Scenariusz był zawsze podobny. Zaraz wyciągną rękę, niby do bitki, ale żadnemu nie starczy siły i odwagi, by zacząć poważniejszą aferę. Urazy pójdą w zapomnienie, a oni przysięgną sobie dożgonną przyjaźń. W stanie upodlenia jeszcze kilka razy krzykną na siebie i na tym się skończy.

Podyła, ignorując tamtych, przysunął się bliżej Andrzeja i dystyngowanego jegomościa, który wciąż poprawiał binokle.

– Panowie, mieliście okazję się poznać? – zagadnął major, wypuszczając za siebie kłęby szarego dymu.

– Nasz Wielki Konstruktor! – zaczął mężczyzna. – Człowiek odznaczony Orderem Orła Białego za zasługi dla narodu, wykładowca na uniwersytecie w Oksfordzie, Waszyngtonie, Gandawie, uczony nagrodzony wieloma wyróżnieniami w świecie nauki... Żałuję, że wcześniej nie miałem przyjemności!

– Pozwólcie więc przyjaciele, że to mnie przypadnie zaszczyt, byście poznali się oficjalnie. Andrzeju i Andrzeju, oprócz imienia macie ze sobą wiele więcej wspólnego!

– Poseł, minister, prezes Lewiatana – wymieniał Winnicki. – To raczej pan mocno zasłużył się dla kraju, panie Cierzbicki.

– Można tak powiedzieć o każdym z tu zgromadzonych. – Mężczyzna uśmiechnął się skromnie. Miał pociągłą, przystojną twarz, ozdobioną modnym wypielegnowanym wąsem. Wysokie czoło nadawało mu wygląd myśliciela, a w oczach widać było ogromną inteligencję. – Ja jednak uważam, że mogę być jedynie przyczynkiem do rzeczy wielkich, wspierając wielkich ludzi takich jak pan, panie Winnicki.

– Tu mnie pan zaskoczył. – Doktor uniósł brwi. – Moje nazwisko przebrzmiało już tak, jak i moje osiągnięcia.

– Proszę nie odebrać tego jako moje grubiaństwo, ale pan się myli. – Cierzbicki pochylił się do rozmówców, spojrzął na nich uważnie. – Uważam, że pański wkład w rozwój naukowy naszego kraju jest nie do przecenienia! Przemysł to nasze zbawienie, nasza przyszłość, a nowe technologie, które opracowują myśliciele tacy jak pan, zapewnią nam ogromną przewagę nad innymi państwami.

– Mówi pan o tym jak o wyścigu.

– A czyż tak nie jest? Ten wyścig trwa już przecież od ładnych paru lat, i to za sprawą Piłsudskiego. Czy możemy mieć o to pretensje do Naczelnika? Uważam, że nie, przecież nikt się za nami nie będzie oglądał. Nikt nie wyciągnie do nas dłoni, byśmy mogli dogonić świat i Europę. Albo wsiądziemy do rozpędzonego pociągu, albo zostaniemy na stacji zwanej średniowieczem.

Winnicki niemal się roześmiał. Powstrzymał się jedynie z szacunku dla Cierzbickiego.

– W czasach wojny ludzie potrzebują rzeczy bardziej przyziemnych. – Doktor wskazał na suto zastawione stoły. – Szampan do leguminy? Gdy większość nie ma co do garnka włożyć? To państwo ledwo okrzepło. Cud nad Wisłą dał nam poważny argument. Poczuliśmy i zrozumieliśmy, czym jest własny kawałek ziemi, ale wielu dopiero teraz zdało sobie sprawę, że stali się częścią tego narodu.

– Ależ mówimy o tym samym, doktorze! Nie myślę przecież tylko o wyścigu zbrojeniowym. Mam na myśli także wyścig, w którym technologia zostanie zaprzęgnięta w służbie społeczeństwu! Maszyny usprawnią wydobycie węgla, pomogą w zasiewach, zbiorach. Nowe drogi, linie kolejowe i powietrzne, a wreszcie komunikacja miejska, one pobudzą nasz kraj, złączą na nowo, zepną sieć, która nas scali! W końcu zautomatyzujemy linie produkcyjne, ułatwimy życie ludziom. Czy wie pan, że co kilka miesięcy owe linie produkcyjne przestawiane są, by montować kombajny parowe dla naszego spichlerza na wschodzie? Zaledwie tydzień temu kilkaset kolejnych egzemplarzy zostało wysłanych na Ukrainę. Dzięki nim nie zabraknie nam chleba przynajmniej do wiosny! To nowoczesne technologie. Po wojnie zaczniemy sprzedawać na nie licencje, i to my będziemy zawsze krok przed innymi!

– Piękna wizja. Jak jednak sam pan zauważył, wciąż trwa wojna, plan natomiast wydaje się zakrojony na czas pokoju.

Przestawienie linii produkcyjnych z parotanków na kombajny na razie mija się z celem.

– Itu trafia pan w sedno, drogi doktorze. – Cierzbicki nachylił się jeszcze bardziej, w jego oczach pojawiły się iskry.

Widać na ten temat mógł perorować długo i z zapalem. – Całe szczęście, że mamy za prezydenta Ignacego Mościckiego.

On, jako naukowiec, zna nasze bolączki i wie, gdzie tkwić będzie nasza siła. W końcu po wyborze na prezydenta przekazał kilkadziesiąt patentów państwu polskiemu. Jednak i nasi wrogowie nie zasypiają gruszek w popiele. Na froncie mamy impas, ale każdej ze stron zależy, żeby go przełamać, i w końcu to nastąpi. Nie wiemy, jak bardzo zaawansowani w swoich projektach są Rosjanie, domyślamy się, w jakim kierunku zmierzają Niemcy. Major Podyła mówił, że nie ma kontaktu z ludźmi pracującymi dla nas za linią frontu...

Winnicki skinął głową, choć zaczynało ogarniać go przerażenie. Domyślał się, o czym mówi jego rozmówca, ten temat został już dziś poruszony. Cierzbicki miał sporo informacji. Doktor spojrzął na majora Podyłę, w zamyśleniu palącego kolejnego papierosa. Zaczynał rozumieć, że nie tylko spotkanie z majorem, ale i z przemysłowcem nie było przypadkowe.

– Nasi wrogowie na pewno nie śpią – przyznał sucho. Ten slogan wyrwał mu się w pamięci. Słupy ogłoszeniowe wciąż były ich pełne.

– Dokładnie! A my przespaliśmy ostatnie kilka lat! Mimo potencjału, jakim dysponujemy. Mimo wybitnych umysłów, które mogłyby zapewnić nam zwycięstwo. Na szczęście znaleźliśmy zrozumienie u Piłsudskiego. Dekadę temu zaprzęgliśmy wszystkie nasze siły, fabryki, ludzi, by zapewnić nam przewagę na froncie.

– Lewiatan? Pańskie stowarzyszenie zaangażowało się w działalność wspierającą przemysł zbrojeniowy?
– Dla doktora była to nowość. Szukał w pamięci jakichkolwiek informacji, doniesień prasowych, które rzuciłyby mu się w oczy.

Bezskutecznie.

- Tak, przejęliśmy niemal wszystkie projekty.

– Niemal? – zainteresował się Winnicki.

– Pociski transportowe, zgodnie w wolą Piłsudskiego, pozostały pod kuratelą wojska i profesora Waldorfięgo. Nie mamy wglądu w projekty, do nas należy jedynie odlew kapsuł i dostarczanie elementów konstrukcyjnych do Warsztatów Lotniczych – w tonie głosu Cierzbickiego można było wyczuć rozczarowanie tym faktem. – Mimo to rozwijamy przemysł zbrojeniowy, na nieznaną dotąd skalę. Śmiało mogę powiedzieć, że w ciągu kilku lat dokonaliśmy skoku technologicznego, który w normalnych warunkach zajęłby nam lat kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt.

– Wojna i państwowe pieniądze dały wam taką szansę?

- Także nasze własne. – Cierzbicki nie wyglądał na poruszonego uwagą. Zaczął mówić głośniej, bo na scenie znów pojawiły się tancerki, a orkiestra zaczęła przygrywać jakąś skoczną melodię. – Robimy wszystko, by wojna zakończyła się jak najszybciej, a nowe odkrycia, technologie, wprowadzić w życie już w warunkach pokoju.

- Wnioskuje z pana przemowy, że żałuje pan, iż to nie Lewiatan stał za przejściem technologii pocisków transportowych od Niemców?

- Technologię zdobył wywiad wojskowy, Piłsudski zdecydował, że została ona przekazana jednostce badawczej Waldorfięgo. Z decyzją Naczelnika polemizować nie będę, choć nie ukrywam, że chcielibyśmy, by ten projekt mogły rozwijać nasze jednostki badawcze. Fakt jest jednak taki, że to profesor Waldorfi zajmuje się pociskami międzykontynentalnymi. Nam pozostaje wspierać go wszelkimi możliwymi środkami.

- Z marnym skutkiem, jak wnoszę po ostatnich wydarzeniach?

Wydawało się, że Cierzbicki w końcu popładł, choć może wrażenie to wywołały światła błyskające nad rozognionymi tancerkami.

– Przekazano nam informację o zaczepach, które miał zawieść... Wierzę, że to tylko nieszczęśliwy wypadek. Jestem także pewien, że pańskie ustalenia to potwierdzą. Poparłem całym sercem i rozumem

pańską kandydaturę przedstawioną przez komisarza Sieniawę i majora Podyłę. Potrzebujemy bezstronnego, dysponującego wiedzą fachowca, który zbada tę sprawę.

– Czym zasłużyłem sobie na takie zaufanie?

– Kilka pańskich odkryć...

– Kilka moich odkryć? – przerwał Winnicki, unosząc wysoko brwi. Zaśmiał się, gdy zauważył porozumiewawcze spojrzenie Cierzbickiego i majora Podyły.

– Mówię o tym, które uważam za przykład pańskiego geniuszu, Wielki Konstruktorze...

Doktor skinął głową. Te wszystkie dzisiejsze spotkania, rozmowy. Nic nie pozostało w sferze przypadku.

– Chyba wiem, o który z projektów panu chodzi. Nie muszę chyba nikogo uświadamiać, jak się skończył? – Winnicki tęsknie spojrzał na pusty kieliszek, ale postanowił, że na razie więcej pić nie będzie.

– Chociaż podejrzewam, że pan to już wie. Jeśli jednak „Projekt Golem” jest w rękach... w obcych rękach, nasi wrogowie mieli czas, by znacznie posunąć go do przodu. Być może są bliscy wyeliminowania problemów, na które my sami natrafiliśmy. Mieli na to sporo czasu.

– Andrzej – przysłuchujący się do tej pory wymianie zdań Podyła postanowił się wtrącić – gdy tylko nasz wywiad dowiedział się o wykradzeniu projektu przez Niemców, uruchomiliśmy wszystkich naszych ludzi, by przeszkodzić im w jego wdrożeniu. Wiemy, że nie udało im się obejść problemów, o których wspomniałeś. Wciąż mamy szansę ich wyprzedzić. Dlatego zwróciliśmy się do pana Cierzbickiego, a teraz i do ciebie, z prośbą o pomoc.

– Czego tak naprawdę ode mnie pan chce, prezesie Cierzbicki? – zniecierpliwiał się doktor.

– „Projekt Golem” – powtórzył przemysłowiec. – Przez te wszystkie lata Piłsudskiemu udało się go utrzymać w tajemnicy. Wiem o nim od niedawna. Gdybyśmy spotkali się wcześniej, gdybym choć podejrzewał... Doktorze, musi pan je ożywić! Posiadamy nieograniczone fundusze. Zaczęliśmy kilka miesięcy temu, przygotowaliśmy setki korpusów według pańskiego schematu. – Spojrzał wynalazcy w oczy. – Chcemy, żeby pan do nas dołączył. „Projekt Golem” nie uda się bez pana.

– Boże... – Winnicki pokręcił głową, z niedowierzaniem albo podziwem, trudno było stwierdzić. – Jesteście szaleńcami!

– Więc dobraliśmy się jak w korcu maku, nieprawdaż? – powiedział spokojnie Podyła.

Cierzbicki się zaśmiał. Doktor patrzył jednak na niego niewzruszony.

– Skoro udało wam się zająć tak daleko, poradzicie sobie sami z, jak pan to ujął, „ożywieniem” golemów. Obawiam się, że nie będę w stanie wam pomóc.

Podyła wypuścił głośno powietrze. Cierzbicki wzruszył tylko ramionami.

– Martwią mnie pańskie słowa, doktorze. Piłsudski ma się coraz gorzej. Ta wojna go zniszczyła, pożyje jeszcze kilka miesięcy, tygodni. Dni...? Nie wiadomo. Rząd Walerego Sławka walczy o przetrwanie. Witos znów chce wrócić do gabinetu i ma na to spore szanse. Po śmierci Marszałka zaczną się komisje, kontrole, polowanie na czarownice... Czyli to, co nasi politycy lubią najbardziej. Katastrofa transportowca może zniweczyć plany rządu. Trzymają się w tej chwili kurczowo pomysłu sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Co jednak, jeśli sprawa nie wypali, a Hoover nie przyleci w obawie o swoje życie? Piłsudski i rząd Walerego Sławka nie mają planu B. Wszystko, co robimy, pójdzie na marne. Dajmy naszemu rządowi alternatywę. Wierzę, że jeśli pan do nas dołączy, uda nam się wprowadzić w życie „Projekt Golem”. Ze Stanami Zjednoczonymi, czy bez, zakończymy tę wojnę w ciągu roku! Proszę więc przemyśleć naszą propozycję. Wszystko od tego zależy.

1922 WSPOMNIENIA

Wojna.

Stało się tak, jak zostało mi przepowiedziane.

Tamtego dnia poranek był chłodny, chociaż zbliżała się połowa sierpnia. Z Aleksandrem Prystorem znacznie nadłożyliśmy automobilem drogi, bym przed wyjazdem do Puław mógł jeszcze zobaczyć żonę i córki.

Powód na nadłożenie drogi miałem jeszcze inny, ale o tym za chwilę.

Ola czekała na mnie. Długo rozmawialiśmy, a ja, przyznając, nie potrafiłem ukryć swoich obaw, które w ostatnich dniach mną zawałdnęły. Musiałem być mocno posępny, bo Aleksandra uznała w końcu, że każdym moim słowem żegnam się z nią i dziećmi i szykuję się na śmierć.

Ona sama była wyjątkowo spokojna i przyznam, drażniła mnie jej absolutna pewność, że bitwa o Warszawę skończy się zwycięstwem, a ja wyjdę z niej bez szwanku. A przecież wiedziałem, że kobieta ta posiadała wielką intuicję, która nigdy jej nie myliła. Wystarczy wspomnieć, że jeszcze za czasów legionowych, przed bitwą pod Laskami, przewidziała, że zostaną ranny w głowę, choć bez poważnych następstw, co rzeczywiście się wtedy zdarzyło.

Ja swojej własnej intuicji zaufać wtedy jeszcze nie mogłem. Wciąż się wahałem, choć kolejne eksperymenty potwierdzały, że przyszłość narodu jest w moich rękach, a przepowiednie zjawy są trafione. Ogarniał mnie jednak strach, nie tyle o wynik nadchodzącej bitwy, ile o konsekwencje tego, co umyśliłem uczynić po niej. To straszna odpowiedzialność.

Chwilami zdawało mi się, że naprawdę czeka mnie śmierć, a Polskę koniec pod jarzmem bolszewików.

Tuchaczewski już 13 sierpnia uderzył na stolicę i wielu miało mi za złe, że w tych dniach nie byłem z moimi żołnierzami.

Postanowiłem jednak trzymać się tego, co umyśliłem. Przywoływana zjawia upewniała mnie za każdym razem co do słuszności moich decyzji. Przekaz jej był jednoznaczny. Nie mogłem brać bezpośredniego udziału w obronie Warszawy, przygotować się za to miałem do przeprowadzenia kontrofensywy i przyznam, czekałem na tę chwilę jak na szpilkach.

Gdy wreszcie nadszedł dzień, w którym nasze wojska odparły wroga, upewniłem się, że oto w mych rękach spoczywa los tego narodu. „Cud nad Wisłą”, zwiastowany mi kilka lat wcześniej, stał się faktem. Wiedziałem, że teraz w pełni mogę zaufać przepowiedniom, które przekazywała zjawia. Ode mnie zależało, jak potoczą się losy kraju. A ja postanowiłem nieoczekiwaną pomoc z tamtej strony wykorzystać.

Odmowa podpisania traktatu brzeskiego i pokoju z Rosją były konsekwencją moich decyzji. Postanowiłem, że nie dopuszczę, by Orzeł Biały został zdeptyany przez Niemców i Rosjan. Wciąż miałem przed oczami obrazy z wizji Agni Pilchowej. Pókim żyw, musiałem zrobić wszystko, by nadchodzący wysiłek był tym największym i ostatnim na drodze ku wolności.

Musiałem poprowadzić nasz kraj inną linią historii, która zapewni nam zwycięstwo oraz pokój. I moment ten właśnie nadszedł.

WARSZAWA, PAŁAC SZLI MAKOWSKIEJ

- Cierzbicki wie, co robi. Ma mocne plecy, wielu przyjaciół. Ludzi majątnych, energicznych, dążących do celu.

Podyła kontynuował wcześniejszy wątek nawet po wyjściu przemysłowca. Atmosfera rozluźniła się mocno i prezes Lewiatana postanowił opuścić lokal, wymawiając się ważnymi spotkaniami w kolejnym dniu. Winnicki uznał to za wielce roztropne posunięcie. Wśród „tutejszych dżentelmenów” zdarzali się plotkarze pierwszej wody. Prezes do tej pory nie odwiedzał miejsc takich jak to u Szlimakowskiej, zapewne zrobił wyjątek ze względu na spotkanie z Winnickim. Cierzbicki cieszył się nieposzlakowaną opinią i nie chciał narazić jej na szwank. Nad ranem działy się tu rzeczy, które wprawiłyby w zażenowanie niejednego zaprawionego w boju poszukiwacza przygód.

- Teraz nie wiadomo, kto przyjaciel, a kto wróg - zauważył sarkastycznie doktor.

- Jesteś fatalistą, przyjacielu. Wiem jednak, że znów rozniecimy twój zapał. Wszyscy chcemy zakończenia wojny i wskrzeszenie twojego projektu może nam to zapewnić. Zdajesz sobie przecież sprawę, że to też ogromna dla nas szansa.

Szansa, by zapobiec kolejnym ofiarom.

- A co z Hooverem? Tą wizytą, na którą tak liczycie? Już nie wierzycie, że Amerykanie pomogą nam wygrać?

- Nikt tego nie wie. To zamysł Piłsudskiego, a wiesz, że on z nikim się teraz nie dzieli szczegółami swoich planów. Daj Boże, by jego koncept zakończył wojnę, jeśli jednak nie... nadzieja pozostanie w „Projekcie Golem”.

- Mam wrażenie, że działasz na dwa fronty.

Podyła spojrzał na Winnickiego poważnie.

- Na dwóch nogach człowiek stoi pewniej niż na jednej. Wiem, że przemyślisz prośbę Cierzbickiego. Teraz martwi mnie jednak wypadek kapsuły transportowej. Sam plan Piłsudskiego ma dla mnie wiele niewiadomych. Wierzę Marszałkowi, wiem, że chce dobrze dla Polski. Jeśli jednak zależy nam, by wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych doszła do skutku, musimy być pewni pocisków transportowych. Dlatego tak ważne jest, żebyś porozmawiał z Waldorfim, spojrzał na schematy.

- Myślisz, że to jest tak proste? Spojrzę na projekty i będę wszystko wiedział? Masz mnie za czarodzieja? Majorze, uważałem cię za człowieka mocno stąpającego po ziemi!

- Ależ jestem nim! - Podyła uśmiechnął się szeroko. - Wiem też, kochany doktorze, że jeśli ty nie zrozumiesz tych schematów, to nikt ich nie pojmie. Może to, co się wydarzyło, jest zwykłym wypadkiem wywołanym przez czynnik ludzki, źle przymocowany parotank doprowadził do katastrofy, a może była to wada konstrukcyjna zaczepów... To się zdarza. Co jednak, jeśli kryje się za tym coś więcej? Naszym obowiązkiem jest sprawdzenie wszystkiego, inaczej nie będziemy mieli spokojnego sumienia.

- Nie ufacie Waldorfimu? Przecież to on zajmuje się projektem.

- Ufam tylko sobie - powiedział poważnie Podyła. - Itobie, mój drogi.

- Ma z tym zaufaniem coś wspólnego fakt, że mój syn będzie w kolejnym transporcie?

Podyła uniósł brwi w zdziwieniu. Winnicki nie dał się zwieść. Wiedział, że trafił w sedno.

- Twoi obaj synowie są odważnymi, młodymi obywatelami naszego kraju. Ojczyzna jest z nich dumna. Życie każdego człowieka jest dla mnie ważne. Zwłaszcza synów mojego przyjaciela.

- Mogłeś zostać politykiem, mój drogi... - Winnicki powinien odczuwać złość, ale ogarnęło go jedynie zmęczenie.

Spojrzał na swój kapelusz. - Zastanowię się nad tym.

- Nie myśl zbyt długo. - Podyła przywołał kelnera, odpalił papierosa, pomachał znajomym tańczącym na

parkiecie. – Nawet już dziś może być za późno...

Andrzej wstał, założył kapelusz i skinął majorowi. Nie czekał, aż ten podniesie się, by go pożegnać. Obrócił się i ruszył do wyjścia. Zatoczył się przy jednym ze stolików. Odprowadziły go zaciekawione spojrzenia rozbawionych gości.

– Nie pójdziesz do mnie na górę? Tęskniłam za tobą, doktorze.

Słodki głos Anastazji. Winnickiego owionął zapach jej perfum. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Z każdym krokiem ubywało mu sił, a kolana zamieniały się w watę. Teraz jeszcze ona. Andrzej poczuł ciepło w podbrzuszu. Alkohol uderzył do głowy.

– Powinieneś odpocząć. Zrobię ci mocnej kawy.

– Nie... – Winnicki znów się zachwiał. Potoczył spojrzeniem wokół siebie. Miał wrażenie, że wszyscy wlepiają w niego wzrok. Kryształowe żyrandole mieniły się kolorami tęczy. Czerwone ściany zdawały się pulsować, zupełnie jak krew w skroniach. – Nie – powtórzył już ciszej.

Popatrzył w szeroki dekolt kurtyzany. Próbował złapać ostrość widzenia na jej pełnych piersiach, które tak uwielbiał.

– Proszę, chodź ze mną – powiedziała bardziej stanowczo. Przyciągnęła jego głowę do siebie, tak że oparł czoło na jej ramieniu. Mogło się wydawać, że tu oto, w korytarzu pałacu Szlimakowskiej, ta dwójka tańczy w takt odległej muzyki.

– Musisz się z kimś spotkać – wyszeptała mu do ucha. – Mój przyjaciel inżynier Ossowiecki prosił, żebym przekazała ci wiadomość... Andrzeju, słuchaj mnie! – syknęła, gdy próbował się uwolnić z jej objęć.

– Przewidział twoją niechęć do niego, to, że uważasz go za hochsztaplera i kłamcę. Ale on ma dar, piękny dar od Boga...

– Jeśli ma jakikolwiek dar, to raczej od diabła – wychrypiał Winnicki i zaśmiał się szyderczo. Zapach perfum Anastazji owładnął nim, pozbawiając zmysłów. Zamknął oczy. Świat wirował w nieustającej pogoni, nie było mocnych, by powstrzymać ten pęd.

– Myśl, co chcesz! – Wpiła się boleśnie paznokciami w jego szyję. – On cierpi, nawet nie wiesz, jak bardzo. Nawiedzają go wizje, coraz silniejsze. Jest w takim stanie, że... Nieważne. Powiedział, że jeśli odmówisz, mam przekazać ci te słowa: „Lada dzień nastąpi wstrząs, który zmieni historię. Zamiast światła przyjdzie ciemność, potwór morski się obudzi!”.

Winnicki spróbował się odsunąć. Krzywiąc się, popatrzył na kobietę. W końcu udało mu się wyswobodzić z jej objęć.

Uniósł dłoń, jakby chciał kogoś odepchnąć albo uderzyć, ale tylko włożył kapelusz. Lokaj znalazł się przy nim z płaszczem i zarzucił mu go na ramiona. Doktor wrócił chwiejnym krokiem na salę i zatrzymał się przy mężczyźnie, który przesiadywał u Szlimakowskiej każdego wieczoru i którego profesja nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

– Powiedz mu... – wybełkotał Winnicki, nachylając się nad zaskoczonym korpulentnym blondynem. – Powiedz Sieniawie, że ma podstawić paromobil rano pod mój dom, zrozumiałeś?

Mężczyzna skinął głową. Był czerwony jak burak, chociaż mogło być to tylko złudzenie potęgowane czerwonymi draperiami.

– No! – Andrzej uniósł palec i wskazał nim nieokreślony kierunek. Z sykiem wypuścił powietrze, jakby pozbywał się za jednym razem wszelkiego plugastwa, które zaległo mu się w płucach. Przeszedł przez marmurowy hol, a stamtąd wydostał się na ulicę.

1932
WARSZAWA,
RESTAURACJA OAZA

Juliusz czekał na nią w Oazie przy Wierzbowej. Na jej widok poderwał się z krzesła, potrącając stół. Marianna zachichotała w duchu. Mężczyzna był niezdarny i nerwowy. Sam powtarzał często, że poza sceną czuł się jak ryba wyciągnięta na brzeg. W sumie też tak wyglądał. Jego przylizane staromodnie włosy lśniły od grubej warstwy pasty. Pociągłą, inteligentną twarz rozjaśnił uśmiech, choć zmarszczki mimiczne zdradzały skłonność do umartwiania się.

- Jesteś, już niemal straciłem nadzieję!

Podąła mu dłoń, którą ucałował, patrząc jej głęboko w oczy. Odsunął krzesło, by usiadła, i zaraz pomachał do kelnera.

- Nie będę jadła – zastrzegła. – Napiję się tylko wody.

Wydawał się zawiedziony, ale skinął głową. Popatrzyła na stół. Juliusz zdążył wypić pięćdziesiątkę wódki, zapewne wybornej, którą zawsze zachwalał. W ten sposób dodawał sobie odwagi.

- Dostałem pieniądze! – zakomunikował z dumą. – Wystawimy *Lilię Wenedę*!

Uśmiechnęła się delikatnie, skinęła głową. Nie miała wątpliwości, że pieniądze się znajdują. Polityka państwa oparta była teraz na ideałach romantycznych, a tym Juliusz hołdował jak mało który dyrektor warszawskich teatrów.

- Nie cieszysz się? Roza Weneda! To rola wymarzona dla ciebie.

- Widzisz mnie jako tę, która przepowiada klęski?

Stropił się. Nie rozumiał jej rozterek.

- Cieszę się – powiedziała z uśmiechem. – Marzyłeś o tym od dawna.

- Tak! – odzyskał rezon, znów ujął jej dłoń w swoją. Oczywiście mu podnieceniem. – Mam wielkie plany, także wobec ciebie!

Marianna słuchała jego opowieści, w odpowiednich momentach kiwając głową, jednak myślami była zupełnie gdzie indziej. Osiągnęła to, co chciała. Rozkochała w sobie dojrzałego mężczyznę, któremu w czasach wojny udało się zrobić oszałamiającą karierę. Był cenionym reżyserem i jednocześnie dyrektorem Teatru Rozmaitości. U jego boku czekała ją niewątpliwie także wielka kariera i spełnienie marzeń. Jednak czy rzeczywiście takie było jej pragnienie?

Nagła refleksja zmroziła ją. Zdała sobie sprawę, że jest podobna do matki bardziej, niżby tego chciała. Kto wie, czy w pewnym sensie nie była od niej gorsza. Jej własne wybory nie dyktowane były przecież rozterkami serca, jak w przypadku Anny. Podejmowała je świadomie, z chłodnym wyrachowaniem. Potrafiła wykorzystywać mężczyzn, tak jak teraz wykorzystywała Juliusza. Nie kochała go, był częścią planu, który od dłuższego czasu realizowała. Kochała przecież kogoś zupełnie innego. Mężczyznę o tym samym imieniu, lecz różniącego się od Osterwy w każdym szczególe. Pewnego siebie, młodego człowieka, który kilka miesięcy temu zawrócił jej w głowie. Spotkali się przypadkowo w jednej z restauracji po premierze spektaklu, w którym grała jedną z pomniejszych ról. Rozmawiali długo o sztuce, teatrze i filmie.

Zdawał się czytać w jej myślach. Wspólne wyjścia do kina, spacer. Juliusz zawładnął jej myślami i po raz pierwszy ogarnęło ją uczucie, którego, jak jej się wydawało, nigdy nie zazna.

- Przygotowania ruszają pełną parą, Mari!

Marianna nawet nie zauważyła, kiedy kelner postawił przed nią wodę mineralną. Juliusz zdążył wypić kolejną pięćdziesiątkę wybornej. Był zaczerwieniony na twarzy, gestykulował bez opamiętania, co chwilę zrzucając z blatu kolejne sztucce.

- Słyszysz, Marianno?

Popatrzyła na niego chłodno. Czy była w stanie dalej to ciągnąć? Grać swoją rolę, oszukiwać siebie

i innych?

– Nie mogę... – wstała nagle od stołu. Przeraziła się swoich myśli. W lustrach zdobiących ściany restauracji zdawała się widzieć odbicie własnej matki. – Nie mogę dla ciebie zagrać. Przepraszam, po prostu nie mogę!

Osterwa był szczerze zaskoczony. Patrzył z szeroko otwartymi ustami, jak Marianna wybiega z sali.

Dziewczyna przejęła od szatniarki płaszcz i kapelusz i ruszyła do drzwi wyjściowych.

– Marii Marianno, stój!

Nie odwróciła się nawet. Wybiegła na chodnik i wskoczyła do jednej z czekających na klientów Oazy dorożek. Fiakier ruszył, a ona schowała twarz w dłoniach, próbując spowolnić natłok bolesnych myśli.

1932 OKOLICE RAWICZA, FRONT ZACHODNI

Ziemia znów zdrząła. Powietrze przeszył huk dział, zasypujących żelastwem pas ziemi niczyjej. Na tę polską kanonadę odpowiedzieli Niemcy, jakby i oni dostrzegli w rozoranym pasie niewidzialnego wroga. Niebo rozjaśniły smugi rac.

Zakotłowało się w okopach, ludzie automatycznie przeszli w stan czuwania.

Po kilkunastu minutach wszystko ucichło.

Noc pokryła linię frontu ciężkim całunem. Korpus pancерnej bestii dogasał, kilku zwiadowców przeszukało metalowe truchło i wróciło na stanowiska z meldunkiem.

W tym czasie Blizna pokonał zaledwie kilkaset metrów. Jednym z okopów ruszył za grupą Niemców w stronę umocnień rozlokowanych za pierwszą linią. Odłączył się od nich po kilku minutach, wybierając okop komunikacyjny, który wydał mu się najlepszym rozwiązaniem.

Na posterunkach podawał hasło podsłuchane podczas przejścia z grupą. To potwierdzało jego przypuszczenia, że w pojedynkę prościej się precyzyjnie przemieszczać przez niemieckie linie. Miał nadzieję, że jego ludzie nie natrafią na większe przeszkody.

Grubo po północy znalazł się na miejscu zbiórki. Branicki już na niego czekał. Błyskał zębami w szerokim uśmiechu, najwyraźniej z siebie zadowolony. Kilkanaście minut później dołączył do nich Biegus. Brakowało Morawca.

– Musimy trzymać się planu. – Branicki niecierpliwił się coraz bardziej. – Jeśli wpadł, mogą go zmusić do gadania.

– Morawiec nie dałby się złapać, a jeśli go jakimś cudem przydybali, to nic nie powie – zaoponował Biegus. – Znam go.

- Tak czy owak, nie możemy na niego czekać w nieskończoność. Już prawie godzina po czasie.

– Być może gdzieś utknął... – Biegus wpatrywał się w ciemność z napięciem. – Gdyby go złapali, od razu podnieśliby alarm.

– Marek, ty tu dowodzisz – naciskał Maksymilian. – Decyzja należy do ciebie.

Blizna skinął głową, czego być może jego towarzysze nie zauważyli.

– Idziemy. Morawiec będzie musiał dać sobie radę.

Branicki od razu ruszył ścieżką do lasu, jakby z ulgą. Pozostawanie w tym miejscu groziło natknięciem się na patrol.

Porucznik miał większe opory, ale w tej chwili nie mógł zrobić nic innego. Powrót i szukanie żołnierza byłyby samobójstwem. Miał nadzieję, że chłopak nie dał się złapać i że jednak uda mu się wrócić do swoich.

Mieli przed sobą kilka kilometrów marszu w trudnym terenie. Branicki jednak szedł przed siebie bez wahania. Blizna podążał za nim. Tyły ubezpieczał Biegus. W dłoniach trzymał stalowy pręt, który najpewniej wyciągnął z wraku niemieckiej maszyny. Karabin wisiał mu luźno na pasku, jakby zupełnie zbędny.

Maszerowali w milczeniu. Branicki chwilami zatrzymywał się, nasłuchując, potem podejmował chód. Nie zawahał się nawet na chwilę, nie błędził, jakby urodził się z kompasem w głowie.

Do świtu było jeszcze daleko. Zatrzymali się przy drodze. Maksymilian pokazał im zabudowania, których Marek w mroku sam by nie dostrzegł. Potem wolno ruszyli w ich stronę.

Porucznik dopiero chwilę później zauważył wyraźniejsze kontury budynków. Były to właściwie podłużne baraki.

Dobiegało do nich niezbyt długi pas startowy, szersza polana, na której mogły cumować sterówce.

Wyglądało na to, że dotarli na miejsce.

Przykucnęli przy linii drzew, chowając się za wysokimi, suchymi trawami. Branicki wyciągnął lornetkę i przyjrzał się okolicy. Następnie odwrócił się do towarzyszy.

– Rozprężenie wrogiem wojaczki. Jeden posterunek. Nie wiadomo, jaka obsada jest w środku.

Marek w lot pojął, o czym mowa. W ostatnich dniach oczekująca na przylot sterowców obsada baraków nerwy miała napięte jak postronki. Gdy zadanie zostało wykonane, napięcie opadło i wkradła się niefrasobliwość. Akurat dla nich była to dobra okoliczność.

– Trzeba tam wejść, poruczniku – odezwał się Biegus. – Wyciągniemy z nich informacje. Im szybciej się zdecydujemy, tym lepiej.

– Poczekajcie tu. – Branicki odłożył karabin. Poprawił ułożenie noża w cholewce buta i wyciągnął pistolet. – Dam sygnał, podejdziecie.

Patrzyli, jak Maksymilian rozplywa się w ciemności. Marek wysilał wzrok, starając się dostrzec jakieś poruszenie, cokolwiek, co zdradziłoby pozycję kapitana, ale ten poruszał się bezszelestnie niczym duch.

Niemal kwadrans minął od momentu, gdy Maks oddalił się w stronę baraków. Blizna zaczynał się już niepokoić.

Popatrzył na Biegusa, ale ten najwyraźniej nie podzielał jego obaw. Przesuwał w ustach kawałek urwanej trawki, jakby był na jakimś pikniku.

- Jest tylko jeden.

Marek niemal podskoczył, gdy Maksymilian pojawił się za jego plecami.

– Tylko jeden? – upewnił się Biegus. Nie wyglądało na to, że ta informacja jakoś szczególnie go ucieszyła.

- Też mi się to nie podoba. – Branicki przykucnął pomiędzy nimi i wpatrywał się w jaśniejszy prostokąt zabudowań. – Dałbym głowę, że nikogo nie ma oprócz niego. Albo cała obsada wyjechała z ładunkiem, albo możemy się spodziewać, że lada chwila ktoś wróci z nocnej eskapady. Jest jeszcze możliwość trzecia. To międzylądowanie sterowca było mistyfikacją.

– To co robimy? – zapytał Biegus.

Marek wiedział, że obaj patrzą teraz na niego. Nie miał wyboru. Musieli działać szybko, jeśli chcieli wykorzystać sytuację.

– Wchodzimy. Bez wystrzału. Musimy z niego wyciągnąć wszystko, co wie.

– W porządku. – Maksymilian skinął głową. Nie spodziewał się innej propozycji. – Idźcie za mną. Trzymajcie odległość.

Spotkamy się przy budynku po prawej.

WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO

Andrzej Winnicki ocknął się pod drzwiami na ramieniu Olafa, który wyciągnął go z dorożki i powlókł po schodach do domu.

– Słyszysz, Olafie... stukot końskich kopyt... Słyszysz?

- Tak, proszę pana.

– On mnie uspił, Olafie. Spałem jak dziecko całą drogę. Od lat tak nie spałem, od lat!

- To prawda, doktor nie śpi dobrze. – Lokaj siłował się ze swoim pracodawcą, kierując go do wejścia. Trudno mu było zapanować nad jego bezwładnym ciałem.

– Wcale nie śpię! Ale może powinienem kazać się wozić konnym powozem...? Co noc.

– Teraz zimno, proszę pana, zmarzłoby pan na kość... – Olaf stęknął i pchnął ramieniem ciężkie odrzwia.

– Ale latem? – Winnicki chciał się obejrzeć za siebie i niemal przewrócił siebie i lokaja. – Szkoda, że w nocy zakaz jest na paromobile, są zbyt głośne. Wiesz, że ja...

Doktor przerwał, gdy znalazł się w korytarzu. Marta przejęła jego płaszcz i kapelusz. Szybko zniknęła, gdy Olaf kazał zaparzyć mocnej kawy.

- Ja mam w głowie swoistego rodzaju paromózg, przyjacielu. Dasz wiarę? Wciąż chrzęści, wciąż stuka, zębatki obracają się, ocierają o siebie, jak zapiaszczone... – Winnicki opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Palce wpiły się w skronie. – Nie dają mi spać, nie dają mi myśleć. Wciąż skrzypią, piszczą, huczają! Z tym nie można żyć!

– Musi pan odpocząć, doktorze, zasnąć, wyspać się wreszcie.

– Ale właśnie o tym mówię! – Winnicki zaśmiał się szaleńczo. – Mówię ci o tym, co nie daje mi spać! Co nie daje mi żyć!

Zdradzam ci swój największy sekret!

– Doktorze, ja tam wiem jedno: spać każdy musi. I doktor, jak poczuje zmęczenie, zaśnie.

Winnicki podniósł głowę. Spojrzał na lokaja z niedowierzaniem, jakby zdał sobie sprawę, że Olaf nie pojmuje niczego z wyznania, którym się z nim dzielił. W końcu wstał, odtrącił usługowe ramię i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

Poczuł się jak statek na wzburzonym oceanie, a potem zaraz, dla kontrastu, jak skała, o którą rozbijają się fale. W końcu jednak ocean i fale okazały się potężniejsze. Doktor zachwiał się i niesiony jakimś porywem, skierował się do drzwi od piwnicy.

– Idę do warsztatu, na dół... Niech nikt mi nie przeszkadza... Marcie powiedz, żeby kawę zostawiła pod drzwiami.

– Jak sobie doktor życzy. – Olaf się skłonił. Wzrok wbił w podłogę.

Winnicki jeszcze chwilę walczył z grawitacją. Zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, a w końcu nacisnął kłamekę.

– Światło, Olafie...

Żarówka rozbłysła nad schodami i niżej w pomieszczeniu. Doktor zmrużył oczy, a potem, przytrzymując się ściany, zszedł do swojego królestwa.

Pajęczyna musnęła mu policzek. Strącił ją zniecierpliwionym ruchem dłoni, przez co noga osunęła się na stopniu, na szczęście zdążył złapać się poręczą.

Mdłe światło rozjaśniało stół. Prześcieradło było szare i zakurzone, pod nim rysował się kształt twarzy i długiego korpusu. Winnicki od pewnego czasu miał wrażenie, że jego warsztat zamienił się w prosekatorium. Tylko zapach był tu inny – smarów, olejów i tego wszędobylskiego kurzu.

Szarpnął prześcieradło, odsłaniając stal. Masywne cielsko spoczywało w tym samym miejscu, w którym zostawił je wiele lat temu. Pokrywa klatki piersiowej była zdjęta, odsłaniała skomplikowany mechanizm.

Tryby, przekładnie, tłoki, kable.

Winnicki przysunął taboret i usiadł przy stole. Chwilę patrzył w martwy korpus, myśląc o tym, jak wiele trzeba poświęcić, by próbować urzeczywistnić swoje marzenia, i jak wiele się traci, gdy już wiadomo, że próby te zakończą się fiaskiem.

– Może tak miało być...? – szepnął, wpatrując się w srebrną maskę z pustymi oczodołami.

W końcu wstał i uruchomił ładowanie akumulatorów.

– Dam ci drugą szansę – powiedział. – Dam nam drugą szansę, a ty ożyjesz.

1932
**FRONT ZACHODNI,
ZA LINIĄ WROGA**

Blizna odwrócił się do okna, gdy Biegus uderzył Niemca po raz kolejny. Ten głuchy odgłos i zawodzący jęk oznaczały jedno: jeńcowi właśnie pękły żebra. Marek chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. W głowie huczała krew, ciemniało przed oczami. Nie zabronił Biegusowi przesłuchania, nic nie powiedział, gdy ten zaciągnął Niemca do pokoju i przywiązał do krzesła. To było ciche, tchórzliwe przyzwolenie na bestialstwo wobec jeńca wojennego.

– Gadaj! Tracę cierpliwość! – słowa szeregowego wypowiedane po niemiecku brzmiały w dwójnasób złowroźnie.

Żołnierz zamachnął się, a Niemiec zawył jak potępieniec.

– Jeśli nic z niego nie wyciągniemy, nasza misja równie dobrze może się zakończyć tutaj. – Maksymilian stanął u boku porucznika. Nie wyglądał na wstrząśniętego działaniami Biegusa.

– Znalazłeś coś na zewnątrz?

– Widać świeże ślady opon przed budynkiem. Nie dam głowy, ale odjechały stąd dwie, może trzy ciężarówki. Jeden wóz zostawili, jest na chodzie. Możemy ewentualnie podążyć za nimi i wypytywać miejscowych, w którą stronę skierował się konwój.

– Szybko się o nas dowiedzą. A jeśli gdzieś mieli jechać, to tak jak mówił pułkownik Kolberg, raczej na Breslau.

Marek odwrócił się od okna i znów spojrzał na jeńca. W oczach mężczyzny widać było strach, ale także jakiś upór.

Blizna wiedział, że jeśli zatrzymają się tu na dłużej, zostaną zdekonspirowani.

– Biegus, ten skurczybyk mówił coś w ogóle? – zapytał Branicki.

– Kapitanie, przez chwilę gadałem z nim w cztery oczy. Drań szprechał o sterowcu, że przelatował nad nimi, ale zaraz odleciał do Berlina. Nie wie, co było na pokładzie. Mnie się wydaje, że kłamie.

– Co myślisz? – Blizna popatrzył na Branickiego.

Ten wzruszył ramionami.

– Bez sensu to wszystko, zwłaszcza międzylądowanie. Na ich miejscu od razu wbijałbym z ładunkiem do Berlina. Jeśli się już tutaj fatygowali, to pewnie przynajmniej jeden ze stratostatów załadowali na ciężarówkę.

– Wypadałoby się upewnić – zauważył Marek.

– Co zamierzasz? – zainteresował się Maks.

Porucznik wyciągnął pistolet z kabury i zbliżył się do jeńca. Biegus przezornie odstąpił o krok.

– Masz trzy sekundy – powiedział Marek. Ledwie rozpoznawał swój głos. Wymierzył lufę w ramię związanego mężczyzny. – Co ściągnęliście ze sterowca? Gdzie pojechały ciężarówki? Jaki jest ich punkt docelowy?

Niemiec pokręcił głową.

Ciszę pomieszczenia rozdarł wystrzał. Jeniec poleciał z krzesłem do tyłu, krew bryznęła z ramienia. Niemiec wił się, błagając o litość.

Biegus znów postawił go do pionu.

– Masz trzy sekundy – powtórzył mechanicznie Blizna, mierząc w drugie ramię.

– Breslau! – wykrzyknął tamten. – Jahrhunderthalle! Był pakunek. Jeden. Nie wiem, co w środku!

Porucznik jeszcze przez chwilę wpatrywał się w twarz wykrzywioną strachem i bólem. Dopiero gdy Maksymilian odchrząknął głośno za jego plecami, opuścił lufę i schował pistolet do kabury.

– Co jeśli kłamie? – zapytał po polsku Biegus.

Blizna popatrzył na niego z roztargnieniem. Czuł się, jakby utknął w nierzeczywistym śnie, z którego nie było ucieczki.

– Nie kłamie – odpowiedział, choć sam nie wiedział, skąd w nim ta niezachwiana pewność.

– Co z nim robimy?

Pytanie zawisło w powietrzu. Niemiec, nawet jeśli nie rozumiał polskiego, pojął, że teraz ważą się jego losy.

Wytrzeszczył oczy, zaczął skomleć niczym pies, próbując unieść się z ziemi.

– Opatrz ranę, zwiąż go jeszcze mocniej, zaknebluj i wrzuć do któregoś z baraków.

– Nie uważasz, że powinniśmy...

Marek uniósł dłoń, przerywając Branickiemu. Dobrze wiedział, co ten chce powiedzieć.

– Poruczniku, nie ma co go niańczyć. – Biegus pocierał obolałe knykcie. – Kulka i do lasu.

– Nie! – Blizna popatrzył groźnie na podkomendnego. – Itak się dowiedzą, że tu byliśmy. Nie jesteśmy barbarzyńcami!

– Oni by się z nami nie szczypali. – Szeregowiec splunął pod nogi jeńca. Zacisnął szczęki i popatrzył na niego tak, jakby miał zamiar udusić go gołymi rękami. – Jak go znajdą, wyśpiewa o nas wszystko w pięć sekund.

– Biegus, wykonaj rozkaz – polecił spokojnym głosem Branicki. – Iopatr go, żeby się nie wykrwawił.

– Tak jest! – Żołnierz szarpnął za sznur oplatający więźnia i pociągnął do góry. Niemiec nie stawiał oporu, domyślił się, że ocalił skórę. Patrzył na Marka z wdzięcznością. Nawet nie jęknął, gdy Biegus, nie bacząc na jego rany, wypchnął go na zewnątrz.

1932
WARSZAWA,
WARSZTATY LOTNICZE

Doktor wyszedł z pracowni po kilku godzinach. Wiedział, że lada chwila z Prezydium Policji wyślą po niego paromobil. Nie miał jednak zamiaru się spieszyć. Nie spał całą noc. Postanowił się umyć i doprowadzić do względnego porządku. Czuł lekkie podenerwowanie i ciekawość. Projekt pocisków transportowych był dla niego czymś zupełnie abstrakcyjnym i nowym, temat kusił mnogością zagadnień. Winnicki odczuwał też pewną treść na myśl o rozmowie z Waldorfim, z którym nie łączyły go, łagodnie rzecz ujmując, najbardziej przyjazne stosunki.

Poznali się ponad trzydzieści lat temu. Polscy naukowcy pozbawieni własnego państwa wyjeżdżali za granicę, do Francji, Włoch, Wielkiej Brytanii, Stanów czy Niemiec. Tam zyskiwali uznanie i tam mogli wdrażać w życie projekty, które w innym przypadku pozostałyby tylko na deskach kreślarskich.

Leonard Waldorfi pracował wtedy w Austrii, był już uznanym inżynierem z licznymi patentami na koncie i papierami na jednego z najlepszych fizyków swoich czasów. Winnicki natomiast pozostawał zwykłym studentem, który tułał się po kilku uczelniach w Europie, żyjąc od stypendium do stypendium, a wrodzona przekora ustawiła go w opozycji do trendów prezentowanych przez najwybitniejsze umysły. Owa przekora – pragnienie poszukiwania innych rozwiązań, nowych dróg – w większości konserwatywnych kręgów naukowych prowadziła do ostracyzmu. Pierwsze i zarazem ostatnie oficjalne spotkanie Winnickiego z Waldorfim zakończyło się starciem, które zapoczątkowało wzajemną urazę.

Doktor przegrałby swoją szansę, gdyby nie przypadek, ambicja, a przede wszystkim wsparcie człowieka, który zobaczył w nim coś więcej niż brak pokory i tupet. To Jan Szczepanik zaprosił go do współpracy. Ten niezwykle człowiek był pionierem w wielu dziedzinach, nie bez powodu zagraniczna prasa nazywała go polskim Edisonem. Ich cechą wspólną było poszukiwanie. Szczepanik często powtarzał Winnickiemu, że klapki na oczach ma koń, który od domu do kopalni będzie jechał tą samą drogą, nie spoglądając na boki, jednak prawdziwy naukowiec mieć ich nie może. Młody Winnicki uśmiechał się na te słowa. Podziwiał swojego mistrza i spijał każde słowo z jego ust. Szczepanik, zanim przydarzyła mu się rodzinna tragedia, która zahamowała jego działalność wynalazczą, udostępnił mu swoją pracownię w Wiedniu, a potem Dreźnie.

Andrzej był świadkiem największych osiągnięć swego mentora. Zachwycał się zgłoszonym w Brytyjskim Urzędzie Patentowym teletroskopem, potem sam uczestniczył w szeregu odkryć naukowca w dziedzinie optyki, mechaniki precyzyjnej, elektrotechniki i chemii. Ich drogi zeszyły się na długo. Wspólnie ze Szczepanikiem zgłosili projekt elektrycznego karabinu, który potrafił oddać kilkanaście strzałów na minutę. Winnicki pomagał w udoskonaleniu pancerza ochronnego, który był w stanie odbijać nawet ośmiomilimetrowe kule karabinowe. Broń sprawdziła się zresztą w warunkach bojowych, chroniąc króla hiszpańskiego Alfonsa XIII podczas zamachu na jego karocę.

Wiele z tych projektów miało w przyszłości przydać się Andrzejowi w jego własnej pracy – choćby karty perforacyjne, które służyły do sterowania elektryczną maszyną Jacquarda, a które później spełniały swoje zadanie przy maszynie impulsowej.

Szczepanik wciąż poszukiwał, zajmował się kilkoma projektami naraz. Wiele z nich nagle porzucał, jakby bał się, że nie starczy mu czasu na zrealizowanie wszystkich rodzących się w nieprzeciętnym umyśle idei. Winnicki za to każdy z projektów dokładnie analizował, starając się znaleźć dla nich szerokie zastosowanie. Robił też coś, czego Szczepanik unikał: łączył różne elementy odkryć. W jego głowie rodził się pomysł, w którym miał wykorzystać odkrycia swoje i Szczepanika w jednym przełomowym projekcie. To właśnie ten projekt wiele lat później otrzymał nazwę „Golem”.

– Fiakier stoi pod drzwiami, doktorze – oznajmił Olaf.

Winnicki poprawił nakrochmalony kołnierzyk i spojrział w lustro. Lokaj ogolił go dokładnie, przystrzygł też włosy, przez co doktorowi wydało się, że odmłodził o całe dziesięć lat. Poczł się dobrze. Śniadanie Marty, psioczącej nieco na rozlany kubek kawy w korytarzu, o którym jej pracodawca zapomniał, okazało się zbawieniem dla rozstrojonego żołądka.

– Podaj mi płaszcz i kapelusz. Jestem gotowy.

Lokaj wykonał polecenie, choć z ociąganiem. Podsunął Winnickiemu podniszczone okrycie głowy.

– Nie zmienię go, Olafie, pókim żyw, by pamiętać.

Winnicki wyminął milczącego służącego i wyszedł na zewnątrz, by podążyć za fiakrem do paromobilu.

– Będziemy na lotnisku mokotowskim za dwa kwadranse, doktorze. Profesor Leon Waldorfi czeka na pana w Warsztatach Lotniczych.

Winnicki skinął głową, choć kierowca nie był w stanie tego zobaczyć. Wiedział, że powinien uciąć sobie krótką drzemkę, ale chociaż drżenie pojazdu mógł zignorować, to stan umysłu nie pozwoliłby mu na taki luksus.

Ambicja... Do czego może doprowadzić chorobliwa ambicja? Do nieprzespanych nocy, galopady myśli kończących się na granicy obłądu. Katalizatorem poszukiwań często jest ten ktoś drugi, konkurent. Pomiedzy rywalami zawiązuje się jakaś niewidzialna więź. Obaj przeżywają w swoich samotniach klęski i triumfy. Jeden odgraża się drugiemu, nawet jeśli dzielą ich setki kilometrów. Gorączkowa praca nad projektem pcha w szpony szaleństwa zarówno jednego, jak i drugiego.

Ileż to już minęło? Andrzej pokręcił głową z niedowierzaniem i zapatrzył się na krajobraz za oknem.

Ulice Warszawy zdążyły ożyć. Z czynszówek wysypywali się ludzie idący do pracy, większość w łachmanach, ledwie zapewniających ochronę przed mrozem. Ci ludzie zaczynali pracę w fabrykach i warsztatach rano, kończyli ją późnym wieczorem. Nie widać było w nich radości życia. Teraz nie widać jej było także w Winnickim.

Fiakier jechał ostrożnie. Wiele ulic wciąż pozostawało zwykłymi błotnistymi drogami. Na wąskich drogach, wciśniętych pomiędzy kolejne czynszówki, przejazdy tarasowały wozy z węglem i towarami. Zmora Warszawy, budynki wznoszone w każdym wolnym miejscu, na każdej wolnej parceli. Do tego obiekty przemysłowe, których miejsce powinno być na obrzeżach, wyrastały pomiędzy mieszkalnymi potworkami jak grzyby po deszczu. Chaos. Chaos, któremu sprzyjały wojna i brak planu zagospodarowania.

Winnicki przypomniał sobie rozmowę z Cierzbickim z poprzedniej nocy. Zgadzał się z przemysłowcem – wiele można zmienić, usprawnić. Jednak nie uda się to w rok, w dekadę. Kto wie, czy zmianami będzie się cieszyć kolejne pokolenie.

Do tego czasu potrzeba wyrzeczeń, poświęceń, a nie wszystkich na nie stać. Zwłaszcza tych, dla których już teraz każdy dzień był walką o przeżycie.

– Podjeżdżamy!

Doktor zdziwił się, że podróż minęła tak szybko. Wyjrzał z budy, uchylając okienko boczne.

Lotnisko mokotowskie zostało otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego. Co kilkadziesiąt metrów rozstawiono posterunki, a główna brama wjazdowa była pilnie strzeżona. Nad wjazdem górowały wieżyczki z ochroną, wyposażone w stanowiska broni maszynowej i reflektory. Te środki ostrożności były zrozumiałe, jednak tutaj, w Warszawie, budziły negatywne uczucia.

Strażnicy podeszli do paromobilu. Jeden zajrzał pod podwozie, następnie otworzył kufer. Drugi przejął dokumenty od fiakra. Ukłonił się Winnickiemu. Do wnętrza pojazdu nie zaglądał.

– W porządku, przepuścić! – powiedział sierżant i powrócił do swojej budki.

Uniósł się szlaban, a potem solidna brama stanęła otworem. Fiakier ruszył z mocnym szarpnięciem. Widać był podenerwowany. W kotle zabulgotało, para buchnęła spod wozu, przysłaniając widok.

Winnicki cieszył się, że te nowocześniejsze parowozy mają zabudowane przedziały pasażerskie. W środku czuł się w miarę komfortowo.

Dopiero po chwili, gdy paromobil wyłonił się z kłębow pary, doktor dojrzał baraki i budynek, w których stronę zmierzali. Przesiadł się, żeby zobaczyć, co widać przez drugie okno. Nie zawiódł się.

Po prawej, pośrodku pasa startowego, dojrzał metalową wieżę, wysoką na przynajmniej kilkanaście metrów.

Konstrukcja z długich belek i nitów przypominała maszynę obłączniczą przeznaczoną do desantu na wysokie mury.

Winnicki wiedział, że służy sterowcom. Zwisaly z niej liczne kable i przewody, co upodobało ją także do jakiegoś mitycznego stworzenia, morskiego potwora o licznych mackach.

– Podjeżdżamy pod hangar główny. Ktoś już na pana czeka.

Doktor znów spojrział w lewo. Rzeczywiście, przed podłużnym budynkiem sporych rozmiarów stała jakaś postać w białym kitlu. Nie był to Waldorfi – trudno byłoby się spodziewać, że ten okaże się na tyle gościnnie, by przywitać Winnickiego w progu swojego królestwa – a najpewniej jeden z jego asystentów.

Winnicki poczekał, aż fiaker zaparkuje paromobil. Nie ruszał się do momentu, w którym drzwi zostały otworzone, a schodki opuszczone do betonowego podłoża. Wtedy dopiero poprawił płaszcz i lekko przygarbiony, wyszedł na zewnątrz.

Wyraz jego twarzy nie zdradzał zbyt wiele. Marsowe oblicze miało trzymać na dystans i stanowić sygnał ostrzegawczy.

Winnicki przyjął tę pozę, chcąc zapewnić sobie przewagę. Uśmiech, zdziwienie, okazanie słabości sprawiłyby, że poległby z kretesem podczas rozmowy z ludźmi Waldorfiego czy nim samym. Musiał im uzmysłowić, że ma mandat na to, by pytać, sprawdzać i oceniać. W relacjach z nauką sytuacja nie było to łatwe.

- Zostaliśmy powiadomieni o pańskim przybyciu, doktorze Winnicki. Nazywam się Stefan Kotula. Osobiście cieszę się, że dołączy pan do naszego projektu.

Andrzej ukrył zaskoczenie. Spodziewał się raczej, że Waldorfi przedstawi go jako kontrolera, wizytatora, który miał ocenić pracę jego zespołu i wydać wyrok. Na jakich niby zasadach miał dołączyć do projektu? Profesor wyraziłby na to zgodę? Przed wejściem do budynku spodziewał się raczej dzikiej bestii, a nie uśmiechniętego asystenta.

– Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji – powiedział. W sumie z tej pozycji mógł więcej osiągnąć i więcej się dowiedzieć. Być może ten młody człowiek, jeśli mówił szczerze, przekaże mu kilka ważnych informacji, starając się przekonać do dołączenia do zespołu.

– Potrzebujemy kogoś, kto spojrzy na to wszystko chłodnym okiem. Przyda się pańskie doświadczenie.

Wymyśleli dwóch strażników, po czym ruszyli wąskim chodnikiem ku wejściu do budynku. Tych kilka zdań, które Winnicki wcześniej wymienił z witającym go naukowcem, powiedziało mu wiele o stosunkach panujących w grupie profesora. Andrzej uznał, że w przyszłości będzie musiał jeszcze porozmawiać z młodzieńcem na ten temat.

– Gdzie mnie pan prowadzi? – zapytał, gdy przeszli przez szeroko otwarte drzwi w głąb korytarza.

– Do naszej pracowni. Chyba że ma pan inne życzenia?

– Rozumiem, że tam zastanę profesora Waldorfiego?

– Oczywiście. – Kotula zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, a może nawet przed czymś ostrzec, ale w końcu jedynie wypuścił powietrze. – Profesor czeka na pana.

– Idźmy więc. – Andrzej uśmiechnął się po raz pierwszy. Chciał, by między nim a młodym naukowcem zawiązała się nić porozumienia. – Niech pan prowadzi, panie Stefanie.

Pomieszczenia były chłodne, odpychające, zaniedbane. Z sufitu odchodziły płyty farby, w blasze oddzielającej

prowizoryczne pokoje widniały głębokie wgniecenia. Skąpe oświetlenie sprawiało, że mijane biura i pracownie wyglądały jak piwniczne komory. Jedynie linoleum było utrzymane w czystości, w niektórych miejscach wciąż widniały na nim mokre ślady. Zapewne tuż przed przybyciem Winnickiego ktoś wpadł na

pomysł, by sprzątaczką przetała obejście i korytarz, którym gość miał przechodzić.

Zapach w powietrzu nie budził wątpliwości: mokra zatechła szmata, która zapewne przez ostatnie dni po prostu leżała w wiadrze pełnym wody.

– Proszę tutaj, doktorze.

Kotula przepuścił Winnickiego przodem, a na jego twarzy pojawił się rumieniec. Czyżby młodzieniec zawstydział się nieporządkiem i spartańskimi warunkami panującymi w warsztatach? Doktor nie zdziwiłby się, gdyby to jednak nie sprzątaczką, a młody asystent próbował doprowadzić do porządku wizytowane miejsce.

Przed Winnickim otworzyły się kolejne drzwi. Wszedł do sali, długiej i wąskiej, która odpychała jeszcze bardziej niż poprzednie pomieszczenia. Kilka biurka, krzesła, wykresy na tablicach, które na pierwszy rzut oka wydawały się przypadkowe i chaotyczne.

– Doktor Winnicki – zaanonsował Kotula.

Kilku mężczyzn oderwało się od pracy. W zasadzie podnieśli się wszyscy oprócz osoby, której głowa ledwie wystawała zza stosów teczek w rogu pomieszczenia.

Pracownicy, asystenci Waldorfięgo, kiwali głowami, gdy doktor ich mijał. W odpowiedzi dotykał uprzejmie runda kapelusza, jednak go nie zdejmował. Po chwili zsunął rękawiczki, ujął je w dłoń i zaczął uderzać miękką, wyprawioną skórą o wnętrze drugiej ręki.

Waldorfi wydawał się całkowicie pochłonięty pracą. Winnicki postanowił zmienić strategię – przestało mu się spieszyć, zmierzał teraz do biurka profesora niespieszonym, wręcz leniwym krokiem. To pozwoliło mu uważniej przyjrzeć się otoczeniu.

Na biurkach pracowników nie odnalazł choćby jednego elementu prywatnego, nawet oprawionego w ramki zdjęcia.

Być może Waldorfi zabraniał przynoszenia osobistych rzeczy i eksponowania ich w widocznych miejscach, ale już tej surowości nie przejawiał w instrukcjach dotyczących utrzymania porządku na stanowisku pracy. Na blatach panował chaos, raził mizmasz dokumentów, maszyn liczących, przyrządów kreślarskich. Pod ścianami widać było kilka blatów ze schematami. Winnicki dałby głowę, że w jednym rozpoznaje SPŻ – swój własny projekt systemu podtrzymywania życia, który miał znaleźć zastosowanie na dużych wysokościach, a nawet w próżni. Dostrzegł też gablotę z drobnymi elementami, które mogły stanowić części silnika pocisków transportowych.

W końcu zatrzymał się naprzeciw profesora. Waldorfi nagle zadarł głowę, jakby zaskoczony, nieprzywykły, by ktoś przeszkadzał mu podczas pracy. Uniósł wysoko brwi i niespodziewanie się uśmiechnął, odsłaniając żółte zęby.

Wydawać się mogło, że dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że miał się spotkać z Winnickim.

– Dzień dobry, profesorze – odezwał się oschle doktor.

– Ach, dzień dobry, szanowny kolego! – Waldorfi zrobił niedbały gest ręką, jakby obarczając winą za swoją nieuprzejmość liczbę zajęć, którymi był torturowany. – Cieszę się, że nasze drogi znów się przecięły!

Winnicki przyjrzał się profesorowi. Mężczyzny nie oszczędził wiek. Niegdyś Waldorfi był elegantem, gustował w szytych na miarę londyńskich garniturach. Wydawał na nie majątek, podobnie jak na inicjały zdobiące złotym haftem resztę garderoby. Teraz pachniał i wyglądał jak laboratorium chemiczne. Znoszona marynarka poplamiona była w kilku miejscach, jej właściciel nie próbował usunąć tłustych śladów, być może nie zdawał sobie sprawy z ich istnienia. Profesora nie otaczała już aura elegancji i zbytku, a woń smarów, rozpuszczalników i stęchlizny.

Waldorfi nerwowym ruchem poprawił okulary. Nie umknęło jego uwadze badawcze spojrzenie gościa.

Doktor nic sobie nie robił ze zmieszania szanownego kolegi. Wyczuł, że Waldorfi zmienił się nie tylko zewnętrznie.

Podobna wylewność była do niego niepodobna. Jaką grę prowadził profesor?

- To prawda, nasze drogi się przecięły, i to w Polsce! – Winnicki postanowił przyjąć podobną taktykę. Nie omieszkał sprawdzić Waldorfięgo, wbijając mu przy okazji szpileczkę. – Nie myślałem, że dojdzie do tego w Warszawie, pamiętam deklarację profesora sprzed bodaj kilku lat, że noga jego na tej ziemi już nie postanie...

– Doprawdy? – Waldorfi, podnosząc się z krzesła, zaśmiał się ochryple. Przypominał suchotnika, zgiętego, przytłoczonego jakimś niewidocznym ciężarem. – Doktorze, być może wcześniej nie wierzyłem, że znajdują się mądrzy ludzie w naszym kraju, którzy uznają naukę nie za przeszkodę, a zbawienie dla nas wszystkich.

– Myślałem, że o nasze zbawienie troszczyć się będą kapłani. – Winnicki niemal się roześmiał. Zachował jednak powagę, marszcząc brwi z namysłem.

– A czemuż nie mielibyśmy im dopomóc? – Profesor wyszedł zza biurka i mocniej zasadził okulary na nosie, z którego co chwila się zsuwały. – Proszę za mną. Zapewne ma pan wiele pytań. Na wszystkie udzielę odpowiedzi, wyjaśnię, jeśli będzie trzeba...

– A tak. Wyjaśnić będzie trzeba wiele...

Waldorfi tylko skinął głową, znów pokazując zęby w szerokim uśmiechu. To papierosy i kawa, nie szczoteczka i pasta, były ich najlepszymi przyjaciółmi.

Obrzucił spojrzeniem swoich współpracowników. Pokiwał głową, jakby zadowolony, że pracują nad swoimi zadaniami.

Skinął na Winnickiego, zapraszając, by ten podążył za nim do drzwi.

– Wie pan, doktorze, o wypadku – odezwał się, gdy znaleźli się w kolejnym korytarzu. – Był pan tam zaraz po rozbiciu pocisku...

– Byłem.

– Uprzedzę pana pierwsze pytanie. – Profesor ptasio przekrzywił głowę.

– A skąd u profesora pewność, jak będzie ono brzmiało?

– Sam bym je zadał. – Waldorfi cmoknął. – „O co tu, do cholery, chodzi?”. Nieprawdaż, doktorze Winnicki? Nie jest to pańskie pytanie? – Zaśmiał się i potrząsnął głową, rad ze swojej przenikliwości.

– Nie trafił pan, ale proszę kontynuować. Kto wie? Być może nie zadam dzisiaj żadnego pytania, z obawy, że większość mogłaby profesora skompromitować...

– Sarkazm panu nie przystoi. – Naukowiec wypowiedział te słowa już innym tonem. Wracił do formy; najpewniej miało to związek z faktem, że zostali sami. Zamknął drzwi od pracowni i poprowadził gościa dalej, w głąb kompleksu. – Poświęciłem temu projektowi ostatnie dwa lata życia i...

– Ibyły to lata stracone?

Waldorfi zacisnął szczęki. Nie odpowiedział. Weszli do odosobnionego gabinetu, w którym uwagę przykuwała spora, pokryta licznymi zapiskami tablica. Winnicki rozpoznał na niej charakter pisma Waldorfiego. Gospodarz, widząc zainteresowanie doktora, zawahał się. Można było odnieść wrażenie, że ulegnie impulsowi i sięgnie po gąbkę, by zetrzeć równania i zapiski. Zawsze zazdrośnie strzegł swoich tajemnic. Zamiast tego wskazał Winnickiemu miejsce, z którego ten, by przyjrzeć się obliczeniom, musiałyby wykonać obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

„O ty stary capie...” Andrzej, zanim zajął wskazane miejsce, dobrze przyjrzał się równaniom. Mógł śmiało zaufać swojej fotograficznej pamięci.

– Nigdy nie zatrzymuję się i nigdy nie zatrzymywałem w pół kroku. Rok, dwa, dziesięć. Czas nie ma dla mnie znaczenia, sprawy zawsze doprowadzam do końca – oznajmił Waldorfi, zajmując drugi z foteli.

– Widziałem sprawy doprowadzone do końca, zaryte w ziemi, z trupami rozciągniętymi na pobliskich łąkach – względnie spokojnie powiedział Winnicki. Ku jego zdziwieniu Waldorfi odebrał to z równym spokojem.

– Widziałeś też, drogi kolego, przyczynę tej katastrofy. Błąd ludzki, za który odpowiada obsługa transportera. Zaczepy parotanku były odpowiednie, wykonane z dbałością, przeszły wszelkie atesty. Ja odpowiadam za wyniesienie pocisku na orbitę i jego lot w wyznaczonym kierunku.

– A z a lądowanie?

– Też. Oczywiście. – Profesor tym razem się zmieszał. – Te procedury także przetestowaliśmy.

– A co z awaryjnym lądowaniem?

– W jakim charakterze tutaj przyjechałeś, Andrzeju? – Profesor po raz pierwszy zdradził większe emocje. Poruszył się w fotelu, jakby coś uwierało go w siedzenie. Przesunął papiery na stole z jednego miejsca na drugie. – W roli inwestygatora? Policjanta śledczego? Naukowca, który chce pomóc w udoskonaleniu

projektu i wyeliminowaniu jego wad?

– W jednym się zgadzamy. – Winnicki rozsiadł się wygodniej. Widząc zmieszanie innych, sam zwykł się odprężyć, mając poczucie, że przejmuje kontrolę nad sytuacją. – Wady najwyraźniej były, skoro doszło do wypadku. Dziwi mnie jednak to, że wciąż są osoby, które nie biorą odpowiedzialności za całokształt, a jedynie za wycinek pola, w którym dobrze się czują.

Mężczyźni zmierzli się wzrokiem. Winnicki świadomie dążył do konfrontacji, próbując odczytać coś z mowy ciała profesora. Nie zawiódł się. Gra miała się lada chwila skończyć.

Ognie w oczach Waldorfię powróciły, znajome drgnięcie powieki znamionowało wybuch, a dokładniej próbę jego powstrzymania.

– Zaczniemy od początku – odezwał się znów Winnicki. Oparł swoją łaskę o stół i nachylił w stronę wciąż walczącego ze wzburzeniem rozmówcy. – Kiedy plany pocisku transportowego wykradziono Niemcom?

– Dowiedziałem się o tym od Piłsudskiego blisko dwa lata temu.

Na twarzy gospodarza pojawił się chytry uśmiech. Pytanie wcale go nie zaskoczyło. Zapewne miał świadomość tego, że Winnicki został wtajemniczony w okoliczności przejęcia projektu. Teraz on poczuł się panem sytuacji i wyglądało na to, że chce rozegrać dalszą rozmowę po swojemu. Miał w końcu coś, na czym zależało doktorowi, i nie zamierzał odkrywać kart w pierwszym rozdaniu.

– Naczelnik zaproponował mi prowadzenie projektu. – Podbródek Waldorfię uniósł się nieznacznie, a kąciki ust zadrżały w skrywanym samozadowoleniu. – Być może czytałeś moją dysertację na temat podróży międzykontynentalnych i silników odrzutowych.

– Nie miałem tej przyjemności. – Winnicki nie powstrzymał się przed wbiciem kolejnej szpileczki. – Czytałem za to pracę Konstantego Ciołkowskiego, której tytuł, zdaje się, brzmi *Badanie przestrzeni świata przy pomocy urządzeń odrzutowych*.

– Tak... – Skrzywienie ust Waldorfię upodobniło go do podziemnego trolla. – Dokładnie, tak. Nasze badania były niezależne od siebie. Każdy z nas badał ruch rakiet w ziemskim polu grawitacyjnym. Obaj pracowaliśmy nad teorią silnika raketowego na paliwo ciekłe i nad składnikami paliwa i mieszankami paliwowymi.

– To była teoria...

– Stała się praktyką. Mniej w tym mojej zasługi. Jak zapewne wiesz, przerwałem moją pracę w Austrii i Niemczech, zdawszy sobie sprawę, jak ogromną przewagę dać może ta technologia.

– Odezwał się w tobie patriota?

– W tobie też by się odezwał, gdybyś spotkał osobiście Wernhera von Brauna.

Winnicki zaczął słuchać uważniej. Powoli elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Oczywiście, że słyszał o zespole von Brauna, przynajmniej do momentu, w którym Niemcy nie odcięli się od świata. Od początku lat dwudziestych zachodni sąsiedzi prowadzili coraz intensywniejsze badania nad technologiami raketowymi. Zresztą nie tylko oni – Francuzi i Amerykanie również przeznaczali na zespoły badawcze coraz większe budżety. Napotykali jednak szereg trudności, które nie pozwalały na wprowadzenie w życie wspaniałych założeń.

– Chcesz powiedzieć, że technologia została wykradziona von Braunowi?

– Tak. – Profesor skinął głową. – Co więcej, ośrodek badawczy von Brauna, on sam i jego ludzie...

– Kaput? – Andrzej z niedowierzaniem pokręcił głową. – Sugerujesz, że państwo polskie z powodzeniem przeprowadziło tak skomplikowaną operację na terenie wroga?

– Cuda się zdarzają, nieprawdaż? – Waldorfi zrobił efektowną pauzę, jakby oczekiwał od rozmówcy jakiejś życzliwej uwagi. Nie doczekawszy się jednak reakcji, skrzywił się i dodał: – Von Braun nie zdążył ukończyć projektu, jednak chwila, którą wybraliśmy na przeprowadzenie akcji, była najlepszą z możliwych, ponieważ badania nie zdążyły wyciec do innych niemieckich ośrodków badawczych. Von Braun strzegł swych tajemnic jak oka w głowie, na zgubę swoją i na zgubę Niemców. Nie mają teraz nic. Minie wiele lat, zanim będą w stanie odtworzyć jego prace.

– Chcesz powiedzieć, że jego badania kontynuowaliście tutaj, sami, a ty z zespołem dokonałeś tego, co nie udało się naszym wrogom?

Gospodarz zignorował słyszalne w głosie Winnickiego niedowierzanie.

– Powiem więcej, moje badania teoretyczne doskonale uzupełniły wiedzę von Brauna, której on widocznie w tej dziedzinie nie miał. Jak wiesz, to nam udało się stworzyć transporter zdolny do lotów międzykontynentalnych.

– Rozumiem, że Niemcy chcieliby stworzyć pociski raketowe zdolne przenosić ładunki wybuchowe na tysiące, dziesiątki tysięcy kilometrów. Zagroziliby Stanom, Chinom, każdemu zakątkowi globu, ale transportery? Skąd ten pomysł?

Na twarzy profesora znów pojawił się tajemniczy uśmiech.

– Ich Vergeltungswaffe miała być straszakiem narodów, zapewnić rolę globalnej siły, globalnego policjanta. To był główny cel Niemców. Von Braun okazał się jednak wizjonerem. Wiedział, że prędzej czy później ta technologia stanie się znana innym. Straszak działałby przez kilka, może kilkanaście lat. Chiny, Rosja, Stany Zjednoczone mają potencjał, który pozwoliłby im na stosunkowo szybkie osiągnięcie technologii raketowej. A gdyby każdy miał w swoim arsenale takie zabawki, jak się domyślasz, doszłoby do impasu...

– Czego więc chciał von Braun?

– Rakiet zdolnych do przenoszenia ładunków na pewno. W jego planach nie mniej ważne znaczenie odgrywały pociski transportowe, zapewniające błyskawiczny desant w każdym zakątku globu.

Winnicki zamilkł. Wyobraził sobie uderzenie raketowe na największe miasta w Europie i na świecie, a potem następujący po nich desant tysięcy, dziesiątków tysięcy niemieckich żołnierzy.

– Wizja na miarę dwudziestego wieku, nie sądzisz?! – kontynuował Waldorfi zadowolony z wrażenia, jakie osiągnął. – To era postępu i technologii. Zawsze wygrywa ten, kto zyska przewagę, wykorzysta ją, ale i będzie w stanie ją utrzymać.

– To wizja świata, w którym nie chciałbym żyć – wyrzucił z siebie Winnicki.

– Więc dobrze, mój drogi doktorze, że to my posiadliśmy tę technologię i z sukcesem ją rozwijamy. Dzięki temu żyjesz dłużej.

Andrzej zmierzył profesora chłodnym wzrokiem.

– To jak danie zapalek małowemu dziecku – powiedział. – Boję się myśleć, jak to się wszystko skończy. W jaki sposób wykorzystacie tę technologię? Co zrobicie? Wystrzelicie rakietę na Berlin i Moskwę?

– Wszystko, byle zakończyć wojnę. – Waldorfi wyglądał na niewzruszonego. – Zwłaszcza że zyskamy partnerów, którzy nam to umożliwią.

– Stany Zjednoczone... Hoover przyleci do Warszawy, zawrzemy sojusz. To jest ten cały wasz plan?

– Wszystko, co robimy, robimy z pełną świadomością, mój drogi... – Waldorfi przybrał ton mentora. – Pociski transportowe wysyłane są do Stanów od kilku dni. Teraz to Berlin i Moskwa będą żyć w strachu. Wiedzą, że Polska ma to, do czego dążyli sami. Co więcej, możemy ich pobić ich własną bronią. Lada dzień będziemy w stanie wystrzelić także pociski raketowe na naszych wrogów.

– Istaniesz się drugim von Braunem?

– Nie chcemy tego, czego chcieli von Braun i Hitler. Nie potrzebujemy polskich flag w Berlinie i Moskwie. Naszym celem jest wzięcie w kleszcze wszystkich wrogów. Za sprawą naszych sprzymierzeńców tym razem rolę się odwróci.

Winnicki słuchał tych słów z coraz większym niedowierzaniem. Rozpoznawał w nich retorykę Naczelnika Piłsudski dążył do stworzenia paktów, buforów, które zabezpieczyłyby kraj przed dwoma największymi wrogami. Widać było, że ta jego myśl uległa ewolucji, ale ewolucji na skalę większą, globalną. Co bardziej znaczące, tym razem znalazły się środki niezbędne do jej realizacji.

– Myślisz, że Niemcy i Rosja tak łatwo ulegną?

– Cóż... – Waldorfi wzruszył ramionami. – Miejmy nadzieję, że tak będzie. Jeśli nie, zmuszą nas do wykorzystania naszego arsenału. Amerykanie pracują nad nowym ładunkiem wybuchowym, o nieznanym dotąd mocy, zdolnym niszczyć całe miasta. Otrzymamy go w zamian za technologię raketową. Wtedy dwa państwa na świecie będą miały siłę nieosiągalną dla innych.

– Iużjemy tych ładunków?

– Amerykanie wytypowali kilka miast w Japonii...

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? To oznaczać będzie śmierć setek tysięcy niewinnych cywili! To ludobójstwo!

- A ilu cywili ginie każdego roku? Ilu Polaków oddało życie za wolność?- Twarz Waldorfiego spurpurowiała. – Jeśli to ma być cena za pokój, niech tak będzie! Mogę wziąć na siebie tę odpowiedzialność. I gdybym mógł, nawet dziś wcieliłbym ten plan w życie.

Winnicki z oburzenia nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Jak widzisz... – Waldorfi zaczął wypowiadać zdania z coraz większym chłodem – wypadek skomplikował sprawę.

Pojawiłeś się u nas, by przeprowadzić kontrolę... Nie mam zamiaru nic przed tobą zatajać. Chcę, żebyś miał wgląd w naszą obecną sytuację, a także świadomość, że twój raport ma duże znaczenie dla losów ojczyzny. Mam nadzieję, że szybko wykonasz swoje zadanie. Nie możemy dłużej zwlekać, wierzę, że zależy ci na zakończeniu tej wojny równie mocno jak mnie.

- Jeśli pociski transportowe okażą się niesprawne, Hoover nie przyleci, a wasz plan...

– A nasz plan legnie w gruzach – przerwał mu obcesowo Waldorfi. – Zapewne wielu wrogów naszej ojczyzny chciałoby właśnie tego. Oby tak się nie stało.

Znów zmierzili się wzrokiem.

– Całą dokumentację przekażę do pana wglądu, doktorze. Także moi pracownicy i asystenci są do pana dyspozycji, jeśli będzie pan chciał z nimi porozmawiać.

Winnicki nie odzywał się. Przyznał się w duchu do przegranej w tej potyczce.

– Dołożymy wszelkich starań, by ten incydent, błąd ludzki – Waldorfi zaakcentował ostatnie słowo – więcej się nie powtórzył. Ze swojej strony obiecuję, że pańskie sugestie zostaną przyjęte do wiadomości. A teraz, jeśli nie ma pan więcej pytań...

– Nie mam. – Andrzej w końcu się poruszył. Sięgnął po swoją łaskę, zanim jednak wstał, dodał jeszcze: – Chociaż...

muszę przyznać, że jedna sprawa nie daje mi spokoju i jeśli profesor pozwoli... Lot transportowców odbywa się na wysokości ponad dwudziestu tysięcy metrów?

– Tak... – Waldorfi nagle stał się czujny, co nie umknęło uwadze Winnickiego.

– System podtrzymywania życia jest więc w tym wypadku niezbędny. Jest pan pewny, że działał prawidłowo?

Profesor się zawahał i to jego niezdecydowanie wykorzystał Winnicki. Obrócił się za siebie i wskazał punkt na tablicy.

– Pośpiech. Mimo pańskich szczerych intencji, profesorze, pośpiech bywa złym doradcą. Mam nadzieję, że to tylko wprawka do właściwych obliczeń...? – Zawiesił głos, a po chwili wstał i znów spojrział na naukowca. – Przy takich założeniach tlenu nie wystarczy na podróż przez Atlantyk.

– Zapewniam, że system zamontowany przez nas działał... – Profesor opanował głos. Jego twarz stężała. – To uderzenie parotanku uszkodziło...

– ...system podtrzymywania życia? – dokończył Winnicki. – Proszę mi więc wyjaśnić, bo być może nie nadążam za pańskim światłym umysłem. Rozumiem, że system działał, ale czy według zapisanych tutaj obliczeń czy też jakichś innych?

– Działał do momentu...

– Powtarza się pan, profesorze. – Winnicki przerwał mu uniesieniem dłoni. – Rozumiem, że pańskie spostrzeżenia znajdują się w dokumentach, które trafią do mnie jutro.

Okręcił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, nie zaszczycając Waldorfiego spojrzeniem.

Szala zwycięstwa w tym starciu przechyliła się na jego stronę. Nie uznał tego jednak za swój sukces. Słowa profesora wciąż huczały mu w głowie. Przejęcie projektu von Brauna, rakiety, pociski transportowe... Ta rozmowa natchnęła go z jednej strony jakąś bliżej nieokreśloną nadzieją na zakończenie wojny, z drugiej jednak rozbudziła w nim obawy. Wizja wykorzystania rakiet, obrócenia w przynę miast oraz w konsekwencji doprowadzenie do śmierci tysięcy ludzi klóciły się z jego poczuciem sprawiedliwości. Bał się także czegoś innego: mrzonek chorobliwie ambitnego naukowca, do którego nigdy nie miał zaufania. Wiedział, że Leonard Waldorfi był w stanie zatuszować wszelkie błędy, byle dopiąć swego.

Winnicki zrozumiał, że bierze teraz udział w grze o większą stawkę, niż się spodziewał. Każdy błąd, popełniony przez niego czy zespół Waldorfięgo, mógł mieć fatalne następstwa dla wszystkich. Profesor miał w rękach zabawki, które mogły obrócić się przeciw ich twórcom.

Przy drzwiach wyjściowych z warsztatów zaczepił Winnickiego Kotula. Doktor nie miał ochoty na rozmowę, młodzieniec jednak nie dawał za wygraną.

– Doktorze, mam panu coś ważnego do powiedzenia...

Nalegania asystenta Waldorfięgo odrywały Andrzeja od istoty przemyśleń. W oczach asystenta zobaczył jednak coś, co kazało zachować mu czujność.

– Czy mogę odwiedzić doktora dziś wieczorem? Tu nie chcę o tym mówić...

Winnicki zamierzał odruchowo odmówić, ale ku własnemu zdziwieniu zgodził się. Uścisnął dłoń Kotuli i wyszedł w chłodny dzień. Nie oglądając się za siebie, wspiął się po chwiejnych schodkach do wnętrza paromobilu i usiadł na obitym skórą fotelu.

– Gdzie jedziemy? – zapytał fiakier.

– Do nadkomisarza Sieniawy, migiem.

Dopiero teraz Winnicki spojrział na budynek, z którego przed chwilą wyszedł. Czy zebrał wystarczająco dużo informacji, by rozmawiać z Sieniawą? Czego tak naprawdę się dowiedział?

Musiał zgłębić jeszcze wiele spraw, zrozumieć kilka rzeczy.

– Rozmyśliłem się. Koszary przy 11 Listopada. Tam pan jedź.

1922 WSPOMNIENIA

Przyjąłem zaproszenie od Gabriela Narutowicza w jednym tylko celu: by móc porozmawiać z nim spokojnie, gdy już wszyscy dyplomaci i politycy opuszczą prezydencką rezydencję w Spale.

Na zaproszeniu stało o polowaniu, a potem wieczornej gali w salonach pałacu spalskiego. Wszystko zaledwie kilkanaście dni po nieudanym zamachu na Narutowicza w galerii Zachęta. Gdyby Gabriel był skłonny zapytać mnie o zdanie, doradzałbym mu większą rozwagę. Jeśli chciał okazać, iż wydarzenie z szesnastego grudnia nie spowodowało w nim żadnych perturbacji, wystarczyło zrobić to podczas przyjęcia noworocznego. Jestem jednak świadom jego zabiegu.

Daje tym wyraźny sygnał, że wariaci typu Niewiadomskiego nie będą mieli wpływu na działania młodego państwa i jego prezydenta.

Bawiono się hucznie, szumnie i wystawnie. W samym polowaniu nie brałem udziału, zdecydowałem się na przybycie dnia następnego. Nikt się temu nie dziwił, bo też i większość towarzystwa pojawiła się w leśniczówce tylko po to, by podjeść bigosu i podać go suto startką.

Kiedy dotarłem na miejsce, Narutowicz żegnał ostatnich gości. Widziałem jego podniecenie, niestojące zupełnie w zgodzie z jego charakterem. Nocna gala zupełnie nie odcisnęła na nim piętna, choć po gościach odjeżdżających w kierunku Warszawy widać było wyraźne zmęczenie materiału po wielogodzinnej libacji.

Prezydent Rzeczypospolitej przywitał mnie na świeżo odśnieżonych schodach i niemal wciągnął do pałacu. Oczy miał roziskrzzone, cały czas powtarzał: „Zobaczysz, zobaczysz już za chwilę. To wszystko odmieni, my będziemy w stanie wszystko odmienić!”. Wtedy przeszło mi przez myśl, że Niewiadomski po zamachu w Zachęcie nie zostawił być może śladu na ciele Narutowicza, ale mógł odcisnąć swoje piętno na jego umyśle.

Zaraz po późnym śniadaniu prezydent poprosił mnie, bym towarzyszył mu w krótkim spacerze. Odeszliśmy od pałacu, zmierzając w kierunku zabudowań leśniczówki. Tam przygotowano dla nas ognisko i ciepłe napoje. Odniosłem wrażenie, że ma do nas dołączyć ktoś jeszcze. Wiedziałem, że prezydent wciąż przebywa w stanie uniesienia, świadczyła o tym choćby wzmozona gestykulacja, nad którą, zdaje się, przestał panować. Wydawało się, że prezydent na coś lub na kogoś czeka.

Nie myliłem się. Kilka minut później, wprost z lasu, wyszła w naszą stronę postać wyprostowana niczym struna.

Musiałem zmrużyć oczy, by móc jej się dokładniej przyjrzeć. Znałem tego człowieka, widziałem go wiele razy choćby podczas posiedzeń sejmu i muszę przyznać, że jego obecność mocno mnie zaskoczyła.

Był to Andrzej Cierzbicki, człowiek, który wywierał coraz większy wpływ na politykę gospodarczą rządu. Osoba 0 wyrobionych poglądach, mająca ogromne wpływy w kręgach przemysłowców, związana jednak ze Stronnictwem Narodowo - Demokratycznym Dmowskiego.

Nasze przywitanie nie należało do wylewnych. Cierzbicki nie unikał mojego wzroku, wręcz przeciwnie, patrzył długo i przenikliwie. Muszę też przyznać, że w jego spojrzeniu była jakaś niezłomność, świadcząca o sile jego charakteru.

Przytoczę rozmowę, którą wtedy odbyliśmy.

– Musisz mi wybaczyć ten podstęp, mój drogi przyjacielu. Andrzej Cierzbicki prosił o zapoznanie cię z naszymi pracami kilka miesięcy wcześniej, jednak chciałem, by projekt, który ci zaprezentujemy, był w pełni gotowy. Nie miej też za złe, że zwrócił się najpierw do mnie. Początkowo pytało radę ze względów stricte naukowych. Często się kontaktowaliśmy, gdy objąłem w rządzie tekę ministra robót publicznych. Dopiero jednak w chwili, w której zostałem prezydentem, projekt wszedł w decydującą fazę i zdecydowaliśmy, że to najlepszy moment, by go zaprezentować tobie. To, co wydawać się mogło szaleństwem, okazało się rzeczywistością...

– Ostatnimi czasy szaleńców w różnych kręgach nie brakuje, o czym mógł się pan prezydent przekonać na własnym przykładzie – zauważyłem.

Cierzbicki skinął głową. Nie odezwał się jednak, choć nietrudno było się domyślić, że nawiązuję w ten mało wyszukany sposób do incydentu z Niewiadomskim i jego powiazań z endecją. Co dziwne, to Narutowicz uznał, że musi zareagować na moje słowa.

– Wojna, mój drogi. Jak widać, dotknęła naszych granic, ale toczy też nas wewnętrznie. Jednak istnieje szansa na zjednoczenie nas w obliczu wspólnego wroga. Ufam prezesowi Cierzbickiemu i...

– Naczelniku – Cierzbicki poczuł się wywołany do tablicy – chcemy pokazać panu coś, co rzeczywiście przyczyni się do zmian. Sytuacja geopolityczna Polski pogorszyła się w ostatnim czasie. Rok 1921 nie przyniósł pokoju. Traktat w Rydze miał zakończyć wojnę u naszych wschodnich granic, a tak się nie stało. Mamy wojnę. Od wschodu Moskali, od zachodu, południa i północy Niemców. Jeśli Niemcy i bolszewicy nacisną jeszcze mocniej, Europa będzie się tylko przyglądać...

– Do rzeczy.

– Potrzebujemy pańskiego zaufania, Naczelniku, i pomocy. Jesteśmy w stanie zapewnić nam przewagę w polu...

Chyba pod wpływem mojego spojrzenia Cierzbicki zrezygnował z teatralnych przerw. Podjął już pewnie:
– W kraju brakuje paliwa. Wojsko na tym cierpi, więc musimy się przestawić. Wrócić do sprawdzonych źródeł energii i wykorzystać nowe. Mamy wspaniałych naukowców i przedsiębiorców, którzy są w stanie zadziwić świat. Wystarczy wykorzystać ich wiedzę i zapał.

– O jakich sprawdzonych źródłach energii pan mówi?

– Nafta! Zawdzięczmy ją naszemu chemikowi, Filipowi Walterowi. Dzięki niemu wiek pary nie musi się dla nas zakończyć, trwać będzie nadal. Wystarczy zastosować kotły opalane naftą, której jesteśmy w stanie wyprodukować wystarczająco dużo...

– I to nam zapewni przewagę?

– Nasi wrogowie wciąż pracują nad kolejnymi maszynami zniszczenia. Zaprzęgają sztaby ludzi, przeznaczają wszystkie siły na to, by zbroić się i uzyskać przewagę. Jeśli nie wykorzystamy wszystkich możliwości, nie przetrwamy.

Cierzbicki uznał, że wystarczy już podniosłych słów. Uniósł dłoń, patrząc w kierunku lasu i zabudowań. Przez chwilę nic się nie działo. Po chwili jednak ciszę poranka rozdarł głośny ryk. Stada wron wzbily się w powietrze, choć ich skrzeczenia nie słyhać było w narastającym łomocie, stukocie i chrzęście, które dotarły do naszych uszu. Z gałęzi zaczął opadać puch, gdy ziemia zadrżała pod miarowymi uderzeniami czegoś ciężkiego.

Narutowicz co chwila na mnie spoglądał, ja jednak patrzyłem nieruchomo na zabudowania. Kilka chwil później na polanę przed nami wytoczyły się ogromne pancerne maszyny. Nawet ja, nawykły do niecodziennych widoków, musiałem się podeprzeć na blacie ławy, bo poczułem niezrozumiałą słabość. W czasie ostatniej wojny widziałem brytyjskie maszyny, metalowe skrzynie opasane z dwóch stron gąsienicami, które miały dawać przewagę w polu, a nazywane były szumnie tankami. Jednak to, co ukazało się moim oczom, całkowicie różniło się od tamtych, teraz powiedzieć mogę z pełną odpowiedzialnością, nieudolnych projektów.

W moją stronę zmierzały metaliczne pojazdy. Obsługa maszyn miała najwidoczniej zaprezentować w pełni możliwości tego metalowego diabelstwa, bo ich zwrotność i szybkość była niepisana. Dodatkowo to, co w prototypach brytyjskich było zwykłym metalowym pudłem, tu urastało do miana arcydzieła z ruchomą wieżyczką u góry, wyposażoną w krótkolufową armatę 75 mm. Chwilę później do parotanków dołączyły kolejne maszyny. Podłużne niczym cygara, w sam raz nadające się na forsowanie zasieków i okopów, a także transportery, których warstwy ochronne przypominały twarde pancerze owadów.

– I co ty na to, przyjacielu? – wychrypiął Narutowicz. – Wkrótce będziemy mieć setki, a nawet tysiące takich machin! Co ty na to?

1932 W DRODZE DO BRESLAU

Blizna czuł się w niemieckim mundurze nieswojo. Zresztą gdy patrzył na Biegusa i Branickiego, odnosił wrażenie, że jego towarzysze mają podobne odczucia. Szeregowiec pocił się w hełmie polowym i co chwila poprawiał kołnierz kurtki. Teraz trapiły ich jednak większe zmartwienia i sprawa mundurów zesłała na plan dalszy. Marek musiał podjąć trudną decyzję.

– Poruczniku, powinienem jechać z wami! – Biegus próbował wszelkich sposobów, by dowódca zmienił zdanie. Powoli jednak tracił nadzieję.

– Ktoś musi poinformować o wszystkim sztab, inaczej nasza misja nie będzie miała sensu. Powiesz, gdzie trafiła część transportu.

– Poruczniku...

– Biegus, bierz tyłek w troki i nie dyskutuj. – Branicki klepnął szeregowego mocno w plecy. – Zaraz będzie tak jasno, że się nie przedrzesz do naszych. My damy radę z porucznikiem Winnickim. W sztabie zdecydują, co dalej robić z tą informacją. Dobrze, żeby ktoś wiedział, gdzie nas szukać.

– Tak jest! – Żołnierz zaszalutował. – Mam jeszcze coś dla pana porucznika, co pan porucznik zapomniał.

Marek spojrzał na niego pytająco. Biegus z kieszonki na piersi wyjął kopertę i wręczył swojemu dowódcy.

– Nie zdążył go pan przeczytać, poruczniku.

Blizna skinął głową i przejął list swojego ojca. Młody żołnierz uśmiechnął się i bez zbędnych słów pobiegł w drogę powrotną.

Porucznik popatrzył na kopertę, a potem wcisnął ją w kieszeń kurtki. Branicki przywołał go do siebie nagłym ruchem ręki. Przeszli do ciężarówki. Maksymilian wskoczył do szoferki i po chwili wyszedł z niej z szarą aktówką.

– Masz. To znalazłem wcześniej przy przeszukaniu. Myślę, że może się przydać.

Maks wyciągnął zgiętą w pół kartkę z szarej aktówki i podał ją Markowi.

Blizna przebiegł szybko oczami tekst rozkazu. Ciężarówka, którą zabrali, należała do konwoju, który miał przewozić balony stratosferyczne. W listach przewozowych nie widniał adres docelowy transportu, ale rozkaz kazał bez zwłoki przepuszczać ciężarówki na każdym punkcie kontrolnym.

– Pierwsza dobra wiadomość dzisiejszego dnia – zauważył Marek. – Nie ma na co czekać. Odpalamy maszynę i ruszamy!

– Się robi, poruczniku.

Obaj wskoczyli do szoferki, Branicki zajął miejsce za kierownicą. Nie mieli większych problemów z uruchomieniem ciężarówki. Już chwilę później ruszyli ku drodze prowadzącej do Breslau. Omiatana światłem reflektorów szosa była zupełnie obca i pusta. Jechali dosyć szybkim, równym tempem. Pierwsza wioska, którą mijali, wydawała się wyludniona.

Przez dłuższą chwilę trwali w milczeniu. Marek wciąż miał wątpliwości, czy podjęli właściwą decyzję. Pozostawała także kwestia, co powinni zrobić dalej. Już samo dotarcie do Breslau mogło się okazać niewykonalne, a co dopiero przedostanie się do Jahrhunderthalle.

– Sporo ryzykujemy. – Branicki chyba miał podobne przemyślenia. Nagle jednak wyszczerzył zęby i odwrócił się do przyjaciela. – Ale, jak to mówią, kto nie ryzykuje ten nie wygrywa!

– Ułańskiej fantazji nigdy ci nie brakowało. – Marek także się uśmiechnął, chociaż miał duszę na ramieniu. Nie wiedział, jak przyjmą na posterunkach pojawienie się nowego wozu. Być może znajdzie się jakiś gorliwy, któremu przyjdzie do głowy potwierdzenie w sztabie przejazdu kolejnej ciężarówki z transportem.

– Ta cała akcja ze sterowcami, przebicciem się przez granicę... – Blizna myślał głośno. – Szwaby ryzykują

cholernie dużo.

Spory tupet, nawet jak na nich. Nie ciekawi cię, do czego potrzebują „Gwiazdy Polski”?

– Niespecjalnie – odpowiedział rozbrajająco szczerze Branicki. Dodał jednak po chwili: – Ale nie odmówiłbym sobie tego wypadu. Pomachamy trochę szabelką przed nosem tych drani i wrócimy do swoich w glorii i chwale, na ten koniaczek do majora Zbierzyckiego.

Blizna parsknął. Maksymilian często wyśmiewał romantyczną fantazję rodaków, sam myślał niesłuchanie trzeźwo.

Równocześnie w momentach próby wykazywał się odwagą graniczącą z szaleństwem. Podczas wojny polsko – bolszewickiej młody oficer wraz z porucznikiem Pogonowskim i niewielkim oddziałem zapobiegli katastrofie, gdy bolszewicy ruszyli na Pragę, zamierzając przerwać komunikację polskich wojsk na prawym brzegu Wisły. Niewielu przeżyło tamten dzień. Branicki potem kilkakrotnie jeszcze odznaczył się odwagą. W końcu ranny, przez kilka miesięcy dochodził do siebie w szpitalach w Warszawie. Do służby wrócił zaledwie pół roku temu.

Przez kilka kilometrów jechali w milczeniu. Nagle Branicki zaczął zwalniać. Blizna dopiero po chwili zauważył posterunek.

– Ciekawe, ile warty jest ten list przewozowy.

- To się zaraz okaże. – Branicki westchnął i zredukował bieg. – Tych tutaj nie wyminiemy.

Z porannej szarówki wyłonił się szlaban i budka strażników. W ich stronę skierowano światła latarek. Po obu stronach drogi stanęło trzech uzbrojonych Niemców.

– Walimy taranem czy zaufamy papierom?

– Popatrz po prawej. – Porucznik wskazał stojący na poboczu samochód.

– O matko... – Maks aż gwizdnął pod nosem, widząc ciężki karabin zamontowany na budzie ciężarówki zaparkowanej przy stróżówce. – Spory kaliber. Znaczą się, papier będzie musiał mieć moc.

Przetoczyli się na jałowym biegu kilkanaście metrów i w końcu zatrzymali przed szlabanem. Jeden z Niemców podszedł do szoferki od strony kierowcy. Dwaj inni nie wyglądali na zaniepokojonych pojawieniem się samotnej ciężarówki – palili papierosy i rozmawiali o czymś ściszonymi głosami.

Branicki uchylił okno i podał papiery. Odezwał się też swoim nienagannym niemieckim: - Zimno, cholera. Nie zazdroścę wam na tym posterunku...

Niemiec nic nie odpowiedział. Popatrzył uważnie na Maksymiliana, a potem na jego towarzysza. Poświecił latarką do wnętrza szoferki. Potem skierował światło na dokumenty.

- Wasi byli kilka ładnych godzin temu – powiedział. – Nie mówili, że ktoś jeszcze będzie jechał.

- Ten gruchot nawala. – Maks zwiększył obroty, silnik zazgrzytał.

– Poczekajcie.

Wartownik znów poświecił w twarze kierowcy i pasażera, a potem przeszedł do stróżówki. Wydawało się, że jego zbrojna asysta nieco się ożywiła. Lufy karabinów nieznacznie przesunęły się w stronę szoferki.

– Mam złe przecucia – wyszeptał Branicki. – Widzisz kable? Ma połączenie z dowództwem.

– Będziesz w stanie się przebić? – Blizna odpowiedział pytaniem na pytanie.

Popatrzyli na siebie.

Minuty mijały powoli. Jeden ze strażników stał przy szlabanie, drugi przy stróżówce. Marek przeklinał w duchu swoją głupotę. Mogli próbować przejechać do Breslau lasami. Zachowali się jak głupcy, ufający zbyt w swoje szczęście albo ślepy los.

Jeden z Niemców poruszył się nerwowo, co nie uszło uwadze porucznika. Wartownik wymienił porozumiewawcze spojrzenie z kolegą ze stróżówki.

- Cholera! – zaklął pod nosem Branicki.

- Wciskaj gaz, ale już!

Ciężarówka zadrzała, wydawało się, że silnik zaraz zgaśnie, ale potężna maszyna wyrwała do przodu. Stojący najbliżej żołnierz wyskoczył przed samochód. Nie zdążył jednak wypalić ze schmeissera i odbił się od maski. Pozostali wystrzelili w stronę szoferki. Blizna pochylił głowę i zasłonił twarz ręką, próbując się ochronić przed odłamkami szkła.

Szlaban pękł pod naporem rozpędzonego żelastwa.

– Gazu, gazu! – Marek zauważył w lusterku bocznym, że na stróżówce zaświecił się reflektor. Snop światła powędrował w ich stronę. Wartownicy oddali kolejną salwę. Kule jedna po drugiej wbijały się w drewnianą burtę i kasały karoserię.

– Jadą za nami! – wychrypiał Maksymilian. Wyciągał z maszyny, ile fabryka dała.

Blizna dostrzegł reflektory ścigającej ich ciężarówkę. Obok niej pojawił się motocykl; wyskoczył w ich stronę niczym wystrzelony z procy. Nie mogli się łudzić, że Niemcy zrezygnują z pościgu.

– W plecaku Biegusa są granaty...

Marek schylił się po torbę i sprawdził jej zawartość. Trzy granaty. Jeśli będzie miał trochę szczęścia, opóźni pościg, a może uda mu się unieszkodliwić choć jeden pojazd szkopów.

Przedostał się na pakę przez wybitą szybę w tylnej ścianie kabiny. Znow rozległo się terkotanie broni. Branicki jechał zygzakiem, wzbijając chmury pyłu, gdy koła prześlizgiwały się na poboczu. To nie ułatwiało Markowi zadania. Wiedział, że nie będzie miał zbyt wielu okazji, by celnym rzutem przerwać pościg.

Motocykl zbliżał się coraz szybciej. Na bocznym wózku osadzony był karabin maszynowy, z którego teraz ostrzeliwał się pasażer DKW.

– Cholerna dykta, klej i wata! – zaklął porucznik, używając określeń, jakimi warszawiacy opisywali tę niemiecką firmę.

Potem przyłgnął do podłogi, modląc się, żeby zabłąkana kula nie trafiła go w głowę. Czekał na odpowiedni moment.

Pociski znow zaświszczały w powietrzu, kilka z nich zadzwoniło o metalowe pręty, na których rozpięty był brezent zasłaniający pakę. Marek usłyszał też zbliżającą się do nich ciężarówkę. Branicki musiał zwolnić, być może coś działo się z ich własną maszyną. Na szczęście obsługa ciężkiego karabinu maszynowego nie zdecydowała się na użycie broni – zapewne nie chcieli trafić swoich ludzi na motocyklu.

Marek wyczuł, że lepszego momentu nie będzie. Chwila wahania i Niemcy przedziurawią im w końcu opony albo zabłąkana kula dosięgnie celu. Wyciągnął zawleczkę, uniósł głowę i wyrzucił granat, starając się trafić w podążający ich śladem motocykl. Źle wymierzył. Granat przeleciał nad motocyklistą i trafił w ciężarówkę. Wybuch targnął szoferką Niemców, a samochód przechylił się gwałtownie. Wkrótce stracił przyczepność i runął na bok, kosząc krzaki na poboczu.

Motocyklista zawahał się, jakby chciał gwałtownie zatrzymać maszynę w miejscu. Marek zdecydował się wykorzystać ten moment i wyciągnął przed siebie metalową dłoń. Przyszedł czas, by sprawdzić, jak będzie się sprawował prezent od ojca. Mechanizm spustowy szczęknął, a potem wypuścił w cel serię za serią. Porucznik opróżnił cały magazynek, ale pościg został zatrzymany.

Nie ukrywając radości, Blizna powrócił do szoferki. Wystarczył jednak jeden rzut oka na Branickiego, by wiedzieć, że z przyjacielem nie jest najlepiej. Jego głowa ledwie trzymała się pionu. Prowadził samochód jedną ręką, drugą przyciskał do piersi. Wyraźnie zwalniali.

– Zatrzymaj się – polecił Marek.

Hamulce zazgrzytały, wydawało się, że zjadą z szosy, ale ciężarówką szarpnęło i w końcu stanęła pośrodku drogi.

– Gdzie dostałeś?

Maks uśmiechnął się blade. Chciał odtrącić rękę porucznika, ale mu się nie udało.

Marek odciągnął poły płaszcz. W ciemnościach nie widział wiele. Poczuł na palcach ciepły, gęsty płyn. Próbował ucisnąć przez koszulę ranę w piersi przyjaciela, ale krew wydawała się wyciekać z niego niczym z pękniętego dzbana.

– Na nic to... – wyszeptał Maksymilian. Zakrztusił się, z ust wypłynęła mu czerwona strużka. – Już idzie...

Marek wyciągnął nóż i zdjął swój płaszcz. Próbował pociąć go na pasy, by zrobić prowizoryczny opatrunek. Maks tym razem pewnie chwycił dłoń przyjaciela. Wydawało się, że całkowicie opuszczają go siły, wycieka z niego życie, ale uścisk dłoni pozostawał mocny.

– Marek... Śmierć przyjdzie po każdego. Teraz czas na mnie.

– Nie gadaj głupot! – Winnicki próbował unieść towarzysza, by założyć opatrunek i powstrzymać

krwawienie. Palce lewej dłoni wyczuły rany także na plecach.

– Marek... – wychrypiął Branicki. – Szkoda, że zamiast serca nie mam jakiegoś silnika, przekładni, może byś mnie uratował tym swoim hokus...

Maks bezwładnie opadł na bok. Był trupioblady, oczy, które jeszcze przed chwilą błyszczały, stały się ciemne i matowe.

Blizna przytrzymał przyjaciela jeszcze przez minutę lub dwie. Potem zamknął mu powieki i wyszedł z szoferki. Przez chwilę wpatrywał się w ciężarówkę. Nie potrafił racjonalnie myśleć, walczył ze sobą. Lojalność wobec przyjaciela mówiła mu, żeby wyciągnąć go z samochodu i pochować w lesie; z drugiej strony wiedział, że nie ma na to czasu i Branicki zbeształby go za sentymentalne odruchy.

W końcu opuścił głowę i ruszył ku motocyklowi, który martwym Niemcom nie był już potrzebny.

1932

**WARSZAWA,
KOSZARY PRZY ULICY 11 LISTOPADA**

Z każdym rokiem wspomnienia własnej młodości przychodziły doktorowi Winnickiemu z większym trudem. Może tak naprawdę nie chciał wracać do przeszłości. Bo jakże pamiętać swoje ambicje, kiedy większość z nich nigdy nie została zrealizowana? Wyparcie. Ten mechanizm obronny wykształcił do perfekcji.

Owszem, miał przyjaciół, którzy chwycili za broń, oddali życie za wolność. Nie tyle swoją, co innych. Sam nie był orędownikiem źle pojętego romantyzmu, a ostoję i siłę, która przetrwa największą zawieruchę, jeśli już, dostrzegał raczej w nauce niż w czynie zbrojnym. Nawet gdyby ktoś nazwał go tchórzem, śmiało spojrzalby mu w twarz i nie miał wyrzutów sumienia. Tym bardziej nie był w stanie pojąć, dlaczego jego synowie tak dalece się od niego różnili. Jeden i drugi wstąpili do wojska na ochotnika, zupełnie ignorując argumenty, których Winnicki przytaczał setki, jeśli nie tysiące. W końcu dał sobie spokój, wiedząc, że nic nie zmieni, a tylko sprawi, że obaj synowie oddalą się od niego jeszcze bardziej.

W przypadku Marka rzeczywiście tak się stało.

Skąd u nich ta siła? Młodzieńcza wiara, zdolność do poświęceń? Niewątpliwie mieli charakter matki, kobiety, która nigdy nie potrafiła zatrzymać się w miejscu i nieustannie poszukiwała czegoś nowego.

Żelazny Batalion, Batalion Śmierci. Piłsudski ochrzcił tym mianem jeden z pułków. A Winnicki w słowach Naczelnika widział jedynie złowróżbną groźbę, która dotknie swym piętnem młodych ludzi. Ta nazwa zobowiązywała. Do czego, jak nie poświęcenia rzeczy najcenniejszej?

– Chcę rozmawiać ze Stanisławem Winnickim – doktor zwrócił się do wartownika przy bramie.

– Pułkowa Szkoła Podoficerska?

– Tak – potwierdził Andrzej.

– Pojechali na Glinianki, na poligon – wartownik zrobił ruch głową, jakby chciał wskazać kierunek. – Powinni lada chwila wrócić.

Na potwierdzenie słów żołnierza rozległ się warkot silników transporterów. Doktor popatrzył na skrzyżowanie. Kilka pojazdów wyłoniło się z kłębow pary. Sunęły wolno, majestatycznie. Przypominały pancerniki z łuszczącymi się, zachodzącymi na siebie fałdami metalicznej skóry.

Gąsienice chrzęściły i trzeszczały. Nagle stalowe bestie ruszyły zwawiej w stronę koszar, jakby cieszyły się na powrót do domu.

Pancerze zewnętrzne pojazdów rozsunęły się tuż przed przekroczeniem linii wjazdu. Szlaban uniósł się i pierwszy z transporterów wjechał na teren koszar.

Winnicki zobaczył młodych ludzi siedzących w środku. Szukał wzrokiem złocistej czupryny Staszka, jednak nie potrafił jej dostrzec. Przejechał jeden transporter, potem drugi. Dopiero w trzecim doktor dostrzegł syna. Staszek także go zobaczył. Pomachał mu, zamienił kilka słów z dowódcą i zeskoczył z paki.

– Cześć, tata I Andrzej się uśmiechnął. Trudno było się nie uśmiechać, patrząc na Staszka. Z młodzieńczego oblicza biła energia, w oczach pojawiały się wesołe błyski, których, jak się wydawało, nic nie jest w stanie ugasić. Z drugiej strony Staszek już jako dziecko był nad wyraz spokojny. Może ta jego cecha charakteru brała się właśnie z trudnych chwil, kiedy podczas licznych pobytów w szpitalu walczył z nawracającym zapaleniem płuc? Pogody ducha nigdy mu jednak nie brakowało, nawet, a może zwłaszcza, w takich chwilach. Dzieci przebywające na oddziale, wydawały się weselsze, gdy Staszek znalazł się w pobliżu. Cały oddział jakby ożywał, a mali pacjenci odzyskiwali siły. Najmłodszy Winnicki nie stracił tej dziecięcej siły i radości i słynął z nich także jako dorosły mężczyzna.

– Cześć.

– Dobrze, że tata się pojawił. Cofnęli mi przepustkę, a chciałem tatę odwiedzić przed wylotem.

Winnicki poczuł, jak żołądek zaciska mu się w supel.

- Trzymają nas w niepewności, drugi dzień przekładają nasz transport do Stanów. Już się z chłopakami nie możemy doczekać... Co ojcu?

Trwało dobrą chwilę, zanim Winnicki wydusił z siebie słowa i znów skrzesał na twarzy gasnący uśmiech.

- Staszku, pocisk transportowy... – Doktor zastanawiał się, co powiedzieć synowi, ile wyjawić z tego, co sam wie. Nie chciał wzbudzać w nim niepokoju. Jednak czy nie był mu winien prawdy? W ostatnim transporcie mogli się znajdować przyjaciele jego syna. Wciąż nie podano do publicznej wiadomości informacji o katastrofie. Winnicki nie spodziewał się, żeby miało do tego dojść w najbliższym czasie.

- Co: pocisk transportowy? – Staszek nieprzerwanie się uśmiechał.

- Wyloty zostaną wstrzymane na dłużej... jakieś zmiany...

- No masz ci los! – Młodzieniec aż klasnął w dłonie, jednak nie widać w nim było złości. Niepowodzenia traktował lekko, zawsze szukał kolejnej szansy i starał się obrócić niefort na swoją korzyść. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że ojciec mówi cokolwiek nieskładnie. – Przynajmniej będziemy mieli jeszcze trochę ćwiczeń. Przyda się kilka dodatkowych dni na poligonie.

- Staszku... – doktor zaczął nieśmiało, jakby cała konstrukcja kolejnych zdań miała runąć, zanim na dobre ją wybuduje. – Nie uważasz, że w kraju przydałbyś się... bardziej? Stany są... daleko, nie wiadomo, jak długo...

- Tato, zawsze się martwiłeś. Wszystkim. Bardziej niż mama. – Chłopak dotknął ramienia doktora i ścisnął delikatnie. – Jakże miałbym nagle zmienić zdanie? Miałbym zostawić chłopaków? I przekreślić ostatnie pół roku szkolenia?

A większość z nich znam przecież od dziecka... Poza tym, tato! Ja tego właśnie chcę!

- No tak. – Myśli w głowie Winnickiego kłębiły się bardziej niż para buchająca z największych silników parowych. Ilu chłopaków pójdzie w ogień jedni za drugimi? Za honor, za ojczyznę. Jedni pospieszą z własnej woli, a inni, bo inaczej nie wypada. Staszek należał raczej do tych pierwszych. – Wytrzymajcie jeszcze trochę.

- Pewnie!

Winnicki powziął już decyzję. Taką, o której wiedział, że będzie brzemenna w skutki. Nie może dopuścić, żeby Staszek znalazł się w kolejnym transporcie. Choćby syn miał go znienawidzić. Uściskali się, wymienili jeszcze kilka słów, a potem Staszek okręcił się na pięcie i pobiegł do swoich. Winnicki jeszcze chwilę stał, patrząc za nim, w końcu jednak ruszył do paromobilu i wrócił do domu.

1932
WARSZAWA,
KINO MAJESTIC

Przyszła wcześniej, być może tylko po to, by popatrzeć na rozświetlone plakaty w szklanych witrynach. Jeszcze niedawno marzyła, by na jednym z nich pojawiło się jej imię i nazwisko. Oczami wyobraźni widziała wytłuszczone napisy: „Marianna Winnicka w niezapomnianej roli...”, „Uroczysta premiera, wielkie święto polskiego przemysłu filmowego...”. Tego przecież chciała. A może nie?

Wciąż nie mogła dojść do siebie po spotkaniu z Osterwą w Oazie. Zadawała sobie to samo pytanie: kim jest Marianna Winnicka? Czyż nie dokładną kopią swojej matki? Boże, nie chciała być taka jak ona.

Do dziś zapamiętała tamtą twarz: smutną, zamyśloną, wręcz nieszczęśliwą. W chwilach, gdy matkę ogarniała melancholia, nie interesowało jej nic oprócz własnego bólu.

Anna zawsze błędziła myślami gdzieś daleko, jawiła się jako postać tragiczna i wewnętrznie rozdarta.

Ojciec widział w matce jedynie delikatną, kruchą istotę, którą starał się ze wszystkich sił chronić przed złem tego świata. Zło jednak czaiło się zupełnie gdzie indziej.

Marianna pamiętała tamten dzień. Spacer i lody śmietankowe, na które matka zabrała ją do Łazienek. Pamiętała nawet swoją kremową sukienkę z delikatnego jedwabiu, w której obracała się dookoła, ciesząc się, gdy materiał unosił się na wietrze. Robiła wszystko, żeby nie pobrudzić materiału, widziała na sobie wzrok ludzi, którzy obserwowali ją z uśmiechem i podziwiali młodą panienkę ze złocistymi, skrzącymi się w słońcu lokami. Czuła się wtedy szczęśliwa, uwielbiała być w centrum uwagi. Na spacer poszły z Martą. Matka zostawiła ją pod opieką służącej i postanowiła się odłączyć.

Potrzebowała chwili samotności. Marianna już wtedy wyczuwała nastroje Anny, choć nie potrafiła ich zrozumieć. Przez chwilę obserwowała matkę, jak ta oddała się i znikła pomiędzy białymi kolumnami we wnętrzu świątyni sybilli. Potem, wykorzystując nieuważę opiekunki, sama pobiegła w tamtym kierunku. Chciała pocieszyć Annę, wydawało jej się, że ta potrzebuje takiego wsparcia.

Zobaczyła ją i tego mężczyznę w rogu salki, całujących się z gwałtownością, która ją przeraziła. Stała przez chwilę jak skamieniała, nie rozumiejąc, co się dzieje. Niewiele pamiętała z tego, co wydarzyło się później. Wycofała się ze świątyni i wróciła do Marty. Potem, już w domu, dostała wysokiej gorączki i przez kilka dni nie była w stanie opuścić łóżka. Matka nawet nie domyśliła się, że córka widziała potajemną schadzki w świątyni.

Marianna nikomu nie opowiedziała o tamtym wydarzeniu. Chyba także dlatego, by chronić ojca. Wcześniej o smutek matki oskarżała właśnie jego. Gdyby to on dopuścił się podobnej zdrady, stałby się jej obcy, upokarzałaby go na każdym kroku, dałaby mu odczuć, że musi zapłacić za czyn, jakiego dopuścił się wobec żony i swoich dzieci. Ale to nie ojciec był zdrajcą, tylko piękna, okrutna Anna.

Kaprys, jeden z wielu. Podobnie jak małżeństwo z rozsądku z Andrzejem Winnickim. Wybrała życie u boku cenionego naukowca, z którym mogła podróżować po modnych stolicach Europy. Bankiety, wizyty na dworach królewskich – tam mogła brylować, lśnić niczym drogocenny klejnot. Proza życia potrafiła jednak wszystko odmienić. Pojawiły się dzieci, a mąż był coraz częściej pochłonięty pracą badawczą i nie miał czasu na wystawne przyjęcia. Zaniedbywał tym samym Annę i nie dostrzegał jej potrzeb. Czy ona, Marianna, była równie próżna i okrutna?

- Już jesteś?

Odwróciła się do niego. Uchwycił ją w ramiona i uniósł jak piórko, potem odstawił ze śmiechem.

- Przyszłam przed chwilą - skłamała.

Juliusz uchwycił jej dłoń i popatrzył głęboko w oczy.

- Wyglądasz pięknie – powiedział. – Już niedługo będę przychodził na filmy, w których to ty będziesz grać główne role.

Nie wiem, co widzisz w takim pętaku jak ja. Naukowiec z marną państwową pensją i piękna aktorka! To temat na scenariusz komediowy dla Mieczysława Krawicza.

Uśmiechnęła się. Nie skomentowała jego słów, wspięła się na palcach i pocałowała go w usta.

– Chodźmy – powiedział oszołomiony. – Bo wyprzedadzą wszystkie bilety.

Pociągnął ją delikatnie za sobą. Przytuliła się do jego ramienia. Czyżby dokonała wyboru? Jeśli nie chciała być taka jak matka, nie mogła popełniać podobnych błędów.

1932
BRESLAU,
OKOLICE AM LEHMDAMM

Na punktach kontrolnych nie sprawdzano Marka szczegółowo. Wartownicy nie byli też skorzy do rozmów. Kulili się przy swoich koksownikach i z niechęcią opuszczali budki utrzymujące choć trochę ciepła. Podczas jednej z kontroli zapytano go, czy nie widział ciężarówki jadącej od strony Leszna, ale potrząśnięcie głową wystarczyło za odpowiedź.

Wjazd do miasta odbył się bez przeszkód. Breslau wydawał się wolny od wojennej udręki i tak odmienny od Warszawy.

Budynki były tutaj wybudowane z planem, który znamionował porządek. Szerokie ulice i place, komunikacja miejska – wszystko tu sprawiało wrażenie szalenie nowoczesnego, miasto równomiernie rozrastało się, zagarniając kolejne tereny.

Marek był tu tylko raz, przyjechał wtedy z ojcem. Doktor Winnicki został zaproszony na wykłady w Wyższej Szkole Technicznej. Od tamtej wizyty upłynął szmat czasu i trudno było się odnaleźć w gąszczu ulic.

Pamiętał, że nie musiał wjeżdżać do centrum, a powinien trzymać się raczej północnej strony miasta, by przesuwać się na wschód. Tam na terenach zielonych wybudowano Jahrhunderthalle dla upamiętnienia odezwy Fryderyka Wilhelma III do ludu, wzywającej do powszechnego oporu przeciw Napoleonowi Bonaparte. Kilka razy Marek zatrzymywał się, pytając przechodniów o kierunek jazdy. Wszyscy wskazali Tiergartenstrasse i tej ulicy szukał w pierwszej kolejności.

Bał się, że zabraknie mu paliwa, zanim dotrze na miejsce. Przez cały czas zastanawiał się też, co zrobi, gdy znajdzie się pod Hałą. Jeśli Biegus dotrze do sztabu, przekaze informacje o tym, że ciężarówki z częścią skradzionego w Poznaniu ładunku zostały skierowane do Breslau. Powie też, że ich śladem podążyli porucznik z Branickim. Jedyną rozsądną decyzją Marka mogło być potwierdzenie miejsca składowania balonów i rzecz wydawałoby się niemożliwa: dowiedzenie się, w jakim konkretnie celu Niemcy zdecydowali się na ich kradzież.

Blizna wiedział, że „Gwiazda Polski” była największym balonem tego typu na świecie. Pierwsze testy dokonywane przez polskich pilotów wskazywały na pokonanie granicy trzydziestu tysięcy metrów. Niemcy, kradnąc stratostaty podejmowali spore ryzyko. Zastanawiające było, w jaki sposób chcieli wykorzystać ich właściwości.

Marek poczuł dreszcze na plecach. Balony zostały skradzione, najpewniej kilka przesłano do Berlina, co najmniej jeden do Breslau. Czyżby Niemcy testowali nową broń? Chcieli zaszkodzić lotom transkontynentalnym łączącym Polskę z ich amerykańskimi sojusznikami? Gdyby doprowadzili do katastrofy pocisków transportowych, mogliby powstrzymać kolejne loty na długie miesiące albo i na wiele lat. Polska byłaby całkowicie odcięta od świata.

Profesor Syboń!

Marek przypomniał sobie przyjaciela i współpracownika ojca. Zygmunt Syboń jeszcze przed wojną był stałym gościem w domu Winnickich i to on zaprosił Andrzeja Winnickiego na cykl wykładów do Breslau. Ojciec wtedy po raz pierwszy i ostatni zabrał syna ze sobą w podróż. Zresztą na wyraźne życzenie profesora, któremu nie potrafił odmówić.

Marek pamiętał kamienicę, w której mieszkał profesor. Była położona niedaleko Wyższej Szkoły Budowy Maszyn. Jeśli mógł komuś zaufać w tym mieście, to tylko profesorowi Syboniowi.

Młody porucznik podjął decyzję i skierował motocykl w stronę Am Lehmdamm. Postanowił, że ukryje motocykl w ustronnym miejscu i odnajdzie kamienicę, w której mieszka profesor.

1932

WARSZAWA, PAŁAC SZLI MAKOWSKIEJ

Anastazja wyglądała przez okno, obserwując paromobile przejeżdżające Towarową. Światła latarni wydawały się zbyt słabe, by przebić się przez całun zmierzchu okrywający Warszawę. Ten mrok ogarniał także ją samą. Co prawda wystarczyło obejrzeć się za siebie, przesunąć wzrokiem po rozświetlonych ścianach buduaru, wesołych obrazach roztańczonych, półnagich tancerek, by to wrażenie znikło, ale coś ciągnęło ją do tego okna, do spoglądania w ten smutny, szary wycinek świata.

- Widziałś wczoraj prezesa Pąchalskiego?

Anastazja skinęła głową, choć pewnie Lidia tego nie zauważyła zajęta nakładaniem kolejnej warstwy pudru na odsłonięty dekolt.

- Zrzucił marynarkę, rozpiął koszulę, a potem wskoczył na scenę. Ale było śmiechu! Zwłaszcza gdy padł na kolana i oferował wszystkim dziewczynom przejażdżkę. Mówił, że jest czystej krwi koniem arabskim! Uwierzysz? Cóż za ułańska fantazja!

Śmiech Lidii był zaraźliwy, tym razem jednak Anastazja nawet nie uniosła kącików ust. Wydało jej się, że światła uliczne przygasły jeszcze bardziej, jakby ktoś narzucił na nie sukno. Oparła się o okienną ramę, poczuła słabość i dreszcze.

- A wtedy jeszcze tych dwóch, którzy z nim byli, wskoczyło na stoły, zaczęli tańczyć kankana. Gdyby nie ochrona pewnie połamaliby stoły albo zrobili sobie krzywdę... Anastazjo? Słyszysz mnie? Co ci...

Ciemność przysła nagle, ścisnęła niczym imadło. Zabrakło jej tchu, z płuc wydostał się syk, skórę przeszyły drobne szpileczki. Pochyliła głowę i w tym momencie wydało jej się, że odrywa się od ziemi i przechyla do okna, a w końcu spada w prostokąt wypełniony czarną materią.

- Anastazjo!

Być może z początku był to głos Lidii, teraz jednak nabrał szorstkiej, męskiej barwy. W ciemności zamajaczyła blada plama, zbliżała się do niej, jakby z bardzo daleka. Ona sama miała wrażenie przebywania w zawieszeniu, bez świadomości, gdzie góra, a gdzie dół. Unosiła się w czymś, co przypominało gęstą zawiesinę.

Plama powiększyła się, zmierzała w jej stronę, a zjawisku temu towarzyszył głęboki, wibrujący poszum.

Anastazja poczuła strach, spotęgowany przez uczucie osamotnienia i przejmującej pustki. Musiała przełamać trwogę.

Wpatrzyła się w to, co przenikało do jej świata.

Plama rozbłysła metalicznie. Kobieta dostrzegła teraz zarys wysokiej postaci. Obraz spłaszczył się, stał się jednowymiarowy. Tuż nad nią pojawił się snop światła, jakby ktoś ustawił reflektor po to, by oświetlić przestrzeń na wprost niej.

Teraz, niczym na kinowym płótnie, wyświetlił się obraz. Chwilowo nieczytelny, jakby gubiący ostrość, po chwili już stabilny. Pojawił się ktoś jeszcze – Winnicki. Rozpoznała go: lekko kulał, wchodząc po wysokich schodach, których szczytu nie była w stanie dostrzec. Nie ustawał w tej wędrówce, choć wydawała się nie mieć końca. Z każdym kolejnym stopniem prostował się coraz bardziej i nabierał sił, a na twarzy zamiast zmęczenia pojawiał się upór.

Obraz nieco się oddalił. Anastazja dostrzegła innego obserwatora, który zawieszony nad doktorem przyglądał się z ciekawością temu, co robi Winnicki. Ledwie zauważalny ruch dłoni nieznanego. Schody złożyły się, przemieniając w długą, krętą rynnę. Doktor stracił równowagę i z głośnym krzykiem runął w ciemność.

Wtedy postać obróciła się do Anastazji. Twarz zjawy była wykonana z metalu, z wypustką przypominającą imitację nosa. Otwory na oczy były wąskimi szparami, przez które sączyło się zimne światło. Mimo to kobieta była pewna, że ma przed sobą osobę z krwi i kości, że pod tą osłoną ukryta jest

ludzka twarz. Wyciągnęła dłoń przed siebie, chwyciła za obrzeże metalowej maski i pociągnęła z całej siły. Materiał pękł, okazał się bardziej kruchy niż szkło. Drobne odłamki poraniły skórę. Postać skurczyła się i odskoczyła, jakby nie była przygotowana na to, że dotyk Anastazji może zrobić jej krzywdę. W tym ułamku sekundy kobieta dostrzegła czyjąś twarz. Nie była jej jednak w stanie rozpoznać. Znowu wyciągnęła dłoń przed siebie, próbując uchwycić nieznanego, ale wtedy twarz mężczyzny wykrzywił grymas. W jego dłoni pojawił się sztylet i nim Anastazja zdążyła zareagować, poczuła, że ostrze wnika w jej serce.

- Anastazjo!

Otworzyła oczy. Zdała sobie sprawę, że leży na podłodze. Lidia pochylała się nad nią, próbując ją ocucić. W oczach dziewczyny widziała przerażenie.

- Już dobrze... – Anastazja dotknęła palcami ust. Krew sączyła się z nozdrzy ciepłym strumyczkiem. – Podaj mi chusteczkę. Minęło...

- Który to już raz? – Lidia spełniła prośbę i pomogła unieść się przyjaciółce. – Te ataki pojawiają się coraz częściej!

Musisz iść do lekarza, takich spraw nie wolno lekceważyć.

- Lekarz niewiele tutaj pomoże...

- Znowu miałaś te wizje? – Lidia był roztrzęsiona, a może jedynie drżała z emocji, nie mogąc się doczekać zaspokojenia swojej wrodzonej wścibskości.

- Znowu – potwierdziła Anastazja. Przed Lidią nie miała tajemnic.

- Był tam ten doktorek? – Dziewczyna odsłoniła białe ząbki. – Ten cały Andrzej Winnicki?

- Był.

Lidia spoważniała, widząc twarz przyjaciółki.

- Dlaczego go nie ostrzeżesz? Twoje wizje zawsze się sprawdzały.

- Próbuję... cały czas próbuję go ostrzec. Choć nie wiem, czy to coś pomoże.

Lidia skłoniła głowę, podała w milczeniu przyjaciółce kolejną chusteczkę.

- Poza tym teraz widziałam śmierć kogoś innego...

- Kogo? – zainteresowała się Lidia. – Może Pąchalskiego, o którym ci mówiłam? Pewnie w twojej wizji spadł z konia albo dostał przepukliny od wożenia dziewczynek i umarł!

Anastazja blade się uśmiechnęła, doceniając próbę rozweselenia jej.

- To może tego też ostrzeż? – Przyjaciółka pogładziła ją po głowie. – Może ci się uda?

Kobieta pokręciła głową.

- Ostrzeżenia nigdy nie pomogły – powiedziała cicho. – Teraz też na nic się zdadzą.

Podniosła się, usiadła na krzeselku przy lustrze. Sięgnęła po pędzelek i puder. W lustrzanym odbiciu widziała nieruchomą przyjaciółkę, która zapatrzyła się w jej plecy. Wiedziała, że Lidia domyśliła się, kim była osoba, której śmierć widziała Anastazja. Obie jednak na ten temat milczały.

1932
WARSZAWA,
DOM WINNICKIEGO

Zaraz po przejęciu płaszcza i kapelusza Olaf podał doktorowi list. Winnicki, wspierając się na lasce, obejrzał go z dwóch stron, odruchowo uniósł kopertę i wciągnął w nozdrza jej zapach. Chemikalia, które dobrze znał. Ruszył do swojego gabinetu. Mocno nadwreżył kolano. Dawało o sobie znać od wojny, kiedy to w czasie ewakuacji szpitala polowego w walkach pod Kostiuchnowką nabawił się urazu. Dziś wystarczył nieostrożny ruch, przeciążenie, by noga odmawiała posłuszeństwa. Tym razem obwiniął za ból wysokie schodki prowadzące do budy paromobilu.

– Czy przynieść obiad do jadalni? – Głos lokaja z wiekiem stawał się coraz słabszy.

- Tak, za kwadrans. Za kwadrans będę gotowy.

Doktor przeszedł do gabinetu i rzucił list na blat biurka. Z marszu skierował się do biblioteczki. Odsunął ciężkie tomy *Ilustrowanej encyklopedii*. Zdał sobie sprawę, że w całym swoim życiu nie trzymał tak często w dłoniach żadnych innych książek. Zaśmiał się gorzko na tę myśl. Wyciągnął zza grubych woluminów karafkę i kieliszek, po czym pokuśtykał do fotela.

Szkoło odłożył na biurko. Pochylił się. Na jego twarzy pojawiło się skrzywienie. Dotknął lewego kolana i mocno je potarł.

Wiek przynosił kolejne zmartwienia. Gdyby schudł choć kilka kilogramów, uszkodzonym wiązadłom byłoby lżej.

Odetchnął głęboko, a potem nalał sobie koniaku. Wypił go jednym haustem.

– Boże, dopomóż...

Znów napełnił kieliszek.

Uniósł szkło i przystawił do czoła. Zamknął oczy, próbując uspokoić mocno bijące serce i rozgorączkowane myśli. Stara prawda znów się objawiła – dotknij gówna, a zacnie śmierdzieć. Zupełnie jakby czekało na zainteresowanie.

Dopił koniak i sięgnął po list. Rozdarł kopertę i przeczytał zapisaną drobnym, rozchwianym pismem informację.

Spotkajmy się dziś wieczorem. 19.00. Gmach Główny PW.

L. Waldorfi Co on sobie wyobrażał? Do czego zmierzał? Andrzej zastanawiał się nad kolejnym krokiem. Spojrzał na zegar stojący na kominku. Z kuchni dochodził apetyczny zapach, a koniak wzmógł u doktora apetyt.

Winnicki westchnął, zmiął karteczkę i rzucił ją pod ścianę. Wstał, podpierając się laską, i ignorując ból, ruszył w stronę korytarza. Zamiast jednak udać się do jadalni, podążył w kierunku warsztatu. Miał jeszcze sporo czasu do spotkania z profesorem. Nie wiedział nawet, czy zdecyduje się odpowiedzieć na to zaproszenie. Teraz skupił myśli na czymś zupełnie innym.

Golem czekał, a on był coraz bliżej przywrócenia go do życia.

Budynek przy zbiegu ulic Nowowiejskiej i Polnej zawsze budził w Winnickim ciepłe uczucia. Przez kilka lat był wykładowcą na Politechnice, na Wydziale Mechanicznym, a znał też osobiście Stefana Szyllera, który wspólnie z Rogóyskim dokonał rzeczy, wydawałoby się, niemożliwej, projektując gmach tej nowoczesnej uczelni. Niemal do końca dziewiętnastego wieku Polacy nie mieli gdzie kształcić swoich inżynierów, więc potrzeba utworzenia własnego ośrodka naukowego była paląca. Zważywszy na fakt, że obaj architekci nie mieli wcześniej doświadczenia w projektowaniu tego typu budynków, ich decyzja

o trzytygodniowej podróży po Europie i odwiedzeniu renomowanych uczelni wydawała się szalona i genialna zarazem. Szkice robione w pociągach, dysputy w wagonach restauracyjnych – a w końcu efekt, który zdaniem Winnickiego był doskonały. Tak powstała uczelnia, która zaczęła kształcić tysiące młodych ludzi. Otwierało to na przyszłość perspektywę dla rozwoju wielu gałęzi gospodarki z wykwalifikowaną kadrą młodych inżynierów.

Waldorfi wciąż był wykładowcą w Instytucie Aerodynamicznym, swój gabinet miał jednak w Gmachu Głównym. Tam doktor skierował swoje kroki.

Wciąż zastanawiał się nad powodem, dla którego Waldorfi wysłał mu zaproszenie. Im dłużej myślał o całej sprawie, tym więcej miał obaw. Projekt odebrany Niemcom nie wydawał się iść po myśli zespołu badawczego. Winnicki był pewien, że profesor coś przed nim ukrywał i nie do końca był szczery. Nie podejrzewał go o sabotaż, raczej o chore ambicje, dumę, która nie pozwalała mu przyznać, że nie jest w stanie zgłębić wszystkich tajników lotów międzykontynentalnych. Być może brakowało mu danych – przejście projektu mogło nastąpić w momencie, gdy zespół von Brauna sam borykał się z problemami technicznymi. Czyżby więc Waldorfi oczekiwał pomocy? Stać było go na ten gest pokory?

Doktor szczerze w to wątpił.

Chłodny wieczór nadszedł szybko. Winnicki szybkim krokiem przemierzył opustoszały plac i pokonał kilka schodków prowadzących do budynku. Przypomniawszy sobie, że w sobotę o tej porze studentów już tutaj nie ma. Korzystali z życia, wydając ostatnie grosze na piwo, albo zaszywali się w czynszówkach otoczeni książkami. Doktor usłyszał za plecami dorożkę. Obejrzał się. Fiakier jechał z pochyloną głową. Pusty kurs. Winnicki się zawahał. Wydało mu się, że ktoś go obserwuje, ukryty w cieniu, z dala od ulicznych latarni. Mogło to być jednak tylko przywidzenie. W końcu podszedł do drzwi, pchnął je i wszedł do gmachu Politechniki.

Cisza. Kompletna, dzwoniąca w uszach. Winnicki ruszył ku schodom. Nikogo nie było w korytarzu, gmach świecił pustkami. Dziwne, zważywszy na to, że doktora powinien zatrzymać choćby dozorca.

Na piętrze Andrzej skręcił w prawo, potem w lewo, mijając kilka gabinetów, w tym ten, który kiedyś należał do niego.

Drzwi prowadzące do królestwa Waldorfiego znajdowały się na końcu korytarza. Doktor podszedł do nich, obrzucając niechętnym spojrzeniem wizytówkę z nazwiskiem i tytułami profesora. Uniósł laskę i zastukał.

Nikt nie odpowiedział. Winnicki już miał powtórzyć tę czynność, ale zauważył, że drzwi nie są zamknięte. Przez szparę pomiędzy odrzwiami i framugą sączyło się światło.

- Waldorfi? – zapytał, popychając mocniej dębowe skrzydło.

Zanim przekroczył próg, obrzucił spojrzeniem wnętrze gabinetu. Po prawej stronie zobaczył masywne biurko. Na nim stała lampka, która jako jedyna rozświetlała pomieszczenie. Półki ugięły się pod ciężarem książek. Z prawej widać było stolik i dwa fotele. Doktor nie przyznałby się przed samym sobą, że królestwo Waldorfiego ogląda z niezdrową ciekawością. Czuł się jak dziecko zaglądające tam, gdzie nie miało prawa zaglądać.

Uwagę Winnickiego przyciągnął wzorzysty czerwony dywan, a dokładniej stojąca na nim bryła. Dziwna konstrukcja przypominająca obły walec, z dwiema prowadnicami podtrzymującymi ją w pionie. Mogła być zaczątkiem jakiegoś projektu, nie pasowała jednak do zacisza biura. Jej miejsce powinno być raczej w jakimś warsztacie.

Dopiero po chwili Winnicki dostrzegł buty i dolną część nóg wystającą spod tej masywnej konstrukcji.

W pierwszej chwili niemal się roześmiał. Wydawało mu się, że przyłapał Waldorfiego na drzemce. Wyglądał jak mechanik sprawdzający podwozie naprawianego pojazdu. Profesor mógł zasnąć w trakcie pracy nad projektem. Winnicki szybko jednak zdał sobie sprawę, że jego ocena była błędna. Rzucił się przed siebie i dopadł do bryły, próbując popchnąć ją barkiem i przewrócić, by uwolnić przygniecionego profesora.

- Waldorfi! – krzyknął ze zgrozą.

Walec nawet nie drgnął. Doktor cofnął się i oparł o biurko, drżąc na całym ciele. Klatka piersiowa profesora się zapadła, zmiażdżona i sprasowana. Oczy były wytrzeszczone, usta otwarte w niemym krzyku.

Dopiero teraz Winnicki zdał sobie sprawę, że dywan, na który wcześniej patrzył, nie był czerwony, a szary, szkarłatne wzory tworzyła plama krwi.

Doktorowi zakręciło się w głowie. Spojrzał w górę, jakby się spodziewając, że ta ciężka konstrukcja była wcześniej podwieszona u sufitu i nieszczęśliwie spadłszy, przygniotła Waldorfię. Brakowało jednak jakichkolwiek śladów łańcuchów lub prętów, do których można byłoby ją podczepić. Nie wyglądało to na wypadek. Doktor powiedziałby raczej, że ktoś uniósł metalową konstrukcję i cisnął na leżącego na podłodze profesora. Przeczyło to jednak zdrowemu rozsądkowi.

– Policja... – Winnicki potoczył się w stronę biurka. Oparł się na nim i rozejrzał wokół. Wiedział, że Waldorfi jako jeden z nielicznych pracowników Instytutu ma w swoim gabinecie telefon. Dostrzegł go na ścianie tuż przy drzwiach.

Ruszył w tamtą stronę, potykając się na dywanie. Popatrzył pod nogi, podeszwy butów pozostawiły na grubym materiale krwawe odciski. Winnicki w pierwszej chwili chciał zadzwonić na komisariat, ale w końcu przypomniał sobie, że wciąż ma w pamięci numer do biura Sieniawy. To jego postanowił powiadomić jako pierwszego o śmierci profesora.

– Z nadkomisarzem... z nadkomisarzem Sieniawą! – wychrypiął do słuchawki, gdy po drugiej stronie odezwał się kobiecy głos. – Mówi Andrzej Winnicki... Tak, ale szybko!

Odwrócił się do trupa. Ten widok był surrealistyczny. Czuł się jak na przedstawieniu w teatrze. Jakby Waldorfię grał jeden z aktorów, który za chwilę się podniesie, odrzuci metalową bryłę niczym atrapę wykonaną z papieru i ukloni się publiczności, wzbudzając gorący aplauz.

- Andrzej?

Winnicki podskoczył, gdy rozległ się znajomy głos. Zupełnie zapomniał, że trzyma przy policzku słuchawkę.

– Andrzej, co się stało?

– Waldorfi... Jestem u niego w gabinecie na Politechnice. On...

– Mów, co się dzieje?

– Profesor nie żyje. Został zamordowany, myślę, że najwyżej kwadrans temu...

Po drugiej stronie zapadła cisza. Jednak tylko na kilka sekund. Sieniawa widać szybko potrafił opanować emocje.

– Wyjdź stamtąd – powiedział.

– Nie rozumiem... – Winnicki poczuł, że jego wcześniejsza słabość przeradza się w gniew.

- Tam wciąż może być morderca. Wysłałam ludzi, ale będą tam dopiero za dziesięć minut. Wyjdź stamtąd jak najszybciej!

Doktor poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Wcześniej o tym nie pomyślał. Popatrzył nerwowo w bok. Nastawił uszu.

Wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk na korytarzu.

– Rozumiesz? Andrzej, wychodź stamtąd natychmiast!

Doktor wypuścił słuchawkę i przerwał połączenie. Przykucnął przy ścianie.

W oddali coś zadudniło. Winnicki ruszył do wyjścia. Serce zabiło mu mocno, zakręciło się w głowie. Dudnienie powtórzyło się, miarowe, jedno uderzenie po drugim. Doktor ścisnął laskę i zaczął biec.

Skierował się w dół schodów, przeskakiwał po kilka stopni naraz. Nagle kolano odmówiło mu posłuszeństwa. Winnicki wydusił z siebie jęk, potknął się i uderzył żebrami o poręcz. Dudnienie ucichło. Doktor pozbierał się i podjął drogę w dół, ostrożnie, schodek, po schodku. Tym razem dudnienie odezwało się bliżej.

Wyobraźnia podsunęła Winnickiemu obraz olbrzyma zmierzającego w jego stronę. To chyba dodało mu sił. Zszedł na parter i wtedy znów puścił się biegiem. Pchnął drzwi i znalazł się przed gmachem Politechniki. W oddali słyszał dźwięk syreny policyjnej.

Stał w towarzystwie kilku aspirantów. Wiatr chłodził rozognione policzki. Winnicki wciąż nie mógł

uwierzyć w to, czego świadkiem był kilkanaście minut temu.

Sieniawa zadał mu kilka pytań, a potem udał się od razu do budynku w towarzystwie policjantów i obsługi ambulansu.

– Panie doktorze? Nic panu nie jest?

Winnicki odwrócił się do młodzieńca, który dotknął jego ramienia. W pierwszym momencie go nie poznał. Dopiero po chwili skojarzył, że obok niego stoi asystent Waldorfięgo, Stefan Kotula.

– Co pan tutaj robi? – zapytał drżącym głosem.

– Byliśmy umówieni... W domu pana nie zastałem – zaczął nieśmiało chłopak.

– Jak pan widzi, pewne okoliczności uniemożliwiły mi spotkanie.

– Tak, rozumiem. – Kotula uśmiechnął się blade. – Proszę wybaczyć.

– Skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać? – Winnicki wciąż mimowolnie spoglądał na gmach Politechniki.

– Pana kamerdyner powiedział mi, gdzie się pan udał... I proszę wybaczyć, przyjechałem tutaj, mając nadzieję...

Doktor pokiwał głową. To było do Olafa podobne. Znając życie, lokaj odnalazł pomięty liścik od profesora i zanim wrzucił go do kosza, przeczytał. Umiłowanie porządku u starego kamerdynera nieraz doprowadzało Winnickiego do szału.

– Co się tutaj stało? – zapytał Kotula, wskazując na budynek.

Doktor dopiero teraz zdał sobie sprawę, że chłopak o niczym nie wie.

– Profesor Waldorfi nie żyje...

– Co? – Kotula uniósł dłoń do ust.

– Został zamordowany.

– To niemożliwe... – Kotula zgarbił się, oparł dłonie na kolanach, jakby zrobiło mu się słabo. – To niemożliwe.

– Andrzej, dla dobra śledztwa nie powinienesz udzielać nikomu informacji dotyczących dzisiejszych wydarzeń.

Winnicki skinął głową, niechętnie przyznając Sieniawie rację. Nadkomisarz wyszedł właśnie z budynku w towarzystwie sanitariuszy, którzy na noszach przenosili do ambulansu okryte czarną płachtą zwłoki.

– To asystent Waldorfięgo, Stefan Kotula – przedstawił młodzieńca doktor. – Myślę, że i tak by się dowiedział.

– Asystent profesora? – Nadkomisarz przyjrzał się uważniej młodzieńcowi. – Co pan tutaj robi?

– Miał się ze mną spotkać – zaczął Winnicki, machnął jednak w końcu ręką, uznając, że wyjaśnienia nie mają sensu. – Widzę, że udało się wam wydobyć ciało...

– Tak – odpowiedział krótko Sieniawa. – Chcę, żebyś pojechał ze mną do kostnicy. Pan Kotula także może czuć się zaproszony. Wiem, że profesor Waldorfi nie miał rodziny, a pan jako jego współpracownik będzie mógł pomóc w identyfikacji zwłok.

– Nie wystarczy, że ja to zrobię? – zapytał doktor.

– Chciałbym, żeby przy identyfikacji obecna była osoba, która pracowała z profesorem na co dzień.

Kotula skinął głową, a Winnicki wzruszył jedynie ramionami.

– Zapraszam więc do mojego paromobilu – oznajmił Sieniawa. Odwrócił się energicznie i pierwszy ruszył ku maszynie.

1932
BRESLAU,
AM LEHMDAMM

Blizna odnalazł mieszkanie Sybonia dosyć łatwo. Przez chwilę wpatrywał się w okna na piętrze, próbując dojrzeć, czy ktoś przebywa w środku. Kontakt z profesorem Winniccy nie utrzymywali od wielu lat. Staruszek mógł zmienić miejsce zamieszkania.

Na Lehmdamm bawiło się kilkoro dzieci. Marek obserwował, jak popychają patykami stalowe obręcze od beczek i felgi rowerowe pozbawione szprych. Śmiech odbijał się na ulicy od ścian budynków. Gdyby teraz obok siebie postawił polskich i niemieckich rówieśników, niewiele by się różnili. Dopiero z czasem życie ich zmieni, kiedyś być może staną po dwóch stronach frontu.

Staszek i Marianna także uwielbiali się bawić w toczenie obręczy. Marek nigdy do nich nie dołączył, nawet gdy go o to prosili. Uważał, że jest na to zbyt poważny. Teraz przez moment pożałował, że nie wykorzystywał w pełni tamtych beztrudnych dni.

W końcu, gdy dzieci zniknęły za rogiem, porucznik ruszył do bramy. Szedł niespiesznym krokiem, jednak dyskretnie rozglądał się wokół. Wcześniej widział niemieckich żołnierzy. Nikt go nie zatrzymywał i nie legitymował, ale wołał nie kusić losu.

Wkrótce znalazł się na przesiąkniętej piwnicznym zapachem klatce schodowej. Ruszył na piętro. Przy drzwiach profesora widniała tabliczka z właściwym nazwiskiem. Marek zapukał. Po chwili uczynił to ponownie, jednak nikt mu nie otwierał. Nie słychać też było żadnych odgłosów z wnętrza mieszkania.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Dzieci bawiły się teraz na podwórku. Było na tyle zimno, że wszystkie okna od strony wewnętrznego dziedzińca były zamknięte. Marek wrócił pod drzwi i sięgnął do półeczki przymocowanej do ściany, tuż przy drzwiach Sybonia.

Pamiętał, że profesor wyciągnął stamtąd klucz, gdy odwiedzili go z ojcem. Tłumaczył się, że klucze gubi przynajmniej raz w tygodniu, więc chowa tu zawsze jeden, zapasowy, na wypadek gdyby znów przytrafiło mu się to nieszczęście.

Klucz znajdował się na miejscu. Marek otworzył drzwi i wszedł do mieszkania profesora.

1923 WSPOMNIENIA

Uznałem, że generał Tadeusz Rozwadowski najlepiej będzie się nadawał do objęcia dowództwa nad formowaną dywizją pancerną. Nie bez znaczenia było jego zamiłowanie do konstrukcji i wynalazków. W ten sposób dałem mu możliwość prowadzenia prac choćby nad nowymi pociskami artyleryjskimi. Wiedziałem, że konstrukcje wychodzące z fabryk Cierzbickiego dadzą mu spore pole do popisu, i z jego zdaniem liczyć się będzie musiał nawet prezes Lewiatana.

W Łódzkim garnizonie wciąż mieliśmy pułk pancerny, wchodzący wcześniej w skład armii generała Andersa. Nasi żołnierze powrócili z Francji w 1919 roku z ponad setką tanków FT-17. W tym wypadku większe znaczenie niż owe „czołgi”

miał dla mnie fakt, że obsada pułku była dobrze wyszkolona i mogła szybko przenieść się na nowe maszyny.

Kilka miesięcy po spotkaniu u prezydenta z Cierzbickim miałem okazję zobaczyć pierwsze manewry z udziałem nowych machin. Rozwadowski starał się ukryć emocje, ale widać było, że dumny był ze swoich ludzi i nowego sprzętu, który znalazł się na ich wyposażeniu.

– Czeka nas wiele wyzwań. Naczelniku – powiedział. – Utworzenie pułku czołgów wydawało się jeszcze niedawno szczytem naszych możliwości. Teraz formujemy dywizję, która składać się będzie z kilkuset tanków i kilku tysięcy pojazdów mechanicznych różnego przeznaczenia. W dodatku powstają coraz to nowe konstrukcje, zmiany wprowadzane są niemal codziennie. To wymaga szkoleń, zapanowania nad chaosem!

– Dlatego wyznaczyłem cię do tego zadania.

Rozwadowski skinął głową i dodał po dłuższej chwili: – Rosjanie uderzyli kilka dni temu na Kijów. Wydaje się, że było to tylko prężenie mięśni, bo po kilkugodzinnej wymianie ognia wycofali się. Z raportów naszych dowódców wynika jednak, że nasi przeciwnicy użyli podczas ataku pojazdów pancernych nowego typu. Oprócz czołgów znalazło się tam kilka machin, które niszczyły z dziecinną łatwością zasieki, dodatkowo pokonywały nawet najszersze z okopów. Uzbrojenie także było zupełnie nowe, miotacze ognia i granatów, znacznie większy zasięg pocisków artyleryjskich...

– Wyścig zbrojeń, drogi generale. – Te informacje wcale mnie nie zdziwiły. Cierzbicki już wcześniej sygnalizował mi podobne zagrożenie. – Wyścig właśnie się zaczął. Musimy być krok przed nimi. Winniśmy opracować taktykę, która pozwoli nam uzyskać przewagę...

– Naczelniku, mamy przeciwników na wschodzie i zachodzie, dwa potężne państwa, a jesteśmy osamotnieni. Minie rok, może nawet więcej, zanim wszystkie planowane brygady osiągną pełne stany.

– Taktyka. Spraw, żeby naszym przeciwnikom wydawało się, że nowych machin jest u nas więcej niż w rzeczywistości.

Wiesz dobrze, że żadna ze stron nie ustąpi. My z prostego powodu: kapitulacja byłaby dla nas wyrokiem śmierci. Rosjanie i Niemcy z innych. Wciąż wydaje im się, że wystarczy poczekać, a wykrwawimy się i pozostaną tylko niedobitki, które zgodzą się na wszelkie warunki zwycięzców.

– Moskwa i Berlin podzieliliby Polskę między siebie. Znow zniknęlibyśmy z map Europy... – powiedział cicho Rozwadowski.

– Generale, sam widzisz, że nie mamy wyboru.

Kilkadziesiąt maszyn w tej właśnie chwili ruszyło w dół wzgórza. Rozległy się potężne odgłosy wystrzałów wstrząsających potężnymi machinami.

– Tank Piłsudskiego!

– Co mówisz, generale?

– Tak nazwaliśmy ten największy czołg. – Rozwadowski odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. Widział, jakie wrażenie wywołała na mnie owa machina. – Nosi miano Tanku Piłsudskiego!

Wydawało się, że oto nadeszły dni chwały naszego oręża. W tamtej rozmowie z Rozwadowskim pojawiły się jednak symptomy naszej słabości. Kolejne upływające lata pokazały, że to, co miało zapewnić nam przewagę nad wrogami, pozwoliło jedynie na przetrwanie, zresztą okupione wyrzeczeniami i ciężkimi stratami.

Drogi do zakończenia tej wojny szukać musiałem zupełnie gdzie indziej.

WARSZAWA, ZAKŁAD MEDYCZYNY SĄDOWEJ, ULICA OCZKI

Doktor Winnicki obserwował Kotulę, gdy ten podchodził do stołu, na którym ułożono zwłoki Waldorfięgo. Chłopak niepewnie stawiał kroki. Był blady jak ściana. Zmiażdżone zwłoki profesora stanowiły makabryczny widok.

– Czy rozpoznaje pan Leonarda Waldorfięgo? – Sieniawa stał u wezgowia metalowego stołu, skupiony; także obserwował młodego asystenta.

Kotula skinął głową. Młodzieniec uniósł dłoń z chusteczką do nosa. Wydawało się, że próbuje opanować mdłości.

- Jest pan pewny? Rozpoznaje pan profesora Waldorfięgo?

- Tak, to on! – Chłopak skrzywił się, potrząsnął niecierpliwie głową. – Jeśli chce się pan nadkomisarz upewnić, mieć jakiś dodatkowy dowód, to proszę, profesor nie ma połowy serdecznego palca u prawej dłoni. Kilka lat temu podczas testów maszyny tkackiej...

Sieniawa obszedł stół i stanął z prawej strony denata. Uniósł jego dłoń.

- Zgadza się.

Winnicki nie wiedział o tym wypadku. Sam szczylił się dużą zdolnością obserwacji, jednak nie zauważył tego defektu podczas ostatniego spotkania.

– Gdzie pan był, panie Kotula, pomiędzy godziną siedemnastą a dziewiętnastą?

– Czy to przesłuchanie? – Chłopak wyglądał na zirytowanego. Potrząsnął chusteczką trzymaną w dłoni. Uniósł głos, ale raptownie go ściszył, patrząc na leżącego profesora. – Co pan sugeruje?

– Nic nie sugeruję. – Nadkomisarz wzruszył ramionami. – Niepotrzebnie pan się unosi. Zadałem proste pytanie.

– Byłem... pojechałem do doktora Winnickiego.

- Tak, byliśmy umówieni – potwierdził Andrzej, także oburzony tym niezrozumiałym atakiem na chłopaka.

Sieniawa obojętnie skinął głową.

– Nie zastałem doktora... powiedziano mi, że udał się do profesora Waldorfięgo. Miałem nadzieję, że go tam złapię.

– I złapał pan. – Nadkomisarz się uśmiechnął. – A w jakiej sprawie chciał się pan spotkać?

– Na litość boską, Sieniawa! – warknął Winnicki. – Dostyc tego. Młody nie mógł tego zrobić. Nie ma krzepy jak tur, by cisnąć tym żelastwem!

Na twarzy Kotuli pojawiło się zaskoczenie. Nadkomisarz zmarszczył brwi.

– Na razie to wszystko – zwrócił się chłodno do chłopaka. – Jeśli będziemy mieli do pana jeszcze jakieś pytania, zgłosimy się. Teraz niech pan nas zostawi samych z doktorem Winnickim.

Wydawało się, że Kotula chciał jeszcze coś powiedzieć, otworzył nawet usta, ale zaraz je zamknął. Skłonił się z szacunkiem Winnickiemu i udał się do wyjścia.

Doktor odwzajemnił się podobnym ukłonem, poczekał, aż chłopak opuści prosektoarium, i zwrócił się cierpko do śledczego: – Co chcesz osiągnąć, nadkomisarzu? Nie zebrałeś wystarczająco dużo dowodów w gabinecie Waldorfięgo? Myślisz, że chłopak uniósłby to cholerne żelastwo i cisnął nim w tego starego durnia?

– Przyjacielu... – Sieniawa przechylił głowę. Wydawało się, że zastanawia się nad kolejnymi słowami, które miały paść z jego ust. – Trup tam był, tak jak mówiłeś... Zgnieciony. Jednak... nie wiemy, co doprowadziło do takich uszkodzeń.

Winnicki, zbyt zaskoczony, nie odpowiedział.

– Jestem daleki od posądzania cię o przywidzenia. Nie było tam jednak żadnej bryły, walca, jak

wcześniej mówiłeś. Trup Waldorfiego leżał na dywanie w takim stanie, w jakim go teraz widzisz.

W prosektorium zapanowało milczenie. Przed oczami Winnickiego zawirowały ciemne plamy.

– Nie wiemy, co mogło wywołać tak poważne uszkodzenia ciała...

Z ust Sieniawy toczyła się ledwie dostrzegalna para, w którą Winnicki wpatrywał się jak w niecodzienne zjawisko. Sam nie potrafił określić stanu, w którym się znalazł.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – Nadkomisarz spojrział na niego ze zniecierpliwieniem.

– Nie – odpowiedział krótko Andrzej. – Nie mam nic do dodania. I jeśli nie jestem w kręgu podejrzanych, to...

– Nie bądź śmieszny – przerwał Sieniawa, podnosząc głos. – Gadasz głupoty! Chcę się dowiedzieć, co tam się stało!

Wiem, że spotkałeś się dzisiaj z Waldorfim. Skoro cię zaprosił, musiał być ku temu jakiś powód. Naprawdę nie masz mi nic do powiedzenia?

– Zaprosił mnie – potwierdził Winnicki, spoglądając na policjanta. – Jak się jednak domyślasz, nie zdążyłem z nim porozmawiać. Mogę natomiast podejrzewać, że powodem naszego spotkania miał być wypadek kapsuły transportowej.

– Rozmawiał z tobą w Warsztatach, po co więc ta cała konspiracja?

– O to już trzeba by jego zapytać.

Obaj popatrzeli na denata.

– Dobrze. – Sieniawa wziął głęboki oddech, jakby próbował zapanować nad emocjami. – Postarajmy się wyciągnąć jakieś wnioski...

– Dla mnie są oczywiste. – Tym razem to doktor przerwał nadkomisarzowi. – Loty muszą pozostać zawieszane.

Sieniawa postąpił krok w jego kierunku.

– Jeśli chcesz, by pozostały w zawieszaniu, powiedz mi coś, co da nam taką możliwość. Nikt w rządzie nie zdecyduje się na zastopowanie operacji z powodu widzimisię doktora Winnickiego i nadinspektora Sieniawy!

– Katastrofa pocisku transportowego, śmierć profesora. One nie dają ci żadnych podstaw?

– Zespół Waldorfiego będzie prowadził projekt dalej...

– Zespół Waldorfiego. – Doktor z irytacją powtórzył słowa Sieniawy. – Jedynym rozsądnym w tym zespole wydaje się Kotula. Waldorfi wysłał mi wiadomość o spotkaniu na Politechnice. Jak myślisz, po co była mu cała ta konspiracja?

– No właśnie, po co? – podchwycił nadkomisarz.

– Co jeśli Waldorfi popełnił błędy w projekcie? Błędy, do których nie potrafił się przyznać. Wiedział jednak, że je odkryje i wtedy jego reputacja legnie w gruzach.

– Podejrzewasz, że to był powód, dla którego chciał się z tobą spotkać na osobności?

– Waldorfi był zadufanym w sobie pajacem! – Winnicki popatrzył na stół sekcyjny, ale widok denata nie ostudził jego emocji. – Być może miał problemy z systemami podtrzymywania życia w pociskach transportowych. Być może nie poradził sobie z czymś innym.

– Być może? – Sieniawa znów podniósł głos. – I to mam powiedzieć premierowi i Marszałkowi? „Być może”?

– Cóż, dziś tego u Waldorfiego nie potwierdzę.

Nadkomisarz pokręcił głową.

– Hoover przyleci lada dzień – powiedział grobowym tonem. – Loty zostały wznowione kilka godzin temu...

– Jak to? – Doktor poczuł, że uginają się pod nim kolana. – Przecież mówiłeś, że zostaną wstrzymane na czas mojego śledztwa!

– Zmiana planów... nie moja decyzja. – Na czole Sieniawy pojawiły się głębokie bruzdy. – Takie decyzje zapadają gdzie indziej.

– Staszek...

– Nie musisz się o niego obawiać. W najbliższych transportach nie będzie go na liście.

Winnicki skinął głową. Z trudem zachowywał spokój.

– Rozmawiałem z jego dowódcą – ciągnął Sieniawa. – To ambitny chłopak. Wcześniej czy później wejdzie na pokład transportowca. Wepchnie się drzwiami albo oknem. Rozumiesz?

– Rozumiem – wychrypiął doktor.

– Mnie też się to wszystko nie podoba. Nie jestem ślepy. Wiesz jednak, o jaką stawkę idzie ta gra. Machina ruszyła, Marszałek i rząd są przekonani, że wkrótce będziemy dysponować nieprzebrany arsenałem rakiet, a pociski transportowe działają bez zarzutu...

– Bez zarzutu? Nawet po tej katastrofie?

– Nawet po niej – potwierdził nadkomisarz. – Są przekonani, że to, co się stało, było nieszczęśliwym wypadkiem.

- Tego nie wiemy, przynajmniej do momentu opublikowania raportu, do którego przygotowania mnie zobowiązałeś.

- Andrzej, mam nadzieję, że twój raport potwierdzi tę wersję.

Winnicki patrzył z niedowierzaniem na Sieniawę.

– Tak – potwierdził z naciskiem nadkomisarz. – I tobie też powinno na tym zależeć. Powinniśmy się obaj modlić, żeby przyczyną wypadku był ten cholerny, źle przymocowany parotank! Bo jeśli jest inaczej, jeśli za katastrofą kryje się coś więcej, będzie to oznaczać, że nie ma już dla nas nadziei! Tutaj nie różni się od polityków. Ta wojna musi się skończyć.

Naszą jedyną szansą jest realizacja planu, który poznałeś, a który ma zostać wcielony w życie w najbliższych tygodniach.

- To myślenie życzeniowe! Równie dobrze możecie jechać do Częstochowy i modlić się pod świętym obrazem!

Wykradliście projekt rakiet von Brauna. Waldorfi przekonał wszystkich, że jest w stanie stworzyć z naszego kraju potęgę militarną. Liczycie na cud?

Sieniawa zamilkł, jakby rozważał kolejne słowa. W końcu się odezwał: – Profesor miał przydzieloną ochronę. Mimo to udało mu się opuścić swoje mieszkanie i dotrzeć do Politechniki, by spotkać się z tobą. Musiał być śledzony, a jego zabójca wykorzystał sytuację i naszą nieuwagę.

– Pełen profesjonalizm – zakpił Winnicki. – Byłem w Warsztatach Lotniczych. Jeśli równie dobrze pilnujecie tego miejsca jak profesora, to założę się, że o waszych poczynaniach wiedzą już Berlin, Moskwa, a nawet Pekin.

- Andrzej. Ten, kto zabił Waldorfię, chciał wymusić na nas przerwanie, a co najmniej opóźnienie projektu. Nie sądzisz, że to znak, iż musimy działać? Znak, że nie starcza nam czasu?

– Pośpiech – powiedział cicho Winnicki. – Waldorfi też działał w pośpiechu, nie bacząc na konsekwencje.

Sieniawa westchnął zrezygnowany.

– Chcę, żebyś coś sprawdził.

– Co takiego? – zapytał doktor.

– Chciałbym, żebyś użył swojej maszyny impulsowej. Być może dowiemy się, co działo się w ostatnich chwilach życia Waldorfięgo. Może widział mordercę i ta twoja maszyna nam pomoże...

– Nie mam jej przy sobie – zauważył rzeczowo Winnicki.

– Kazałem po nią posłać. Olaf na szczęście zrozumiał, że jest to konieczne. – Śledczy wyciągnął spod stołu sekcyjnego torbę. – Zrób, co musisz. Może znajdziemy jakieś wyjaśnienie tych wydarzeń.

– Znów myślenie życzeniowe... – Winnicki czuł, że ugina się pod presją policjanta. Przejął walizeczkę i położył ją na stole. Po chwili ostrożnie wyjął elektromaszynę. Skinął głową Sieniawie, sugerując, by ten podstawił krzesło. Umieścił na nim urządzenie, a potem przypiął elektrody do głowy denata.

– Ta twoja maszyna zawsze mnie zadziwiała... – wyszeptał Sieniawa, obserwując działania Winnickiego. – Czytałem o niej wiele, widziałem też, jak się nią posługujesz, ale mój umysł nie jest w stanie tego objąć...

– Być może wszystko zależy od umysłu, którym się dysponuje?

Sieniawa się zaśmiał. Nie wyglądał na urażonego tą uwagą.

– Chce mi się palić – powiedział.

- To potrwa, możesz wyjść na papierosa. – Winnicki poprawił rozmieszczenie elektrod.
– Nie. Zostanę. – Śledczy na chwilę zamilkł pogrążony we własnych myślach. Naraz jednak, nieoczekiwanie zapytał: – Wierzysz w niebo?
– Skąd u ciebie ta nagła religijność?- Andrzej się uśmiechnął.
– Może przychodzi z wiekiem, gdy człowiek więcej myśli o życiu, a zwłaszcza o śmierci – odpowiedział cicho nadkomisarz. – Nie zastanawiałeś się, jak tam jest?
Winnicki milczał.
– Jesteś świadkiem ich ostatnich słów, myśli... Zaglądasz w ich dusze w najintymniejszym momencie, gdy są zawieszani pomiędzy życiem a śmiercią, gdy mają przejść...
– Na drugą stronę?
– Tak. – Sieniawa nie wyczuł sarkazmu w głosie doktora. – Zastanawiałeś się, jakie byłyby twoje ostatnie słowa?
– Nie chcesz wiedzieć, jakie są ich ostatnie słowa... w przeważającej większości.
– No tak. – Sieniawa się rozkaszała. Winnicki uznał to za mimowolny odruch zatwardziałego palacza. Organizm domagał się nikotyny. – Ja chyba bym przeprosił... za błędy.
Winnicki zacisnął palce na uchwycie elektromaszyny, po chwili jednak powrócił do pracy.
– Czy to ciebie zmieniło? Czy to ma wpływ na twoją wiarę? Na twoje życie? – ciągnął Sieniawa.
– Nie... – odpowiedział sucho doktor.
– Dlaczego? – Nadkomisarz był szczerze zdziwiony. – Nie rozumiem...
– Dlatego... – Winnicki włączył maszynę. – Właśnie dlatego.
Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Z urządzenia wydobyły się tylko suche trzaski. Potem usłyszeli świst i krzyk, który mroził krew w żyłach.
– Jest!
– Idzie!
Winnicki zamknął oczy. Wsłuchiwał się w ostatnie słowa Waldorfiego.
– Boże!
– Oni wiedzą.
Doktor usłyszał przyspieszony oddech Sieniawy.
– Tlen!
– Ból!
To słowo powtórzyło się jeszcze kilka razy.
– Istota I - Winnicki!
Andrzej otworzył oczy i wyprostował się jak struna. Dźwięk własnego nazwiska zmroził mu krew w żyłach. Wyglądało to tak, jakby Waldorfi w ostatnich chwilach życia chciał zostawić mu wiadomość, jakby wiedział, że Winnicki użyje na nim maszyny impulsowej.
– Bestia!
– Światło...

1932
BRESLAU,
MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA

Marek wierzył, że Syboń nie będzie miał mu za złe оголошення kredensu z chleba i konserw. Czekał na profesora już kilka godzin i zaczął mu się buntować żołądek. Adrenalina powoli schodziła, odezwał się za to głód.

Mieszkanie profesora nie wyróżniało się niczym szczególnym. Kilka prostych mebli, piec i duży stół, przy którym mogła się pomieścić cała rodzina, choć zasiadał przy nim tylko Syboń. Brakowało pamiątek, bibelotów, które gromadzi się w życiu. Marek pamiętał, że w głębi korytarza znajdzie dwa małe pokoiki. Gdy wraz z ojcem odwiedził profesora, jeden z nich wydał mu się zwykłą, brudną graciarnią, wypełnioną kawałkami blach, przewodów i niezrozumiałych mechanizmów. Nie podzielał ekscytacji dorosłych, którzy w tym bałaganie brodzili z zachwytem, jakby znaleźli się w jakimś skarbcu. Drugi z pokoi był sypialnią Sybonia. Mimo że porucznik czuł, że opadają mu powieki, a myśli coraz leniwiej krążą w głowie, nie zdecydował się, by skorzystać z łóżka i wyspać się jak człowiek.

Ocknął się z głową na blacie stołu i policzkiem przyklejonym do ceraty. Musiało już być późno, bo w kuchni zapadł zmrok. Targnął nim niepokój wywołany przez sen, obrazy wróciły ze zdwojoną siłą. We śnie nie mógł się poruszyć, był całkowicie bezbronny. Jego ciało wydawało się obce, nie reagowało na żadne bodźce. Chciał poruszyć ręką, nogą, głową – bezskutecznie.

Wtedy w polu widzenia Marka pojawił się jakiś człowiek. Porucznik pamiętał, że z całej siły chciał się odezwać, powiedzieć, że żyje, że tylko ciało odmówiło mu posłuszeństwa, on wciąż rozumie, rejestruje, widzi i słyszy. Miał świadomość, że to tylko sen, ale ogarniał go coraz większy strach. Mężczyzna w białym kitlu patrzył na niego obojętnie, jak na obiekt badawczy, jak na martwe ciało leżące na lodowatym stole prosektorium.

Porucznika ogarniał coraz większy strach. Robił wszystko, by dać znak lekarzowi, że żyje: starał się mrugnąć, unieść rękę, poruszyć choćby palcem. Ale jego ciało było zimne i ciężkie, nie miał nad nim władzy.

Wtedy mężczyzna pochylił się nad nim. W jego dłoni pojawił się kawałek kartki. Marek dostrzegł zapisane słowo: „Emet”. Pergamin został zgięty w pół i wepchnięty w jego usta. I dopiero wówczas młody Winnicki powrócił na jawę.

WARSZAWA, ZAKŁAD MEDYCZYNY SĄDOWEJ, ULICA OCZKI

Gdy Winnicki wyszedł z kostnicy, było około drugiej w nocy. Kotula czekał na niego na chodniku i palił papierosa.

Uśmiechnął się blado na jego widok.

Doktor nerwowo obszukał płaszcz, zdał sobie jednak sprawę, że ma puste kieszenie.

Chłopak się domyślił. Wyciągnął paczkę i podał doktorowi. Gdy odpalał zapalniczkę, Winnicki zauważył, że drżą mu dłonie.

- Wciąż nie mogę uwierzyć... Nieźle się narobiło, doktorze, prawda?

- Nieźle? – powtórzył odruchowo Winnicki. Myśli zajęte miał innymi rozważaniami. Wciąż w głowie huczały mu ostatnie słowa Waldorfięgo.

Profesor zdobył się w ostatnich chwilach na heroiczny wysiłek. Mimo całej niechęci, którą Winnicki czuł do niego, musiał mu oddać, że w ostatnich chwilach życia rywal nie okazał się małostkowym draniem. Nie myślał o sobie, o strachu.

Zrobił wszystko, by jego śmierć nie poszła na marne. Pozostawił ślad dla Winnickiego, przeciwnika, którego przecież nienawidził z całego serca.

- Doktorze, dowiedział się pan czegoś?

Winnicki spojrział na młodzieńca. Chwilę patrzył w czujne, inteligentne oczy.

Czego się dowiedział? Wiele o Waldorfim, być może także o sobie samym. Czy na miejscu profesora byłby w stanie odrzucić urazy, unieść się ponad stare zadry i poświęcić swoją prywatną wojenkę na rzecz ważniejszych spraw?

A to ostatnie słowo profesora...

- Powiedział „światło”...

- Co? – Kotula zamarł z papierosem w ustach.

- Nie... ja tylko... – Winnicki zdał sobie sprawę, że zaczynał głośno wypowiadać swoje myśli. Jedna z przypadłości wieku. – Ostatnie słowo profesora... Powiedział „światło”.

- Pan żartuje? – Stefan parsknął śmiechem, ale po chwili się zmitygował, widząc karcące spojrzenie Winnickiego. – Proszę wybaczyć. Czytałem pański artykuł... Po prostu... Będę z panem szczerzy: nigdy bym nie przypuszczał, że profesor Waldorfi pójdzie do nieba. Był wielkim naukowcem, ale proszę nie mieć za złe, że mówię tak o zmarłym... nie liczył się z ludźmi.

Doktor zaciągnął się dymem. Tym razem to chłopak wypowiedział na głos jego myśli.

- Nigdy nie napisałem, że chodzi o niebo.

- Niby tak. – Kotula skinął poważnie głową. – Ale tak można było pomyśleć. Wiele osób, które doświadczyły śmierci klinicznej, opowiadało o świetle, wędrownkach poza ciałem. Niektórzy opisywali mistyczne doznania, spotkania z inteligentną światłością... Światłem.

- To może być związane ze śmiercią mózgu, z brakiem tlenu. Nie wiemy, czym jest to opisywane światło. Zresztą nie wszyscy mają takie doznania.

- A piekło, doktorze? – Kotula wydawał się szczerze zainteresowany tematem. – Czy ktoś mówił „ciemność”, „ogień”?

Winnicki zawahał się.

- Nie... „Ogień” tylko wtedy, jeśli osobnik stracił życie właśnie w ten sposób, spłonął. „Ciemność”? Czasem... Tak, zdarzało się.

- Może to oznacza, że piekła nie ma? – Chłopak zaśmiał się cicho. – A może, że niektórzy nie trafiają do tej światłości, tylko tu zostają?

- Nie wiem. – Winnicki chciał uciąć tę rozmowę. Skostniały mu dłonie. Papieros nagle stracił smak.

– Skoro Waldorfi zobaczył światło, być może nie był tak złym człowiekiem, jak nam się wydawało? Może zdążył czymś odkupić swoje winy? To chyba dla nas jakaś nadzieja, doktorze. Nie myśli pan?

Andrzej rzucił niedopałek na płytę chodnikową i zdusił butem.

– Dlaczego chciał się pan ze mną spotkać? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Teraz... nie wiem, czy ma to sens. Czasem lepiej nie mówić o zmarłych...

– Co chciał mi pan powiedzieć?

Kotula odetchnął.

- Waldorfi zachowywał się w ostatnich dniach dziwnie. Zamknął się w sobie, przestał uzgadniać z nami swoje decyzje.

- Jaka mogła być pańskim zdaniem przyczyna?

- Teraz nie ma to znaczenia doktorze, naprawdę.

– Proszę zostawić to mojej ocenie i odpowiedzieć na pytanie.

– Profesor nie pozwalał nam wprowadzać nowych rozwiązań, udoskonaleń, jakby...

- Jakby był zazdrosny?

– Dokładnie. – Chłopakowi zaczerwieniły się policzki. – Wychodzę na małostkowego drania, którego ambicja...

- Waldorfi taki był. Nie lubił dzielić się sukcesami. Czy jednak uważa pan, że pociski transportowe naprawdę były waszym sukcesem? Zwłaszcza w obliczu wypadku?

– Oczywiście! – wykrzyknął Kotula. W jego oczach widać było oburzenie, jakby pytanie dotknęło go osobiście. – Doprowadziliśmy projekt do perfekcji! Kilkanaście lotów odbyło się bez przeszkód. Tylko te cholerne zaczepy!

– Cholerne... zaczepy – powtórzył w zamyśleniu Winnicki, jakby trawił każde ze słów oddzielnie. – Waldorfi powiedział coś jeszcze...

– Co takiego?

– „Tlen”.

– Nie rozumiem, doktorze.

– Nic panu nie przychodzi do głowy?

– Może to przez to, co się z nim stało? Wyglądał, jakby został czymś przygnieciony, sprasowany...

– Być może – zgodził się Winnicki. – Niech mi pan jednak powie. Co z systemami podtrzymywania życia? Nie mieliście z nimi problemu?

– Dlaczego? – Młody naukowiec zmarszczył brwi w zdumieniu. – Wykorzystaliśmy pański projekt. Testowaliśmy go tyśiąckroć. Co prawda Waldorfi próbował modyfikować SPŻ...

- Zmieniać?

- Trudno mi o tym mówić, doktorze – młodzieniec się spłoszył. – Wystarczyłoby inaczej nazwać nowy system podtrzymywania życia, zastosować kilka innych rozwiązań, by ogłosić się jego projektantem...

– To w sumie do niego podobne. – Andrzej wzruszył ramionami. – Jednak tego Waldorfi nie zrobił?

– Nie. Wiem, że miał jakiś problem z obliczeniami. Proszę nie mieć o to pretensji, doktorze...

– Nie mam. Tak działa środowisko naukowe.

– Myślę, że w gruncie rzeczy profesor Waldorfii nie był zły, i chyba rzeczywiście mógł w ostatniej chwili odkupić swoje winy.

– Co ma pan na myśli? – zainteresował się Winnicki.

– Walczył z napastnikiem, prawda? – zapytał cicho Kotula. Doktor spojrział na młodzieńca z zaskoczeniem. – Widziałem jego paznokcie... To wyglądało jak...

– Jest pan dobrym obserwatorem – zauważył Winnicki.

– Czy wiadomo, co wywołało takie obrażenia?

– Pana to interesuje? – Doktor uniósł brwi w udawanym zdziwieniu.

– Przepraszam. – Kotula się zmieszał. – Ja tylko...

– Spokojnie. – Tym razem Winnicki się uśmiechnął, jednocześnie zastanawiając się, jak wiele może powiedzieć młodemu naukowcowi. – Nie jestem drugim Sieniawą, który wszędzie wietrzy spisek i każdego podejrzewa o najgorsze.

Znalazłem Waldorfię na podłodze w jego gabinecie. Był przygnieciony...

– Czym?

– Dużą, ciężką bryłą w kształcie walca – wyrzucił z siebie Winnicki, jednocześnie zdając sobie sprawę, że jego wyznanie może się wydać śmieszne.

Sam nie wiedział, czego się spodziewał po Kotuli. Może zaskoczenia? A może chciał, żeby tamten uznał go za wariata?

Twarz młodego mężczyzny stężała, wydawał się nieswój.

– Coś się stało?

Młodzieniec skinął głową. Odkasznął i zdusił papierosa w ten sam sposób, co wcześniej Winnicki.

- Ja...

– Niech pan mówi, śmiało.

– Doktorze... Jak pan powiedział o tej bryle, walcu... ja chyba widziałem coś podobnego. Nie wiem, czy to może mieć jakiś związek...

– Gdzie? – zapytał ochrypłym głosem Andrzej. – Na Politechnice? Gdzie pan to widział?

– W Warsztatach. – Kotula wziął głęboki oddech, jakby wynurzał się z jakiejś toni. – W Warsztatach Lotniczych...

W baraku przy końcu pasa startowego.

1930 WSPOMNIENIA

Z profesorem Waldorfim spotkałem się na Polach Mokotowskich podczas kolejnych Krajowych Zawodów Balonowych.

Wielu warszawiaków pojawiło się wtedy na błoniach, by obserwować zmagania kilkunastu załóg. Przyznam, że widok balonów napełnianych gorącym powietrzem miał na mnie oczyszczający wpływ. Widziałem uśmiechy na twarzach zebranych i dokazywanie dzieci wokoło. Czuć było jakąś odświętną radość, która wszystkim się udzielała. W tamtych dniach byle rozrywka pozwalała zapomnieć o tym, co działo się na froncie, i o zgrzyotach codziennych.

Pretekstem do spotkania z profesorem były między innymi otwarcie Katedry Aerodynamiki na Politechnice Warszawskiej i utworzenie w jej podziemiach kreślarni warsztatów lotniczych dla studentów. Widziałem projekty pierwszych samolotów sportowych członków sekcji, Stanisławów Wigury i Rogalskiego, zdawałem sobie też sprawę, że Waldorfi z Katedrą i warsztatami wiąże duże nadzieje. Miałem dla niego jednak inną propozycję i byłem ciekaw, czy zapala do niej entuzjazmem.

Profesor przywitał mnie głębokim ukłonem, na który, zdaje się, odpowiedziałem tylko uniesieniem ręki. Zaraz zaczęliśmy rozmowę.

– Gratuluję nowej katedry, profesorze.

– Dziękuję, to wspaniałe wyzwanie dla mnie i dla moich studentów. Naczelniku. Szkoda jednak, że nie możemy się pochwalić światu naszymi osiągnięciami...

– I na to znajdzie się sposób.

– Czyżby? Przewiduje pan bliski koniec wojny?

– Może pan, profesorze, samemu przyczynić się do szybszego zakończenia wojny, jeśli oczywiście przyjmie pan moją propozycję.

Waldorfi miał denerwującą manierę poprawiania co chwilę zsuwających się z nosa okularów. Tym razem o tym zapomniał, przez co jego oczy, pozbawione osłony, wyglądały jak ledwie widoczne szpary. Początkowo do nowego projektu chciałem skierować Winnickiego, ale ten po upadku „Projektu Golem” nie doszedł do siebie. Wiedziałem natomiast, że profesor Waldorfi należy do tych naukowców, którym nie jest obca próżność. Wywiad dostarczył mi na jego temat sporo ciekawych informacji. Wydawał się osobą idealną do naszych planów.

– Co też Naczelnik mówi? Ja, ja miałbym się przyczynić do szybszego zakończenia wojny? Przecież cała Europa płonie, Niemcy uspokoiли się na naszym froncie tylko po to, by zająć Belgię, Holandię i wkroczyć do Francji. Japończycy, wspierani przez Rosjan, zagrażają Stanom Zjednoczonym. A my tkwimy pomiędzy obiema potęgami jak kamień, który trafił między tryby, zupełnie odizolowani. Wciąż bronimy się przed zmiążdżeniem, nie widać jednak dla nas ratunku...

– Ratunek jest blisko, profesorze. Najpierw zaradzimy izolacji, o której pan wspominał. W tej chwili jedynym sojusznikiem, który zadeklarował nam pomoc w walce, są Amerykanie.

– Od których oddzielają nas tysiące kilometrów i ocean...

– W tym pana głowa, by ocean nie był przeszkodą. Prezydent Hoover zapewnił nam pomoc wojskową. Sprzęt i ludzi.

– Żadna mysz się nie przecisnie wodą do Gdyni. Te piekielne niemieckie u-booty wszystko zatopią...

– Kto mówił o wodzie?

Okulary niemal spadły Waldorfemu z nosa. Balansowały niebezpiecznie na samym czubku spiczastego wzniesienia.

– Nie... – Profesor kręcił głową z niedowierzaniem. – Zapewne chodzi Naczelnikowi o moją pracę poświęconą silnikom odrzutowym... Ale... wszystko pozostało na etapie teorii. Wiele lat...

– Posiadamy jeden z silników, który być może spełni te wymogi. Także wstępny projekt kapsuły transportowej, zdolnej przenosić sprzęt i ludzi na inny kontynent. W ciągu roku, dwóch, będzie pan w stanie ogłosić gotowość projektu.

- Jak to możliwe?

– Projekt zostanie utajniony, będzie pan działał pod ścisłą kuratelą wojska i moją.

Waldorfi wpatrywał się we mnie z napięciem, jakby podejrzewał, że żartuję sobie z niego. Nie pozostało mi nic innego, jak wykorzystać jego próżność.

– Profesorze, wiem, że żądam od pana wiele. To wielka odpowiedzialność, której nie podołałoby wielu.

Waldorfi wyprostował się. Chciał jeszcze coś dodać, ale zamiast tego poprawił okulary. Uścisnął moją dłoń, a potem obaj patrzyliśmy na wzbijający się w powietrze balon „Poznań” z Janem Zakrzewskim i Antonim Januszem na pokładzie.

Był to naprawdę krzepiący widok.

1932
BRESLAU,
MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA

Marek usłyszał rozmowę za drzwiami. Jeden z głosów należał do profesora.

Wstał od stołu, niepewny, co ma teraz zrobić. Zaklął w duchu na brak przezorności. Nie przewidział, że Soboń może wrócić do domu w jakimś towarzystwie. Teraz było za późno na ukrycie się w jednym z pokoi.

Drzwi zostały otwarte. W świetle dochodzącym z korytarza pojawił się chudy, wysoki cień.

Zygmunt Syboń pożegnał się z kimś. Zapewne z sąsiadem, który wcześniej go zagadnął. Potem zamknął drzwi i stanął w progu kuchni.

– *Wer ist da?*

Blizna dopiero teraz się poruszył, wcześniej stał jak sparaliżowany.

– To ja, profesorze – odezwał się ścisłym głosem po polsku. – Marek Winnicki.

– Boże! – Profesor zapalił światło i patrzył z niedowierzaniem na młodego mężczyznę w niemieckim mundurze. – To naprawdę ty, Marek?! Chłopcze!

Mężczyzna podszedł do Blizny, wydawało się, że w pierwszym odruchu chce go objąć, ale się zawahał.

– Co tu robisz? Jak się tu dostałeś? Ty w takim mundurze?

Syboń wyglądał na złkniętego. Patrzył na przybysza wzrokiem, w którym widać było zagubienie.

– Musiałem się przebrać, inaczej nie dotarłbym do Breslau. Nie chciałem profesora wystraszyć.

– Wystraszyłeś, i to jak diabli! – Syboń z niedowierzaniem kręcił głową. – Ależ urosłeś! Wyglądasz zupełnie jak Andrzej.

W pierwszej chwili myślałem, że to on.

– Profesorze, potrzebuję pańskiej pomocy.

– Zaiste, zaiste! – Syboń wciąż wpatrywał się intensywnie w młodego mężczyznę, jakby chciał się upewnić, że nie uległ przywidzeniu. – Wybacz moje zaskoczenie. Za chwilę dojdę do siebie. Siadaj, odpocznij, na pewno jesteś głodny.

– Profesorze, ogołociłem pana z zapasów... – skrzywił się Marek.

– O to się nie martw! – Staruszek się zaśmiał. – Mam trochę rzeczy pochowanych po szafkach. Poza tym nie tytułuj mnie profesorem. Już nie pamiętasz, jak do mnie mówiłeś?

– Pamiętam... wujku. Zawdzięczam wujkowi bardzo wiele...

– Drobiazg, drobiazg, mój chłopcze. – Rozgorączkowane spojrzenie Sybonia objęło całą postać młodego porucznika.

Najdłużej zatrzymało się na jego ramieniu. – Zjemy, napijemy się. Masz mi na pewno wiele do opowiedzenia... To niewiarygodne, że cię tutaj widzę!

1932
WARSZAWA,
WARSZTATY LOTNICZE

Do Warsztatów pojechali zwykłą dorożką, którą Winnicki zatrzymał na ulicy Koszykowej. Była już późna godzina i nad Warszawą dawno zapadł zmrok. Przez większą część drogi milczeli. Doktor czuł coraz większy ból głowy, nasilający się z każdym przejechanym kilometrem. Jakby jego mózg stawał się wielkim pulsującym organem, wrażliwym na najdelikatniejsze bodźce zewnętrzne.

– Myśli pan, że coś tam jeszcze znajdziemy? – zapytał w końcu Kotula. Wydawało się, że nagle zwątpił w sens jazdy do Warsztatów, jakby przeanalizował sytuację i zdecydował, że podejmują zbyt duże ryzyko.

– Być może znajdziemy tam odpowiedzi na kilka pytań – odrzekł Winnicki. Każde wypowiedziane słowo nieprzyjemnie rezonowało w jego czaszce. – Nawet jeśli nie będzie już tam tego... walca.

– No właśnie. O czym mówimy? Co to mogło być?

Andrzej nie odpowiedział. Wsparł się na lasce i zapatrzył w ciemne oczodoły mijanych budynków.

– Doktorze, z czym mamy do czynienia? – powtórzył chłopak.

– Myślałem, że wiem – odpowiedział cicho Winnicki. – Ale teraz nie jestem pewny.

Młodzieniec zaprzestał dalszych pytań. Jechali w milczeniu, kołysząc się wraz z dorożką. Za oknem widać było niewiele.

Każdy z mężczyzn zatopiony był we własnych myślach. Obaj ożyli dopiero kilkanaście minut później, gdy pojazd zatrzymał się przed masywną bramą.

Przepustka Kotuli wystarczyła, by wartownicy wpuścili ich na teren Warsztatów. Asystent Waldorfięgo poprowadził doktora najpierw w stronę głównego budynku, a potem w bok, betonowym chodnikiem wzdłuż niskiego żywopłotu.

Drżał. Być może brały nad nim górę emocje, a może po prostu zmarzł podczas jazdy odkrytą dorożką. Winnicki sam przestał odczuwać chłód; na odbieranie tak przyziemnych bodźców nie pozwalał mu teraz potworny ból głowy.

- Zniszczy pan buty. – Kotula wskazał nieokreślonym ruchem przestrzeń przed nimi.

Czuć było wilgoć unoszącą się z traw. Mieli przed sobą co najmniej kilkaset metrów pokrytej rosą polany.

– Jakby szukał pan wymówki... – skomentował złośliwie Winnicki.

– Może tak jest. – Chłopak wzruszył ramionami i ruszył przed siebie.

Doktor zaśmiał się i poszedł za młodzieńcem. Już po chwili dostrzegł budynek, do którego zmierzali. Otaczały go wysokie drzewa, a od polany oddzielał mur. Winnicki spodziewał się baraku, jednak z bliska widać było solidną konstrukcję – ceglany, piętrowy pawilon, z wysokimi oknami z jednej strony i wejściem z półkolistym daszkiem nad drzwiami.

– Jak chce się pan tam dostać? – zapytał. – Ma pan klucze?

- Tylko do głównego budynku Warsztatów, ale proszę się nie przejmować, zawsze jakiś sposób się znajdzie...

Kotula skierował się do okien i przywołał do siebie Winnickiego.

– Niech pan nasłuchuje, czasem kręcą się tutaj patrole.

Doktor skinął głową. Oddalił się kilka kroków i stanął w miejscu, gdzie miał pewność, że nikt go nie dostrzeże.

Odwrócił się i zerknął, co robi młody asystent. Kotula ściągnął płaszcz i owinął go wokół ramienia. Potem zbliżył się do jednej z szyb i uderzył łokciem w świetlik.

Szyba pękła, o dziwo, nie robiąc zbyt dużego hałasu.

Młodzieniec ostrożnie wyciągnął z ramy okiennej kilka ostrych okruchów i sięgnął do środka.

Najprawdopodobniej udało mu się dostać do klamki lub zasuwki, bo po chwili okno stanęło otworem, a Kotula zniknął w ciemnym pomieszczeniu.

Winnicki westchnął głośno. Chłopak działał szybko i sprawnie. Był zdecydowany. Z każdą chwilą doktor nabierał dla niego coraz większego szacunku.

– Można wchodzić! – dobiegło go syknięcie.

Kotula otworzył drzwi pawilonu. Andrzej przekroczył próg i stanął w ciemnościach. Uniósł swoją laskę i przestawił zamontowane przy ręczce mosiężne skrzydełko. Odbezpieczył tym samym ukrytą broń.

– Co to jest? – zapytał zaskoczony chłopak.

– Moja polisa ubezpieczeniowa, lepszej nie daje nawet poznańska Warta.

– Kolejny pański wynalazek? Strzelał już pan z tego?

– Nie musiałem. Wiem jednak, że zadziała, gdy będzie trzeba.

– Nie wątpię. – W głosie Kotuli słychać było wyraźny podziw. – Wydaje się, że nikogo tutaj nie ma. Przejdziemy do hali, tam będzie jaśniej. Pokażę panu miejsce, gdzie widziałem to... coś. Teraz jednak sam nie jestem pewny, czy to nie był wytwór mojej wyobraźni.

– Trudno byłoby o to pana posądzać – zauważył Winnicki. – Nie wygląda pan na takiego, który ulega przywidzeniom i daje się ponieść impulsowi chwili.

Doktor wyczuł na sobie wzrok Kotuli. Wydawało się, że młodzieniec chce to jakoś skomentować, ale powiedział tylko: - Chodźmy. Proszę patrzeć pod nogi.

Rzeczywiście, na drewnianej podłodze walało się mnóstwo bezużytecznego sprzętu, gruzu i rur. Pawilon wyglądał na dawno opuszczony. W powietrzu czuć było zapach kurzu i smaru. Być może dokonywano tu drobnych napraw. Z cienia wyłaniały się chwilami mniejsze i większe urządzenia, najpewniej tokarki, piły i wszystko to, co stanowiło esencję warsztatów lotniczych.

– Uwaga na przeszkodę!

Winnicki w porę dostrzegł zawaloną stropową belkę, która zagradzała przejście. Przekroczył ją z trudem, idąc w ślad za swoim przewodnikiem. Weszli na teren rozległego pobojuwiska – tylko takie skojarzenie przychodziło do głowy doktorowi. Księżyc w porę wyszedł zza chmur, odsłaniając zdewastowaną halę. Stoły, szafy, urządzenia – wszystko zostało przewrócone, kable zwisały z sufitu, przez co miało się wrażenie marszu przez dziką oranżerię. Nawet w podłodze nogi natrafiały na liczne dziury, które, wydawałoby się, zostały zrobione przez gigantyczne korniki.

– Co tu się stało? – zapytał Andrzej.

– Nie wiem. – Kotula był zaskoczony. – Naprawdę to dziwne. Zaledwie kilka dni temu wszystko było na miejscu.

– Jakby przeszedł tędy kataklizm... – Winnicki, lustrując otoczenie, miał wrażenie, że jego umysł ogarnia jeszcze większy chaos niż ten, którego był świadkiem w hali. – Niech pan mnie prowadzi do tego swojego przywidzenia.

– Czasem włączę się po polach, żeby pomyśleć... – Kotula zdawał się tłumaczyć przed Winnickim. – Spaceruję po pasach startowych, po zagajniku. Z papierosem... wie pan doktor, jak to jest.

– Wiem – przyznał Andrzej. Zrozumiał, że Kotula poczuł się nieswojo, jakby został poddany ocenie. Doktor sam swego czasu piętnował słabości swoich współpracowników, którzy znikali na długie kwadransy, wychodząc na papierosa lub pogaduszki. Z czasem jednak zaczął akceptować te chwile rozluźnienia.

– Wiał wtedy mocny wiatr, zrobiło się zimno, a ja jeszcze miałem do wypalenia papierosa. Schroniłem się po tej stronie. – Chłopak wskazał wąskie okno, przez które widać było księżyc. – Zajrzałem do środka z ciekawości...

– A więc to musiało być gdzieś tutaj? – Andrzej omiótł wzrokiem ściany i podłogę.

– No... – Chłopak rozejrzał się wokół, jakby nie był pewny swoich słów albo jakby nie rozpoznawał miejsca, które wcześniej wskazał. – Tutaj gdzieś.

Winnicki podążył za szerokim gestem dłoni młodego asystenta.

Pociągnął nosem. Wyczuwał silną woń smaru i czegoś jeszcze, czego do końca nie potrafił określić.

– Rozejrzyjmy się.

Drewniane skrzynie, na które natrafili, były zniszczone, jakby ktoś próbował je porąbać i przygotować szczapy na opał.

Jednak bliższa lustracja nie pozostawiała wątpliwości. Drewniane ramy zostały zmiążdżone. Doktor spojrzął na rząd metalowych stołów.

Pomieszczenie przypominało salę operacyjną w prosektorium, które wcześniej odwiedzili. Dotknął dłonią jednego z blatów. Widniały na nim poprzeczne wgniecenia, w kilku miejscach rysy, regularne, znajdujące się blisko siebie, najpewniej wykonane ostrym narzędziem.

– Ma pan zapalniczkę? – zapytał Winnicki.

– Mam. – Kotula wahał się tylko chwilę. Z namysłem poklepał kieszeń płaszcza, a potem sprawdził wewnętrzną kieszeń marynarki. – Zaczyna się...

– Wystarczy, że posłuży przez chwilę.

Doktor przyjrzał się podanemu przedmiotowi. Była to austriacka zapalniczka sztormowa, sam posiadał podobną.

Odpalił ją nie bez kłopotów i uklęknął.

– Co pan robi?

Winnicki zignorował pytanie i uważnie przyjrzał się podłodze.

Po chwili wstał i oddał zapalniczkę młodzieńcowi.

– Miał pan rację – powiedział krótko i nie wdając się w dyskusję, ruszył do wyjścia.

Chłopak przez chwilę stał niemal jak sparaliżowany, w końcu jednak dogonił Winnickiego, który szybkim krokiem zmierzał do właściwych budynków Warsztatów Lotniczych.

– Co pan zauważył? – zapytał. – W czym miałem rację?

– Ten walec, który przygnoił profesora... – Winnicki nie przerywał marszu, Kotula ledwie mógł za nim nadążyć. – Tak naprawdę obaj, ja tam, a pan tutaj, widzieliśmy mordercę Waldorfięgo... Stalowy twór rąk ludzkich, który w tym wypadku posłużył mordercy.

– Panie doktorze! – Asystent złapał Winnickiego za ramię i przytrzymał w miejscu. Po chwili unióś rękę, jakby pesząc się, że zbyttno się spoufalili i naruszyli etykietę. – Pan wybaczy. Co chce pan przez to powiedzieć? Istnieje coś takiego jak...

jak metalowy morderca? Naprawdę, to pan sugeruje?

– Trudno, żeby pan kiedykolwiek słyszał o „Projekcie Golem”. – Winnicki wziął głęboki oddech.

– Golem? – Kotula także się zatrzymał. Chwilami zerkał za siebie, jakby się bał, że ktoś lub coś wyłoni się z cienia. – Zaraz. Golem to nie jest ten mityczny stwór? Legenda? Człowiek z gliny?

– Tak – potwierdził krótko doktor. – Nazwaliśmy jego imieniem projekt, nad którym pracowałem... i pewnie znalazłby pan w nim wiele podobieństw do legendy, o której wspominam. Gliniany kolos, pierwowzór, potrzebował pergaminu ze słowem, które powoływało go do życia. My swojego ożywiłmy w inny sposób.

– Stworzyliście... metalowego Golema? – W głosie Kotuli wciąż słyhać było niedowierzenie.

– Właśnie tak. – Winnicki skinął głową. – Przyznam, że marzyło mi się skonstruowanie maszyny równej człowiekowi.

Musielibyśmy jednak równocześnie stworzyć sztuczną inteligencję, obdarzyć nasz twór życiem. Tego nie jesteśmy w stanie zrobić. Zastosowaliśmy więc swego rodzaju półśrodek. Stworzyliśmy korpus, metalowy pancerz, zwany zewnętrznym metaloszkieletem, do którego mógł wejść człowiek. Takiego operatora staraliśmy się podpiąć do maszyny elektrodami przesyłającymi impulsy z kory mózgowej. Dzięki nim miał kontrolować maszynę własnymi myślami.

– Ito się udało?

– Nie. – Winnicki zawahał się. – Nie dokończyliśmy prac. Zawsze coś stawało na przeszkodzie... Kilku operatorów zginęło podczas eksperymentu... Efekty badań zresztą nie były zadowalające. Żaden z operatorów nie był w stanie choćby w znikomym procencie kontrolować szkieletu tak jak swojego ciała.

– Patrząc na to, co się tutaj dzieje... – pytał dalej Kotula – ktoś poszedł pana śladem?

Doktor skinął głową.

– Wczoraj się dowiedziałem, że projekt był sabotowany, a co gorsza, został skradziony. Jak widać, przez

ostatnie kilka lat ktoś nad nim pilnie pracował...

- Ale co miał z tym wszystkim wspólnego Waldorfi? Dlaczego został zabity przez... Golema? Przecież profesor nie miał do czynienia z pańskim projektem.

- Nie. Zajmował się pociskami transportowymi, ale jak się wydaje, właśnie tu występuje pewna zależność. „Projekt Golem” ukradli nam Niemcy, a my im...

- Boże... - Kotuła spojrział z niedowierzaniem na Winnickiego. - Pociski transportowe nie zostały wynalezione przez Waldorfięgo?

- Nie - odparł krótko doktor. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Winnicki się odezwał: - Nie wiem jak pan, aleja chcę znaleźć odpowiedź na kilka pytań. Muszę dostać się do gabinetu Waldorfięgo. Chciałbym przejrzeć jego papiery.

1932

**BRESLAU,
MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA**

Marek w zwięzłych słowach zrelacjonował swoją drogę do Breslau, nie zdradzając jednak celu tej podróży. Uważał, że nie powinien wtajemniczać we wszystko Sybonia. Obawiał się przede wszystkim o jego bezpieczeństwo. Wiedział, że jeśli Niemcy wpadną na trop polskiego dywersanta, na pewno dotrą też do staruszka.

– Mam trochę ubrań, będziesz musiał pozbyć się tego plugawego munduru!

Blizna spojrział na profesora z wdzięcznością.

– Możesz zostać u mnie, jak długo chcesz. Tutaj będziesz bezpieczny. Zawsze stroniłem od towarzystwa i oprócz tych wykładów, na których mam jeszcze jakichś studentów, omijam ludzi szerokim tukiem.

– Nie będzie takiej potrzeby, wujku.

Marek odprężył się. W mieszkaniu Sybonia poczuł się niemal jak we własnym domu. Dobrotliwy profesor zawsze był nieco gadatliwy, co nijak pasowało do obrazu ponuraka, jaki wokół siebie tworzył. Porucznik pamiętał, że po wypadku, którego doznał w pracowni ojca, to Syboń pomagał doktorowi Winnickiemu w zastąpieniu spalonego kikuta ręki mechaniczną protezą. Profesor czuwał wtedy nad Markiem dzień i noc. Częściej niż ojciec, który doglądał matki w ostatnich tygodniach jej życia, a potem dopilnowywał spraw związanych z pogrzebem. Zresztą doktor Winnicki, gdy był pewny, że stan syna poprawił się na tyle, by chłopiec radził sobie samodzielnie, całkowicie stracił nim zainteresowanie.

Ojciec współpracował z Syboniem, dopóki „Projekt Golem” nie upadł. Profesor jeszcze przez kilka miesięcy odwiedzał młodego pacjenta, lecz w końcu wrócił na swoją uczelnię do Breslau. Jakiś czas później doktor wraz z synem odwiedzili profesora i to właśnie tamta wizyta utkwiła we wspomnieniach Marka.

– Nigdy wujkowi tego nie zapomnę.

– Czego? – Syboń został wyrwany z głębokiego zamyślenia.

– Tego, jak wujek się mną zaopiekował... – Marek odruchowo uniósł mechaniczną protezę i na nią spojrział. – Dzięki wujkowi mam, można powiedzieć, rękę sprawniejszą od poprzedniej.

– Masz ją dzięki ojcu. – Zygmunt wyciągnął przed siebie dłoń, jakby chciał dotknąć metalowego ramienia gościa, ale nagle się wycofał. – Ja bym się nie odważył. Zresztą, to w pełni konstrukcja Winnickiego. Jego geniusz. Ja byłem zwykłym rzemieślnikiem, który nie dorastał mu do pięt...

– Co wujek mówi? Pamiętam, jak wuj siedział przy mnie całymi dniami. Gdy bredziłem w gorączce, tylko ty i Olaf przychodziliście mi z pomocą.

– Bóle fantomowe, młody człowieku... – Profesor zadumał się. – Minęły. Nie wiem, jakich cudów użył twój ojciec...

W jaki sposób jesteś w stanie poruszać tą dłonią, jakbyś się z nią urodził. Jak on cię z nią połączył... Ale nigdy nie mówił mi wszystkiego. – Syboń nagle zamilkł, chyba pożałował tej wylewności. Zmienił temat. – Co u niego? Co u twojego ojca?

– Nie wiem. – Marek wzruszył ramionami. – Nigdy nie byliśmy blisko. Odszedłem z domu i zaciągnąłem się do wojska, od tamtej pory... zamieniliśmy może kilka słów.

– Iręka działa bez zarzutu? Co z przeglądami?

Marek się uśmiechnął. Syboń właśnie nieświadomie potraktował go jak maszynę, która może ulec zepsuciu. Nie mógł się za to gniewać na poczciwego profesora. W tym wypadku jeden naukowiec nie różnił się wiele od drugiego.

– Te kilka słów, które wymieniam z ojcem, odbywa się właśnie podczas tych... przeglądów.

– Rozumiem. – Zygmunt skinął głową. – Inie chcesz... nie chcesz, żebym sprawdził?

- Wujku, wszystko jest ze mną w jak najlepszym porządku. Dziękuję, że się o mnie martwisz.
- To się cieszę. – Syboń wydał się nagle nieobecny. – Cieszę się, że wszystko u ciebie w porządku.
- Wujku... – Marek od dłuższego czasu zastanawiał się, jak skierować rozmowę na temat, który sobie obmyślił. Syboń wciąż cieszył się w mieście szacunkiem i poważaniem. Musiał mieć wiele kontaktów, które w jakiś sposób mogły pomóc w misji porucznika. – Muszę dostać się do Jahrhunderthalle.
- Boże, Marek, co ty chcesz zrobić?! – Syboń niemal krzyknął. – Dopiero przedarłeś się przez front, a teraz chcesz dostać się do Jahrhunderthalle. Czego ty tam szukasz?
- Nie mogę wujowi powiedzieć. Jest tam jednak coś, co muszę zobaczyć.
- To na pewno piękna budowla, unikat na skalę światową, ale po to się fatygowalesz? – Syboń pokręcił głową z niedowierzaniem. – Marek, nie jestem głupi. Chcesz zrobić coś niebezpiecznego, przemyśl to. Jeśli cię złapią, rozstrzelają. Wiesz przecież, co robią ze szpiegami!
- Dlatego przyszedłem prosić wujka o pomoc. Na pewno jako profesor ma kontakty...
- Przekonasz moje kontakty...
Profesor wstał nagle od stołu i podszedł do kredensu. Blizna zapatrzył się w plecy gospodarza. Wydało mu się, że wyczuł bijący od niego chłód. Nie rozumiał do końca tej przemiany.
- Napijemy się czegoś mocniejszego? Spróbujesz mojej nalewki? – zapytał nagle Syboń nieco weselszym tonem.
- Wujku...
Profesor wrócił do stołu i postawił przed młodym porucznikiem napełniony kieliszek.
- Malinówka. Nie ma nigdzie takich malin jak tutaj, nad Odrą. Wypijemy?
- Wypijemy – zgodził się cicho Marek. – Ale z toastem. Za Polskę.
Profesor zaśmiał się, pokiwał głową.
- Dobrze, za Polskę! – Przechylił kieliszek na raz. Przymknął oczy, rozsmakowując się w trunku. W końcu dodał: – Pomogę ci. To nie powinno być takie trudne. Powiedz mi jednak, czy nalewka ci smakuje.
Marek się uśmiechnął. Uniósł kieliszek i powąchał gęsty płyn. Słodkawy zapach unosił się w powietrzu.
- Za Polskę – powiedział. Przełknął za jednym razem, idąc w ślady profesora. W gardle zapiekło, ale po chwili przyjemne ciepło rozlało się po żołądku.
- Ijak?
- Wyśmienita, naprawdę. Dziękuję, że wujek mi pomoże.
- Jeszcze po jednym. – Zygmunt mrugnął do Marka i wrócił do kredensu po butelkę. Po chwili malinówka znów wypełniła kieliszki. – Z każdą chwilą coraz bardziej przypominasz mi swojego ojca, wiesz?
- Nie wiem, czy to dobrze... – Marek odetchnął głęboko. Trunek musiał być bardzo mocny. Wszedł w nogi i ciało.
Rozleniwił.
- Zależy, jak patrzeć.
Znów przechylili kieliszki. Syboń zaśmiał się naraz gwałtownie.
- Nigdy nikogo nie doceniał. Ani twojej matki, ani swoich dzieci, ani współpracowników...
Blizna zawahał się. Ogarniało go znużenie, słowa profesora wydawały się dochodzić z daleka, miał spory problem, by się na nich skoncentrować.
- Nikomu nie wierzył, wiesz? Zupełnie jak ty. Zawsze coś chował w tym swoim... kapeluszu. Nawet wtedy, przy „Projekcie Golem”. Wydawało mi się, że zbliżyłem się do niego na tyle, że będzie miał do mnie całkowite zaufanie. Byłem pewny, że nic nie ukrywa, wszystkim się ze mną dzieli... Ale ten drań był sprytniejszy od nas!
Marek próbował coś powiedzieć, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa, zdrętwiały, tak jak język, który wydawało się, że napuchł, wypełniając całą przestrzeń ust.
- Wiesz, że prowadził swoje własne doświadczenia? Zataił przed nami najważniejsze osiągnięcia. Uwierzyliśmy, że wyprzedzamy go w badaniach o kilka kroków. Sprowadzaliśmy go na manowce, tak by zwątpił w swoją wiedzę, umiejętności. Ale wiesz co? To on nas wszystkich wywiódł w pole!

Twarz Sybonia wydała się powiększać, sinieć, przemieniać. Oczy nabierały nadnaturalnych rozmiarów.

– Ukradliśmy projekt, ale jedyne, co wzięliśmy w posiadanie, to mrzonkę! Utknęliśmy, uznając Winnickiego za hochsztaplera. Ja jednak w to nie wierzyłem. Wiedziałem, że posiadał rozwiązanie, które pozwoli stworzyć pełnowartościowe Golemy! Twoja proteza choćby... Nikt mnie nie słuchał! – Nozdrza profesora rozděły się, a twarz wykrzywił grymas. – Stary lis z tego twojego ojca I Jednak i jego przechytrzą. Wezmą się do niego. Siedzą mu już na karku.

Słyszysz mnie? Wyciągną wszystko z twojego cholernego ojca!

Marek osunął się na blat. Wydawało mu się, że jedynie mechaniczna dłoń nie poddawała się temu odrętwieniu.

Gwałtownym ruchem strąciła butelkę. A młody Winnicki poczuł, że ogarnia go ciemny wir, który wciąga go w jakąś nieokreśloną czeluść.

1932
WARSZAWA,
WARSZTATY LOTNICZE

– Boże!

Kotula był wstrząśnięty. Uniósł ręce i wysapał kilka niezrozumiałych słów.

Doktor z większą rezerwą patrzył na pobojuwisko, jakie stanowił gabinet Waldorfięgo. Spodziewał się, co tutaj zastanie. To potwierdzało jego przypuszczenia, że sprawa, którą się zajął, jest o wiele bardziej skomplikowana i niebezpieczna, niż początkowo zakładał. Nie ulegało wątpliwości, że w świetle ostatnich wydarzeń katastrofa pocisku transportowego nabierała innego wymiaru. Łączyła się z Waldorfim, a także z jego własnymi badaniami. Pojawiły się jednak inne wątki, które także wzbudzały niepokój.

– Powinniśmy powiadomić ochronę! – wykrzyknął chłopak. – Musieli coś widzieć!

– Nie zauważyli nas włamujących się do baraku, a mieli widzieć tamtych? – Andrzej wydawał się rozbawiony. – Zostawimy to Sieniawie...

– O co w tym wszystkim chodzi? – Kotula wsparł się ciężko na fotelu, który stał obok, a potem na nim usiadł. – To jakieś wariactwo!

– Pewnie tak. – Winnicki przeszedł obok młodzieńca i zasiadł za biurkiem profesora. Rozejrzał się uważnie. Włamywacz nie oszczędził nawet tablicy, na której zamazał wszystkie zapiski Waldorfięgo.

Doktor przeniósł wzrok na stos papierów. Potrafił ocenić jednym spojrzeniem, że większość nie stanowi dla niego żadnej wartości. Potem sięgnął do szuflad. Dwie były na wpuł otwarte, zawartość kolejnej wyrzucona na podłogę.

- Ten Golem, doktorze...

- Tak? – Winnicki popatrzył zaskoczony na Kotulę, jakby na chwilę zapomniał, że ten mu towarzyszy. – Myśli pan, że to możliwe? – Kotula zawahał się, jakby w pochopnej ocenie nie chciał wyjść na dumia. – Stworzenie Golema, który będzie poruszany myślami operatora?

Winnicki przerwał badanie szuflad. Był pewny, że choćby nie wiadomo jak się starał, nic już tu nie znajdzie. Równie dobrze mógł chwilę porozmawiać.

– Brzmi to jak mrzonki autorów tanich powieści sensacyjnych? Podobnie ma się chyba rzecz z pociskami transportowymi, nie sądzi pan? Otóż, mój drogi, zapewniam cię, że nie ma w tym ni krzty pobożnych życzeń. To jest możliwe. Stworzenie zewnętrznego szkieletu, który będzie sterowany za pomocą impulsów mięśniowych, a nawet myśli operatora. Skonstruowanie Golema, który będzie stanowił nasze drugie, zewnętrzne i niemal niezniszczalne ciało.

- Ta perspektywa otwiera niewyobrażalne możliwości...

– Tak. – Doktor skinął głową. Zapal Kotuli przypomniał mu jego własne zaangażowanie sprzed lat. – Zaczęliśmy od stworzenia aluminiowego ramienia odbierającego sygnały elektryczne wytwarzane przez mięśnie. Umieszczona w konstrukcji elektroda przekazywała impulsy do siłownika. Tam były wzmacniane i przetwarzane w ruch...

Spojrzał na młodzieńca. Wydawało się, że ten zachłysnął się jego słowami. Ledwo potrafił usiedzieć na miejscu.

Winnicki się uśmiechnął, gdy zaobserwował u siebie przypadłość naukowców, wykładowców wszelkiej maści. Miłość własna. Złapał się na tym, że chce zaimponować swojemu słuchaczowi.

– Pierwsze moje próby miały na celu pomoc tym, którzy stracili władzę w rękach w wyniku kontuzji lub chorób.

Wsparcie rehabilitacji. Rząd jednak szybko zainteresował się badaniami, utajnił je.

– Nie dziwię się. – Stefan z sykiem wypuścił powietrze. – Zewnętrzny metaloszkielet wykonany z wytrzymałego materiału mógłby wzmocnić możliwości człowieka! Podniesienie kilkudziesięciu, co ja

mówię, nawet kilkuset kilogramów byłoby w sferze możliwości!

– Szybko pan do tego doszedł. – Winnicki powiedział to z przekąsem. On sam, skupiony na zadaniach, nie wybiegał wtedy w przyszłość aż tak daleko.

– Musieliście jednak napotkać problemy... w konstrukcji? Czy raczej w przenoszeniu impulsów?

Winnicki skłonił głowę. Zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Co chwila napotykaliliśmy problemy tam, gdzie ich być nie powinno. Niemal codziennie dochodziło do wypadków i nieprzewidzianych trudności. Aż wreszcie projekt upadł. Informacje, które otrzymałem niedawno, pozwalają mi domniemywać przyczyn. Sama konstrukcja większych kłopotów nam nie nastęcała. Mieliśmy za to problemy z czystością przekazu, przesyłaniem impulsów od operatora, który miał sterować Golemem. A kwestie te urosły do rangi nierozwiązywalnych, gdy moi zwierzchnicy uparli się, że sam metaloszkielet z operatorem w środku im nie wystarcza... Siła tej konstrukcji była zależna od jej najsłabszego ogniwa, czyli operatora. W warunkach bojowych pozbawienie życia ulokowanego wewnątrz szkieletu człowieka równoznaczne było z unieszkodliwieniem tej broni.

– To znaczy – powiedział powoli Kotula – że wojsko chciało użyć metaloszkieletu, by stworzyć doskonałych żołnierzy?

- Tak. – Winnicki wzruszył ramionami, nie rozwodząc się nad tą oczywistością. – Taka była ich pierwsza myśl. Jednak już przy pierwszym ataku formacji żołnierzy uzbrojonych w Golemy nasza przewaga mogłaby się obrócić przeciw nam.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by zdać sobie sprawę, że obezwładnienie i przechwycenie egzoszkieletu byłoby równoznaczne z przejęciem technologii przez naszych wrogów. Znowu utknęlibyśmy w martwym punkcie. Zwierzchnikom zależało więc na stworzeniu Golema obsługiwanego przez zewnętrznego operatora. Byłby to niezależny korpus, sterowany za pomocą myśli, impulsów. Operator znajdowałby się nie w jego wnętrzu, ale w bezpiecznym, odległym miejscu. W razie kłopotów Golem uległby autodestrukcji.

– Boże, to niewyobrażalne!

– Cóż, nie ma rzeczy niemożliwych, technika idzie do przodu. To kwestia czasu, by taka maszyna powstała.

- Jak bliski był pan jej stworzenia?

– Tu tkwi problem – odrzekł ponuro doktor. – Początkowo odnieśliśmy spektakularne sukcesy. Zatrudniliśmy Kazimierza Prószyńskiego, którego udoskonalone „oko”, czyli kamera filmowa, z jakiej pan pewnie też korzystał, okazało się nieocenione. Operator, dzięki kolejnemu wynalazkowi Prószyńskiego, telefotowi, mógł w czasie rzeczywistym obserwować nawet na dużą odległość obraz z kamer umieszczonych na korpusie Golema. Telefot służył także do przesyłania impulsów z kory mózgowej osoby sterującej naszym żelaznym żołnierzem do modułu umieszczonego w metaloszkielecie.

– I co poszło źle?

– Fusy... Niekontrolowane impulsy mózgowe, których źródło bardzo trudno jest znaleźć i zrozumieć. Powodowały, że operator tracił kontrolę nad Golemem. Obiekt wariował, tak można to określić. Niekontrolowane ruchy kończyn, upadki, samookaleczenia... Z każdą próbą przeprowadzaną w warunkach polowych było coraz gorzej. To powodowało zniechęcenie wśród rządzących. Uważam jednak, że byłem w stanie izolować te zakłócenia. Gdybym miał jeszcze kilka miesięcy... Rząd zdecydował się jednak zarzucić projekt.

- Tak ważny, przełomowy projekt upadł?- Święte oburzenie Kotuli niemal rozbawiło doktora. – Ależ to głupota!

– Nie do końca. – Andrzej zasępił się. Odruchowo obmacał kieszenie, jakby szukał w nich papierosa. Zrezygnowany, zapatrzył się gdzieś przed siebie. – Rzeczywiście mieliśmy w zespole kreta, a może nawet kilku.

Kotula poruszył się niespokojnie na fotelu, jednak nie przerywał.

– Nasz projekt wpadł w niepowołane ręce. Widać jednak ci, którzy go skradli, nie potrafili poradzić sobie z tym samym problemem, który napotkaliśmy my...

– Fusy. – Stefan skinął głową. – Jest pan pewny, że tego nie obeszli?

- Raczej nie. – Winnicki podrapał się po policzku. – Obiekt, którego ślady widziałem w gabinecie Waldorfięgo, i który pan widział... sterowany jest najpewniej za pomocą mięśni, nie impulsów mózgowych.
- Skąd to pan może wiedzieć?
- Z doświadczenia. Fusy zmieniają częstotliwość, zakres, formę. Potrzebne jest urządzenie, które będzie dostosowywać się na bieżąco, które będzie służyć jako izolator na wszelkich poziomach. Urządzenie, którego w tej chwili nikt nie jest w stanie skonstruować.
- Inie ma innej drogi?
- Tego nie powiedziałem.
- Boże! – Kotula opadł na oparcie fotela i zaczął się śmiać. – Pan wie, jak odizolować fusy? Winnicki skinął głową.
- To co teraz pan robi, doktorze?
- Co my zrobimy. – Andrzej uśmiechnął się. – Obaj wdepnęliśmy w to po uszy. Nie ukrywam, że będę potrzebował pańskiego wsparcia. Znał pan Waldorfięgo, jest pan zdolnym człowiekiem. Czy pomoże mi pan rozwikłać tę sprawę?
- Ja? – Kotula autentycznie się zdziwił. – Ja jestem zwykłym pracownikiem naukowym, nie żadnym śledczym!
- Jest pan inteligentnym człowiekiem, którego spostrzegawczość na pewno mi się przyda..
- Przecenia mnie pan.
- Bez fałszywej skromności...
- Jak... co miałbym robić?
- Dowie się pan już niedługo.

1923 WSPOMNIENIA

To było ostatnie spotkanie z dziennikarzami zagranicznymi przed ich wyjazdem z Polski. Miało miejsce w Belwederze w 1923 roku. Nie bez powodu wybrałem salę lustrzang. Jeśli kiedykolwiek prasa była zwierciadłem rzeczywistości, to moim zdaniem mocno wypaczonym. Teraz wszyscy ci, którzy wpływali na opinię publiczną, mogli spojrzeć na samych siebie, nie kryjąc się za notesami i ołówkami. Opuszczali Polskę jak szczury uciekające z okrętu. Istniało realne zagrożenie, że lada dzień przedarcie się przez linię frontu będzie graniczyło z cudem. Zaostrzenie konfliktu i dołączenie Niemiec do wojny były dla nich znakiem, że dni Polski są policzone. Ja jednak wiedziałem, że nasz kraj nie zatonie.

Samo oświadczenie było krótkie, bowiem umówiłem się z kilkoma z korespondentów na prywatne rozmowy.

Jeden z owych wywiadów utkwiał mi w pamięci szczególnie. Przeprowadzał go dziennikarz, którego widziałem do tej pory w towarzystwie kilku korespondentów Polskiej Agencji Telegraficznej. Ledwie wyczuwalny niemiecki akcent sprawił, że podczas tej rozmowy zachowywałem dalece idącą ostrożność.

Zaczęło się od pytania, które w ostatnim czasie także mnie nurtowało, choć dziennikarzom odpowiadałem na nie niechętnie. Należało do tych z gatunku: „Co by było gdyby”.

– Co by było, gdyby zdecydował Naczelnik inaczej... Gdyby jedna z ważnych decyzji została odroczone albo nie została z różnych przyczyn podjęta? Czy wasz los nie potoczyłby się inaczej? Wziął pan na siebie straszną odpowiedzialność.

Pańska decyzja o kontynuowaniu wojny być może doprowadziła do zmiany losów państw i całego świata. Czy gdyby w Rydze zdecydował się pan zawrzeć pokój, moglibyśmy rozmawiać dziś w spokojnej Polsce, a nie w kraju od kilku lat targanym nieprzerwaną wojną?

– Do czego pan dąży?

– Do pokazania wyjątkowości pana postaci, przyczyn i skutków, niezłomności charakteru, który pozwolił panu na działania prowadzące do sytuacji obecnej... Po co był ten konflikt? Po tym cudzie, który miał miejsce pod Warszawą, i odpędzeniu Rosjan byłby pan bohaterem swojego narodu i Europy! Polska znalazłaby się na piedestale jako kraj, który zatrzymał bolszewików przed zalaniem świata. Po raz kolejny przypomniaby pan, jak wiele narody świata mają wam do zawdzięczenia. Kiedyś Sobieski pod Wiedniem, potem pan pod Warszawą. Największa bitwa nowoczesnej Europy, najważniejsza bitwa w jej historii, straciła jednak na znaczeniu po tej awanturze, w którą uwikłał pan Polskę na wschodzie, a teraz i na zachodzie.

– Myśli pan, że ktoś pamiętałby o Bitwie Warszawskiej za kilka lat, nawet jeśli zakończyłaby się wojna z Rosją? Tak?

Podziwiam pański optymizm. Kto niby według pana by o niej pamiętał? Kto na Zachodzie uznałby tę bitwę za najważniejszą, a jakieś państewko, które pojawiło się na mapie po latach niebytu, za wybawcę kontynentu?

Widząc jego wahanie, kontynuowałem: – Miejsca Polski na mapie świata nie zmienimy. Byliśmy i jesteśmy między Rosją a Niemcami... Na Zachodzie uważają, że prędzej czy później znów nas zmiażdży historia. I tak by się stało, zapewniam pana! Jeśli nie teraz, to za kilkanaście lat.

I kto by wtedy nam pomógł? Noty protestacyjne i ubolewanie nad losem narodu polskiego nikomu nie wystarczą. Sam pan widzi, że sprawę musieliśmy wziąć we własne ręce. W dzieciństwie wciąż mi powtarzano: „Głową muru nie przebijesz”, „Nie porywaj się z motyką na słońce”. Jednak z wiekiem doszedłem do tego, że wolna wola, siła i zapał mogą te zasady zmienić. I ja wierzę, ja wiem, że Polska wyjdzie z wojny zwycięska i nie będzie już więcej pod obcym butem!

1932
WARSZAWA,
DOM WINNICKIEGO

Andrzej znalazł nieoczekiwane upodobanie w rozmowach z Kotulą. Ten młody mężczyzna przypominał mu synów, właściwie był mieszanką, kompilacją ich dwóch, o tak różnych charakterach. W jakiś sposób łatwo rozmawiało mu się z młodzieńcem, wymieniało z nim poglądy. Coś było w jego oczach – inteligencja, zapał, a nawet to, co doktor określiliby mianem iskry bożej.

To znamienne, że ten wzajemny kontakt należał do łatwych, naturalnych. Może dlatego, że Winnicki nie miał wobec Kotuli specjalnych oczekiwań i wymagań? Rozmawiał przecież z ukształtowanym człowiekiem i nie czuł za niego odpowiedzialności.

Z gabinetu Waldorfięgo na terenie Warsztatów zabrali wszystkie dokumenty, które mogły przedstawiać jakąś wartość.

Było tego niewiele, jednak doktor uznał, że w papierach może znaleźć się coś, co przegapili włamywacze. Sprawą Kotuli było teraz przejrzenie materiałów – znał badania prowadzone przez profesora i jako jedyny mógł wychwycić coś, co naprowadziłoby ich na dalszy trop.

Poszukiwania dotyczyły dwóch spraw. Po pierwsze, pocisków transportowych, które wciąż spędzały doktorowi sen z powiek, a także ewentualnego powiązania Waldorfięgo z „Projektem Golem”.

Kotula zabrał się do pracy z zapałem. I nawet jeśli Winnicki uznawał, że młodzieniec ma małe szanse na znalezienie czegoś naprawdę wartościowego, to podobało mu się jego zaangażowanie.

Sam zaszył się w pracowni. Zawsze doceniał powiedzonka, którymi raczył go ojciec, jak to ulubione, powtarzane do znudzenia, że potrzeba jest matką wynalazków. Schodząc do piwnicy, do swoich urządzeń, maszyn i obliczeń rozpisywanych na ściennych tablicach, czuł w czaszce znajome mrowienie. Tę niecierpliwość, a zarazem koncentrację, które towarzyszyły mu w młodości. Pozostawał wtedy pełen wiary, że nie tyle siła woli, co siła umysłu może przenosić góry. Mózg stawał się maszyną zdolną wyprodukować wszystko, czego zapragnął. Przystawiał się na tory, które prowadziły do jednego celu, wykorzystywał wszelkie dostępne zasoby i tworzył.

Winnicki pracował ciężko do wieczora, kiedy to Olaf natarczywym pukaniem do drzwi przywrócił go rzeczywistości.

– Panienska Marianna przesłała wiadomość.

Doktor sam nie wiedział, dlaczego przejmując karteczkę z chudej dłoni lokaja, poczuł nieprzyjemny dreszcz. Zdał sobie sprawę, że ten niepokój tkwił w jego podświadomości już od dawna. Nasilał się, pożerał go i trawił. Podziękował skinieniem głowy, a potem, przeczuwając najgorsze, usiadł na krześle.

Tato, dziś w nocy Staszek znalazł się w transporcie do Stanów. Marta Kalicka powiedziała mi, że to pewne. Wiem, że to było jego marzenie, ale boję się o niego.

Od Marka nie mam wieści od tygodnia. Próbowałam dowiedzieć się od jego dowódcy, co się stało. Nie chcę mi nic powiedzieć. Mam złe przeczucia.

Proszę Cię, zrób wszystko, żeby się dowiedzieć, czy nic im nie grozi.

Boję się o nich.

M.

Winnicki ruszył po schodach do góry. Szarpnął drzwi i znalazł się w korytarzu. Chwycił płaszcz i kapelusz wiszące na wieszaku. A potem wybiegł na ulicę, nie reagując na wołanie zaskoczonego Olafa.

1932

BRESLAU,
MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA

Podczas tej podróży w stan otępienia Marek wciąż prowadził dysputę z Syboniem. Siedział w pomieszczeniu, którego ściany wydawały się rozmyte i drżące. Z kątów, zza mebli i obrazów wylaniały się cienie, były zimne i odpychające. On sam miał wrażenie, że unosi się nad stołem.

Starzec przemawiał z zapalem charakteryzującym fanatyka. Gestykulował nerwowo, jego głos był przytłumiony, jakby dochodził z odległego radioodbiornika. Chwilami w tym jednostajnym szumie słów pojawiały się zakłócenia i zgrzyty. Gdy Marek wy tężył słuch, zdał sobie sprawę, że to niemieckie wtrącenia, które niczym piasek wciskały się w zdania.

Wreszcie wszystko pokryła mgła, szara, brudna i wilgotna. Z mgły wyłonił się inny obraz. Ten, który przychodził do porucznika w snach.

Pracownia ojca.

Pamiętał rozmowę z Syboniem, który po operacji przeprowadzonej wspólnie z jego ojcem czuwał przy łóżku. Profesor starał się przygotować chłopaka na to, co zobaczy, oswoić go z kalectwem.

Marek, o dziwo, patrzył na nową, metalową rękę zafascynowany. To, co naukowiec odebrał jako objaw szoku, było czymś zupełnie innym. Marek nie czuł się kaleką, przynajmniej nie w tym sensie, o którym myśleli Syboń i personel medyczny. Chłopak uznawał za kalekie to kruche ciało, które mu pozostało. Poparzoną skórę, jątrzące się miejsce, do którego przytwierdzono mechaniczne ramię. Gdyby mógł, zamieniłby kości, mięśnie, ścięgna, wewnętrzne organy, na metalowe ciało, stałby się maszyną, jeśli tylko wciąż mógłby myśleć w ten sposób, w jaki myśli istota zbudowana z białek.

Nie podzielił się tym z nikim. Wiedział, że jedynie ojciec byłby w stanie go zrozumieć. Nie potrafił jednak z nim rozmawiać. Winił go za pustkę, która zagnieżdżyła się w jego sercu i umyśle. Czuł się oszukany. Tak jakby zabrano mu jeden ze zmysłów, ten nowy, wyjątkowy, którego nie miał nikt inny na świecie. Stracił ten dar i od tego momentu pragnął, by choć przez chwilę zaznać tamtych uczuć. Poczuc jeszcze raz, jak świadomość rozszerza się, przekracza wszelkie granice, jak przychodzą zrozumienie i spokój.

Znów drażniący poszum. Słowa, których sens zanikał, gdy przechodziły w niezrozumiałą bełkot.

Otępienie i bezwład ustępowały. Porucznik w swoim życiu przyjął tak wiele lekarstw, że organizm wiele z nich potrafił szybko przetworzyć i zneutralizować. Ojciec podawał mu coraz to nowe specyfiki, które miały łagodzić ból i pomagać w zespoleniu dziecięcego ciała z mechanicznym ramieniem. Zwykły środek nasenny nie był w stanie pozbawić go przytomności na długo.

Marek poczuł szarpnięcie za ramię. W nozdrza uderzył go ostry zapach lekarstw i środków odkażających. Leżał na czymś twardym, rozebrany od pasa w górę. Pomieszczenie wypełniało ciche buczenie urządzeń.

Nie poruszył się, jedynie delikatnie unióś powieki. Syboń stał tuż przy nim. Wciąż mówił do siebie. Trzymał w dłoniach strzykawkę i buteleczkę z mętnym płynem. Nie zauważył, że młody porucznik się przebudził.

– Przykro mi, chłopcze. To wszystko dla dobra nauki...

Uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy metalowe palce zacisnęły się na dłoni trzymającej strzykawkę.

Blizna podniósł się z leżanki. Profesor próbował się wyrwać, ale nie miał szans przeciwstawić się potwornej sile stalowego ramienia. Nadgarstek został wykręcony i igła przesunęła się do szyi starca.

– Marek, nie! Błagam!

Profesor padł na kolana. Jęczał z bólu.

– Co chciałeś zrobić? Co? – Blizna potracił nogą metalowy stolik, zrzucając na podłogę narzędzia

chirurgiczne. – Chciałeś sprawdzić, jak działa? Tak?

– Marek... – Syboń starał się ze wszystkich sił zapanować nad sobą. Twarz miał wykrzywioną bólem, mimo to próbował się uśmiechnąć. – Nie mogłem pozwolić, żeby twój ojciec... żeby zataił przed światem swoje osiągnięcie... Przecież sam wiesz, że to szansa dla... dla nas wszystkich. Błagam cię, puść!

Marek rozejrzył się po pokoju. Czuł, że serce podchodzi mu do gardła.

Pod ścianami ustawiono dwa szpitalne łóżka. Leżeli na nich ludzie, chociaż w odrażających hybrydach trudno było się dopatrzeć ludzkich cech.

- Coś ty zrobił?!

Blizna miał wrażenie, że jeden z leżących otworzył oczy i teraz patrzył w jego stronę. Brakowało mu dolnych kończyn.

Ręce zastąpiło coś, co można było porównać do ramion koparki. Szczypce, mające zapewne być dłońmi, konwulsyjnie zaciskały się i otwierały, ocierając się o siebie z cichym zgrzytem.

– Boże!

Druga z hybryd leżała na boku. Z jej kręgosłupa wystawały rurki i przewody. Naprężały się pod wpływem wypełniającej je cieczy. Zewnętrzny mechanizm z pompą kierował obiegiem płynów ustrojowych nieszczęśnika.

- Coś ty zrobił?!

Marka ogarnęła wściekłość. Patrzył w oczy Sybonia, w których pojawił się zwierzęcy strach. Przytrzymał go za ramię, a gdy igła wbiła się w jego szyję, nacisnął tłok strzykawki.

Profesor, charcząc, opadł na podłogę. Marek wstał z leżanki. Nie potrafił opanować drżenia.

Odnalazł niemiecki mundur i swoją broń. Chciał jak najszybciej opuścić ten pokój, ale nie potrafił wyjść.

Podszedł do mężczyzny bez nóg. Tamten poruszał ustami. Z jego płuc wydobyło się rżenie, szczypce przestały się poruszać. Teraz dopiero Marek zauważył, że metalowe odnóża hybrydy zostały przywiązane pasami do łóżka.

Blizna rozerwał pasy. Szczypce uniosły się w górę, przecinając powietrze.

- Zabij mnie!

Młody porucznik dopiero po chwili pojął sens słów mężczyzny. Wahał się przez moment, w końcu jednak wyciągnął pistolet z kabury. Oddał strzały do dwóch leżących nieszczęśników.

Odnalazł w szafkach buteleczki z alkoholem. Zanim opuścił mieszkanie profesora Zygmunta Sybonia, oblał nim zwłoki i sprzęty, a potem podpalił.

1932
WARSZAWA,
GABINET SIENIAWY

Doktor wpadł do gabinetu Sieniawy jak burza. Nie potrafił opanować emocji, nawet szaleńcza jazda paromobilem nie ostudziła jego nerwów. Komisarz uniósł dłoń, próbując powstrzymać ten obłąkańczy pęd przyjaciela. Drugą wskazał gościa, który siedział w fotelu naprzeciw niego.

Winnicki z trudem opanował wzburzenie – potok słów, zwłaszcza inwektyw, które miały się wylać z jego ust, został chwilowo pohamowany. Dobre wychowanie brało górę, nawet w sytuacjach jak ta, w których doktor najchętniej chwyciłby Sieniawę za kark i rozbił jego nos na blacie biurka.

– Znacie się już, panowie...

Winnicki rozpoznał Cierzbickiego. Mężczyzna z uśmiechem wstał i wyciągnął dłoń w jego stronę. Doktor uściśnął ją odruchowo, z siłą która dała upust nagromadzonej negatywnej energii. Prezes Lewiatana wzdrygnął się i uniósł brwi, maskując zmieszanie delikatnym uśmiechem. Podkreślił wąsa drugą dłonią; tę, która przyjęła uścisk, zaciskał spazmatycznie i rozwierał, jakby niepewny, czy nie doznał kontuzji.

– Proszę wybaczyć – wystękał Winnicki.

- Ależ cieszę się, że pana widzę. Tym bardziej że przed chwilą o panu, drogi doktorze, rozmawialiśmy.

Sieniawa wskazał drugi fotel naprzeciw swojego biurka. Minę miał niewyraźną. Zapewne wiedział, z czym przychodzi do niego Winnicki.

- Jak pan wie, reprezentuję ludzi biznesu, ludzi, którym zależy na dobru naszego kraju i jak najszybszym zakończeniu tej okropnej wojny...

– Myślałem, że ludzie biznesu żyją z wojny, z kontraktów, taniej siły roboczej, która wdzięczna jest za każdy ochłap zrzucany ze stołu, byle mieć na chleb w tych trudnych czasach...

- Andrzej!

Surowy głos Sieniawy nie zrobił na Winnickim wrażenia.

Cierzbicki za to uważniej i z większą ciekawością spojrzał na swojego rozmówcę.

– Ma pan rację... Wojna nabija kiesę wielu magnatom. Jednak permanentna wojna nikomu nie służy. Nawet ci, którzy mają worki pełne złota, chcieliby mieć także możliwość ich wydania, rautów w Paryżu, Nowym Jorku, Rzymie...

– W Bristolu już się duszą? – Winnicki uniósł brwi, jakby autentycznie go to dziwiło.

Cierzbicki się zaśmiał.

– Wszyscy udusimy się w tym kraju, jeśli nie zaczerpniemy świeżego powietrza – odparł poważnie po chwili. – Lada dzień nasi sąsiedzi ścisną nas w takim imadle, że powietrza nie starczy dla wielu.

W pomieszczeniu zapanowało milczenie. Cierzbicki zamilkł celowo, jakby dla podkreślenia znaczenia swoich słów.

– Mówiłem panu o trudnej sytuacji na froncie. Myliłem się. Jest tragiczna... Co gorsza, mamy informacje, że nasz wróg szykuje się do ofensywy.

– Wystarczy więc uprzedzić ich ofensywę naszą własną, nieprawdą? – Doktor spojrzał na Sieniawę. Ten nie odwrócił wzroku, trudno jednak było cokolwiek wyczytać z jego twarzy. – Wizyta prezydenta USA, uderzenie na wroga... Nie taki był plan?

- To prawda, jednak jego realizacja wymaga czasu. Tymczasem Niemcy i Rosjanie tworzą mechaniczną armię. Tysiące metalowych żołnierzy lada dzień zjedzie z linii produkcyjnych. Będą chcieli przełamać naszą linię frontu.

Winnicki szybko przetrawił tę informację.

- Jeśli to prawda, nic na to nie poradzimy. Żołnierze uzbrojeni w metaloszkielety będą tworzyli potężną siłę. Oceniam jednak wysoko zdolności produkcyjne pańskich fabryk, prezesie. Myślę, że w liczebności

Golemów nie będziemy ustępować wrogom...

– Być może – potwierdził prezes. – Co jednak, jeśli Niemcom lub Rosjanom uda się dokonać kolejnego przełomu?

Wciąż się obawiam, że jako pierwsi będą w stanie zdalnie kontrolować mechaniczną armię.

– Gdyby obeszli zakłócenia, już byśmy o tym wiedzieli. Poza tym nie sądzę, by byli w stanie dokonać tego, jak pan określił, przełomu.

– Skąd ta pewność? – Cierzbicki zaczął wiercić się na krześle. Patrzył z napięciem to na Sieniawę, to na Winnickiego.

– Z doświadczenia – zakomunikował doktor.

– Doktorze Winnicki – Cierzbicki nachylił się w jego stronę – magnaci, których pan tak surowo ocenia, stworzyli fundusz, który ma uratować ten kraj. Jest on wręcz nieograniczony. Wszystko po to, by wygrać wojnę, by ją zakończyć zwycięsko. Wracam do naszej ostatniej rozmowy, do planów, które panu wyjawilem. Stworzyliśmy w naszych fabrykach armię Golemów. Brakuje nam jednak kogoś, kto tchnie w nie życie. Kto będzie w stanie nad nimi zapanować...

– Próbowaliście już tego, nieprawdaż? – Winnicki stał się nagle ostrożniejszy. – Próbowaliście sami ujarzmić fusy, ale wam się nie udało?

Cierzbicki stracił rezon. Spojrzył na Sieniawę, szukając u niego wsparcia.

Ten poczuł się wywołany do tablicy.

– Tak, próbowali – potwierdził. – Bez ciebie nie będą w stanie tego dokonać. Nie robisz tego dla magnatów, Cierzbickiego czy dla mnie. Zrób to dla...

– Dla ojczyzny? – zarechotał Winnicki. Stracił panowanie nad sobą. – Poświęciłem dla ojczyzny więcej niż każdy z was!

Nie tylko swoje życie, które mam za nic, ale swoich synów!

– To nie tak – próbował zaprzeczyć Sieniawa.

– Ależ tak! Pozwoliłeś, by Staszek poleciał nocnym transportem! Tak czy nie?

Sieniawa skinął głową, ale nie widać było, żeby czuł z tego powodu jakiegokolwiek wyrzuty sumienia.

– Mówiłem ci, powtarzałem, że wyloty pocisków transportowych powinny zostać wstrzymane! Nic sobie z tego nie robiłeś!

– Andrzeju – nadkomisarz przemówił łagodnym tonem, jakby mając nadzieję, że spokój udzieli się Winnickiemu. – Pociski transportowe działają bez zarzutu. Transport doleciał. Mamy potwierdzenie, raport dowódcy, który dotarł na miejsce. Kazaliśmy mu nawet zrobić zdjęcia z lądowania. W kapsule wystrzelonej ze Stanów są także listy żołnierzy, które napisali tam, na miejscu. Dostali taki rozkaz po wylądowaniu. Chcieliśmy być pewni...

Winnicki oniemiał.

– Staszek był dowódcą jednej z kapsuł. – Sieniawa sięgnął do biurka i wyjął z niego szarą kopertę. – To jego list.

Doktor przejął przesyłkę. Była otwarta. Wyciągnął ze środka kartkę papieru zapisaną drobnym, znanym mu charakterem pisma.

– Jest też zdjęcie...

Winnicki niecierpliwie rozszerzył kopertę, tak że ta się rozdarła. Wyjął zdjęcie. Kilkunastu chłopaków w polskich mundurach. Obok amerykańskiego dowódcy Staszek.

– Jak widzisz, ze Staszkiem wszystko jest w porządku.

– Oby – wydusił z siebie doktor. Wsunął zdjęcie i kartkę papieru do koperty, a potem włożył ją do kieszeni płaszcza, nie zważając na niemrawe protesty Sieniawy. Nadkomisarz w końcu machnął ręką, poddając się zupełnie. – A co z Markiem?

Śledczy poważnie skinął głową, co nie przypadło doktorowi do gustu.

– Twój syn przedostał się za linię wroga. Ruszył do Breslau w poszukiwaniu balonów stratosferycznych, przejętych przez Niemców.

– Balony stratosferyczne? – Winnicki zachwiał się, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. – Zostały skradzione?

– Andrzeju? O co chodzi? – zaniepokoił się Sieniawa. – Źle się czujesz?

Doktor popatrzył w oczy Cierzbickiego, a potem nadkomisarza. Odezwał się po dłuższej chwili: – Muszę cofnąć to, co wcześniej powiedziałem... Niemcy mogli znaleźć sposób na obejście fusów lub są tego bardzo bliscy. Przy „Projekcie Golem” rozważałem użycie balonów stratosferycznych i zainstalowanie na nich urządzeń nadawczo - odbiorczych. Dzięki nim operatorzy z dowództwa mogli kontrolować zdalnie, na dużą odległość, całą armię metaloszkieleatów. Obawiam się, że nasi przeciwnicy wpadli na ten sam pomysł.

Sieniawa zaklął pod nosem, a Cierzbicki uniósł się z fotela i nerwowo chwycił swój kapelusz.

– Panie doktorze – jego głos drżał od emocji. – Nie mamy już czasu na wahanie. Musi pan pojechać ze mną, jeśli nie chcemy, by Niemcy nas wyprzedzili. Jedyna nadzieja w panu!

1932 BRESLAU, OKOLICE STAREGO MIASTA

Blizna odpalił motocykl i skierował się do centrum miasta. Nie do końca wiedział, co powinien zrobić. Nie miał żadnego planu. Mijał rozświetlone ulice, którymi hałaśliwe grupki przechodziły od knajpki do knajpki, rozochoczone kolejnymi kuflami piwa. Przez chwilę Marek sam miał ochotę zaszyć się w jakimś miejscu, gdzie głośna muzyka zagłuszyłyby jego myśli, a alkohol pozwolił o wszystkim zapomnieć.

Zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd, na wąskim skrawku ziemi naszpikowanym odłamkami i minami bardziej niż świąteczny mazurek makiem, ginęli ludzie. Który obraz rzeczywistości był prawdziwy? Ten tutaj, Warszawy, Berlina, Breslau, które zdawało się, że zapomniały o wojnie? Czy rozciągniętej linii frontu z setkami tysięcy żołnierzy kulących się przed zimnem w zabłoconych okopach?

Porucznik wciąż miał przed oczami tamtą twarz. Człowieka, którego Syboń starał się zmienić w... no właśnie, w co? Kim był on sam? Metalowe ramię nigdy nie wydawało mu się obce, było po prostu doskonalszą formą zastępującą nietrwale tworzywo. Gdyby mógł przenieść umysł do jednego z twórców własnego ojca, nie wahałby się nawet chwili.

Kto wie, jak będzie wyglądać przyszłość. Markowi jawiła się ona jako otchłań cierpienia, nieustających wojen i głodu.

Ludzkość dąży do samozniszczenia i zagłady. Kto wie, może kiedyś jedyną możliwością przetrwania będzie przeniesienie umysłu z kruchego ciała w formę trwalszą. Taką, która przetrwa zagładę organicznego życia.

Przy uniwersytecie skręcił w lewo. Przez chwilę walczył z pragnieniem, by zaparkować tu motocykl i przejść się na rynek do najstarszej restauracji w Europie, usytuowanej w podziemiach ratusza. W końcu uznał, że byłoby to nieroztropne kuszenie losu. Pojechał wzdłuż Odry, podziwiając światła lamp gazowych odbijające się w nurcie rzeki.

Z wycieczkowców płynących po Odrze dobiegała głośna muzyka. Mimo późnej pory wielu mieszkańców miasta dobrze bawiło się w restauracjach i klubach. On sam odczuwał coraz większe zmęczenie. Postanowił, że znajdzie jakieś miejsce na nocleg. Nie powinno okazać się to trudne. Ze swojej podróży z ojcem pamiętał liczne hangary przy rzece, w których przechowywano kajaki i łodzie. Tam nikt nie powinien go niepokoić.

WARSZAWA, DAWNA FABRYKA LILPOP, RAU I LOEWENSTEIN

Wsiadając do paromobilu Wierzbickiego, Winnicki wciąż próbował zebrać myśli. Wyjął z kieszeni płaszcz kopertę i teraz ścisnął ją w dłoniach, nie mogąc się zdecydować, czy chce do niej ponownie zaglądać. Tak naprawdę powinien odczuwać ulgę, jednak wciąż narastał w nim niepokój. Coś poruszyło czułą strunę, jakiś szczegół, który dostrzegł podświadomie i którego wciąż nie potrafił rozpoznać. Starał się oczyścić umysł. Tylko w ten sposób zdoła znaleźć rozwiązanie.

– Lada dzień dojdzie do historycznej wizyty, doktorze.

– Lada dzień? – Winnicki spojrzął z roztargnieniem na Cierzbickiego.

– To nowa karta w historii naszego kraju. Nowe rozdanie, które zapewni nam przewagę, jakiej nigdy nie mieliśmy.

Głos prezesa drżał, gdy paromobil podskakiwał na kostce brukowej.

– Zapewne. – Doktor był skłonny zgodzić się z przemysłowcem, chociaż wciąż nie mógł uwierzyć, że prezydent Stanów Zjednoczonych osobiście pofatyguje się do Warszawy.

– Wiem, o czym pan myśli. – Cierzbicki uśmiechnął się. – Zdaje się, że podaje pan w wątpliwość bezpieczeństwo podróżowania transporterami?

– Uważam, że... – Winnicki postanowił być bardziej ostrożny w osądach. – Uważam, że ostatni wypadek powinien zostać gruntownie zbadany.

– Rozumiem. – Prezes pokiwał głową z namysłem. – Wszystko jednak wskazuje na błąd ludzki. A one się zdarzają.

Pamiętajmy, że technologia, której używamy, jest młoda. Pewne procedury może powinny być bardziej restrykcyjne.

Jednak uważam, że pociski interkontynentalne są bezpieczne.

– Te zapewnienia słyszałem już z ust kilku osób... Amerykanie wiedzą o wypadkach? Podzielają pańskie zdanie?

Cierzbicki się zaśmiał.

– Amerykanie nie naraziliby najważniejszej osoby w państwie bez gruntownej wiedzy o naszej technologii. Zresztą pomagają w jej udoskonaleniu. Ja sam jestem przykładem tego, że podróż należy do bezpiecznych.

Winnicki właściwie odczytał uśmiech przemysłowca.

– Podróżował pan pociskiem?

– Oczywiście. – Cierzbicki starał się nie okazywać rozbawienia. – Byłem jednym z inicjatorów naszego sojuszu i planów, które zatwierdził rząd. Wszyscy mamy na celu zwycięskie zakończenie tej wojny. I jak pan widzi, siedzę przed panem, cały i zdrowy. Rozmawia pan z człowiekiem z krwi i kości, a nie z duchem...

Andrzej uśmiechnął się blado. Postanowił zmienić wątek rozmowy.

– Jak dużą rolę w waszych planach odgrywa ofensywa z wykorzystaniem metalowej armii?

– To skomplikowane. – Cierzbicki wyjrzał przez okno. Skrzywił się nieznacznie, jakby dostrzegł na zewnątrz coś, co wywołało niepokój. – Liczymy się z tym, że nie uda nam się rozwiązać problemu zakłóceń, czy, jak je pan nazywa, „fusów”. Nasza metalowa armia w ostatecznym rozrachunku powalczy na froncie, ale będzie mniej efektywna. Zasobów ludzkich nie jesteśmy w stanie znacząco powiększyć. Pozostanie nam przeszkolenie tych żołnierzy, którzy już krwawią na froncie. Uzbrojeni w metaloszkielety, będą walczyć z armiami Golemów rosyjskich i niemieckich. Czy to jednak coś zmieni? Zakończy wojnę? Śmiem wątpić. Jedynie uderzenie naszych nowych amerykańskich sojuszników na Europę Zachodnią i Rosję Azjatycką da nam szansę na stworzenie przewagi na naszych granicach. To jednak oznaczać będzie

krwawą, długą batalię, która pochłonie dziesiątki, a może nawet setki tysięcy ofiar.

– Miliony.

- Słucham?

– To będzie wojna globalna, światowa. – wyjaśnił Winnicki. – Przy tej skali ofiar będą miliony. Więcej wśród cywili.

Wyniszczą ich choroby i głód.

– Sam pan widzi, jak ważne jest zakończenie tej bezsensownej jatki. Powinniśmy dołożyć starań, by ofiar było jak najmniej. Chociaż pewnie ich nie unikniemy...

Doktor zauważył, że Cierzbickiemu nie był obcy sposób myślenia wojskowych. Ten przemysłowiec także myślał w pierwszej kolejności o zasobach mięsa armatniego. Zdawał się zapominać o tych, których wojna dotykała przede wszystkim.

– Jest jeszcze jedno zagrożenie, którego obawiam się najbardziej. – Prezes zmarszczył brwi. – Co, jeśli nasi wrogowie są krok przed nami? Co jeśli ta ich metalowa armia ruszy na nas, a my nie będziemy przygotowani? Bóg wie, ile tych stalowych potworów stworzyli. Nie muszę mówić, jak ważne jest, żeby rozwiązał pan problem zakłóceń i zapanował nad naszą armią. Żeby zapewnił nam pan przewagę.

– Zrobię, co w mojej mocy.

- To zapewnienie mi wystarczy, drogi doktorze. – Cierzbicki rzeczywiście wyglądał tak, jakby pozbył się z serca dużego ciężaru. – Dojeżdżamy na miejsce. Zobacz pan, czego dokonaliśmy. Pozwoliłem sobie zaprosić moich partnerów, którzy poparli projekt. Spotkamy się z nimi niezwłocznie.

Wycelowane w niebo kominy, wyrzucające z siebie obłoki pary i czarnego dymu, wyglądały niczym szpikulce na cielsku wieloryba. Korpus stworzenia stanowiły budynki, które zdawały się zlewać w jeden stalowoszary twór. Wszystkie płaszczyzny pokrywała sadza; wyglądała jak narośl, pasożyt wszczepiony w żywą tkankę. Pęczniała z każdym dniem, nawarstwiając się, by objąć w posiadanie kolejne metry terytorium, wzdłuż, wszerz i w głąb.

Warsztaty, hale produkcyjne, spawalnie, tłocznie. Samowystarczalna jednostka, która sama w sobie wydawała się obdarzoną własną świadomością bytem. Środek kompleksu stanowiła żelbetowa konstrukcja, potężne łukowe żebra obciążone szkłem, przydymionym, jednak zdradzającym pulsujące życie ukryte gdzieś we wnętrzu.

Do tego zapach, dziwna, trudna do określenia woń. Był to swego rodzaju melanz smaru, żelaza, rdzy, dymu. Wszystko wymieszane ze sobą, stanowiące doskonałe połączenie, które zwiastowało narodziny nowych konstrukcji wychodzących spod ludzkich rąk. To był zapach przyszłości, wkraczania w nowe jutro. W erę, w której ludzki umysł, dążenia i marzenia mogą się urzeczywistnić.

Cierzbicki wykonał ruch ręką, jakby obejmował całą tę przestrzeń geometrycznych brył, nie powiedział jednak nic, pozostawiając obraz w umyśle Winnickiego takim, jakim sam go zinterpretował. Doktor widział teraz tylko profil przemysłowca, coś jednak w kształcie jego nosa, policzków i brody, a nawet opatulonego płaszczem ciała, przypominało tę maszynę. Podobną w konstrukcji bryłę, której części, nie do końca do siebie pasujące, stanowiły jednak całość.

Cierzbicki przesiąkł zapachem otoczenia, choć ten fakt próbował maskować drogimi perfumami. Jednak gdy już raz poczuło się woń tego miejsca, można było rozpoznać, że prezes Lewiatana absorbował go od lat każdą cząstką ciała. Nie pozbyłby się go nawet, gdyby chciał.

- W lewo!

Ochrona. Wieżyczki wartownicze, wysoki mur i wrota naszpikowane stalowymi ćwiekami. Do tego druty kolczaste, kilka stanowisk dla ciężkiego wojskowego sprzętu, także baterii przeciwlotniczych.

Uważne oko doktora nie zauważyło wcześniej tych szczegółów, jakby pochłonięte rejestrowaniem innych obrazów.

Teraz Winnicki zobaczył kilkudziesięciu ludzi, żołnierzy, których dowództwo wyznaczyło do pilnowania terenu. Siły te uzupełniała prywatna ochrona, zapewne złożona z byłych wojskowych i policjantów.

Niewątpliwie strzeżono tego miejsca jak oka w głowie.

Kolejny płot, zwieńczony drutem kolczastym. Brama, która rozsunęła się przed nimi, i kilku mężczyzn, którzy stanowili najbardziej zaufaną ochronę Cierzbickiego. Kanciaste szczęki, prostokątne kontury ramion; kolejne maszyny, zaprogramowane, by chronić. Ludzka maszyneria, doskonale naoliwiona i oddana swojemu zadaniu.

– Zobacz pan moją chlubę, już zaraz...

To Cierzbicki niecierpliwił się bardziej niż doktor. Był jak dziecko zapraszające do pokoju zabaw kolegę, by pokazać mu ostatni prezent, który dostało na gwiazdkę. Wciąż nowy, ledwie rozpakowany, wyjątkowy.

Kod przy drzwiach wstukany przez kolejnego ochroniarza. Zapewne elektryczny zamek, pomyślał Winnicki w zdumieniu. Bardzo efektowny, miał robić wrażenie na gościach fabryki i Winnicki musiał przyznać w duchu, że tak było.

Szczęknięcie metalu. Skrzydła rozsunęły się i stanęli na progu ogromnej hali. Światło zaślniło na pancerzach setek ustawionych w rzędach metalowych korpusów.

- Śmiało!

Cierzbicki wykonał zapraszający gest. Wydawało się, że zdusił w sobie chęć pociągnięcia doktora za ramię i wciągnięcia go do pomieszczenia.

Winnicki rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby potrzebował takiej zachęty, bo nagle stracił oddech. Patrzył z rosnącą fascynacją na nieruchomych olbrzymów. Na posągowe odlewy metalowych wojowników. Bryła, którą pamiętał z własnych projektów, została znacznie unowocześniona.

Korpus stanowił twardy stop, solidne płyty odporne na największy kaliber konwencjonalnej broni. Chroniły one to, co najcenniejsze- serce mechanizmu i centralę kontrolną. Sama głowa była nisko osadzona, bardziej przypominała wypustkę z wziernikami kamer, które zresztą umieszczono także w innych częściach korpusu. Nawet jej utrata nie była równoznaczna z unieruchomieniem jednostki.

– Golem. Tak go pan nazwał?

– Określenie nie moje...

- Wiem. Ale postanowiliśmy uszanować pana wybór, doktorze. Można powiedzieć, że to Golemy drugiej generacji. Jak pan widzi, wprowadziliśmy kilka zmian. Śmiało, proszę podejść, nie gryzą.

Winnicki wciąż zastanawiał się, kto przez ostatni rok pracował nad projektem. Nie zadał jednak tego pytania. W Polsce nie było zbyt wielu specjalistów, których znał i którzy podjęliby się tego zadania. Podejrzał, że mógł mieć z tym coś wspólnego nowy narybek Politechniki Warszawskiej.

- Zostawiliśmy wystarczająco dużo miejsca na ewentualny moduł niwelujący zakłócenia. Chociaż pewnie nie będzie to konieczne? Być może uzna pan, że powinien posiadać taki przy sobie operator?

– Być może... – odpowiedział Winnicki. Nie miał ochoty niczego w tej chwili ujawniać.

Podszedł do pierwszego rzędu metalowych korpusów. Zwrócił uwagę na słabe punkty stalowych żołnierzy. Kończyny: nogi i ręce stanowiły problem. Jedne z najwrażliwszych miejsc, mogących doprowadzić do unieszkodliwienia metaloszkieletu. Z podziwem potrząsał głową, obserwując zastosowane zabezpieczenia. Nachodzące na siebie płyty, chroniące elementy skrętne, wykonane były z dbałością o detale. Cała hydraulika została ukryta i zabezpieczona. Tylko naprawdę silny wybuch, na przykład spowodowany bezpośrednim trafieniem z granatnika, mógł uszkodzić konstrukcję.

Na pancerzu został wytłoczony symbol – morski potwór wynurzający się z fal. Winnicki zdał sobie sprawę, że już go wcześniej widział.

– „Tyś skruszył głowę Lewiatana, dałeś go za pokarm ludowi na puszczy”* – wyszeptał doktor.

Cierzbicki był zbyt podniecony, by dosłyszeć jego słowa.

– Pozostaje wyeliminować czynnik zakłócający sterowanie, doktorze. Mam nadzieję, że pan tego dokona.

- Jak długo pracowaliście nad rozwiązaniem sprawy fusów... zakłóceń? Pana dotychczasowy zespół nie zdał egzaminu?

Prezes westchnął i wzruszył ramionami.

– Wystarczająco długo, by wiedzieć, że sami nie podołamy. Jedyna nadzieja w panu!

– Czy Waldorfi także zajmował się tym problemem?

Pytanie zawisło w powietrzu. Cierzbicki wyglądał na autentycznie zdumionego.

– Nie – zaprzeczył. – Profesor Waldorfi był związany jedynie z projektem pocisków interkontynentalnych. Warsztaty lotnicze stały się jego nowym domem. Tutaj nigdy nie zawitał.

Winnicki znów skinął głową. Zastanawiał się, jak wyglądałby jeden ze stojących przed nim Golemów stosujący technikę kamuflażu. Czy gdyby wszystkie kończyny przylgnęły do korpusu, a pancerne osnowy otoczyły go kokonem, to ten metalowy żołnierz przypominałby bryłę o kształcie walca z bocznymi przewodnicami?

- Żadnego z tych metalowych pudeł wam nie brakuje?

Cierzbicki zaśmiał się, jakby przeczuwając jakiś żart. Widząc jednak uważne spojrzenie doktora, energicznie potrzęsął głową.

- To niemożliwe. Te metalowe pudła, jak pan to ujął, są pod stałym nadzorem.

Winnicki podążył za palcem wskazującym prezesa. Dopiero teraz dojrzał rejestratory obrazu rozmieszczone w niewaligicznych punktach hali. Niektóre z nich się poruszały, uważnie lustrując teren. Zapewne kilka wycelowanych było w niego i Cierzbickiego. Doktor spojrzał ponownie na Golemy. Nie był w stanie stwierdzić, czy te metalowe korpusy przypominają mu bryłę, którą widział w gabinecie Waldorfi. Im dłużej rozważał to zagadnienie, tym więcej miał wątpliwości.

- Jak pan myśli, prezesie? Na jakim etapie konstrukcji Golemów są nasi przeciwnicy?- zapytał.

– Wychodzi na to, że na podobnym do naszego. – Cierzbicki wypowiadał słowa z namysłem, ale i pewnością w głosie. – Otrzymaliśmy sygnały, że po niemieckiej stronie frontu zaobserwowano pierwsze metaloszkielety. Nie zostały użyte w działaniach bojowych, można jednak przypuszczać, że Niemcy poddają je testom.

Winnicki słuchał z uwagą i nie przerywał gospodarzowi.

– Mam nadzieję, doktorze, że nasi wrogowie rzeczywiście nie poradzą sobie jeszcze z zakłóceniami. Obawiam się jednak czegoś innego. I oni mogą stracić cierpliwość. Jeśli użyją Golemów na polu walki jako pierwsi, uzyskają przewagę, choćby psychologiczną.

– Czy ci, którzy zaobserwowali niemieckie Golemy, byli w stanie je opisać?

– Były takie próby.

- I?

- Wysokości blisko dwóch i pół metra. Wydaje się, że pancerze stanowią jednolitą, zaokrągloną powierzchnię. Ich Golem dysponuje szerokimi ramionami i mocnymi odnóżami...

- Jak określano kształt niemieckich maszyn?

Cierzbicki się zawahał.

– Różnią się nieco od naszych. Rozwiązanie oparł na bryle walca eliptycznego...

Winnicki skinął głową. Przez chwilę obaj milczeli, patrząc na rzędy nieruchomych Golemów. W końcu prezes przerwał ciszę: – I jak? Co pan o tym myśli?

– Gratuluję, ta fabryka robi naprawdę niesamowite wrażenie – odpowiedział szczerze doktor.

Cierzbicki z zadowoleniem skłonił głowę.

– Przejdźmy więc na spotkanie z moimi partnerami. Na pewno mocno się już niecierpliwią.

Wyszli z hali i udali się do pomieszczeń biurowych.

Przed sobą mieli kilkadziesiąt metrów szerokiego korytarza. Winnicki, stąpając po marmurowych płytkach, przyglądał się ścianom. Wisiały na nich sugestywne afisze reklamowe Tadeusza Gronowskiego. Każdy z nich przedstawiał reklamę jakiegoś produktu lub wynalazku. Były tam plakaty z Wedlem, papierosami Gabinetowymi, Orbisem czy Polskimi Liniami Lotniczymi. Najbardziej jednak przyciągał wzrok ten, na którym widać było czarnego kota wskakującego do wiaderka z mydlinami proszku Radion, a po chwili wyskakującego z niego z całkowicie białym futrem.

Andrzej wyobraził sobie ten plakat w nieco innej wersji, gdzie kota miałyby zastąpić jeden z Golemów. Nie zdziwiłby się, gdyby Cierzbicki wpadł na taki pomysł. Prezes wyglądał na osobę, która dla rozgłosu byłaby w stanie zrobić absolutnie wszystko.

Dwaj pracownicy ochrony uchylili przed nimi drzwi. Doktor wszedł wraz z prezesem do sporego pomieszczenia. Sala, w której się znaleźli, urządzona była z przepychem, wydawała się przeniesiona

z jakiegoś renomowanego hotelu. Musiała być świadkiem nie tyle narad zarządu, co niezliczonych bankietów i rautów. Nawet konfetti na jednym z żyrandoli świadczyło o hucznym przyjęciu, jakie musiało mieć tu swego czasu miejsce.

– Panowie, doktor Winnicki!

Mężczyźni z kieliszkami w dłoniach przerwali ożywioną konwersację i odwrócili się w ich stronę. Doktor ocenił ich ubiór jednym rzutem oka. Znali się na modzie. Buty Leszczyńskiego i Strusia, dwurzędowe garnitury od Borkowskiego, Lipszyca i Zaremby... Andrzej zastanawiał się, co uderzyło go w obrazie, który pojawił się przed jego oczami. Ci mężczyźni stanowili doskonale pasujące do siebie części układanki.

Oczywiście, oprócz modnych garniturów, widocznych podobieństw nie było wiele. Różnili się wzrostem, fryzurami, niektórzy mieli gustowne wąsy, inni modne przystrzyżone bródki. Nawet ich ruchy i mimika były odmienne; swoista mieszanina oryginałów. Flegma u jednych, u drugich przesadna ekspresja, widoczna w szerokich, odsłaniających lśniące uzębienie uśmiechach. Pozostawało więc coś innego, ledwie uchwytnego, działającego być może w przedświadomości opisywanej przez profesora Freuda. Jakiś impuls, który doskonale łączył ich przeciwieństwa i różnice w jeden organizm.

Coś na granicy postrzegania, co świadczyło o tym, że nadają na tych samych falach, mają takie same cele i pragnienia.

I chyba właśnie to spostrzeżenie spowodowało, że Winnicki nagle poczuł do nich niechęć.

– Witamy, doktorze! To zaszczyt, że zechciał pan do nas dołączyć – słowa wypowiedział najstarszy mężczyzna w towarzystwie. Nosił prostokątne okulary, a jego żywe oczy z uwagą lustrowały otoczenie. –

Proszę wybaczyć mój brak ogłady, Ignacy Brandys. Nie ukrywam, liczyliśmy na to, że przyjmie pan zaproszenie.

Winnicki skinął głową. Zdaje się, że mężczyźni oczekiwali po nim bardziej żywiołowej reakcji, ale szybko przykryli zmieszanie uprzejmymi uśmiechami.

– Doktor widział już naszych chłopców... – Cierzbicki mówił o metalowej armii. To nowe określenie wzbudziło u Winnickiego niesmak.

– I jakie wrażenia? – spytał Brandys.

– W tej chwili to bezużyteczne kupy złomu. – Doktor wzruszył ramionami.

Mężczyźni zaśmiali się. Na ich twarzach nie można było dostrzec nawet śladu urazy.

– A czy pan, drogi doktorze, pomoże nam tchnąć w nie życie?

Pytanie zawisło pod ciężkimi szklanymi żyrandolami. Atmosfera zgęstniała. Cierzbicki poruszył się niespokojnie.

– Nie naciskajmy tak doktora. – Prezes zaśmiał się teatralnie.

– Nie czuję się naciskany – odparł uprzejmie Winnicki. – Rozumiem panów pośpiech i bezpośredniość. Wiem, że w obecnej sytuacji nie możemy zwlekać. W interesie nas wszystkich, jak sądzę, leży, by armia tych... metalowych chłopców jak najszybciej opuściła mury wspaniałej fabryki i podążyła w stronę Berlina i Moskwy.

– Brawo.

– Wspaniale.

– Cieszymy się, że pan tak mówi!

Doktor uniósł dłoń, by uciszyć zebranych. Wytrzymał w milczeniu jeszcze kilka sekund, po czym zapytał: – Pozostaje pytanie, co panowie z tego będziecie mieli?

Jego słowa nie wywołały zamierzonego efektu. Ci mężczyźni byli biznesmenami, ale nie zamierzali przed nim odgrywać szopki.

– Ostatnie lata poświęciliśmy na budowę coraz to nowych maszyn zniszczenia, które wysyłał na front. Nasi wrogowie robią to samo i do tej pory nikt nie uzyskał znaczącej przewagi. – Wydawało się, że Brandys został namaszczonej do rozmów z Winnickim. – Nastanie jednak moment, gdy jedna ze stron opracuje projekt, który zapewni jej zwycięstwo. Co byśmy dali, by wiedzieć wcześniej o „Projekcie Golem” i pańskich działaniach! Piłsudski utrzymywał jednak wszystko w tajemnicy. Naczelnik był pewny, że utknął pan w martwym punkcie, i postanowił zastopować „Golema”. Niemcy, którzy jakimś cudem

trafili na trop projektu, także nie potrafili rozwiązać kwestii, które stanowiły problem dla pana, doktorze. Wierzę jednak, że teraz wraz z panem będziemy w stanie zakończyć to, co tak niefortunnie zostało przerwane. Odpowiadając więc na pańskie pytanie, my po prostu chcemy odetchnąć. Ostatnie lata pochłonęły majątki większości z nas. Współpraca z panem to nasza ostatnia szansa... – Brandys uśmiechnął się, choć uśmiech ten mógł uchodzić za przepełniony goryczą.

– I to wszystko? Chcecie po prostu odetchnąć, wymęczeni wojną?

– Oczywiście, że nie. Jest pan przenikliwym człowiekiem. Domyśla się pan, że mamy też swój cel. Chcemy zarabiać, otworzyć rynki dla swoich towarów, rozwijać się. Chcemy pomnażać swój majątek, spełniać marzenia. Tak jak każdy w tym kraju. Los chciał, że spotkaliśmy na swojej drodze prezesa Cierzbickiego. W moim i moich kolegów odczuciu, szalonego wizjonera. Ale w jego szaleństwie odnaleźliśmy coś, co daje nam nadzieję na przyszłość. Jeśli naszą zbrodnią są nasze pragnienia, może nas pan skazać. Ale my chcemy zakończenia tej wojny, zakończenia rzezi, która trwa już zbyt długo. Wolny kraj, spokojna Europa, to możliwość rozwoju, stworzenia nowych miejsc pracy, rozkwitu gospodarczego i społecznego. Na dłuższą metę nie da się utrzymać z wyrobu samych armat, broni, narzędzi zagłady. Wojna to głód, problemy dla naszego kapitału. Więc jeśli wątpi pan w nasze intencje, proszę się zastanowić, na czym zależy nam najbardziej. A jeśli już pan do tego dojdzie, dlaczego pan tego nie wykorzysta? My chcemy wygranej, pokoju, niech będzie: dla własnej przyszłości i wizji dobrobytu. Lecz czego chcą zwykli ludzie, jeśli nie tego samego? Wolność, pokój, osiągnijmy to wspólnie. Dopóki...

– Dopóki nasze drogi się nie rozejdą? – przerwał mu Winnicki. – To jest ta cena? Gdy nastanie pokój, waszym celem pozostanie jedynie pomnażanie majątków, minimalizowanie kosztów. A zwykli ludzie pozostaną na takim samym marginesie jak w tej chwili?

– Nie wiem, czy pana przekonam, doktorze... – Mężczyzna przetarł brwi opuszkami; być może potrzebował czasu na dobór kolejnych słów. – Prezes Cierzbicki uczulał nas przed tą rozmową, zwracał uwagę na pewne kwestie... Obaj panowie macie wiele wspólnego. Towarzystwo Naukowe, które założyliśmy, jego idea, przypadnie panu do gustu. Nauka w służbie ludzkości, panie Winnicki. Dostrzegliśmy w tym szansę, nowe drogi rozwoju, drogę w przyszłość. Otóż...

postanowiliśmy zainwestować, ale nie tylko teraz, nie jednorazowo. Postanowiliśmy zainwestować w naukę. Naszym celem jest zapewnienie przewagi naszemu krajowi na przyszłość. Mamy najlepszych naukowców na świecie, większość z nich opuściła Polskę w poszukiwaniu funduszy, ściągnięci przez możne państwa, które były bardziej dalekowzroczne niż my. Zna ich pan, słyszał pan o ich osiągnięciach, takich, które jeszcze niedawno mogły być uznawane za czarną magię. Oni wrócą do kraju, a my wykształcimy kolejne światłe umysły. Nasze Towarzystwo zadba, by mogli rozwijać projekty, które posłużą temu krajowi, ale także ludziom. Chcemy też, żeby to pan decydował o tym, które kierunki i projekty będą dla nas najważniejsze.

– Przekupstwo?

– Nie, zwrot w historii. Właściwa osoba na właściwym miejscu. Szukamy gwaranta naszych celów statutowych. Osoby o nieskazitelnym charakterze, która zapewni nam przyszłość.

– Czy to transakcja wiązana?

– Nie, broń Boże! Wiem, że nie muszę pana przekonywać do pomocy. Spodziewam się, że tchnie pan życie w armię, która czeka na swój czas tam, na dole... Ale gdy już będzie po wszystkim, będziemy prosić o rozważenie naszej propozycji.

- Jest pan szalenie pewny siebie...

– Nie, ja po prostu jestem szalenie pewny pana, pana prawości.

Winnicki patrzył w nieruchome oczy Brandysa. Znow zapadła cisza, której nie zakłócił najdrobniejszy szmer.

– Doktorze? – głos Cierzbickiego przywrócił naukowca do rzeczywistości. – Czy nam pan pomoże? Czy pomoże pan naszemu krajowi?

Patetyczne, pomyślał Winnicki. Podniosła chwila, którą chętnie by zepsuł, ale nie mógł. Decyzję podjął już dawno.

– Potrzebuję całej dokumentacji.

– Oczywiście – w głosie Brandysa zabrzmiała ulga. Jego twarz pozostała jednak bez wyrazu, jakby innej odpowiedzi nie oczekiwał. – Cały nasz zespół...

– Pracuję sam. Nauczyło mnie tego doświadczenie.

Mężczyźni skinęli głowami. Zapewne nie były im obce informacje o przyczynach upadku poprzedniego projektu.

– Wypijmy więc za to.

Mężczyźni rozluźnili się. Teraz wszyscy zaczęli podchodzić do Winnickiego, ścisnąć jego prawicę, przedstawiać się. Kilka uprzejmych słów, poufałych dotknięć ramienia. Doktor poczuł się tak, jakby przeszedł jakiś test, został zaakceptowany, wchłonięty przez wielogłowy korpus z ruchliwymi odnóżami. Pojawił się szampan, na stołach wyrosły sterty ciepłych przystawek, auszpiki, galantyny z drobiu, kawior. Kelnerzy roznosili trunki.

Doktor słyszał wcześniej o pancernych pociągach znikających i pojawiających się na granicy. O sterowcach ze specjalnymi oznaczeniami, które potrafiły bezkarnie przekroczyć przestrzeń powietrzną nad linią frontu. Sam skłonny był włożyć historie o nich między bajki, w przegródkę ze spiskowymi teoriami dziejów. Coś jednak musiało być na rzeczy.

Kto wie, czy przemysłowcy zza zachodniej i wschodniej granicy nie zdecydowali się wspólnie ulżyć swoim cierpieniom, poprawić swój jakże ciężki byt. Kawior do Polski i Niemiec, szampany i wina na wschód. A i Polska pewnie miała się czym pochwalić – choćby destylowaną kilkukrotnie wódką, którą po cichu pili nawet Moskale. Co więcej, skoro zapieczętowane pociągi mogły przewozić luksusowe towary, co stało na przeszkodzie, by przewoziły coś więcej? Czy do Warszawy, a w końcu do Warsztatów Lotniczych, mogły trafić niemieckie Golemy?

– Wydaje się pan nieobecny, doktorze... – Prezes przybliżył się do swojego gościa, gdy tłok wokół niego nieco zelżał. – Coś pana trapi?

– Wybacz pan... – Winnicki się zawahał. – Myślę już nad tym, co powinienem zrobić, od czego zacząć.

– Tak, to tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że dokonaliśmy doskonałego wyboru.

– A mieliście jakiś wybór?

Mężczyźni spojrzeli na siebie. Cierzbicki zaśmiał się szczerze.

– Niespecjalny, ale to już pan wie. – Przemysłowiec się zawahał, jakby niepewny, czy poruszyć temat, który go gnębił. – Czy... czy wie pan, doktorze, ile to zajmie czasu? Proszę wybaczyć moją niecierpliwość. Ja...

– Nie mogę niczego obiecać.

– Wiem, wiem. – Prezes rozejrzał się wokół. Pozostali członkowie Towarzystwa zdawali się jednak pochłonięci rozmową na inne tematy. – Nie chcę, żeby pan pomyślał, że narzucam jakiegokolwiek terminy, warunki. To po prostu ludzka ciekawość i niecierpliwość, którą wywołuje...

– Strach?

– Raczej obawa... Chociaż może ma pan rację, to jednak strach. Być może wcześniej nie potrafiłem zdefiniować tego uczucia. Wie pan, ja zawsze wszystko musiałem mieć pod kontrolą. Każdy aspekt, termin realizacji... Teraz czuje się tak, jakbym na niewiele rzeczy miał wpływ. Może mnie to po prostu przerosło?

– Nie mnie to oceniać – odrzekł oschle Winnicki. – Ale terminu panu nie podam, bo go nie znam.

Cierzbicki spojrział uważnie na rozmówcę. Coś przemknęło przez jego twarz, jakiś skurcz, kolejne wahanie.

– Odnoszę wrażenie, że pan już to wie. Pan to rozgryzł, doktorze, prawda? – Oczy przemysłowca rozbłysły, jakby nagle zaczęła trawić go gorączka. – Zapewne odpowie pan teraz jak zwykle dyplomatycznie. Zbędnie mnie pan jakimś: „Być może”... Ale ja to czuję!

– Być może. – Winnicki odstawił pusty kieliszek na srebrną tackę podstawioną usłudze przez kelnera i zaopatrzył się w nowy.

– Doskonale! – Prezes wyprostował się, jakby z ramion spadł mu ogromny ciężar. – Miałem tyle momentów zwątpienia...

Winnicki z lubością przełknął wino, w którym wyczuł delikatną nutę wanilii. Dostrzegł w Cierzbickim zwykłego człowieka, który, zdaje się, rzeczywiście miał szczerą intencję. Chociaż wcześniej, musiał

przynależą przed samym sobą, w owe intencje wątpił. Pod płaszczkiem przesadnej uprzejmości przemysłowca szukał jakiejś zadry, fałszu.

– Dołączmy do naszych towarzyszy – odezwał się w końcu gospodarz. – Bo zaiste, będą mieli mi za złe, że zagarnęłam pana tylko dla siebie.

Doktor jeszcze przez jakiś czas brał udział w konwersacji, która wydawała mu się drogą przez mękę. Czuł nieustanne zniecierpliwienie, odwykł bowiem od rozmów w tak liczonym towarzystwie. Tego typu relacje wydawały mu się sztuczne i miałkie, skoro treść rozmów skupiała się na sprawach przyziemnych. Uczestniczył jednak w tym teatrze słów. Po części z ciekawości, po części z przymusu.

W końcu Cierzbicki wyczuł rosnące rozdrażnienie Winnickiego. I choć być może wziął je za efekt trudnego charakteru doktora, charakterystycznego dla naukowców jego pokroju, postanowił ulżyć jego cierpieniom.

Poinformował Winnickiego o czekającym paromobilu i wyprowadził gościa z sali.

Po raz kolejny przechodzili przez halę. Doktor był pewny, że istniały inne drogi wyjścia z budynku, jednak siła przyzwyczajenia prezesa musiała wziąć górę. Zapewne lubił przechodzić obok swoich zabawek, był z nich dumny.

Sam Winnicki, idąc wzdłuż wyłożonego żelaznymi sztabami chodnika, miał wrażenie, że przechadza się wśród szeregów wymarłej, mitycznej armii. Tej z zaświatów, a może z innych planet, cywilizacji. Im bardziej zbliżał się do wyjścia, tym większy czuł chłód z tyłu głowy. Lodowa obejmka wydawała się zaciskać, wywołując suchy trzask.

Doktor miał wrażenie, że jest obserwowany, nie potrafił jednak umiejscowić punktu, z którego ów obserwator mógłby się w niego wpatrywać.

Czuł, jakby jego obecność rejestrowały setki lśniących wizjerów umieszczonych na metalowych korpusach, a obraz dochodził do jednej zbiorczej świadomości, której istnienia nikt nigdy by się nie spodziewał.

1932 WSPOMNIENIA

W 1922 roku z maszyn wojennych wyprodukowanych w fabrykach kontrolowanych przez Cierzbickiego zdążyliśmy utworzyć jedną dywizję. Brakowało stali, przetapialiśmy więc wszystko, co się dało, żeby produkcja nie ucierpiała.

Szkolenie ludzi odbywało się w tajemnicy, mimo to nasi przeciwnicy dosyć szybko stworzyli jednostki podobne do naszych.

Straciliśmy efekt zaskoczenia.

Przez kolejne lata po każdej stronie konfliktu trwał wyścig zbrojeń. Przeciwnicy znajdowali sposoby neutralizacji naszych maszyn. Podobnie my, widząc kolejne stalowe potwory plujące ogniem w nasze umocnienia, tworzyliśmy inne maszyny, pozwalające zniszczyć wrogie jednostki. Front rozciągnął się do granic możliwości, a potem zamarł.

Osiągnęliśmy kilka lokalnych sukcesów, wygraliśmy wiele starć i bitew, jednak nie byliśmy w stanie przechylić szali zwycięstwa na naszą stronę, zwłaszcza gdy na zachodzie pojawił się nowy wróg.

Alianci zawiedli, choć trzeba było się z tym liczyć. Zostawili nas samym sobie. Niezyczliwość wielu krajów wobec naszego państwa przerodziła się w jawną wrogość. Niemcy, widząc dwuznaczne zachowanie mocarstw, poczuły się pewniej. Zaproponowali aliantom, że wystąpią przeciw bolszewikom w zamian za Wielkopolską i Pomorze, potem sami rozpoczęli tajne rokowania z władzami radzieckimi. To była dopiero zapowiedź walki na dwóch frontach, ale już w 1922 roku stała się ona faktem.

Do połowy lat dwudziestych utworzyliśmy kilka dywizji pancernych, które przemieszczały się wzdłuż granic, atakując wybrane cele. Nie liczyliśmy na ogromny sukces taktyczny, wciąż nie byliśmy w stanie wyprodukować wystarczającej liczby maszyn. Nasze działania miały jednak pokazać wrogom, że wciąż jesteśmy aktywni. Kolejne odważne manewry miały wprowadzić Niemców i Rosjan w błąd co do faktycznego stanu naszych zasobów ludzkich i liczebności maszyn pancernych.

W tym czasie zrozumiałem, że musimy znaleźć inny sposób na przewyciężenie impasu. Berlin i Moskwę musieliśmy pokonać innymi działaniami. Na szczęście wywiad zdołał przejść zaawansowany projekt naszych wrogów. Pociski interkontynentalne Wernhera von Brauna.

Po fiasku „Projekt Golem” doktora Winnickiego pozostaje mi wiara w projekt Waldorfięgo. Pociski kontynentalne dają nam szeroki wachlarz możliwości. Ocean nie będzie już przeszkodą, a nasze związki z sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi, się zacieśnią.

1932
WARSZAWA,
DOM WINNICKIEGO

Doktor pospiesznie rozprostował kartkę. Zdjęcie położył obok. Znów na nie spojrzął, ale jedynie przelotnie. Zdał sobie sprawę, że cała jego niecierpliwość i niepokój dotyczyły właśnie tej koperty, która spoczywała dotąd w kieszeni płaszcza.

Tekst skreślony był pospiesznie, pełen okrągłości i zawijasów.

Drogi Tato, chcę Cię uspokoić.

Od zawsze wiem, że się o mnie martwisz, i to cecha nie tyle nadopiekuńczego, co troskliwego rodzica.

Fantastycznie, że dotarliśmy na miejsce. Lecz czas mija prędko, dlatego kreślę te kilka szybkich słów, by zdążyć z dołączeniem listu do transportu.

A, na pewno więcej napiszę następnym razem. Gdy będziesz mógł, uściskaj ode mnie Manię i Marka. Nie martw się. Wierzę, że niedługo wszyscy znów się zobaczymy, w wolnej Polsce.

Staszek Doktor kilkukrotnie przeczytał ten krótki list. Staszek musiał pisać go w pośpiechu, wiadomości od niego cechowały zazwyczaj staranność w doborze słów i nienaganna stylistyka. Teraz było inaczej, co wręcz raziło.

Winnicki zamyślił się nad sensem słów syna. Czy rzeczywiście był tak troskliwym rodzicem? To prawda, że po śmierci Anny zmienił stosunek do dzieci. Może chciał odpokutować dawne grzechy. Wcześniej nie poświęcał pociechom zbyt wiele uwagi, pozostawiając żonie kwestię ich wychowania. Z czasem się zmienił, lecz ta przemiana odbyła się o wiele za późno – w chwili gdy przestał być dzieciom potrzebny.

Sięgnął po zdjęcie. Chciał jeszcze raz spojrzeć na syna.

Chłopak prezentował się w mundurze bardzo dobrze. Uśmiechnięty, pewny siebie. Dodał fotografię, wiedząc, że Winnicki zaraz oprawi ją w ramki i postawi na biurku w pracowni. Dodał...

Winnicki nie potrafił oderwać wzroku od zdjęcia. Zdaje się, że nawet nie mrugnął, bo poczuł, że oczy mu się zaszklily.

Znów ten niepokój, niezrozumiały strach.

Sierżant amerykańskiej armii, czarnoskóry oficer. Uśmiechnięty, z kciukiem uniesionym ku górze. Obok niego młodzi chłopcy w polskich mundurach. Staszek po prawej, jakby w cieniu. Ślad na jego policzku, szara smuga. A może tylko złudzenie?

Winnicki potrząsnął głową. Czego szukał? Coś nieustannie wzbudzało w nim niepokój. Ile czasu mieli na wywołanie zdjęcia? Kilkanaście godzin temu zostali przetrzuceni do Stanów, wspólna fotografia na amerykańskiej ziemi, skreślenie kilku słów. Potem powrót przesyłki.

Andrzej odłożył zdjęcie. Objął dłońmi głowę, przesunął palcami po wilgotnym czole.

Zbyt wiele myśli. Ze Staszkiem wszystko jest dobrze. Jeśli chciał mu jakoś pomóc, powinien zająć się tym, do czego się zobowiązał. Im szybciej skończy się wojna, tym szybciej wszyscy spotkają się... w wolnej Polsce.

WARSZAWA, BUDYNEK TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI

Rozmawiały o chłopakach. Zuza wciąż chichotała, widząc minę Marianny, a ta nie potrafiła ukryć rumieńców, które wykwitły na policzkach. Nie były to jednak rumieńce zawstydzenia, jak wydawało się koleżankom. Mierzyły ją infantylne rozmowy prowadzone przez przyjaciółki. Wciąż przy nich grała, udawała niedoświadczoną, delikatną osobkę, którą przecież nie była. Potraktowała to jako kolejne ćwiczenie aktorskie, które, jak się okazywało, wykonywała z powodzeniem.

Od rana segregowały z Zuzą dary, które miały być potem pakowane i wysyłane paczkami na front. Co jakiś czas do gmachu, w którym mieściło się Towarzystwo Dobroczynności, przychodzili darczyńcy. Przywozili koce, ciepłe swetry i konserwy. Ludzi dobrego serca nie brakowało, zresztą niejeden z nich miał bliskiego na froncie. Część z nich przyjeżdżała regularnie. Kilku kawalerów fatygowało się z ciężkimi paczkami tylko po to, by zobaczyć wolontariuszki przy pracy. Zuza i Stasia z atencją przyjmowały komplementy.

– Nie ma mojego Krzysia, czyżby o mnie zapomniał?

Dziewczyny zaśmiały się głośno. Marianna przewróciła oczami i zakleiła nową paczkę.

– A ty co taka dzisiaj cicha? Źle się czujesz?

– Po prostu jestem skupiona na pracy, a nie...

– A nie na chłopkach? – Zuza znów się zaśmiała, ale tym razem dyskretniej. – Może i masz rację, ale nie uwierzę, że ten, co ostatnio tutaj przychodzi, nie zrobił na tobie żadnego wrażenia...

– Nie wiem, o kim mówisz. – Marianna uniosła brwi, udając zdziwienie.

– Przecież wpatrzony w ciebie jak w obrazek... Juliusz? Tak ma na imię ten przystojniaczek?

Winnicka nie odpowiedziała. Udawała, że jest całkowicie pochłonięta zaklejaniem paczki.

– Może cię zaprosi na ciastko do kawiarni? Albo na spacer przy świetle księżycy? – Zuza uniosła oczy i westchnęła rozmarzona.

– Głupiaś, nasza Mari nie ma czasu na chłopaków... – Stasia ulitowała się nad przyjaciółką. – Przed nią wielka kariera filmowa! I dobrze, przynajmniej żaden jej w głowie nie zamieszka, tak jak tobie!

Nic o niej nie wiedziały. Zupełnie nic. A gdyby poznały jej myśli, nie odezwałyby się do niej do końca życia. Miała je za głupie kozy, smarkule, których jedynym zajęciem były rozmowy o pocałunkach i romantycznych dotknięciach dłoni przy świetle księżycy. Tak naprawdę nie wiedziały nic o mężczyznach. Ci, którzy tu przychodzili z darami, nie byli zainteresowani Zuzą czy Stasią. Wpatrywali się ukradkiem w milczącą, tajemniczą Mariannę i to o niej marzyli, nie mając śmiałości zagadnąć. Popisywali się, mieszały w głowach dziewczynom, pamiętając, by mówić na tyle głośno, by ich słowa docierały do prawdziwego adresata.

Mariannę to śmieszyło. Nie miała zamiaru rywalizować z koleżankami o względy tych chłopców. Widziała ich zacerowane koszule, zakurzone buty kryjące dziurawe skarpetki. Roztaczali woń spleśniałego sera, przed którą uciekała na koniec sali. Nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

Musiała wreszcie przestać grać, udawać kogoś, kim nigdy nie była. Wciąż przyjmowała rolę niewinnej dziewczynki.

Taką chciał ją widzieć ojciec i najbliższe otoczenie. One wszystkie, kobiety dorastające w czasie wojny, wydawały się jednakowe, jakby wykonane z jednej matrycy. Koniec z tym.

– Mari, a twoi bracia jak się mają? Kiedy wojna się skończy i wrócą już do Warszawy, to poznasz nas z nimi?

– Niedoczekanie wasze – powiedziała. Zabrzmiało to dosyć ostro, więc zaraz się zaśmiała.

Przeszył ją jednak chłód. Szczebiotanie przyjaciółek zeszło na plan dalszy. Pomyślała o Staszku i Marku. Bóg wie, co się z nimi działo. Wciąż żyła w przeświadczeniu, że żadna krzywda nie spotka jej rodziny, że

śmierć matki wystarczyła, by spłacić dług wobec Anioła Śmierci. Teraz jednak nie była pewna, czy zaklęcie rzeczywistości cokolwiek da. Miała chwile zwątpienia.

To Juliusz pomagał jej poradzić sobie z tym wszystkim. Uczucie pomiędzy nimi pojawiło się we właściwym momencie.

Dobrze, że powiedziała o nim ojcu. Wiedziała, że go zaskoczyła i w najbliższym czasie nie ominą jej dyskretne pytania o obiekt uczuć, nie miała jednak zamiaru nic przed nim ukrywać. Chciała ich poznać ze sobą. Wierzyła, że znajdą wspólny język. Byli do siebie bardzo podobni.

1932
WARSZAWA,
DOM WINNICKIEGO

Doktor był samotnikiem nieprzypadkowo. Tylko w odosobnieniu potrafił się skupić, odizolować od wszystkiego. Czas wydawał się wtedy rządzić innymi prawami i Winnicki często zdawał sobie sprawę dopiero nad ranem, że przesiedział nad projektem kilkanaście godzin. A czasem, tak jak w tej chwili, sekundy wydawały się rozciągać w nieskończoność. Echo tykania zegara rozbrzmiewało w czaszce, a spłoszone myśli ukrywały się w najciemniejszych zakamarkach umysłu.

Późnym wieczorem Olaf poinformował go o odwiedzinach Kotuli. Winnicki przerwał pracę, wyszedł z warsztatu i przyjął gościa w salonie. Sam nie do końca rozumiał, dlaczego obecność tego chłopaka sprawiła mu radość. Coś było w jego oczach, w zapale, który przebijał z postawy. Umysł młodzieńca wydawał się gąbką zachłannie chłonącą wiedzę.

Przez chwilę rozmawiali na neutralne tematy. W końcu Winnicki zapytał: - To jak? Pomoże mi pan w moim projekcie?

Zaskoczony Kotula odłożył filiżankę z niedopitą herbatą. Kąciki jego ust uniosły się ledwie zauważalnie.

- Ja... oczywiście, jeśli będę tylko w stanie, doktorze.

- Myślę, że się pan nadaje – skwitował krótko Winnicki.

Tym razem Kotula uśmiechnął się szerzej.

Opuścili gabinet i skierowali się do korytarza, a potem do drzwi prowadzących do piwnicy.

- To tutaj ma pan swój warsztat? Myślałem, że gdzieś na mieście, może nawet poza Warszawą? – W głosie Stefana pojawiło się autentyczne zdziwienie.

- Wielu tak myśli. – Winnicki wzruszył ramionami. – Wciąż opłacam dwa lokale, które kiedyś służyły mi za pracownię...

Być może przesadny środek ostrożności. Jednak w świetle ostatnich wydarzeń wydaje się jak najbardziej słuszny.

- Najciemniej pod latarnią – zauważył młodzieniec.

- Być może... – Winnickiego zastanowiły te słowa, nie ciągnął jednak wątku.

Otworzył drzwi do pracowni i zapalił światło na schodach. Poczul na sobie zdziwione spojrzenie Olafa stojącego w korytarzu i w tej chwili sam zdziwił się, że zaprasza do tego miejsca kogoś zupełnie obcego. Kotula wydawał się jednak człowiekiem godnym zaufania. Może szukam młodego umysłu, który mógłby nasiąknąć moimi ideami i któremu mógłbym przekazać swoją wiedzę, myślał doktor.

Kim będę teraz? Mistrzem Xaoo zapraszającym na wyspę Nipu? Czy może Halbanem, a ty młodym Konradem?

Kotula wstrzymał oddech, gdy zatrzymali się w ogromnym pomieszczeniu. Policzki miał zaczerwienione i jakby w malignie wodził spojrzeniem od jednego miejsca do drugiego. W końcu spojrzął na szare płótno, spod którego wystawały charakterystyczne wybrzuszenia.

- Pan ma... pan ma jednego z nich tutaj!

Winnicki nie odpowiedział. Z uśmiechem na twarzy, którego za nic nie potrafił się pozbyć, przeszedł na środek pracowni i pociągnął materiał. Poczul się jak na scenie w kulminacyjnym momencie sztuczki prestidigitatorskiej. Korpus Golema zalśnił w świetle żarówek, a Kotula niemal z nabożną czcią podszedł bliżej i patrzył oniemiały na to, co ukazało się jego oczom.

- To jest wspaniałe... – wydusił. – Doktorze!

- Niech pan opisz ten egzemplarz, który pan widział w Warsztatach... niech pan opisz różnice i podobieństwa.

Młodzieniec chyba nie spodziewał się tego pytania. Zmarszczył brwi, zastanawiając się głęboko.

Odpowiedział dopiero po chwili, starając się dobrze przypatrzeć leżącemu przed nim korpusowi.

- Tamten... – Wypuścił powietrze, jakby zbyt długo wcześniej je wstrzymywał. – Tamten był, zdaje się, większy.

- Niech pan kontynuuje...

- Bryła podobna... To znaczy głowa w podobny sposób skonstruowana, nisko osadzona na górnej części korpusu.

Jednak sama konstrukcja wydawała się bardziej prymitywna.

- Coś więcej?

- Elementy skretne... nie zdążyłem się aż tak dokładnie przypatrzeć.

- Niech pan mówi to, co pan pamięta.

- Nachodzące na siebie stalowe płyty. Tamten przypominał walec i był pewnie nieco większy...

- Rozumiem. – Winnicki skinął głową, jakby odpowiedź Kotuli wcale go nie zdziwiła, a może nawet jakby się jej spodziewał. – Kwestia rozmiaru zawsze będzie ważna, nie uważa pan?

Stefan zaśmiał się cicho. Wciąż nie mógł oderwać wzroku od Golema. Nagle pochylił się i przyjrzał jej uważniej.

- To jest metaloszkielec... operator w tym egzemplarzu powinien być w środku?

- Może... choć nie musi. – Andrzej z wysiłkiem uniósł pokrywę klatki piersiowej Golema i odsłonił jego wnętrze. – Początkowo łatwiej było umieścić w środku operatora, który ruchami własnych kończyn wprawiał maszynę w ruch.

Sprowadzało się to do stworzenia silnego, zdolnego przenosić ogromne ciężary twor. Takiego prawdziwego, jak go określał Karel Čapek, robota, który mógłby wykonać pracę kilkunastu ludzi, a nawet niektórych maszyn. W założeniu zresztą ten mój wynalazek do tego miał służyć.

- Koncepcja zmieniła się wraz z zaangażowaniem rządu i wojska.

- Tak, to już pan wie. – Doktor odblokował kolejne pokrywy, ukazując mechanizm kończyn. – Jedno na szczęście nie wykluczyło drugiego.

- Czy ten metaloszkielec... czy on działa?

Winnicki zawahał się, co nie uszło uwadze młodzieńca.

- Tę jednostkę jest w stanie obsługiwać operator, tak... jednak jej możliwości ograniczają się do możliwości człowieka.

To znaczy, oczywiście, w niektórych działaniach pomnożonych przez dziesięć. Golem będzie poruszał się w ten sam sposób co operator. Owszem, będzie w stanie unieść i przenieść ogromne ciężary. Jednak tak jak my sami zostaliśmy uzależnieni od siły i żywotności naszych organów, tak takim „organem” dla metaloszkielec będzie pasożyt w jego wnętrzu, czyli człowiek. I wszystkie jego ułomności i słabości. Jak szybko potrafi się pan poruszać? Sto metrów, biegł pan kiedyś na czas?

- Trzyście sekund...

- Całkiem niezłe. – Winnicki skinął głową z uznaniem. – Jeśli zdecydowałby się pan przebiec te sto metrów w metaloszkielecie, być może doszedłby pan do tego samego wyniku, choć śmiem w to wątpić... Operator, bez względu na to, jak sprawny fizycznie, byłby ograniczeniem dla tego cudeńka. Tylko jeden „mięsień” jest w stanie nadać nowego wymiaru tej maszynie.

- Mózg...

- Tak. Mózg daje nam przewagę i wielkie możliwości. Zaprzęgnięty na potrzeby Golema otwiera nam zupełnie nowy świat. Operator może zostać podłączony do niego za pomocą elektrod przesyłających impulsy z mózgu. Odpowiednie zaprogramowanie maszyny pozwoli na pełne wykorzystanie jej możliwości. Mówiąc krótko, wystarczy impuls myślowy: biegnij, i Golem pokona owe sto metrów w tempie, na jakie pozwoli mu jego własne tworzywo. Jedynym ograniczeniem będzie wytrzymałość stali, baterii, giętkość przegubów. Tym ograniczeniem nie będzie już człowiek.

- Fale radiowe? – Policzki Kotuli wciąż były zaczerwienione, a oddech przyspieszony. – Operator na zewnątrz, impulsy przesyłane do odbiornika, który przetwarza...

- To najlepsze wyjście, zwłaszcza zważywszy na słabość naszego ciała. Metaloszkielec podczas walki może być poddany ekstremalnym warunkom. Człowiek w środku może po prostu nie przeżyć ewentualnej

konfrontacji i wciąż być jedynie balastem.

- W tym egzemplarzu jednak operator jest wewnątrz korpusu.

- Ten egzemplarz nie miał służyć armii, tylko społeczeństwu.

- Poruszanie Golemem zdalnie, za pomocą umysłu, jest czymś niewyobrażalnym, doktorze. Ale żeby sterować armią mechanicznych żołnierzy, potrzeba wielu operatorów.

- Niekoniecznie. Mózg ludzki jest niesamowity, młody człowieku. To niepowtarzalne centrum dowodzenia, steruje wszelkimi procesami w organizmie, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy. Po połączeniu z maszyną, szeregiem maszyn, mózg zwiększy swoją wrażliwość, zaadaptuje się do nowego wyzwania. Tym sposobem jeden właściwie przeszkolony operator będzie mógł sterować równocześnie kilkunastoma, a może nawet kilkuset Golemami.

- Gdyby nie fusy. - Kotula westchnął głośno. - Czy jest pan w stanie uporać się z zakłóceniami w przesyle impulsów?

W pracowni zapanowało milczenie. Winnicki znów się zawahał. Podjął jednak decyzję już wcześniej. Popatrzył na Kotulę i dopowiedział po chwili: - Tak, wiem, co zrobić, by pozbyć się zakłóceń.

- Więc do czego w ogóle jestem panu potrzebny, doktorze?

- Pomoże mi pan wybrać operatora. Będziemy potrzebowali kilku dni na testy. Na razie więcej panu nie powiem. Obaj musimy uzbroić się w cierpliwość.

1932 BRESLAU, JAHRHUNDERTHALLE

Noc była ciepła, choć wilgotna. Co prawda nad ranem pojawił się przymrozek, ale Marek nawet go nie odczuł. Jeszcze o świcie opuścił barak i wyszedł nad brzeg Odry. Woda płynęła leniwym nurtem. Kilka osad kajakowych odbywało trening przy przeciwnym brzegu. Nawet tutaj Blizna zauważył różnice. Gdy wychodził nad Wisłę, widział spławiane w dół rzeki bale drewna, tratwy i pociągi rzeczne, złożone z barek i holowników. Obserwując ich wędrówkę, często miał wrażenie, że rzeka pozostała zupełnie oddzielona od Warszawy. Tutaj natomiast Odra wydawała się integralną częścią miasta.

Breslau powoli budził się do życia. Młody porucznik przypomniał sobie sen. Widział w nim matkę. Ucieszył się, że ją zobaczył, próbował do niej podejść, wciąż ją o coś pytał. Stała jednak nieruchoma i milcząca. Nie potrafił zinterpretować tej bolesnej wizji.

Spojrzał na Kaiserbrücke. Kilkadziesiąt metrów nad nim sunęły sterowce. Na statecznikach miały oznaczenie, które widział już kilkakrotnie: połamany krzyż na białym tle. Aerodynamiczny kropłowy kształt, niewiele krótszy od Titanica.

Jeden z nich zbaczał w stronę archikatedry na Dominsel. Z perspektywy brzegu wydawało się, że strzeliste iglice przebijały poszycie kadłuba. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Blizna był głodny, chciało mu się też pić, lecz nie zamierzał ryzykować. Miał przy sobie dokumenty zabitego Niemca, ale liczył na to, że nie będzie legitymowany. Postanowił, że pojedzie motocyklem jak najbliżej Jahrhunderthalle i tam zastanowi się, co robić dalej.

Wyciągnął maszynę na drogę i odpalił. Wkrótce znalazł się na szerokiej Tiergartenstrasse. Ludzi w tym miejscu było sporo, wielu czekało na tramwaj, inni szli piechotą w tę samą stronę, w którą zmierzał porucznik. Po chwili Marek wyminął klinikę, przejechał most i znalazł się w pobliżu ogrodu zoologicznego.

Mimo wczesnej pory przed ogrodem ustawilo się sporo ludzi. Wielu stało na chodnikach, patrząc w stronę ogromnej bryły Hali Stulecia. Winnicki musiał zwolnić. Znalazł się na wprost kordonu wojskowego. Z pak transporterów wyskakowali żołnierze, ustawiając się w karnym porządku. Na wprost Marka pojawił się nagle Niemiec kierujący ruchem. Jemu i kilku innym kierowcom wskazał objazd, którym mieli się udać.

Zanim porucznik odjechał od hali, dostrzegł przy punkcie kontrolnym przedstawicieli prasy i reporterów z aparatami fotograficznymi. Wszyscy patrzyli w górę. Dopiero po chwili, wyjeżdżając z tłoku, odważył się uczynić podobnie. Uniósł głowę i popatrzył niczym zahipnotyzowany na wznoszący się coraz wyżej podłużny, lśniący kształt.

„Gwiazda Polski” wzbijała się majestatycznie w powietrze. Blizna zrozumiał, że bez względu na to, jaki plan mieli Niemcy, właśnie został wcielony w życie.

Zaparkował w parku, w sporej odległości od Jahrhunderthalle. Nie chciał, żeby ktoś się zainteresował, dlatego porzucił maszynę. Potem ruszył do widocznego w oddali gmachu. Kilkunastu żołnierzy patrolowało teren wokół bocznych pawilonów i przy pergoli, jednak nikt go nie zatrzymał.

Sama hala została otoczona metalowym płotem, na którego szczycie rozciągnięto kolczasty drut. Za ogrodzeniem przemieszczały się liczne patrole. Marek zaobserwował kilka wejść do gmachu głównego, ale przy każdym z nich utworzono posterunek.

Uznał sprawę za beznadziejną. Zastanawiał się, co teraz powinien zrobić. Nie miał wątpliwości, że wewnątrz strzeżonej hali dzieje się coś, co powinien sprawdzić. Nie miał jednak pomysłu na to, jak dostać się do środka. Widział kilku ludzi w białych kitlach, zapewne naukowców. Najprawdopodobniej to oni wypuścili wcześniej balon stratosferyczny. Teraz weszli w asyście ochrony do wnętrza żelbetowego kolosa.

Zniknął z oczu. Zaszyć się w bezpiecznym miejscu i próbować szczęścia nocą. Tylko takie rozwiązanie

przychodziło mu do głowy. Niestety, Marek wiedział, że z każdą chwilą ryzyko, iż strażnicy zainteresują się ciekawskim maruderem, wzrasta.

Postanowił wrócić po motocykl. Znów przeszedł obok pawilonów. Przy jednym z nich jego uwagę zwrócił kolejny mężczyzna w białym fartuchu. Na nosie miał ogromne okulary. Porucznik podjął decyzję – postanowił zaryzykować.

Ruszył w jego stronę.

– Kto jest odpowiedzialny za dostarczanie zaopatrzenia do hali? – zapytał, marszcząc brwi.

– Stephen... – W pierwszej chwili mężczyzna wyprostował się odruchowo na widok munduru, ale po chwili spojrział ze zdziwieniem na Winnickiego. – A dlaczego pan pyta?

– Jutro przyjeżdżają z Berlina z aparaturą. Muszę wiedzieć, kto zajmuje się logistyką, żeby nie tracić czasu...

– Stephen Moltke. – Mężczyzna skinął głową. Widać bluff Marka okazał się strzałem w dziesiątkę. – Dzisiaj go nie ma, ale z samego rana znajdzie go pan tutaj, w pawilonie.

– Dobrze, panie... – Winnicki zmarszczył brwi, spoglądając groźnie na mężczyznę. – Proszę się wylegitymować. Ma pan przepustkę?

– Oczywiście. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni fartucha. Wyciągnął książeczkę i otworzył, tak by pytający zobaczył szereg pieczętek i zdjęć. – Robert, Robert Szmidt.

– W porządku. – Blizna skinął głową. – Jutro chcę porozmawiać z tym Moltkem. Gdybym go nie znalazł, sam się do pana zgłoszę.

– Tak. Oczywiście. – Niemiec wciąż stał wyprostowany, wyglądał na skorego do pomocy.

– Jak dzisiejsze przygotowania? – Blizna postanowił pójść za ciosem. Miał nadzieję, że wyciągnie przy okazji bardziej wartościowe informacje.

– Bez przeszkód. Wszystko będzie gotowe na jutrzejsze przemówienie kanclerza!

– Świetnie. – Marek poczuł lodowaty chłód, mimo to nie wyszedł z roli. – Wygląda pan na rozsądnego człowieka. Oby jutro wszystko było związane na ostatni guzik!

– Tak jest. – Chłopak uśmiechnął się, poczuł się doceniony. Nagle uniósł dłoń i krzyknął: – *Heil Hitler!*

Blizna nie odwzajemnił pozdrowienia. Spojrział surowo na chłopaka, skinął głową, jakby uznał sprawę za załatwioną, i oddalił się w stronę Tiergartenstrasse. W jego żołądku wciąż tkwił sopel lodu. Zdawał sobie sprawę z rosnącej władzy kanclerza Rzeszy. Słyszał, że człowiek ten jest ogarnięty żądzą władzy, potrafi porywać za sobą tłumy i nie cofnie się przed niczym. Z Hitlerem u sterów w Niemczech wojna nie zostanie zakończona, przeciwnie – Hitler zrobi wszystko, by zniszczyć Polskę. Najgorsze było to, że inni zdawali się nie rozumieć, że na tym pewnie nie poprzestanie.

Młody porucznik analizował informacje. Jutrzejszy przyjazd kanclerza do Breslau i przemówienie w Jahrhunderthalle musiało być jakoś powiązane z ostatnimi wydarzeniami.

Skręcił w boczną uliczkę, obchodząc halę. Ruszył do parku. Słumił niepokój i odegnał złe przecucia. Nie było czasu na domysły. Teraz należało działać, dowiedzieć się jak najwięcej. Wypuszczenie balonu stratosferycznego musiało mieć jakiś cel. Co zamierzał ogłosić jutro Hitler?

Przepustka Szmidta. Blizna wiedział, że musi zrobić wszystko, by ją zdobyć.

1932
WARSZAWA,
DOM WINNICKIEGO

Tej nocy doktor nie zmrzął oka. Większość czasu spędził w pracowni, próbując zająć czymś myśli, a przede wszystkim przygotowując się do planowanych testów.

Doczekał do godzin porannych i w końcu zdecydował się na telefon do Sieniawy. Musiał go poinformować o swoich planach, nawet jeśli zamierzał utrzymać przed nim w tajemnicy sposób doboru operatora. Pozostała mu jedynie satysfakcja, że Sieniawa bez względu na ewentualne obiekcje będzie musiał przychylić się do jego prośby.

Nadkomisarz odebrał telefon po kilku sygnałach.

– Nie dzwoniłeś na mój domowy numer od wielu lat, Andrzej.

– Nie było cię w biurze, a wcześniej nie miałem takiej potrzeby...

- Jakaż więc potrzeba spowodowała, że teraz się na to zdecydowałeś?

- Wiesz o moim spotkaniu z Cierzbickim.

- Wiem.

– Podobno do ciebie mam się zwracać z zapotrzebowaniem?

– Podobno... – Sieniawa, zdaje się, chciał żartować, ale szybko zrezygnował. – Czego potrzebujesz?

– Szukam operatora do Golema. Muszę poddać testowi kilka tysięcy osób.

- Zwariowałeś?

- Jutro.

- Winnicki, powtórzę: oszalałeś?

Doktor nie odpowiedział. Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko przyspieszony oddech śledczego.

– Wojskowi – wychrypiął nadkomisarz.

– Dokładnie. Nie straciłeś polotu – potwierdził Andrzej. – Wystarczą dwie minuty na jednego testowanego. Wszystko musi się odbyć sprawnie.

– Gdzie chcesz przeprowadzić testy? Najlepiej chyba w koszarach.

Winnicki rzeczywiście rozważał to rozwiązanie, porzucił je jednak z kilku powodów. Nie potrafiłby się tam skupić, jego myśli wciąż krążyłyby wokół Staszka, podejrzewał także, że żołnierze na „swoim terenie” byłiby za bardzo rozluźnieni.

– Myślałem o Politechnice. Wyniki będą bardziej obiektywne w neutralnym środowisku.

– Neutralnym... – powtórzył z powątpiewaniem Sieniawa. – Gabinet Waldorfięgo?

– Nie. Na tym samym piętrze miałem kiedyś swój gabinet. Tam przeprowadzę badania.

- Andrzej...

– Tak? – Winnicki zwalczył odruch, by odłożyć słuchawkę.

– Żałuję...

– Czego żałujesz?

– Kiedyś rozmawialiśmy przez telefon często, pamiętasz? Testowaliśmy ten cud techniki, nie mogąc się nadziwić, że możemy rozmawiać ze sobą, wymieniać na odległość myśli w tak naturalny sposób. –

Sieniawa nie doczekał się odpowiedzi, więc kontynuował: – Żartowałeś, że musisz przedłużać kabel, by móc rozmawiać swobodnie i pracować w tym samym czasie, a nawet że pochylił się nad problemem telefonu bezprzewodowego. Jak bardzo śmiesznie by to brzmiało, wierzyłem, że jeśli zechcesz, wystarczy ci chwila, by to zagadnienie rozwiązać. A potem zamilkłeś.

– Zabrzmiało to jak wyrzuty – zakpił Winnicki. – Jak rozmowa byłych kochanków.

Tym razem Sieniawa zamilkł, zawahał się. Gdy znów się odezwał, głos mu lekko zdrzął: - Andrzej, ja...

– Daj spokój. Przecież żartowałem.

Doktor zacisnął pięści. O dziwo szybko się opanował. Chciał jedynie czym prędzej skończyć rozmowę.
– Pamiętaj, Politechnika. Wyślij do mnie wszystkich z jednostki. Logistykę zostawiam na twoich barkach. Do jutra.
Punkt ósma.

1930 WSPOMNIENIA

Podjechaliśmy do jednej z fabryk nowym paromobilem, którym prezes Cierzbicki najwyraźniej chciał na mnie zrobić wrażenie. Rzeczywiście, komfort jazdy był nieporównywalny z pierwszymi prototypami, jakimi dane mi było podróżować.

Większe wrażenie zrobiła na mnie jednak fabryka, do której zmierzaliśmy.

W pierwszej chwili w oparach dymu nie byłem w stanie dostrzec zabudowań fabrycznych, lecz wkrótce kanciaste linie budynków wyłoniły się z brunatnej zawiesiny niczym klify zaginionego kontynentu. Poczułem na przedramionach gęsią skórę. Byłem świadom, że Cierzbicki mnie obserwuje; wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie i trudno mu było ukryć podniecenie.

– Naczelniku, fabryki pracują pełną parą. Wprowadziliśmy systemy trzymianowe, działamy całą dobę, siedem dni w tygodniu.

– To jednak wciąż nie wystarcza, by zapewnić wystarczającą liczbę machin wojennych.

– To prawda, brakuje surowców, a fabryki nie nadążają z zamówieniami.

Przypatrzyłem się uważnie prezesowi Lewiatana. Nigdy żadne moje pytanie nie spowodowało u niego zmieszania lub niepewności. Jednocześnie wciąż pozostawał szczery w swych wypowiedziach.

– Generał Rozwadowski raportował o usterkach w machinach, które dopiero co zjechały z linii produkcyjnych...

– Naczelniku, nowe maszyny są w przeważającej części prototypami. Stosujemy coraz więcej nowych rozwiązań, których nie mamy czasu przetestować inaczej, jak tylko bezpośrednio na polu walki. Na szczęście usterki są szybko likwidowane przez naszych inżynierów i mechaników, którzy towarzyszą Pierwszej Zmechanizowanej Dywizji Pancерnej.

Rozpoczął się wyścig zbrojeń, który wymusza na nas takie, a nie inne działania. Niemcy i Rosjanie wciąż wysyłają na front nowy sprzęt, który ulega poważnym usterkom częściej niż nasz. Mamy przewagę nad wrogami, lecz nie wiadomo, jak długo to potrwa. Proszę też pamiętać, że co jakiś czas jesteśmy zmuszeni przedstawiać naszą produkcję. Zamiast maszyn bojowych produkujemy wtedy maszyny rolnicze. W zeszłym tygodniu wysłaliśmy ponad sto kombajnów do naszych spichlerzy, na wschodnie tereny Rzeczypospolitej i na Ukrainę.

Skinąłem głową, zgadzając się z jego argumentacją. Takie działanie było wymuszone koniecznością. Jeśli nie zadbalibyśmy o odpowiednią aprowizację, kraj ogarnąłby głód. Nie mieliśmy wyboru. Starając się zachować chwiejną równowagę, robiliśmy to kosztem sukcesów na froncie. Nie byliśmy w stanie przełamać niemocy, która ogarnęła nas w walkach z Niemcami i Rosjanami. Na szczęście i nasi przeciwnicy borykali się z podobnymi problemami.

Weszliśmy do jednego z budynków. Woń stali i smaru wypełniała ogromną przestrzeń niedoświetlonej hali. Nie słychać było gwaru rozmów, a jedynie stukot maszyn, charakterystyczne odgłosy cięcia, spawania i szlifowania. Ten ciągły ruch fascynował. Poszczególne elementy stalowych konstrukcji łączyły się, przesuwały. Wydawało się, że zespolą się w gigantyczny twór, który wypełni pomieszczenie, a potem rozprzestrzeni się na zewnątrz. Było w tym coś pięknego i zatrważającego jednocześnie. Miałem wrażenie, że świat, który znam, przemija, że zastępuje go oto nowa rzeczywistość, której nigdy nie pojmę i w której nigdy się nie odnajdę. Przyszłość zimna i twarda niczym stal, taka, w której nie będzie już miejsca dla ludzi.

– Wojna trwa, choć wydaje się, że brakuje nam tak niewiele, by przechylić szalę zwycięstwa na naszą korzyść...

– To prawda, panie Cierzbicki – odezwałem się po dłuższej chwili, nareszcie otrząsnąwszy się z przytłaczających myśli. – Status quo, które osiągnęliśmy, prowadzić może na dłuższą metę tylko do wyniszczenia. Inwestujemy wszystkie pieniądze w każdy projekt badawczy mający szansę na przeważenie

szali.

– W tym wypadku nie możemy się wahać, czas gra na naszą niekorzyść. Wierzę, że uzyskamy przewagę i nastąpi przełom, który da nam zwycięstwo. Naczelniku.

– Być może szybciej, niż pan myśli... – odpowiedziałem powoli. – Musicie dawać z siebie wszystko. W tym czasie chciałbym, żeby pańskie fabryki przeznaczyły część swoich mocy wytwórczych dla innego projektu, który wprowadzać będziemy w życie z profesorem Waldorfim.

– O czym pan mówi, Naczelniku?

– Dowie się pan tego w swoim czasie.

Cierzbicki otworzył szeroko usta, nic jednak nie powiedział, nawet jeśli poczuł się dotknięty brakiem zaufania w tej kwestii. Skłonił jedynie głowę, jakby godząc się na wszystko.

1932 WARSZAWA, WILANÓW

Doktor umówił się z córką w parku wilanowskim. Swego czasu chodził tam z żoną na piechotę aż z Warszawy. Kilka kilometrów marszu uznawał za zbawienne nie tylko dla ciała, ale i dla duszy. Wtedy też rozmawiał z Anną, mieli czas na chwilę wytchnienia i odprężenia. W tych wędrówkach często towarzyszyły im dzieci. Marianna i Staszek dokazywali jak młode źrebaki, gdy tymczasem Marek szedł wyprostowany jak struna; dumny, pewny swego gimnazjalista.

Na tamto wspomnienie Winnicki poczuł ukłucie w sercu. Wszystko się zmieniało, a los ich nie oszczędził. Zabrakło Anny, nie wiedział, co dzieje się z synami. Pozostała mu tylko ona, córka, którą musiał strzec jak oka w głowie, chronić niczym najdrogocenniejszego skarbu. Choć pewnie gdyby podzielił się z nią swoimi obawami, roześmiałyby się. Ta krucha ciałem, choć silna duchem osóbką udowodniłaby mu, że to ojciec potrzebuje większej uwagi i troski niż ona.

Andrzej usiadł na ławce. Obok niego przeszedł mężczyzna pchający dystrybutor z wodą sodową. Z wózka dobiegały dźwięki muzyki, nostalgiczna pieśń żołnierska, która wciąż powtarzała się w programach radiowych. Winnicki popatrzył na pałac, który niezmiennie urzekał go swoją architekturą. Połączenie stylu europejskiego i staropolskiego, kombinacja, która wydawałaby się nietrafiona, w tym wypadku zdała egzamin. Polska miała wiele do zaoferowania nie tylko w dziedzinie architektury. Winnicki wierzył, że kiedyś potencjał tego kraju zostanie wykorzystany.

Wystawił twarz do słońca i przymknął oczy. Ciepłe promienie łaskotały powieki, delikatny wiatr musnął policzki.

Winnicki mimowolnie się uśmiechnął. Znow poczuł się tak jak kiedyś, kilka, a może kilkanaście lat temu. Jakby czas nie był przeszkodą, a wpływające lata nie miały znaczenia. Wydało mu się przez tę krótką chwilę, że wystarczy mały wysiłek woli, by po otwarciu oczu wszystko było jak dawniej. By powrócił tamten obraz: Marek ze swoim szkicownikiem na trawie, Anna przygotowująca piknik i Staszek z Marianną w trakcie jednej ze swoich rozbójniczych przygód.

Dotarł do niego dźwięk – dźwięczny śmiech, który przyprawił go o mrowienie i natchnął jakąś irracjonalną nadzieją, że oto się spełniło. Otworzył oczy i rzeczywistość jakby uderzyła go w twarz. Wyschła, zaniedbana trawa, wybujałe krzaki ze złotymi plamami umierających liści i pustka.

W końcu, w oddali, dostrzegł Mariannę. Pomachała mu. Uniósł dłoń w odpowiedzi. Niepewnie, bardziej jakby zgłaszał jakąś pretensję światu, niż żeby się przywitać. Próbował wstać, ale nogi nie chciały go słuchać.

Marianna na szczęście szybko podeszła do ławki i usiadła obok niego. Nachyliła się i ucałowała ojca w policzek.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, tato – powiedziała i zaśmiała się zupełnie jak jej matka.

– Coś ty – zmieszał się. Popatrzył na córkę. Od razu zauważył jakąś miękkość jej rysów i błysk w oczach. – Ty za to wyglądasz na szczęśliwą, córeczko.

– Chyba jestem – odpowiedziała, wystawiając zupełnie jak on szczupłą twarz do słońca. Zmrużyła oczy, co doktor wykorzystał, by przyjrzeć się jej bez skrępowania.

– Masz mi coś ważnego do powiedzenia, tato? – zapytała nagle.

Zawahał się i odparł z przesadną ostrożnością: – Chciałem po prostu spotkać się z córką...

– Zawsze tak powtarzasz – skarciła go pobłaźliwie, na co mógł się tylko uśmiechnąć. W głębi duszy jednak odczuł smutek.

Marianna miała rację. Rzadko spotykał się z nią dla zwykłej rozmowy, spaceru, dowiedzenia się, co porabia czy jak sobie radzi. Jego prośby o spotkanie zawsze miały ukryty cel.

– Mam list od Staszka... właściwie liścik, zaledwie kilka zdań.

– Pokaż! – Aż podskoczyła na ławce. Zdjęła koronkowe rękawiczki i przejęła karteczkę. – Krótko... – Oczywiście niecierpliwie przebiegły tekst raz i drugi. – Pewnie nie miał czasu.

Winnicki obserwował tę zmianę nastrojów córki z przygnębieniem. Od euforii przez zaskoczenie po zawód, a w końcu do smutku. Wydawało się, że jej twarz na moment stężała, brwi zbiegły się ku sobie. Wzięła głęboki oddech, zamierzając coś powiedzieć, ale w końcu zrezygnowała. Oddała wiadomość i zapatrzyła się na odległą alejkę, jakby tylko tam mogła znaleźć odpowiedź na dręczące ją pytania.

– Co się stało?

– Nie, nic, tato. Nic...

Doktor zwalczył odruch, który kazał mu przytulić córkę. Wiedział, że tego nie lubi, zresztą nigdy nie rozpieszczał jej okazywaniem uczuć. Był dla niej powściągliwy i surowy. Teraz tego żałował.

– A co z Markiem? Nie mam wieści... boję się o niego.

Winnicki zadrżał. Powrót lata na te kilka dni był zwodniczy, zimno atakowało z ukrycia, przenikało niewidzialnymi szparami w ubraniu.

– Marek...

Do ostatniej chwili doktor walczył ze sobą. W końcu podjął decyzję. Uważał, że Marianna ma już wystarczająco dużo zmartwień. Myśl o Marku, który tuła się gdzieś za linią frontu, mogła być dla niej nie do zniesienia.

– Marek na pewno daje sobie radę.

– Sprawdź, tato, popytaj o niego... mam złe przeczucia.

– Będzie dobrze – odpowiedział mechanicznie przez zaciśnięte szczęki.

– Zimno, za lekko się ubrałam. Przejdźmy się...

Winnicki z trudem wstał. Podał dłoń córce. A potem, wahając się tylko przez sekundę, objął ją ramieniem.

Nie stawiała oporu, choć panny w jej wieku często były zawstydzone okazywaniem uczuć rodzicom w miejscach publicznych. Ona jednak swobodnie oparła czoło na jego ramieniu i westchnęła cicho.

Nie znał jej uczuć, nie znał jej lęków. Nie wiedział, jak bardzo przeżywała śmierć matki, wybory braci. Nic o niej nie wiedział, była dla niego zagadką, której nigdy nie potrafił zgłębić. Najgorsza była świadomość, że wszystko to stało się na jego własne życzenie.

– Będzie dobrze – powtórzyła.

Andrzej poczuł ulgę. Ucałował Mariannę w czoło. A potem razem, pod ramię, ruszyli alejką w stronę Warszawy.

– Mówiłam ci o Juliuszu, tato... Polubiłbyś go.

Dziewczyna spojrzała na niego ukradkiem, a doktor zastanawiał się, co może wyczytać z jego miny i co sam powinien teraz zrobić. Uśmiechnąć się? Przybrać surowy wyraz twarzy? A może jak zawsze jedynie mruknąć coś z roztargnieniem?

Pewnie nie miałyby mu za złe, gdyby puścił wszystko mimo uszu.

– Kim jest ten... młodzieniec?

Zawahała się.

Winnicki poczuł ukłucie zazdrości, takie, które w mniejszym lub większym stopniu przeżywa każdy ojciec.

– Polubiłbyś go... Jest mądrym i inteligentnym człowiekiem. Lubię z nim rozmawiać i czuję się przy nim... czuję się... Po prostu wydaje mi się, że przy nim jestem sobą, tato.

Skinął głową. Uznał, że w jej słowach wciąż słyhać dużą niepewność. Najchętniej zadałby jej teraz wiele pytań, ale skarcił się w myślach za ten pomysł.

– Chciałabym, żebyś go poznał.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wy dobył z siebie nawet słowa.

– Tato? Zgadzasz się?

– Oczywiście!

Widział, jaką odczuła ulgę. Zaśmiała się i nagle jakby ciężar spadł jej z serca. Doktor przytulił córkę. Ufał jej intuicji, ufał, że wybrała dobrze i w końcu znajdzie w sobie siłę i pewność, jaką drogą chce

kroczyć.

1932
WARSZAWA,
DOM WINNICKIEGO

Po powrocie do domu Winnicki nawet nie pomyślał o alkoholu. Zdał sobie sprawę, że zupełnie nie odczuwa potrzeby, by się napić. Skupił się na pracy.

Przygotował maszynę impulsową, kalibrując ją tak, by była w stanie wychwycić najslabsze anomalie. Musiał mieć pewność, że sprzęt go nie zawiedzie. Nie mógł pozwolić sobie na to, by spośród setek, a może tysięcy badanych mężczyzn przegapić tego, który miał poszukiwane zdolności.

Wszystko wydawało się dopięte na ostatni guzik. Doktor z zadowoleniem poklepał obudowę maszyny. Usiadł w fotelu, starając się ułożyć w myślach plan testów na kolejny dzień.

Szansę na odnalezienie właściwego operatora były znikome, nie mieli jednak wyboru. Nawet w sceptycznie nastawionym Winnickim tliła się iskierka nadziei.

Do uszu doktora doszedł odgłos dzwonka u drzwi wejściowych, a potem ciężkie kroki Olafa na skrzypiącej podłodze korytarza. Odruchowo spojrzął na zegarek – było już grubo po dwudziestej. Nie spodziewał się o tej porze gościa. Przyszło mu do głowy, że być może jest to Kotula. Nie dziwił się chłopakowi – pewnie nie potrafił usiedzieć w domu na myśl o jutrzejszych testach. Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich lokaj.

– Doktorze, ma pan gościa. Pani, która nie chciała się przedstawić, nalega na spotkanie. Mówi, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– A ty jej uwierzyłeś? – Winnicki skrzywił się. Widząc jednak zdziwiony wyraz twarzy lokaja, potrząsnął tylko głową.

– Mam powiedzieć, że jest pan zajęty?

– Nie... Sam to zrobię.

Andrzej ciężko podniósł się z fotela. Wyminął Olafa i ruszył w stronę korytarza. Przy drzwiach wejściowych zobaczył Anastazję. Miała zaczerwienione od mrozu nos i policzki, jednak w długiej sukni okrytej srebrnym płaszczykiem wyglądała ponętnie. Uniosła dłoń, zanim doktor zdążył się odezwać.

– Musisz mnie wysłuchać, Andrzej. Wiem, że jesteś teraz bardzo zajęty. Ale ta sprawa nie może czekać.

– Czy przejąc od pani płaszcz? – zapytał Olaf.

– Nie trzeba. – Anastazja potrząsnęła głową. – Proszę za to podać płaszcz doktorowi Winnickiemu. Wybiera się ze mną w odwiedziny do starego znajomego.

Andrzej zaśmiał się mimowolnie. Popatrzył na lokaja, któremu nie zadrżała nawet powieka.

– Chyba nie wypada odmawiać damie, gdy grzecznie prosi.

– Tak jest, proszę pana – powiedział Olaf, skłaniając nisko głowę.

Kilka minut później Winnicki siedział w kabinie paromobilu. Anastazja ujęła go pod ramię i nachylając się w jego stronę, pocałowała w policzek.

– Dziękuję. Dziękuję, że zgodziłeś się pojechać ze mną do Ossowieckiego.

– Nie rozumiem. Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Inżynier... On powiedział, że musi z tobą porozmawiać. Niezwłocznie. Na temat tych wydarzeń, które w najbliższym czasie będą miały miejsce.

– Dlaczego sam mnie nie odwiedził?

– Wiedział, że go nie wpuścisz.

– No tak... jasnowidz musiał to przewidzieć.

– Nie żartuj sobie z niego.

– Wcale nie żartuję. Miał rację, nie wpuściłbym go do swojego domu. Wiedział jednak, że prędzej czy później ulegnę twoim namowom...

– Raczej pędzej. – Anastazja uśmiechnęła się po raz pierwszy. Przyciągnęła do siebie Winnickiego. Doktor poczuł jej zapach i smak drapieźnych ust.

– Dlaczego to robisz? – zapytał nagle, odsuwając ją od siebie.

– Dlaczego cię całuję? – zaśmiała się. – Czujesz się zakłopotany?

– Nie... chcę wiedzieć, co tobą kieruje. Ty i Ossowiecki? Co was połączyło oprócz...

– Oprócz?

– Wiesz, o czym mówię. – Doktor wyraźnie się speszył.

– Nigdy nie łączyły mnie z inżynierem sprawy intymne – powiedziała, nie przestając się uśmiechać. – Inżynier jest wierny swojej małżonce... Zaangażowałam się w jego sprawę.

– Jako carski szpieg?

Uniosła brwi i przechyliła głowę, ale wcale nie wydawała się zakłopotana.

– To takie oczywiste? – zapytała. – A może masz dar jasnowidzenia, jak inżynier Ossowiecki?

– Nie mam takiego talentu – zniecierpliwził się doktor.

– Podejrzewasz mnie o szpiegostwo, ale mimo to ze mną się zadajesz? Pochlebiasz mi. Rozumiem, że nieodparta chęć przebywania w moim towarzystwie jest silniejsza niż obawa, że omamię cię i skaptuję na usługi wroga ojczyzny?

– Nawet jeśli jesteś szpiegiem, nie wykorzystujesz mnie w większym stopniu niż ja ciebie, Anastazjo. Znów go pocałowała, Winnicki wcale się nie wzbraniał.

– Mogłabym cię pokochać – powiedziała. – A może... już cię pokochałam?

– Gdybyś kierowała się tak przyziemnymi uczuciami jak miłość, straciłabyś wiele z drapieźnika, jakim cię widzę.

– Mrauuu.

Przesunęła paznokciami po skórze jego dłoni.

– Stać cię na więcej – zauważył.

Pociągnęła go na siebie i ugryzła w dolną wargę, aż syknął z bólu.

– Tak lepiej? – zapytała.

– Jak na carskiego szpiega... – wydyszał Winnicki, czując rosnące podniecenie. – Jak na szpiega, całkiem nieźle.

Znów się zaśmiała.

– Nie pracuję już dla nich. Chyba nigdy nie pracowałam – powiedziała. – Musisz mi uwierzyć, że chcę cię ochronić, Andrzeju. Przynajmniej ciebie... Dlatego tak ważne jest, byś wysłuchał Ossowieckiego...

Doktor stężał. Popatrzył na Anastazję, a potem odsunął się od niej.

– Nie wiem, co się między wami wydarzyło – odezwała się po chwili, wyczuwając przyczynę zmiany nastroju. – Ale proszę cię, odrzuć dawne animozje. Dla dobra swojego i innych...

– Spotkam się z nim – zakomunikował chłodno. – Nierozważnie ci to obiecałem i obietnicy tej dotrzymam. Więcej jednak nie możesz ode mnie wymagać ...

Dalej jechali w milczeniu. Anastazja została w dorożce, gdy zatrzymali się przed domem Ossowieckiego. Winnicki wysiadł i ruszył wolnym krokiem w stronę kamienicy.

Wśród całej rzeszy kabalarzy, spirytystów, chiromantów i różnej maści adeptów wiedzy tajemnej Stefan Ossowiecki był

jednym z niewielu obdarzonych prawdziwym darem.

Winnicki, swego czasu namawiany kilkakrotnie przez żonę, brał udział w seansach spirytystycznych organizowanych dla zabawy przez różne media w domach znajomych. Była to przede wszystkim forma zabawy, odreagowania po wojnie.

W zaborze rosyjskim praktyki okultystyczne były zakazane, ale już po odzyskaniu niepodległości spotkania i rozmowy z duchami stały się w Warszawie niezwykle popularne.

W takich seansach brali udział arystokraci, dziennikarze, wojskowi, a nawet znane osobistości polityki

i świata kultury.

Na jednym z nich doktor spotkał Józefa Piłsudskiego, właśnie u Ossowieckiego, który uznawany był za największego polskiego jasnovidza i telepatę. Tamto spotkanie nie różniło się szczególnie od zwykłych seansów. Wtedy także poruszały się stoliki, spadały obrazy ze ścian, wśród rozbawionych gości pojawiały się duchy w przybrudzonych prześcieradłach. Ów seans jednak zapoczątkował kolejne spotkania, w węższym gronie, pomiędzy Winnickim, Ossowieckim i Piłsudskim. We trzech odbywali rozmowy, które miały ambitny, a zarazem, w opinii doktora, szalony cel.

Na większości spotkań Winnicki był jedynie słuchaczem, który wyrażał swoją opinię w momencie, gdy został o coś zapytany. Ostatecznie jednak nie poparł planów, które snuł sam Naczelnik. Zatrudnienie w wywiadzie wojskowym spirytystów i jasnovidzów zakrawało jego zdaniem na parodię. Nie był w stanie współpracować z mediami pokroju Franka Kluskiego. Nie potrafił przejść do porządku dziennego nad faktem, że ktoś wywołujący na swoich seansach ducha nieokrzesanego pitekantropusa czy odlewający z wosku kończyny i twarze przywoływanych zjaw ma ratować Polskę.

Drogi Ossowieckiego i Winnickiego rozeszły się. Ossowiecki z Piłsudskim jednak kontynuowali spotkania. Co więcej, będąc nawet w swoich domach, umawiali się o określonej godzinie na połączenie się myślami. Podobno trafnie potrafili odczytać swoje przemyślenia, a Naczelnik przejawiał w kwestii parapsychologii spory talent.

Talentu takowego nie miał za to Winnicki. Wobec Ossowieckiego pozostał nieufny. Być może dlatego, że inżynier ubarwiał swoje życie niezliczonymi historiami, w które trudno było uwierzyć. Jego pochodzenie też budziło kontrowersje – nigdy nie powiedział wprost, czy urodził się w Moskwie czy na Białorusi, a ojciec jego, co akurat nie było tajemnicą, swego czasu pełnił funkcję asystenta Mendelejewa i miał znajomych wśród wysokiej rangi bolszewików.

Największy jednak wpływ na decyzję doktora miała prywatna rozmowa z inżynierem, która doszła do skutku po jednym ze spotkań. Zmieniła ona całe życie doktora.

I to właśnie tego Winnicki nie był w stanie Ossowieckiemu wybaczyć.

Pożalował, że uległ namowom Anastazji. Ją także zaczynał podejrzewać o zdolności parapsychiczne. Potrafiła kilkoma słowami omotać mężczyznę wokół palca.

Ruszył długim halleem do gabinetu. Wzdłuż ścian ustawiono ciężkie gdańskie meble, sponad których spoglądały biblijne postaci w złożonych ramach. Uderzała kompletna cisza panująca w apartamentach. Winnicki pamiętał, że mieszkanie inżyniera przypominało swego czasu urząd, w którym wciąż tłoczyli się petenci i gdzie słychać było niecichnący gwar rozmów.

Tym razem wydawało się puste.

Gdzieś w oddali zegar wybił kwadrans, a szklane witryny zadrżały, wprowadzając w wibrację cenne bibeloty. W końcu doktor wszedł do przestronnego salonu, jasno oświetlonego i wydawało się, że zupełnie ogołoconego z mebli. Wystrój wnętrza stanowiły jedynie stół, kilka krzeseł i pokaźna sofa. Te meble wyłaniały się z toni świeżo zapastowanej podłogi niczym skaliste rafy.

Dopiero po chwili Winnicki dostrzegł inżyniera. Mężczyzna zmaterializował się, odchodząc od okna, przy którym wcześniej wpatrywał się w ciemność.

Ossowiecki wydał się doktorowi większej postury niż ostatnio. Wyraźnie przytył, a jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej okrągła. Przypominała księżyc w pełni, z kraterami okrągłych oczu tkwiącymi w gipsowej masie. Mimo to Ossowiecki – krótko ostrzyżony, z jowialnym uśmiechem – wciąż prezentował się elegancko. Wyglądał na urzędnika, ale przyjacielskiego, takiego, któremu bez mrugnięcia okiem można powierzyć swoje sprawy i pieniądze. Winnicki słyszał o łatwości, z jaką inżynier potrafi zjednywać sobie ludzi. Ten talent nie zadziałał jednak najwyraźniej na niego. Odczuwał bowiem wobec Ossowieckiego rosnącą antypatię.

– Dziękuję, doktorze, że przyjął pan zaproszenie.

Winnicki ucisnął dużą, pulchną dłoń.

– Usiądźmy. Czy napije się pan czegoś?
– Darujmy sobie... – Winnicki usiadł na wskazanym krześle. – Co ma mi szanowny pan do powiedzenia? Ossowiecki odchrząknął. Chyba z trudem przyjmował chłodną reakcją swojego gościa.
– Widziałem pana śmierć, doktorze...
– Boże, to mnie pan przestraszył! – Winnicki złapał się teatralnie za serce. – Tylko to ma mi pan do powiedzenia?
– Wciąż nie wybaczył mi pan tamtej rozmowy, prawda?
Doktor nie odpowiedział.
– Proszę mi wierzyć, chciałem dobrze.
– Piekło wybrukowali dobrymi chęciami.
Ossowiecki spojrział w sufit, jakby tam szukał pomocy w doborze słów. Potem znów popatrzył prosto w oczy swojego gościa.
– Wydało mi się, że jestem winny panu tamtą informację. Teraz wiem, że nie powinienem był wtrącać się w sprawy pana i pańskiej żony...
– Wystarczy. – Winnicki uniósł dłoń. Poczuł, że płoną mu policzki. Tupet Ossowieckiego był niewiarygodny.
Doktor zwalczył w sobie pokusę, by odpowiedzieć w bardziej zdecydowany sposób. Postanowił opuścić mieszkanie inżyniera, zanim straci nad sobą panowanie.
– Myślę, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.
– Pana dzieci także są w niebezpieczeństwie. Ogromnym...
Winnicki opadł z powrotem na fotel pod wpływem nagłej słabości, która ogarnęła jego ciało.
– W pańskim otoczeniu znajduje się zdrajca, ktoś, kto będzie dążył do zguby pana i pańskiej rodziny, doktorze.
– Całe życie otaczają mnie zdrajcy – warknął Winnicki. – O jednym wspomnieliśmy pan w naszej ostatniej rozmowie...
– Proszę wybaczyć, nie powinienem był wtedy poruszać tamtej sprawy. Pański przyjaciel stał się panu wtedy wrogiem, ale tutaj gra idzie o wysoką stawkę. – Ossowiecki zamilkł na chwilę, jakby wciąż się zastanawiał, w jaki sposób przekazać informacje doktorowi, tak by zechciał ich wysłuchać. – Wiem o tym, co ma się stać w najbliższych dniach, przyłot ważnej osobistości ze Stanów...
– Zobaczysz to pan w swoich wizjach? – zakpił Winnicki.
– Itak, i nie – Ossowiecki odpowiedział z jakąś rezygnacją, która wzbudziła czujność doktora. – Moje wizje są ostatnimi czasy niepewne, a wszelkie kalkulacje nieprzewidywalne. Jakby zbyt wiele zmiennych pojawiło się w obrazach przeszłości.
Jakby ktoś nią manipulował, wciąż wprowadzając korekty, zmiany.
– Do czego pan zmierza?
– Pamięta pan nasz plan? Dokładniej plan Naczelnika?
– Stworzenia grupy mediów, wspaniałych prekognitów stojących na straży bezpieczeństwa Polski?
– Tak. Grupy, która miała zrzeszać najzdolniejszych z nas. Tych, którzy zrobiliby wszystko, by Polska przetrwała; by w załączku dławić wszelkie próby zniszczenia naszego młodego państwa. Grupy, która przewidywałaby przyszłość i nią manipulowała, tak jak ludźmi, którzy na tę przyszłość mają wpływ.
– Nic z tych planów nie wyszło.
– Do tego za chwilę przejdziemy. – Ossowiecki się zawahał. – Jak się okazuje, nie byliśmy jedynymi, którzy wpadli na taki pomysł.
Winnicki nie odpowiedział. Wszystko w nim sprzeciwiało się prowadzeniu dalszej rozmowy, ale nie był w stanie opuścić mieszkania inżyniera.
– Wolf Messing. Miał dołączyć do naszej grupy. Znikł jakiś czas temu. Według informacji, do których dotarłem, przebywa teraz w Moskwie. W Niemczech wokół Hitlera także zgromadziła się spora grupa uzdolnionych. Działają, płaczą nici zdarzeń. Myślę, że to przez nich przyszłość stała się dosłownie białą kartą. Wciąż jest płynna, wciąż się zmienia.
– I to pana martwi? Ja wolę nie znać swojej przyszłości. Wolę mieć przynajmniej złudną świadomość, że

mam nad nią kontrolę.

– Coś wydarzy się w najbliższych dniach, doktorze. Jeszcze kilka lat temu byłbym w stanie powiedzieć panu z dużą dokładnością co... Teraz mam tylko niejasne przeczucie. Może gdyby Piłsudski nie zrezygnował tak lekkomyślnie z naszej grupy prewencyjnej...

– Ipo to mnie pan wezwał? Bo stracił pan dar? Dlatego zawraca mi pan głowę?

– To pan będzie miał wpływ na to, co się wydarzy. Czy pan tego chce czy nie. Nie wiem, w jaki sposób, ale od pana zależą dalsze losy naszego kraju. Od pańskich decyzji. Widziałem pańską śmierć, doktorze. I w tym wypadku to jedyna wizja, która była wyraźna i pewna. Potwierdziła ją nawet Agni Pilchowa.

– Każdy umrze, prędzej czy później, panie Ossowiecki – odparł oschle Winnicki.

– Panie doktorze, to, co powiem, pozostanie między nami. Proszę mnie wysłuchać, potem zrobi pan to, co uzna za słuszne. To Piłsudski zdecydował o upadku projektu prekognitów. Stwierdził, że jest w stanie z powodzeniem zmienić los naszego kraju sam, na własną rękę.

– On sam? – Winnicki zaśmiał się gorzko. – Ito jest efekt jego działań? Wojna, która odizolowała nas od świata?

– Wojna prędzej czy później i tak by wybuchła. Może przez dekadę lub dwie mielibyśmy złudne poczucie bezpieczeństwa. Potem jednak doszłoby do nieuniknionej konfrontacji. Dwóch naszych odwiecznych wrogów starłoby się ze sobą na naszej ziemi. Wojna pochłonęłaby miliony ofiar, a my znów na kilkadziesiąt lat stracilibyśmy wolność.

– Rzeczywiście, czarny scenariusz. Wymyślił go Piłsudski? Skąd te przepowiednie?

– Proszę nie lekceważyć duchowych, metafizycznych zdolności Marszałka.

– Metafizycznych zdolności? Chce mi pan wmówić, że Piłsudski kontaktuje się z zaświatami? Tam szuka doradców?

– Czemu nie, jeśli może to nam pomóc?

– No to w rządzie ma pan teraz podatny grunt dla swoich teorii. Premier Walery Sławek należy do masonów, prawda?

Może tym razem uda się panom wspólnie powołać grupę z kolegami po fachu?

– Niech pan spróbuje zrozumieć...

– Co mam zrozumieć?

– Stoimy na drodze dwóch potęg, doktorze.

Winnicki uważnie obserwował Ossowieckiego. Zwrócił uwagę na jego chorobliwą błądź, sieć zmarszczek, które były wyrazem zmęczenia i troski. Uznał, że inżynier wierzy w każde wypowiedziane słowo.

– Jesteśmy osamotnieni. Tylko na naszym trupie może dojść do starcia dwóch bestii. Gdyby jedna z nich została pokonana, druga zawładnęłaby naszą ziemią. Najwyższą cenę musiałyby zapłacić ten naród. Jeśli zapyta mnie pan, czy uwierzyłem w wizję Piłsudskiego, to tak, przyznaję, uwierzyłem. Potwierdził je szeregiem eksperymentów, które pewnie uznałby pan za hochsztaplerstwo. Zaczęliśmy działać, przeciwdziałać i w ten sposób zmieniliśmy przyszłość naszego narodu. Osamotnieni w wojnie z bolszewikami, nie zatrzymaliśmy się, wykorzystaliśmy ich słabość. Potem Piłsudski, działając już na własną rękę, znalazł przeciwwagę dla naszych wrogów. Siłę, która w jego wizji miała doprowadzić do klęski Berlina, a także utrzymać w szachu Moskwę.

– Ameryka? – Winnicki nie mógł powstrzymać śmiechu. – Rozmowy z Hooverem, jego przyłot?

– Tak – potwierdził krótko Ossowiecki. Nerwowym ruchem otarł pot z czoła. – Oni są jęczyczkim u wagi. Zgodnie z planem Piłsudskiego mieli pomóc nam pokonać Niemców, potem zepchnąć Moskwę do defensywy i utrzymać na wodzy jej zapędy do „wyzwalania ciemnych narodów”.

– Mówi pan w czasie przeszłym. Coś się zmieniło?

– Drogi doktorze... – Ossowiecki przesunął dłońmi po materiale spodni. Jego głos drżał, a oczy zrobiły się mętne. – Zmieniając przyszłość, podjęliśmy ryzyko. Wszystko wydawało się takie proste i jasne. Parę kluczowych decyzji, kilka ważnych posunięć... Jednak te zmiany ostatecznie spowodowały, że to, co przed nami, stało się niepewne. Już mówiłem, że podejrzewam, że Moskwa i Berlin maczają w tym palce. Reagują na nasze ruchy, okazało się, że u nich także nie brakuje ludzi podobnych do tych, których mamy

we własnych szeregach. Nie jesteśmy w stanie odczytać ich ruchów, uprzedzić. Nie wiemy, co zgotowaliśmy temu krajowi. Nie mam pewności, czy nie pchnęliśmy go...

– Ku przepaści? – ironizował dalej Winnicki. Teraz zobaczył słabość Ossowskiego, zrozumiał, czym był przytłaczający go ciężar. Inżynier stał się wrakiem człowieka, świadomym z nieodwracalnych błędów, jakie popełnił. – Mam wrażenie, że nie posłuchał pan Marszałka...

– Nie rozumiem – odparł zaskoczony inżynier.

- Grupa prekognitów wciąż pracuje, prawda? Pod pańską kuratelą.

Mężczyzna wolno skinął głową.

– Piłsudski za mocno uwierzył w swój dar. Myślę, że ośwładnęły nim siły, których sam nie pojmuje. Jest zaślepiony i pewien podjętych wyborów, przekonany o słuszności decyzji. Działa jednak irracjonalnie. Sojusz ze Stanami jest dla niego najważniejszy. My jednak czujemy, że w najbliższych dniach wydarzy się coś, co zmieni historię świata.

Niekoniecznie tak, jak chciałby tego Marszałek, czy jak chcielibyśmy tego my...

– Do rzeczy, inżynierze.

- W żadnej z wizji Hoover nie pojawia się w Warszawie. Pojawia się w nich za to metalowa armia przekraczająca nasze granice. Widzimy zgliszczka, które były kiedyś naszą stolicą, i morze trupów...

– Coś jeszcze? – Winnicki poruszył się w fotelu; wydawało się, że chce wstać i opuścić gabinet.

– Pan, doktorze. Pan i pańskie dzieci. Tego do końca nie jesteśmy w stanie pojąć. Wydaje się, że każde z was będzie miało wpływ na to, co się stanie w najbliższej przyszłości. Choć zdaje się, że to do pana będzie należeć ostatnie słowo...

1932 BRESLAU, OKOLICE KAISERBRUCKE

Odkąd Marek ostatni raz był w Breslau, miasto bardzo się zmieniło. Podczas swej pierwszej bytności widział tu furmanki wiozące na targi owoce i warzywa. Miasto było pełne niepokoju, szare i przygaszone.

Teraz szerokie arterie ulic poprzecinane były torami tramwajowymi. Lekkie, przypominające srebrzyste krople wagony sunęły z cichym zgrzytem wśród odnowionych kamienic. Niezliczona liczba paromobilów i niespotykanej konstrukcji jednoślądów przecinała brukowane ulice. Kłęby pary wydobywającej się z kotłów sprawiały wrażenie, jakby całe miasto zostało doprowadzone do wrzenia. Jakby zaraz miało wykipieć i napędzane gorącym powietrzem, wznieść się kilkaset metrów.

Porucznik z coraz większym zdziwieniem obserwował zmiany, jakie zaszły w ostatnim dziesięcioleciu. Technika szła do przodu, torowała sobie drogę w jakiś nadnaturalny sposób. Na rogatkach ulic ustawiono maszyny, z których wydobywał się metaliczny głos. Wystarczyło wrzucić monetę w jeden z otworów, by metalowe ramię z chwytakiem podało egzemplarz popołudniówki. Obok stały mechaniczny pucybut przypominający lśniącego pająka i okrągły, wygrywający wesołe melodie dystrybutor z wodą sodową.

Jednak największe wrażenie robiły stereosy, ogromne aparaty stereoskopowe: maszyny, które wyświetlały na ścianach wieżowców obrazy i publiczne reklamy. Marek poczuł żal, że właśnie tutaj, a nie w Polsce, wcielono w życie projekt Kazimierza Prószyńskiego.

Zatrzymał się przy jednym z gazetowników. Spojrzał przelotnie na nagłówki na pierwszej stronie dziennika za szybą reklamową. Anonsowano przylot kanclerza Rzeszy, „Niech żyje Fuhrer!” odznaczało się wytłuszczoną czcionką. Kilka innych informacji dotyczyło spraw lokalnych, między innymi zagrożenia powodziowego. Nic jednak nie pisano o froncie, o wojnie, która trwała już przecież szmat czasu. Tak jakby takie błahostki tego miasta nie dotyczyły.

A przecież jeszcze niedawno wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Breslau przez wiele lat był bazą zaopatrzeniową i częścią systemu obronnego Niemiec. Graniczył z cesarstwem rosyjskim, by potem stać się wysuniętą placówką na granicy z niebezpieczną politycznie, niepodległą Polską. Okopy, w których wcześniej siedzieli Rosjanie, zajęli teraz polscy żołnierze. Bliskie Posen znalazło się nagle w obcym kraju, a Breslau obawiało się, że podzieli jego los.

Teraz tego strachu nie było widać. Reichsmarka, plan Dawesa, działalność „wielkiej koalicji” Gustava Stresemanna...

Niemcy znów poczuły się mocne.

Porucznik podążył pieszo Kaiserstrasse, idąc za Szmidem. Naukowiec chciał, widać, nacieszyć się ostatnimi ciepłymi dniami jesieni i nie zamierzał korzystać z komunikacji miejskiej. Nie oglądał się za siebie, szedł powoli, pochylony, jakby w granitowych płytach chodnika odkrywał jakiś nowy wzór. Wkrótce skręcili w stronę mostu Kaiserbrucke. Sylwetka Niemca wciąż pojawiała się kilkadziesiąt metrów przed Markiem. Blizna zachowywał ostrożność, choć nie spodziewał się, żeby mężczyzna rozpoznał go w tłumie spacerującym ulicami miasta.

Wydawało się, że w Breslau trwa festyn. Place, budynki, mosty, gazowe lampy udekorowane były niezliczoną liczbą flag. Nad rzeką statecznie unosiły się sterowce, te wycieczkowe i te, które wysłała do Breslau NSDAP. Wszyscy oczekiwali przybycia kanclerza Rzeszy.

Smidt wszedł w Klosterstrasse. Po chwili skręcił w bramę wysokiej kamienicy. Marek zatrzymał się przy jednym ze sklepów, udając, że ogląda towar wystawiony w witrynie. Dopiero po chwili ruszył w ślad za mężczyzną.

Otworzył drzwi prowadzące na klatkę schodową. Gdzieś ponad nim, kilka pięter wyżej, zaskrzypiały schody, słychać było także odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Porucznik dostrzegł listę lokatorów

przy wejściu. Znalazł informację, której szukał. Wycofał się z budynku. W tej chwili jakiegokolwiek nieprzemyślane działanie stanowiło zbyt duże ryzyko.

Postanowił, że odwiedzi Szmidta wieczorem.

1932 WSPOMNIENIA

Waldorfi wykazuje zbytnią ostrożność. Odwleka start pierwszego pocisku transportowego w nieskończoność, wciąż chowa się za obliczeniami. Nie możemy jednak dłużej czekać. Nasza sytuacja na froncie lada miesiąc stanie się tragiczna.

Nakazałem profesorowi jak najszybsze wystrzelenie pierwszego transportu, na początek bezzałogowego. Na pokładzie znalazły się dwa parotanki „Piłsudski”. To będzie czytelna wiadomość dla Hoovera. W ślad za nowymi technologiami wyślemy przeszkolonych żołnierzy. Amerykanie są bliscy ukończenia potężnej broni, która zmieni historię świata. Muszą utrzymać się jednak wystarczająco długo, by zakończyć ostatni etap projektu. Japończycy naciskają ich coraz bardziej, więc nasza pomoc jest dla Waszyngtonu niezbędna. W ten sposób dopełnimy warunków sojuszu. Nasze pociski transportowe i ich nowa broń sprawią, że na globie powstaną dwie potęgi. Wkrótce Moskwa i Berlin znajdą się pod ścianą, będą musiały ogłosić kapitulację na naszych warunkach.

Mam nadzieję, że zdążymy.

1932

**WARSZAWA,
MIESZKANIE STEFANA OSSOWIECKIEGO**

Zdecydowała, że musi działać. Wizje, dręczyły ją coraz częściej, nasilały się tak, że nie mogła normalnie funkcjonować.

W ostatniej z nich pojawił się także Stefan Ossowiecki. Przekazywał jej wyraźne wskazówki, które miały pomóc jej w identyfikacji człowieka o żelaznej twarzy.

Doktor zlekceważył ostrzeżenia inżyniera. Anastazja wyczuwała, że ma z tym związek jakaś zadra z przeszłości, która nastawiła Winnickiego przeciw jasnowiedzowi. Rozumiała, że musi zrobić wszystko, by te urazy odeszły w niepamięć.

Teraz, zaledwie kilka godzin po wizycie Winnickiego, znów stała przed domem inżyniera, patrząc w okna na pierwszym piętrze. W gabinecie paliło się światło. Za firanami widać było niespokojne cienie przesuujące się po mieszkaniu.

Pamiętała, że Ossowiecki często przechadzał się wokół swego biurka, co pozwalało mu zebrać myśli. Teraz też zapewne, udręczony własnymi problemami, próbował je udźwignąć, zadręczając ciało niespokojnym marszem.

Zapłaciła dorożkarzowi i ruszyła w stronę kamienicy. Zanim uniosła kołatkę, lokaj otworzył przed nią drzwi. Podała mu płaszcz, dziwiąc się, że starszy mężczyzna nie powitał ją nawet słowem. To było do niego niepodobne. Anastazji przyszło do głowy, że być może udzielił mu się nastrój pana domu. Ruszyła po schodach na górę, do gabinetu Ossowieckiego.

Już na pierwszych schodkach poczuła dziwną niemoc. Światła przygasły, cienie ciężkich mebli wydłużyły się. W uszach odczuła cichutki pisk, będący niemal na granicy słyszalności. Obejrzała się za siebie. Lokaj znikł, jakby rozpułnął się w powietrzu. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej czterostrzałową pieprzniczkę Sharpsa. Ostrożnie ruszyła w górę.

Z każdym kolejnym krokiem towarzyszyła jej głucha cisza. Wydawało się, że zamilkły nawet zegary na piętrze, a może czas zwolnił tak mocno, że trudno było wychwycić upływające sekundy.

Anastazja stanęła przed drzwiami gabinetu, pchnęła je ostrożnie.

Ossowiecki siedział w fotelu pod oknem. Miał otwarte oczy, jednak jego wzrok pozostawał nieruchomy. Na białej koszuli wykwitły czerwone róże. Strużka krwi sączyła się z rozchylonych ust.

W tym momencie Anastazji przyszła do głowy tylko jedna irracjonalna myśl. Ossowiecki, który wiele lat temu przewidział datę swojej śmierci, pomylił się. Nie dożył dnia 5 sierpnia 1944 roku, zginął w swoim domu od kul zamachowca. Nie można było już wierzyć w przeznaczenie, przyszłość stała się płynna, nic nie było pewne.

– Pokażcie się! Wiem, że wciąż tu jesteście!

Boczne drzwi prowadzące do sypialni inżyniera stanęły otworem. W nich Anastazja dostrzegła uzbrojonych mężczyzn.

Od strony schodów dobiegł ją wystrzał i krzyk. Zadrzała, słysząc głuchy łoskot upadającego ciała.

- Anastazja Woroniecka – usłyszała głos mężczyzny. Wydawało się, że słowa dobiegają ze wszystkich stron. – Nie tylko meble zostawili po sobie carscy u Szlimakowskiej. Zostawili też pluskwę, która załaziła wszystkim za skórę. Jednak ty, Anastazjo, pozostawiona sama sobie zmieniłaś front! Uśpiony agent przebudził się, jednak nie w taki sposób, jak oczekiwaliby mocodawcy. Być może miały na to wpływ twoje miłości, być może od początku działałaś na kilka frontów.

Przezorna, jak to kobieta, pozostawiłaś wiele drzwi otwartych... Wybrałaś te, które miały ocalić twój nowy dom. Czyj był to wpływ? Doktora Winnickiego? Inżyniera Ossowieckiego czy jednego z wielu kochanków, którzy wprost z twoich ramion szli na front, a potem wracali w drewnianych trumnach?

Anastazja czuła, że broń, którą trzyma w wyciągniętej dłoni, drży. Potoczyła wzrokiem po twarzach nieruchomych mężczyzn.

– Widziałaś ich śmierć, prawda? Każdego z tych, którzy zaznali rozkoszy w twoich ramionach. Zainfekowali cię czymś nieporównywalnie gorszym niż choroba weneryczna. Wyczuwałaś ich strach i potem widziałaś niezliczone śmierci, ze wszystkimi okrutnymi szczegółami. Czułaś, jak ich ciała rozrywane są granatami, miażdżone gąsienicami wojennych machin, jak kule rozrywają ich mięśnie, tętnice, łupią kości i czaszki. Jednocześnie wiedziałaś, że nie jesteś w stanie im pomóc, zawsze było na to za późno...

– Wyjdź! Pokaż się – powiedziała spokojnie. – Nie kryj się za plecami innych. Twoją śmierć widziałam także!

– Nie – mężczyzna zaśmiał się tubalnie. – Mojej śmierci nie widziałaś. Widziałaś za to swoją, nieprawdaż?

Anastazja cofnęła się o krok i oparła plecami o ścianę.

– Przekonaj się, tchórz! – wysyczała. Jedyne, czego teraz chciała, to sprowokować mężczyznę, by ten się pokazał.

Chciała zakończyć wszystko tu i teraz.

Dwaj strażnicy rozstąpili się. Zza ich pleców wyłoniła się wysoka postać. Rozpoznała ją. Była pewna, że w jej wizjach ukazywała się z metalową maską na twarzy. Mężczyzna szedł w jej stronę bez strachu, z uśmiechem na ustach.

– Oddaj broń – powiedział, zatrzymując się przed nią. – Wciąż masz wybór, przyszłość nie jest zapisana w gwiazdach, tę swoją jeszcze możesz zmienić.

Anastazja popatrzyła na ciało inżyniera Ossowieckiego.

- To prawda – skinęła głową. – Właśnie to zamierzam zrobić. Po to tutaj przyszedłam!

Pociągnęła za spust. Raz, potem drugi.

Osobnik uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nachylił się w jej stronę, ujmując podbródek w dłoń. Spojrzał jej w oczy.

- Jednak się myliłem – powiedział. – Twojej przyszłości, Anastazjo, nie da się zmienić. Tak samo jak przyszłości twójgo przyjaciela doktora Winnickiego, a także jego dzieci...

Chciała odepchnąć od siebie mężczyznę, ale wtedy poczuła ukłucie pod sercem, które odebrało jej oddech. Popatrzyła w dół, na rękojeść sztyletu wystającą z piersi. Próbowała ją uchwycić, ale napastnik przytrzymał jej dłoń w miejscu.

Anastazja osunęła się bezsilnie. Światła przygasły, ogarnęła ją ciemność.

1932

WARSZAWA, POLITECHNIKA WARSZAWSKA, GABINET WALDORFIEGO

Kurz wzbijany przez wojskowe ciężarówki podjeżdżające pod gmach Politechniki Warszawskiej unosił się wysoko w powietrzu. Tworzył lepką szarą zawiesinę, przez którą z trudem przebijały się promienie słoneczne. Kilkunastu policjantów kierujących ruchem odganiało coraz większe tłumy gapiów. Mężczyźni i kobiety gromadzili się na chodnikach, a niesforne dzieci coraz śmielej wkraczały na jezdnię, niemal wprost pod koła nadjeżdżających ciężkich parotransporterów.

Widok rzeczywiście był niecodzienny, przynajmniej tu, w centrum miasta. Nawet na Winnickim zrobił wrażenie, choć przecież on sam był przyczyną tego zamieszania.

Doktor wciąż nie mógł się otrząsnąć po rozmowie z Ossowieckim. Najchętniej uznałby inżyniera za wariata. Nie wiedział już, w co wierzyć. Wyobraził sobie tę inną rzeczywistość, pozbawioną ingerencji Piłsudskiego. Lata pokoju, które tej obecnej Polsce nie były pisane. Wolałby tamten czas, byle oddalić widmo wojny choćby o kilka lat. Ta rzeczywistość zniszczyła jego i jego rodzinę.

- Sierżant Michał Miszta melduje się! Doktorze Winnicki, pierwszy pluton gotowy do wejścia!

Donośny głos żołnierza wyrwał doktora z zamyślenia. Na dziedzińcu rozległ się odgłos butów uderzających o bruk.

Młodzi żołnierze wyskakiwali z pojazdu i ustawiali się w karnym szeregu.

– Niech wejdą do budynku. Mają zachować ciszę. Będę wzywał kolejno do gabinetu.

- Tak jest! – Sierżant zaszalował, a Winnicki zwalczył odruch, by odwzajemnić wojskowe pozdrowienie.

Przejął listę z nazwiskami i skinął głową. Obejrzał się jeszcze przez ramię na tłum gapiów. Parotransporter zaryczał donośnie, a potem wydobył z trzewi charakterystyczny syk, gdy kierowca upuścił parę z rozgrzanych kotłów. Dopiero wtedy Winnicki ruszył schodami do budynku.

Chwilę wcześniej emocje wyciągnęły go na zewnątrz. Nie mógł się doczekać przyjazdu żołnierzy. Całą noc przygotowywał sprzęt, testował go do znudzenia, wiedząc, że nie ma miejsca na błędy. Dziś wszystko musiało pójść sprawnie i daj Bóg, w szeregach tych młodzieńców znajdą osobę, której Andrzej potrzebował.

- Już są?

Wyraźnie pobudzony Kotula stał na schodach. Błysk w oczach zdradzał, że nie może się doczekać testów. Winnicki wiedział, że ten błysk już wkrótce przygaśnie, a może zupełnie się ulotni, gdy kolejne setki prób nie przyniosą rezultatu.

Cierpliwość... Oni też zostaną poddani ciężkiej próbie, w najbliższych godzinach, a może dniach.

Do gmachu zaczęli wchodzić żołnierze. Winnicki dosłyszał ciche szepty i chichoty, a potem ostre słowo starszego stopniem, który przywoływał młodzieńców do porządku.

Doktor się uśmiechnął. Młodość, siła, wiara w nieśmiertelność. Każdy z nich wydawał się pełen życia, pełen naturalnej radości. A przecież lada dzień mogli ruszyć na front.

Otworzył drzwi gabinetu. Maszyna impulsowa zamruczała niczym wierny kot, gdy doktor podkręcił skalę, a Kotula wyczytał pierwsze nazwisko z listy przekazanej mu przez przełożonego.

– Doktorze, czy uważa pan, że to ma sens?

Winnicki nawet nie spojrzął na asystenta. Przez ostatnie godziny pracował jak automat. Wchodzący do gabinetu jeden za drugim żołnierze byli dla niego jedynie kolejnymi obiektami badawczymi. Podobni do

siebie, w identycznych mundurach i z identycznymi fryzurami, o gładko ogolonych twarzach. Zlewali się w całość, tak jak ich głosy i sylwetki. Doktora interesowało coś zupełnie innego. Wzór, jaki każdy z nich pozostawiał, wykres ich fal mózgowych. Coś, co neurolog uznałby za anomalię, on przyjąłby z ulgą i nabożną czcią.

Na razie nikogo użytecznego nie znalazł. Choć przecież mógł się spodziewać, że tak będzie. Jeden na milion, może na dziesięć milionów... Jaka szansa, że wśród kilku tysięcy znajdzie tego, który będzie wyjątkowy? Winnicki uśmiechnął się kwaśno do siebie. Pytanie Kotuli o sens ich działań nabierało... sensu.

Więc dlaczego to robił? Po co? Może wiedział, jak to się wszystko skończy, a jedynie potrzebował czasu. Czasu, by móc się pogodzić z porażką.

– Przerwa dobrze nam zrobi... Niech pan otworzy okno. Powinniśmy się trochę przewietrzyć.

Młody asystent posłusznie podniósł się ze swojego stanowiska, chwilę siłował się z drewnianą framugą, wreszcie otworzył ją na oścież.

Powietrze było rześkie, delikatny powiew wiatru niósł ze sobą zapach zimy. Od ulicy dobiegł odgłos kolejnych parotransporterów. Był jednak przytłumiony, odległy, jakby zwiastował zbliżającą się burzę.

– Znalazł pan kiedyś kogoś, kto spełniał warunki w stu procentach?

Pytanie zaskoczyło Winnickiego, choć przecież było naturalną konsekwencją ich pracy. W sumie dziwne, że Kotula wcześniej o to nie zapytał.

- W stu? Nie... Choć byli tacy, którzy wydawali się idealnymi kandydatami.

– Boże... – W oczach asystenta znów pojawił się błysk. – To nie może się pan z nimi skontaktować?

- Wiele lat upłynęło od tamtego czasu... To skomplikowane.

– Co się z nimi stało? – Kotula zmarszczył brwi. Chyba nie bardzo mógł pojąć dylematy doktora. – Nie możemy ich odnaleźć?

– Możemy, ale to wiele nam nie da. Podczas testów nastąpiły komplikacje. Sprzężenia doprowadziły do nieodwracalnych zmian w ich mózgach.

– Inikt nie przeszedł pomyślnie całej procedury?

Winnicki zawahał się, co nie umknęło uwadze Kotuli.

– Pojawił się ktoś jeszcze?

– Tak... – przyznał doktor. – Ale to był zaledwie kilkunastoletni chłopak.

Kotula zaczerpnął głęboko powietrza, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Po chwili znów się odezwał, starając się zachować spokój: – Czy stracił tę umiejętność? Z wiekiem zaszły zmiany w mózgu? W okresie dorastania to się...

– Niech pan już przestanie! – Winnicki szybkim krokiem zbliżył się do okna. Powiew powietrza nie był w stanie ugasić żaru na policzkach. – To było dawno temu. Zupełny przypadek... to nie ma sensu. Teraz i tak już za późno, by wziąć go pod uwagę.

Obrócił się do asystenta. Znów zobaczył błysk w jego oczach, lekkie, niemal niezauważalne uniesienie kącików ust.

- To jeden z pana synów, prawda?

Doktor poczuł, że coś dławi go w piersiach. Kotula był bystry i przenikliwy. Jak na gust Winnickiego zbyt przenikliwy.

– Z moim synem nie mam kontaktu, dowództwo także. Zaginął... Rozumie pan? Jest gdzieś za linią wroga, nie wiadomo, czy żyje.

Stefan pobladł, odezwał się dopiero po dłuższej chwili: – Przykro mi. Naprawdę, nie wiedziałem...

– Sam pan więc widzi. – Winnicki zdziwił się, że ma tak opanowany głos. W środku cały się trząsł, gdy wraz z wypowiedzianymi słowami dotarł do niego ich sens. – Mój syn nie może być poddany badaniom.

– A pan? Proszę wybaczyć natarczywość. Czy doktor przeprowadzał...

– Oczywiście – uciął Andrzej. – Nie mam tej zdolności, przynajmniej nie w większym stopniu niż którykolwiek z chłopców, jacy odwiedzili dziś ten gabinet.

Doktor uznał tę odpowiedź za wystarczającą, widać było jednak, że Kotulę wciąż coś dręczy.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – Winnicki czuł, że słowa zaczynają go palić w przetyku. Nagle obecność i pytania chłopaka zaczęły go irytować. Przypomniał sobie, dlaczego wiele lat temu wybrał

samotność i pracę w zamkniętej, odciętej od świata pracowni.

– Zapytałem, ponieważ tego typu, jak pan je nazwał, anomalie... bywają dziedziczne.

– Moja żona nie żyje, ale ma pan rację, być może to ona miała tę zdolność.

– To, co teraz robimy, to jak szukanie igły w stogu siana, doktorze. Staram się... – Kotula uniósł dłonie, jakby miało mu to pomóc w argumentacji.

– Wiem, że pan się stara, i wiem, do czego zmierza. – Winnicki podniósł głos.

– Ma pan inne dzieci, które mogły zostać obdarzone tym darem...

– Darem i zarazem przekleństwem! – Winnicki zacisnął pięści. Uspokoił się po dłuższej chwili. Czuł się pod natarczym wzrokiem Kotuli jak pod pręgierzem. – Testy Staszka były negatywne. A Marianna... Czy myśli pan, że byłaby w stanie wykonać to, czego by od niej oczekiwano? Ta krucha istota miałaby przejąć kontrolę nad metalową armią? Posłać w bój setki Golemów, niszczyć i zabijać wrogów?

– Nie. Ma pan rację, doktorze. Przepraszam.

Chwilę patrzyli na siebie. Doktor spostrzegł, że jego asystent wydawał się pogodzony z faktami. Nie okazywał zdenerwowania, jakby nagle przeskoczył w nim jakiś tryb. Doktor nie był w stanie zrozumieć natury tej zmiany, wiedział jednak, że ma ona znaczenie.

– Poproszę do gabinetu kolejnego...

– Niech tak będzie – zgodził się Winnicki.

WARSZAWA, BUDYNEK TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI

Czuła niepewność, która dławiła ją gdzieś w środku. Zachowywała się jak głupia gęś. Daleko jej było do spokoju i siły braci. Tę introwertyczność, łatwość do popadania w histerię miała po matce. A przecież tak w niej tego nie lubiła, nie akceptowała, gdy mama szantażowała wszystkich swoimi słabościami i humorami. Na pewno nie była zdolna do radzenia sobie z rzeczywistością, często bujała w obłokach, jakby była stworzona do innych rzeczy niż zajmowanie się codziennymi sprawami.

Matka odżywała dopiero w towarzystwie. Marianna pamiętała ten błysk w jej oku, gdy adorowali ją dżentelmeni, oficerowie, których znał ojciec. Chłoneła komplementy jak gąbka, promieniała w tych momentach niczym kwiat zasilony magiczną odżywką. Z lampką szampana w dłoni, w krynolinach, gorsetach, na przyjęciach w ogrodach przyjaciół, w stroju już mniej formalnym. Bił od niej jakiś blask, siła, aura, która przyciągała do niej wszystkich niczym ćmy do płomienia.

Tak jak ojca, który spłonął w jej blasku.

Stała teraz przed budynkiem Towarzystwa Dobroczynnego, wypatrując wśród przechodzących chodnikami mężczyzn wyprostowanej, szczupłej sylwetki Juliusza.

Przez chwilę wydawało jej się, że zmieniła perspektywę i teraz patrzy na siebie samą. Niewinną istotkę, która mogła budzić jedynie litość. Zdała sobie sprawę, że żadne z uczuć, które przeżywała, nie było autentyczne. Jeszcze kilka chwil temu wszystko wydawało się jasne i proste. Cieszyła się, że dokonała wyboru. Znowu coś się zmieniło?

Zaśmiała się gorzko. Kilku przechodniów popatrzyło na nią dziwnie. Zdała sobie sprawę, że przez całe życie nie oszukiwała innych, tylko siebie. Sztukę aktorską opanowała do perfekcji i zagubiła się we własnej kreacji. Juliusz. Ten czy tamten? Życie to czy inne? Stała na rozdrożu, lecz zamiast wybrać którąkolwiek z dróg i iść przed siebie, najchętniej zawróciłaby i zaczęła wszystko od początku.

Spóźnił się, choć to było do niego niepodobne. Może dokonał wyboru za nią? Zawsze punktualny, czekał na nią z kwiatkiem, obejmował ramieniem, a potem szli na spacer lub do kawiarni. Dzięki niemu miała wrażenie, że otoczona jest bezpieczną bańką, która całkowicie oddziela ją od zewnętrznego świata. Ta zapora tłumiała zewnętrzne bodźce, dźwięki, gwar rozmów i zgrzyt sunących po szynach parowych tramwajów. Byli tylko oni i ten maleńki otaczający ich świat, który całkowicie jej wystarczał. Bańka mydlana przysła.

– Wybacz spóźnienie, kochana...

Drgnęła przestraszona, odwróciła się do Juliusza. Jego włosy, trochę w nieładzie, mogły świadczyć o tym, że się spieszył. Ucałował jej dłoń, wydawał się speszony.

– Nie wiem, czy wybaczę...

Udała oburzenie. Spodziewała się z jego strony śmiechu w odpowiedzi na tę perfidną grę, ale on tylko skinął głową.

Zdała sobie sprawę, że to, co wzięła za zmieszanie wywołane spóźnieniem, było czymś innym.

– Możemy już iść – powiedział. – Mam dla ciebie niespodziankę.

Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostawały nieruchome. Jakby patrzyły przez nią, w dal, a nie na nią.

– Nie lubię niespodzianek – powiedziała.

– Ta ci się spodoba – zapewnił, usłużnie podając jej ramię.

– Jesteś inny niż zwykle. Coś się stało? Coś w pracy?

Drgnął, spojrzął na nią.

– W pracy wszystko dobrze. W ogóle wszystko dobrze. Cieszę się, że już jesteśmy razem. To po prostu zmęczenie, nic więcej.

Popatrzyła na niego. Wmawiała mu to, co tak naprawdę powinna zarzucać sobie. Nie, to nie on się

zmienił. To ona odkryła prawdę o Mariannie Winnickiej. W tej jednej chwili podjęła decyzję.

– Chcę z tobą porozmawiać. – Popatrzyła mu w oczy. Teraz wydało się jej, że dostrzegła w nich lęk, jakby przeczuwał, co chce mu powiedzieć. – Wysłuchaj mnie...

– Proszę – przerwał jej. Delikatnie uniósł jej dłoń do ust i pocałował. – Będziemy mieli jeszcze czas na rozmowę. Chcę po prostu, żebyś coś zobaczyła. Zgodzisz się?

Z wahaniem skinęła głową.

1932
WARSZAWA,
GMACH POLITECHNIKI

Pracowali do późna. Po wszystkim Winnicki zamówił paromobil i kazał się zawieźć do domu. W drodze wciąż pocierał skronie, nie mogąc uwolnić się od bólu promieniującego w stronę karku. Turkot maszyny, wstrząsy i syk pary nie przyczyniały się do poprawy jego stanu. Chętnie napiłby się teraz czegoś mocniejszego, ale nie wziął ze sobą piersiówki.

Nic nie szło jak trzeba. Poszukiwania operatora nie przynosiły rezultatu. Ale czego miał się spodziewać? Liczył na cudowne rozwiązanie problemów? Na łut szczęścia, którego nigdy w życiu nie posmakował?

Jutro będzie jeszcze gorzej. W oczach Kotuli zobaczy zwątpienie, a potem i młodego ogarnie to obezwładniające uczucie, przeświadczenie zbliżającego się końca. Winnicki analizował wszystkie te sprawy, które kładły się cieniem na jego życiu. Było coś jeszcze, coś nieuchwytnego, na granicy postrzegania, co próbowało przedrzeć się przez warstwy problemów, obaw i strachu. Wydawało mu się, że jeśli jeszcze chwilę będzie wyteżał umysł, odgadnie przyczynę owego niepokoju. Wystarczy odrobina koncentracji.

Przez cały ten czas wyglądał przez szybę paromobilu. Nowy Świat, Marszałkowska, Chmielna – ulice z jakże innego świata. Tłok, gwar, błyskające napisy. „Atlantic”, „Majestic”, „Światowid”. Rozświetlone bramy kinoteatrów, z szyldami pełnymi fotosów i plakatów. Tuż przy wejściach huczące głośniki z emitowanymi fragmentami dialogów ulubionych aktorów. „Hipergigantyczny, olśniewający, miążdzący szlagier!”. Napisy na witrynach krzychały do spragnionych rozrywki zapomnienia mieszkańców stolicy. Po 1923 roku polska kinematografia zaczęła przeżywać rozkwit. Brak dostępu do zagranicznych filmów, ale przede wszystkim wsparcie rodzimego przemysłu filmowego przez Piłsudskiego zaowocowały licznymi produkcjami.

Doktor przypomniał sobie jedną z ostatnio przeczytanych recenzji filmu *Rok 1914*, wyreżyserowanego przez Henryka Szaro, z Jadwigą Smosarską i Józefem Maliszewskim w rolach głównych. Wojenne melodramaty i komedie stanowiły ponad dziewięćdziesiąt procent produkcji filmowej. Przez chwilę i Winnicki miał ochotę zatrzymać fiakra i dać się ponieść tłumowi na jeden z filmowych szlagierów. Jego uwagę przykuł jednak jeden z rozświetlonych plakatów teatryku Miraż.

Wiwat wolność! Widział przedstawienie premierowe wspólnie z żoną, 11 listopada 1918 roku. Teraz, po tylu latach, nieschodząca z afisza rewia była niczym wyrzut sumienia, a aktorzy z rozmysłem grali do pustych rzędów krzesel.

Winnicki zamknął oczy. Nagle odechciało mu się pulsujących świateł i tłumów. Znalazł oparcie dla głowy na miękkim obiciu fotela i zapadł w niespokojną drzemkę. Wydało mu się, że zaledwie kilka sekund później obudził go donośny głos fiakra: - Jesteśmy już, panie doktorze!

Paromobil zatrzymał się. Winnicki poczekał, aż spod brzucha bulgoczącej bestii wysuną się schodki, po czym otworzył drzwi i zeskoczył na ulicę. Przez okienko podał zapłatę za przejazd i odwrócił się do kamienicy.

Olaf musiał na niego czekać, bo drzwi od razu się uchyliły i w nikłym blasku dochodzącym z korytarza ukazała się postać zgarbionego lokaja.

Winnicki zawahał się. Otworzył usta. Przed oczami wciąż miał powidok świateł Marszałkowskiej. Ten ledwie widoczny zarys rozedrganych napisów pobudził w nim jakąś myśl. Jeden z trybów, do tej pory zakleszczony w dziwnej niemocy, ruszył, poruszył inne tryby w głowie doktora. Winnicki wypuścił głośno powietrze, machnął na Olafa, by ten wszedł do środka, a sam odwrócił się na pięcie i chwycił klamkę drzwi paromobilu. Fiakier miał dobry refleks – niemal natychmiast rozległ się zgrzyt hamulców, buda pojazdu zakołysała się i zatrzymała. Andrzej zapakował się z powrotem do środka i stuknął swoją laską w szybkę

oddzielając go od mężczyzny.

– Dokąd szanowny pan sobie życzy?!

- Z powrotem na Politechnikę! – zagrział donośnym głosem Winnicki. – Tylko migiem!

1932
BRESLAU,
KAMIENICA PRZY KLOSTERSTRASSE

Te kilka godzin ciągnęło się w nieskończoność. Młody porucznik chwilami czuł się jak łowna zwierzyna, a czasem jak myśliwy. Klatka schodowa przesiąkała wilgocią. Chłód bił od ścian i podłogi, a ostry piwniczny zapach drażnił nozdrza.

Marek ruszył w górę, nasłuchując odgłosów wydobywających się zza kolejnych mijanych drzwi.

Schody zdradliwie skrzypiały pod butami, na szczęście w starej kamienicy odgłos ten nie był niczym niezwykłym. Blizna pokonywał kolejne stopnie, nie pozwalając sobie nawet na chwilę zawahania.

Staął na trzecim piętrze i odpalił zapalniczkę. Na najbliższych drzwiach dostrzegł tabliczkę z nazwiskiem Robert J. Szmidt.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że mężczyzna mieszka sam.

Marek przygotował wcześniej wytrych. Swego czasu Biegus nauczył połowę plutonu szybkiego i niezawodnego forsowania wszelakich zamków. Blizna nawet nie chciał się zastanawiać, do czego szeregowy używał tych umiejętności.

Nad wyraz często jednak z magazynów zaopatrzeniowców znikwały pozamykane podobno na cztery spusty konserwy.

Teraz nauki Biegusa mogły mu się przydać.

Porucznik zbliżył się do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Z mieszkania nie dobiegał żaden odgłos, za to piętro niżej ktoś wyszedł na korytarz. Słyszał było kłótnię małżonków. Blizna wykorzystał moment, gdy scysja przybrała na sile. Nacisnął klamkę i popchnął delikatnie drzwi. O dziwo, były otwarte. Nie zastanawiał się długo, wkroczył w wąski przedsiónek, starając się nie narobić hałasu.

Obrzucił wzrokiem najbliższe pomieszczenie. Kuchnia była pusta, jednak z prawej dostrzegł kolejne drzwi, prowadzące zapewne do jednego z pokoi. Kłótnia piętro niżej rozbrzmiała z nową siłą.

W pokoju zatrzeszczał mebel. Marek zdawał sobie sprawę, że nie może się już cofnąć. Był niczym desperat stąpający po wąskiej linii. Wiedział, że musi jak najszybciej dotrzeć do celu, zanim runie w przepaść.

Wkroczył do pomieszczenia i nagle stanął jak wryty: zatrzymał się na wprost wymierzonego w swoją głowę pistoletu.

– Nie ruszaj się!

Wypuścił powietrze. Dłoń Szmidta drżała. Mężczyzna trzymał broń wysoko, niemal nad swoją głową, jakby chciał ją odstawić na półkę najbliższego mebla.

– Lepiej odłóż to, Szmidt, zanim wejdą tu agenci RSD. Chyba nie chcesz zrobić kolejnego głupstwa?

Marek improwizował. Dostrzegł wahanie Szmidta i zamierzał to wykorzystać.

– Słyszysz, co mówię?! – Wyprostował się, tak by z jego postawy emanowała pewność siebie. – Chyba nie myślisz, że jestem tu przez przypadek? Jutro przylatuje kanclerz Rzeszy, sprawdzamy wszystko i wszystkich! Nasze podejrzenia budzi Moltke, Stephen Moltke, o którego cię pytałem!

Wydawało się, że Szmidt opuści broń, jednak tego nie zrobił.

O dziwo, jego dłoń przestała drżeć, a on sam wydawał się teraz spokojniejszy.

– Masz położyć się na podłodze, a ręce dać za głowę!

– Szmidt, zastanów się, co robisz!

– Łżesz jak pies. Śledziłeś mnie przez całą drogę od Jahrhunderthalle. Jesteś szpiegiem! Widziałem, jak się kręcisz przy hali!

– Dostałem taki rozkaz. Miałem cię śledzić. Spisek, na który natrafiliśmy...

– Zamknij się. Nie zrobisz ze mnie idioty. Takich szcurków jak ty jest teraz w Breslau mrowie. Wyłazicie

spod ziemi niczym zaraza. Masz trzy sekundy, żeby wykonać polecenie.

Nie mając wyboru, Marek położył się na deskach podłogi. Założył ręce za głowę, obserwując czubki butów mężczyzny.

Próbował zrozumieć, jaki plan ma Szmidt.

– Ruszysz się, kulka w łeb. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Gospodarz przeszedł do szafy. Otwieraniu drzwi towarzyszyło ciche skrzypnięcie. Kilka wieszaków spadło, gdy mężczyzna mocno za nie szarpnął. Na podłogę zsunęły się grube skórzane paski.

– Razem nogi!

Marek wykonał polecenie, choć z ociąganiem. Wciąż szukał swojej szansy. Miał nadzieję, że Szmidt popełni błąd.

Mężczyzna podszedł do leżącego i stanął u jego stóp. Pochylił się i wbił lufę pistoletu w jego żebra.

Marek słyszał pobrzękiwanie sprzączki. Szmidt mówił coś do siebie pod nosem, chyba nie do końca wiedział, w jaki sposób użyć pasków, by unieruchomić jeńca. W końcu skórzana pętla dotknęła nóg Winnickiego. Niemiec przeklął kilka razy dosyć głośno, ale w końcu unieruchomił jego dolne kończyny.

- Teraz ręce. Za plecy!

Kolejny skórzany pas przesunął się wzdłuż kręgosłupa. Blizna wiedział, że za chwilę straci swoją szansę. Nie było miejsca na błąd.

Skupił się na tym, by w mechanicznym ramieniu skumulować ładunek elektryczny. Robił to już wiele razy. Co prawda dotychczas używał napięcia przy naprawie urządzeń mechanicznych, ale miał nadzieję, że wyładowanie pomoże mu teraz zneutralizować Szmidta.

Mężczyzna w tym czasie próbował się uporać z zaciąganiem paska na nadgarstkach Winnickiego.

- Złącz dłonie! Słyszysz? Złącz dłonie!

Zniecierpliwiony Szmidt pochylił się nad Markiem i chwycił go za nadgarstek. To wystarczyło. W pokoju rozległ się trzask wyładowania. Niemiec krzyknął i runął na podłogę.

Marek przekręcił się na bok, próbując przygnieść mężczyznę do ziemi. Okazało się to niepotrzebne. Robert J. Szmidt wpatrywał się w sufit swojego mieszkania szklistym, martwym wzrokiem.

1932
WARSZAWA,
GMACH POLITECHNIKI

Winnicki w gmachu Politechniki natknął się na dwóch aspirantów, których Sieniawa wyznaczył do ochrony budynku. Na szczęście nie okazali zdziwienia jego powrotem o tak późnej porze. Siedzieli w stróżówce zajęci graniem w karty.

Doktor wymienił z nimi kilka słów i ruszył schodami na piętro.

Skierował się wprost do gabinetu profesora Waldorfięgo. Zamek był wyłamany i nikt nie kłopotał się zamontowaniem nowego. To ułatwiło mu sprawę. Zdjął ostrożnie taśmy odgradzające przejście i wszedł do środka. Gdy znalazł się w pokoju, zapalił lampkę na biurku Leonarda; żółte światło wypełniło gabinet, przyprawiając o świdrujący ból w czaszce.

Doktor rozejrzał się. Sieniawa musiał nakazać opróżnienie pomieszczenia z większości dokumentów. Na podłodze leżało kilka pomiętych kartek, na półkach pozostawiono książki, które najpewniej stanowiły stałe wyposażenie gabinetu.

Jedynie szkarłatna plama na dywanie przypominała o niedawnej tragedii.

Doktor uniosł trzymaną w dłoni laskę i przesunął nią klosz lampy, tak by wiązka światła skoncentrowała się na dywanie.

Obraz tamtego wieczoru powrócił mu przed oczy w jednej chwili. Zamrugał gwałtownie i znów obrócił lampę, przesuwając świetlisty okrąg po ścianach i sprzętach.

Poczuł, że przyspiesza mu puls. Lampa znieruchomiała. Cyfry, równania, ledwie widoczny ich zarys na ściennej tablicy.

Te same obliczenia, które widział w Warsztatach Lotniczych.

Zrobiło mu się słabo. Usiadł w fotelu, drżącymi dłońmi sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął z niego kopertę. Otworzył ją i po raz kolejny przebiegł oczami tekst listu. Dopiero tym razem był w stanie dostrzec właściwą wiadomość od syna.

Winnicki wstał, zatoczył się na ścianę. Złapał za słuchawkę.

Sieniawa odebrał po dwóch sygnałach.

- Słucham?

- Tadku... Oni wszyscy. Oni nie dotarli do Stanów.

- O czym mówisz? Andrzej, to ty? Co się stało?

- Oni wszyscy... - Winnicki poczuł, że brakuje mu powietrza, nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Andrzej, nic nie rozumiem. Co ci jest? Możemy się spotkać, nawet teraz. Gdzie jesteś?

- Ja... - Połączenie zostało zerwane. W słuchawce rozległ się pisk, a potem zaległa cisza. Winnicki uderzył w widelki, spróbował znów wybrać numer, ale aparat pozostawał martwy.

Ta awaria go otrzeźwiła. Ruszył do drzwi, opierając się ciężko na lasce. Chciał jak najszybciej opuścić Politechnikę i wezwać dorożkę. Wiedział, że musi porozmawiać z Sieniawą.

Gdy znalazł się w korytarzu, od schodów doszedł go odgłos kroków.

W pierwszej chwili nie mogła tego zrozumieć. Gdy zatrzymali się pod gmachem Politechniki, Marianna spojrzała na Juliusza podejrzliwie. Odpowiedział wzruszeniem ramion, jakby to była część jego gry, tej niespodzianki, którą tak tajemniczo zapowiedział. Otworzył przed nią drzwi, weszła niepewnie w ciemność.

Wzdrygnęła się, gdy w cieniu pod kolumnami holu dostrzegła nieruchome postaci. W pierwszej chwili wzięła je za posągi, potem dotarło do niej, że wpatrzone w nią oczy nie są pozbawione życia - błyszczały jakimś chorobliwym blaskiem.

- Gdzie idziemy? - zapytała cicho. Zatrzymała się w pół kroku. Poczula na plecach nieprzyjemny chłód.

- To ta niespodzianka. Nie mówiłem ci wszystkiego...

Ujął ją pod ramię. Zawsze robił to tak delikatnie, a ona wyczuwała ciepło jego dłoni i siłę, dzięki której czuła się bezpiecznie. Teraz miała wrażenie, że pod jej ramię wsunięto metalowy pręt.

Chciała krzyknąć. Wyobraziła sobie nawet, jak jej wołanie o pomoc rozlega się w korytarzach, przenika przez krużgankowe kondygnacje i rozlega się na wewnętrznym dziedzińcu. Nie była jednak w stanie wykrztusić z siebie nawet słowa.

– Nie bój się.

Skierowali się schodami na pierwsze piętro.

Nagle uchyliły się przed nimi drzwi i stanęła w nich drobna postać. Marianna uniosła dłoń do czoła, mrużąc oczy.

– Co wy tu robicie?

Dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia, rozpoznając ten głos, a Juliusz zaśmiał się głośno.

Wtedy wszystko zrozumiała.

Winnicki nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Próbował zrozumieć sytuację. Marianna nigdy nie odwiedzała go

niezapowiedziana, a teraz w dodatku szła w towarzystwie młodego mężczyzny.

W pierwszej chwili doktor uznał, że tych dwoje spotkało się przypadkowo zaledwie chwilę temu, ale uważniejsze spojrzenie przeczyło temu założeniu. Znali się? Szli pod ramię, jakby byli parą. Jakby pozostawali w najlepszej komitywie od dawna. I żadne do tej pory nic mu nie powiedziało? Zakrawało to na jakiś żart.

– Co wy... tu robicie?

Na twarzy Marianny pojawił się cień, uśmiech nieco przygasł, wchłonięty przez półmrok otoczenia. Popatrzyła na swojego towarzysza, jakby szukała tej samej odpowiedzi.

– Doktorze? – mężczyzna zaśmiał się chrapliwie, unosząc teatralnie dłoń. – Przyszliśmy po twoje błogosławieństwo!

Usta Winnickiego otworzyły się, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Tył jego głowy objęła lodowata obręcz.

Patrzył w szkliste, jakby nieobecne oczy córki. Mariannę przeszył dreszcz, skuliła się w sobie, a ramię, które ją otaczało, ścisnęło ją niczym imadło.

Doktor ujął mocniej laskę i ruszył w dół schodów.

– Puść ją! – krzyknął. Działał instynktownie, jeszcze do końca nie dotarł do niego sens tego, co się tutaj działo, ale w jego umyśle krystalizowała się już świadomość zagrożenia. – Puść ją, mówię!

– Spokojnie, staruszkule! – Kotula szarpnęła Mariannę tak mocno, że ta krzyknęła. Na jej twarzy malowało się przerażenie i niezrozumienie. – Iodłóż to!

Winnicki przekręcił gałkę laski, odbezpieczając mechanizm spustowy, zawahał się jednak. Asystent wiedział o tej ukrytej broni.

– Powiedziałem: odłóż to, jeśli nie chcesz, by stała się jej krzywda!

W holu pojawiły się cienie, wolno zbliżały się do schodów i doktora. Postaci w ciemnych płaszczach pokonywały stopień po stopniu, wojskowe buty stuknęły głucho, dźwięki przypominały uderzenia sekundnika odmierzającego czas.

I ten czas Winnickiemu się skończył. Poczul za swoimi plecami ruch, a potem ktoś wykręcił mu dłoń do tyłu. Laska wypadła z dłoni, a doktor poczul świdrujący ból.

Zachwiał się, przez chwilę wydawało mu się, że zdoła się wyrwać z uchwytu napastnika, ale wtedy wpadł w ręce tych, którzy zmierzali w jego stronę.

Usłyszał krzyk Marianny, stłumiony przez Kotulę, który zatkał jej usta dłonią. Potem ogarnęła go ciemność, gdy na głowę zarzucono mu jakiś worek lub szmatę i pociągnięto w dół schodów ku wyjściu.

Rozmawiali po niemiecku. Doktor, zanim wrzucono go na pakę ciężarówki, dostał pięścią w żołądek, co całkowicie

pozbawiło go tchu, a potem uderzenie kolbą w głowę. Upadł bezwładnie na twarde podłoże. Ból świdrował czaszkę, kręciło mu się w głowie, ale jego umysł rejestrował wciąż wszystkie szczegóły, wszelkie dochodzące do niego dźwięki.

Wiedział, że w tej chwili musi zachować spokój.

– Dziewczyna jedzie ze mną do domu starucha, a jego, do lasu...

– Tak jest. Skończmy tylko załadunek.

– Nie pozostawcie w gabinecie Winnickiego żadnych śladów. Wszystkie dokumenty z dzisiejszych badań mają się znaleźć na wozie!

Winnicki usłyszał kroki. Potem tuż przy jego głowie wylądowało coś ciężkiego. Wrzucali na pakę samochodu grube segregatory z wykresami fal mózgowych przebadanych żołnierzy. Doktor spróbował poluzować więzy. Ręce wciąż miał wykręcone, a dłonie ciasno związane za plecami; liną opleciono mu także kostki. Przeturlał się do burty, z trudem uklękł i oparł o nadbudówkę. Palce dotknęły drewnianego rusztowania. Winnicki przesunął się mozolnie w bok. Nie było niczego, o co mógłby zahaczyć sznur. Liczył na gwóźdź albo chociaż wystający sęk.

- Wypał papierosa i wskakuj na pakę, jeśli uciekniesz, zarobimy kulkę, rozumiesz?

Znow niemiecki, chociaż z wyraźnym rosyjskim akcentem. Winnicki miał mętlik w głowie. Kto przeprowadził tę akcję?

Dla kogo pracował Kotula?

– Doktorek dostał w łeb, obudzi się na miejscu.

- Jurgen! Powiedziałem, skończ papierosa i wskakuj na pakę!

– Dobra... kończę.

Winnicki wiedział, że za chwilę jeden z napastników uniesie plandekę i przekona się, iż więzień jest przytomny. To zapewne skończyłoby się ponownym pobiciem.

Ogarnęła go panika, czas uciekał. I wtedy, w krótkim przeblasku, przyszło olśnienie. Przypomniał sobie, że segregatory, które wrzucono obok niego na pakę, mają metalowe okucia. Wzmocnienia chroniły okładkę przed wielokrotnym wysuwaniem i wsuwaniem na półkę. Były robione na jego specjalne zamówienie.

Doktor opadł na podłogę, po omacku odszukał miejsce, gdzie wrzucono dokumenty. Wyczuł palcami jeden z segregatorów. Miał problemy z jego otwarciem. W końcu jednak przygniótł go ciałem i raniąc palce, odgiął jedno z zakrzywionych okuć. Leżąc na boku, przygnał plecami do nadbudówki.

Szarpięcie plandeki. Kolejny pakunek wrzucony do środka. Chwilę później burta zakołysała i rozległ się łomot butów na drewnianej podłodze.

Cisza. Winnicki czuł na sobie spojrzenie tamtego. Rozluźnił ciało, miał nadzieję, że oprawcy nie przyjdzie do głowy sprawdzanie stanu więźnia.

– Ruszamy!

Parowe silniki zakrzuszyły się i świsnęły. Pakę zatrzęsło. Hałas przez chwilę był nie do zniesienia, mimo że na głowie Winnickiego wciąż tkwił jutowy worek. Strażnik najprawdopodobniej w coś uderzył, bo zaklął paskudnie. Potem jednak musiał usiąść na podłodze, bo jego psioczenia zaczęły dobiegać gdzieś z boku, a nie z góry.

Winnicki miał nadzieję, że mężczyzna stracił nim zainteresowanie. Mógł świadczyć o tym zapach mocnych papierosów, który zakręcił go w nozdrzach.

Ogarniała go rozpacz i bezsilność. Wiedział, że musi przeciwstawić się tym uczuciom, inaczej doprowadzi do zguby własne dzieci. Marek, Staszek, Marianna... to on naraził każde z nich. To z jego winy Marianna znalazła się w rękach Kotuli i jego morderców. Dał sobą manipulować. Łatwoierność i głupota. Wykorzystali każdą z jego wad, a za jego próżność odpowiedzieli najbliżsi. Musiał zaryzykować, musiał zrobić wszystko, żeby uratować chociaż córkę.

Dłonie doktora przesunęły się w rytm kołysania paki, a sznur ocierał się o żelazne okucie segregatora. Rozcinał skórę, szarpał żywą tkankę, ale nie zwracał na to uwagi. Modlił się, żeby zdążyć przeciąć więzy, zanim dojadą na miejsce. Do lasu, który miał być jego ostatnim przystankiem.

1932 WSPOMNIENIA

Ostatnie wydarzenia budzą coraz większy niepokój. Mamy już lata trzydzieste, a z każdym dniem wykrwawiamy się coraz mocniej. Na wschodzie kazałem wycofać się naszym wojskom, skracając długość frontu. Co dziwne, Rosjanie nie ruszyli do przodu, jakby też nie mieli sił na zajęcie opuszczonych terenów. Nie wiem, co robić. Projekty, które miały nam zapewnić przewagę technologiczną, nie spełniają oczekiwań.

Jeśli nic się nie zmieni, będę winnym śmierci tego narodu.

Wskazówka przechyla się w stronę pierwszej litery, potem kolejnej. Zapisuję je odruchowo w notatniku. Zjawia komunikuje się ze mną coraz rzadziej. Nie wiem, jaka jest przyczyna tej zmiany, ale widmo wydaje się słabsze. W słowach, które oznacza, pojawiają się błędy. Czasem nie wiem, co chce mi powiedzieć.

Muszę podjąć jeszcze kilka decyzji, które zmienią naszą przyszłość. Czuję się tak, jakbym miał przestawić zwrotnicę tuż przed rozpędzonym pociągami. Jeśli popełnię błąd, pociąg wykolei się, ale jeśli uda mi się przewidzieć wszystko właściwie, pociąg pojedzie torem, który poprowadzi go bezpiecznie przez stulecia.

KONIEC WOJNY BLISSKO. USA... CIERPUWOŚ

Wstałem od stołu, gdy przekaz nie został jeszcze w pełni zakończony. Wskazywała wciąż te same, puste słowa. Raczyła mnie nimi od kilku miesięcy. Ruszyłem do pokoju gościnnego. Pchnąłem drzwi i wkroczyłem do ciemnego pomieszczenia.

Wydało mi się, że przy oknie zobaczyłem poruszenie. Okiennice uderzyły o ramę, a w pokoju czuć było przeciąg.

Zamknąłem okno i zapaliłem światło. Dopiero po chwili pod drzwiami dostrzegłem kartkę papieru. Pomyślałem, że to wiatr strącił jeden z dokumentów i przygnał z mojego gabinetu aż tutaj, ale gdy pochyliłem się nad zapisaną stroną, zamarłem. Widniały na niej słowa, które znalazły się w przekazie zjawy. W pierwszej chwili byłem pewny, że w pokoju gościnnym pojawił się szpieg, zapisujący słowa, które bezwiednie odczytywałem na głos. Jednak kilka kolejnych zdań...

Zjawia nie zdążyła ich wypowiedzieć, więc trudno było przypuszczać, żeby nieproszony gość był jasnowidzem.

„...cierpliwości. Dzięki nam wszystko się teraz rozstrzygnie. Dzięki nam. Nic już nie zmienisz”.

Poczułem wtedy potężny zawrót głowy i mdłości.

Ocknąłem się w szpitalu. Lekarze ostrzegają mnie przed udarem. Cena moich decyzji jest coraz większa, widać płacę za swoje błędy.

Wciąż staram się myśleć racjonalnie, próbuję to wszystko zrozumieć. Jednak nie wiem już, w co wierzyć. Nie wiem, którą drogą iść. Z każdym dniem czuję się gorzej. Choroba wyniszcza organizm. Zostało mi coraz mniej czasu. Projekt Waldorfięgo, sojusz ze Stanami...

I tak... nic już nie zmienię...

1932 PRZEDMIĘSCIA WARSZAWY

– Wstawaj! Co tam robisz?

Strużki potu skropiły czoło doktora, spływały po powiekach, skapywały z nosa i skroni. Oddychał coraz szybciej. Zaczynał się dusić, bo worek nie przepuszczał wystarczającej ilości powietrza. Trwało to już kilkanaście minut. Strażnik musiał dostrzec, że z jeńcem jest coś nie tak.

– Wstawaj!

Kopnięcie w brzuch wydusiło resztki powietrza z jego płuc. Winnickiemu wydawało się, że czubek wojskowego buta przeszedł przez organy wewnętrzne i wbił się w kręgosłup.

– Boże – wyszeptał, udając, że dopiero ten paroksyzm bólu przywrócił go do przytomności.

Zemdliło go, zwymiotował. Worek wypełnił ciepki smród. Winnicki uniósł głowę. Wydawało mu się, że zaraz się udusi.

Mocne szarpnięcie. Worek zsunął się z głowy jeńca i doktor mógł wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem.

– Co kombinujesz, Świnio?

Tym razem szarpnięcie postawiło go do pionu. Opadł na kolana, próbując skupić wzrok na szerokiej, wykrzywionej twarzy napastnika.

– Kim jesteście? – wyszeptał. – Gdzie mnie wieziecie?

Głowę przeszył kłujący ból. Strażnik uderzył go otwartą dłonią w skroń.

– Obróć się! – rozkazał.

Mężczyzna pochylił się i szarpnął za sznur, którym związane były ręce więźnia. Po chwili zaklął zaskoczony i uniósł swoje dłonie do światła. Były przesiąknięte krwią.

Winnicki wykorzystał zawahanie oprawcy. Zwinął się i uderzył go czołem na wysokości klatki piersiowej. Trafił w splot słoneczny, pozbawiając strażnika tchu. Błyskawicznie szarpnął rękami, modląc się, by naruszony sznur pękł. Nie udało się.

Napastnik po chwilowym oszołomieniu próbował wyciągnąć z kabury pistolet, lecz na kolejnym wyboju broń wypadła mu z ręki. Obaj potoczyli się ku burcie.

Chrzęst silników parowych zagłuszał ich szamotaninę. Winnicki skoczył na strażnika i wbił się kolanami w jego brzuch.

Opadł na niego i nie zważając na ból rozsadzający czaszkę, znów uderzył czołem, tym razem w głowę mężczyzny. Tamten wrzasnął i odepchnął go kolanami. Doktor gruchnął o burzę, ze zdziwieniem uświadamiając sobie, że ręce ma wolne.

Wykorzystał moment, w którym strażnik opadł na kolana, próbując odnaleźć pistolet. Skoczył na plecy mężczyzny, oplatając rękami jego szyję. Znów gruchnęli na podłogę. Przeciwnik próbował rozluźnić uścisk miażdżący mu tchawicę.

Doktor czuł na policzkach paznokcie, które wbijały się w skórę. Z trudem odchylił głowę.

Szarpanina wydawała się trwać wiecznie, Winnicki dyszał ciężko, opadał z sił. Gdy już wydawało mu się, że strażnik się uwolni, mężczyzna wyprężył się po raz ostatni i znieruchomiał.

Doktor oddychał z trudem. Odczekał jeszcze chwilę, a potem odepchnął trupa. Pociemniało mu przed oczami, bał się, że zemdleje, jednak adrenalina zrobiła swoje. Wiele lat temu poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie zabije człowieka.

Teraz nie miał nawet wyrzutów sumienia. W końcu usiadł i obszukał kieszenie zabitego. Znalazł w nich scyzoryk, dzięki któremu szybko oswobodził nogi. Zaczął działać jak automat. Zdjął płaszcz zabitego i założył go na siebie. Ciało przykrył swoim paltem. Broń strażnika leżała w stercie papierów, podniósł ją i przeszedł na tył pojazdu.

Samochód wciąż trząsał się na nierównościach. Winnicki uchylił plandekę i wyjrzał na zewnątrz. Wyjechali z miasta.

Znajdowali się teraz na jakiejś bocznej drodze, w ciemności widać było coraz liczniejsze drzewa. Nikt za nimi nie jechał.

Andrzej, wychylając się, nie dojrzał też żadnych samochodów przed ciężarówką. Decyzję podjął błyskawicznie.

Wysunął nogę za burtę, ale w tej samej chwili rozległ się pisk hamulców i ciężarówka gwałtownie stanęła. Drzwi szoferki trzasnęły z hukiem, a żwir zatrzeszczał pod butami zbliżających się mężczyzn. Doktor zrezygnował ze swojego planu. Zawahał się, po czym z lękiem wypełniającym trzewia stanął tyłem do wyjścia.

Kilka chwil później plandeka się uniosła, a snop latarki przesunął się po wnętrzu paki.

– Dalej nieprzytomny?

– Ta Świnia chciała uciec! – Winnicki mówił po niemiecku, próbując naśladować gardłowy głos zabitego. Miał nadzieję, że słuch siedzących w szoferce będzie równie przytępiony przez hałas silników, co jego. – Chyba za mocno oberwał!

- Zabiłeś go?

– Sprawdź – wycharczał w odpowiedzi.

– Podaj rękę, durniu!

Winnicki odwrócił się do mężczyzn, którzy patrzyli na trupa leżącego na podłodze. Nie zastanawiał się nawet sekundy, nie miał czasu na myślenie. Liczyło się tylko to, by uratować córkę. Nacisnął spust.

Zaparkował skradzioną ciężarówkę przy swojej ulicy, niemal rozjeżdżając latarnię. Wskoczył z kabiny. Czaszka zatętniła bólem, wydawała się pękać niczym łupinka orzecha. Widział jedynie światło przed sobą i otwarte drzwi kamienicy.

Zdążył?

Wbiegł po schodach do budynku. Nie dbał o swoje bezpieczeństwo. Zatrzymał się dopiero w korytarzu. Ciało Marty leżało pod ścianą. Stara kobieta przyciskała do piersi obie ręce, jakby chciała zatamować krew. Posoka rozlała się na deskach podłogi, tworząc ogromną brunatną kałużę.

Doktor przypadł do ciała kucharki i sięgnął do jej szyi, próbując wy badać puls. Wiedział jednak, że kobiecie nikt nie będzie już w stanie pomóc.

Naraz rozległ się głuchy, dudniący odgłos dochodzący gdzieś spod podłogi. Winnicki zauważył przy ścianie przygotowane do wyniesienia pudła z dokumentami. Ktoś był na dole. Przyszli po Golema.

Uniósł pistolet i wycelował go w drzwi prowadzące do warsztatu. Ruszył ostrożnie w ich stronę, uchylił i zaczął schodzić w dół.

Jeszcze u szczytu schodów omiół warsztat szybkim spojrzeniem. Dostrzegł trzech ludzi. Jeden z nich miał w rękach kanister, którego zawartość szczerze wylewał na sprzęty. Pozostali unosili drewnianą skrzynię, do której zapakowali Golema.

Winnicki zdecydował się wykorzystać zaskoczenie. Ruszył przed siebie. Wycelował w mężczyznę z kanistrem i nacisnął spust.

Bandyta spazmatycznie uniósł ręce, oblewając benzyną siebie i podłogę, po czym upadł na plecy. Andrzej wystrzelił po raz kolejny. Kula dosięgła drugiego mężczyznę, który trafiony w brzuch, zgiął się wpół i z impetem runął na jeden ze stołów. Skrzynia z Golemem z łoskotem upadła na podłogę.

Pozostał jeszcze jeden z bandytów. Ten zdążył uskoczyć w bok. Wystrzelił do Winnickiego. Odłamki drewnianej poręczy uderzyły doktora w twarz, lecz naukowiec nawet się nie uchylił. Szedł przed siebie, mierząc w głowę mężczyznę, próbującego ukryć się za skrzynią. Kolejna kula świsnęła tuż przy uchu doktora. Wymierzył w drewnianą ściankę i pociągnął dwa razy za spust. Do jego uszu doszedł głuchy okrzyk, a potem pozbawione życia ciało upadło tuż obok Golema.

Winnicki rozejrzał się wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem. Dopiero po chwili dostrzegł, że jeden ze

zbirów wciąż żyje. Wił się z bólu, patrząc na niego z nienawiścią.

Doktor podszedł do niego. Upewnił się, że nie ma przy sobie broni, i przyklęknął przy nim. Szybko ocenił obrażenia.

Bandyta mocno krwawił, nie miał wielkich szans na przeżycie.

– Gdzie moja córka? – zapytał po polsku, a potem powtórzył po niemiecku. – Gdzie zawieźliście moją córkę?!

Mężczyzna wyszczerzył zęby, zaczął rzezić. Winnicki przeczuwał, że za chwilę straci świadomość. Jeśli chciał coś z niego wyciągnąć, musiał działać. Uniósł swój pistolet i dotknął lufą wlotu rany.

Niemiec zaskowyczał jak zwierzę. Gałki oczne uciekły mu w głąb czaszki, jednak Winnicki uderzył go w twarz, nie pozwalając zemdleć.

– Wylałeś na siebie to świństwo. Jeśli nie powiesz, podpalę cię. Gdzie moja córka?!

Lufa zagłębiła się w ranie. Bandyta patrzył z przerażeniem na Winnickiego.

– Warsztaty Lotnicze – wycharczał w końcu mężczyzna. – Stamtąd do Berlina...

Doktor podniósł się i odsunął od umierającego. Spojrzał na leżącego w skrzyni Golema.

Metaloszkielec był nienaruszony. Ekipa zbirów nasłanych przez Kotulę lub jego mocodawców nie zdążyła go wynieść.

Najpewniej mieli proste rozkazy: zabrać Golema i dokumenty, spalić dom Winnickiego, zatrzeć ślady. Nie przewidzieli, że Winnicki zdąży im przeszkodzić.

Doktor zamarł. Usłyszał odgłos pocierania zapałki. Obrócił się do rannego, ale było za późno. Zdążył unieść jedynie ramię, by ochronić głowę, gdy gorący podmuch odrzucił go do tyłu.

Upadając, Winnicki uderzył o skrzynię. Poczuł ból w żebrach. Gdy udało mu się podnieść, ogień już się rozprzestrzenił.

Doskoczył do Golema. Nie mógł go zostawić. Tylko on dawał mu jakąkolwiek szansę w starciu z przeciwnikami.

Temperatura w pomieszczeniu podnosiła się z każdą chwilą. Winnicki przetarł spocone czoło rękawem płaszcza.

Nie miał szans wyciągnąć Golema z warsztatu o własnych siłach. Musiał go uruchomić. Nachylił się nad metaloszkieletem i włączył akumulatory. Te zahuczały w odpowiedzi, hydraulika wydała odgłos gotowości. Płyty pancerza rozsunęły się jednak dopiero po dłuższej chwili, jakby sprzeciwiały się przywróceniu do życia.

Winnicki uniósł głowę. Płomienie sięgnęły już sufitu.

W końcu Golem stanął otworem. Doktor wskoczył do skrzyni i położył się we wnętrzu metaloszkieletu. Wsunął buty w kleszcze zaciskowe i przyłgął plecami do obitego kauczukiem wnętrza. Obręcze wyczuły nacisk i objęły delikatnie operatora. Stalowe płyty ochronne zasunęły się z metalicznym szczękiem.

Winnicki poczuł się tak, jakby wkładał dobrze znoszone ubranie, drugą, długo nieużywaną skórę. Kiedy jednak próbował unieść lewą dłoń, siłowniki hydrauliczne zareagowały ze sporym opóźnieniem.

Przez ciało Golema przeszło drżenie, niekontrolowana drgawka. Skrzynia wygięła się od mocnego uderzenia, siłowniki zatańczyły w nierównej arytmii. Winnicki skupił się na tym, by podnieść Golema do pionu. Szkielet drgnął, górna połowa stalowego cielska uniosła się. Po chwili, podpierając się potężnymi ramionami, doktor stanął na nogi. Płomienie zdążyły ogarnąć większość sprzętów i drewniany sufit. Gryzący dym dostawał się do płuc. Naukowiec popatrzył na schody, a potem poruszył nogą. Szło mu opornie, w końcu jednak przestał walczyć z metaloszkieletem i rozluźnił ciało.

Krok, jeden, potem drugi. Trzask u sufitu. Belka stropowa runęła na sprzęt ustawiony pod ścianą.

Szybciej.

Cielsko Golema nagle stało się lekkie. Metaloszkielec ruszył przed siebie. Andrzej wkroczył na schody, zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę. Skierował się wprost w płonąca matnię. Przeszedł przez zadymiony korytarz i wypadł na zewnątrz, w przerażony tłum gapiów.

- Andrzeju!

Ludzie pierzchli niczym stado wróbli, widząc wychodzącego z płomieni Golema. Tylko jeden mężczyzna podbiegł do niego.

Doktor nie przejął się tym, że wywoła panikę w sąsiedztwie – raczej dziękował Bogu, że Olaf pojawił się we właściwym momencie.

– Pakujemy tego potwora na samochód – wysapał.

- Co z Martą?

Winnicki nie odpowiedział, ruszył do zdobyczej ciężarówki. Dopiero po kilku próbach udało mu się włączyć na pakę.

Miał nadzieję, że drewniana burta nie rozleci się pod jego ciężarem. Dopiero gdy stalowy rycerz został bezpiecznie ułożony na podłodze, już przy pomocy Olafa doktor wydostał się ze zbroi.

Samochody pożarnicze marki Hans - Lloyd, którymi szczyła się cała Warszawa, właśnie dotarły na miejsce. Głośny dźwięk syren odbijał się od kamienic, wprawiając w drżenie szyby w okolicznych oknach. Strażacy w ogóle nie zwrócili na uwagi na Winnickiego, zajęci przygotowaniami do gaszenia pożaru.

Doktor popatrzył na swój dom po raz ostatni. Wiedział, że pozostaną po nim tylko zgliszcza. Nie mógł dopuścić, by ta pożoga ogarnęła także jego bliskich. Odwrócił się od łuny ogarniającej ulicę i wskoczył do szoferki. Kazał Olafowi pędzić do Warsztatów Lotniczych.

1932
BRESLAU,
KAMIENICA PRZY KOLSTERSTRASSE

Marek usiadł ciężko na krześle. Oddychał głęboko, starając się opanować mdłości. Zabijał już wcześniej, ale zadawanie tamtej śmierci było inne. Czy na pewno?

Popatrzył na leżące na dywanie ciało. Wydawało się zapadać, rozpuszczać, zupełnie jak on sam.

Obszukał drżącymi dłońmi wojskową kurtkę. Zamiast papierosów natrafił na list, który dzień wcześniej przekazał mu Biegus. Otworzył kopertę i wyjął z niej zapisaną kartkę papieru. Położył ją na stole i rozprostował, przesuwając po niej spoczoną dłonią. Po chwili zaczął czytać.

Kochany Marku, nigdy nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. To moja wina i tylko moja. Sam oddalałem się od was, swoich dzieci.

Uciekałem. Przed czym? Nigdy nie znajdę odpowiedzi na to pytanie. Mój list jest objawem tchórzostwa. Wiem, że nie odważę się na szczerą rozmowę z Tobą, a i Ty nie będziesz chciał mnie wysłuchać. Wierzę jednak, że doczytasz te słowa do końca.

Często, częściej, niżbym chciał, wracam do tamtego dnia, gdy znaleźliśmy Cię w pracowni. Podczas badań mieliśmy kilka wypadków podobnych do Twojego. Były tragiczne w skutkach, jednak to, co stało się Tobie, miało szczególne znaczenie.

Tamto wydarzenie zmieniło całkowicie mój obraz świata. Wywróciło do góry nogami podstawy, na których opierałem swoją wiarę, tę naukową i tę... nazwijmy ją, drugą.

Kilka miesięcy po wypadku wróciłem do pracowni. Nie potrafiłem tam wejść przez długie miesiące. Skupiony byłem na Twoich kolejnych operacjach i zapewnieniu Ci żmudnej rehabilitacji. W końcu jednak nadszedł moment, kiedy chciałem zniszczyć całe zło, które stało się przyczyną Twojego kalectwa. Tak, chciałem zniszczyć Golema, ostatni ocalały egzemplarz stalowego rycerza.

W tamtym dniu wyjąłem karty z zapisem, które znajdowały się w jednostce centralnej maszyny. Przetrwały bez śladu uszkodzenia.

W pierwszej chwili nie byłem w stanie pojąć, z czym mam do czynienia. Przekaz nie przypominał żadnego z dotychczasowych. Ilość informacji, gęstość zapisu była wprost niemożliwa do odszyfrowania. Tak jakby jeden z najprostszych impulsów zawierał miliardy instrukcji, danych, które z kolei także rozdzielały się na kolejne segmenty i łańcuchy przekazów.

Badałem ten zapis przez kilka kolejnych lat...

Znasz działanie maszyny impulsowej. W chwili śmierci klinicznej pacjenta używałem jej do odczytu fal mózgowych umierającego. Robiłem tak też z tymi, którzy odeszli z tego świata. Na chwilę przed śmiercią intensywność impulsu jest niewyobrażalnie duża. Nigdy nie byłem w stanie zapisać i odczytać tego przekazu właściwie. Nie wiedziałem, czym jest.

Odnosiłem jednak wrażenie, jakby umierający mózg wysyłał ostatni, rozpaczliwy sygnał w bliżej nieokreślonej przestrzeni.

Po co?

W tamtym dniu w mojej pracowni Ty także przeżyłeś śmierć kliniczną. Twój mózg wysłał impuls. Ten impuls jednak nie został wysłany w eter, a został zapisany w pamięci Golema... Tak jakby na ułamek sekundy doszło do waszego zespolenia.

W czasie swoich studiów zapoznałem się z pracami Fryderyka Mieschera. Pisał on, że dziedziczenie zapewnia ciągłość formy z pokolenia na pokolenie, a podstaw tej ciągłości doszukiwał się w cząsteczce chemicznej, a nawet głębiej, na poziomie atomów. Ja patrzę na tę koncepcję z innej strony. Być może istnieje boska cząstka, w której zapisano życie, wzór, według którego powstaje człowiek, a może nawet Wszechświat. Co jednak dzieje się po śmierci człowieka? Czy cała jego wiedza, wspomnienia przestają

istnieć wraz ze śmiercią ciała i mózgu? Co z jego duszą?

Pytałeś, czy ludzka dusza istnieje, czy opuszcza ciało po śmierci i co dzieje się z nią dalej. Pytałeś, czy wierzę w życie po śmierci. Wtedy odpowiadałem ci zgodnie ze swoim przekonaniem, że śmierć jest naszym końcem.

Dziś nie byłbym w stanie dać równie jednoznacznej odpowiedzi.

Dochodzę do wniosku, że światło, które dostrzegają pacjenci podczas śmierci klinicznej, może być wynikiem rozbłysku powodowanego przez ostatni, najsilniejszy impuls wysyłany przez mózg. I jeśli przyjmiemy, że dusza jest formą zapisu wszystkich fal naszego mózgu, zapisem całej naszej świadomości, to w momencie śmierci ulatuje gdzieś w przestrzeń kosmiczną, a może... może wprost do biblijnego raju?

Podczas tamtego wypadku stało się z Tobą coś podobnego. Impuls, który wysłał Twój mózg, został zapisany w maszynie. Kopia Twojego ja została zachowana w Golemie.

Nieświadomie udowodniłeś, że życie po śmierci fizycznej może się toczyć dalej także tu, na Ziemi, a nie tylko za bramą świętego Piotra. Być może w przyszłości śmierć cielesna nie będzie czymś ostatecznym dla naszych umysłów. Skoro kopia Twojego ja mogła zostać zapisana, pozostaje kwestia przeniesienia tych informacji do czegoś, co mogłoby zastąpić śmiertelne ciało. Zwykle białkowe organizmy można zamienić na coś bardziej trwałego, wręcz niezniszczalnego. Kto wie?

Może tę funkcję będą kiedyś pełnić następcy moich Golemów? Wiem, to wizja fascynująca i przerażająca zarazem, ale czyż nie pozwoliłaby nam na osiągnięcie nieśmiertelności?

Bez względu na wszystko... Wierzę, że nasze życie tu, na ziemi, nie jest bezcelowe, a śmierć... śmierć nie jest ostateczna.

Dowiedziałem się tego, dzięki Tobie. Uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Ojciec

1932
WARSZAWA,
WARSZTATY LOTNICZE

Zatrzymali się przy murze od strony ulicy Puławskiej. Olaf odwrócił się do Winnickiego. Był błąd jak ściana. Doktor zrelacjonował mu w oszczędnych słowach wszystkie wydarzenia. Starszego mężczyzny zszokowały nie tyle usłyszane słowa, co zimny, rzeczowy ton, jakim mówił jego pracodawca.

– Poczekaj w ciężarówce, nie wyłączaj silnika. Jeśli się uda, wrócę z Marianną. Cała nadzieja w Golemie.

Wysiedli z szoferki i przeszli na tył samochodu. Winnicki wszedł do wnętrza metaloszkieletu i uruchomił go. Wraz z lokajem rozdarli plandekę okrywającą pakę, po czym doktor wdrapał się na mur. Pokonanie ogrodzenia z burty ciężarówki nie stanowiło większego problemu. Golem opadł ciężko na trawę i ruszył ku odległym budynkom.

Winnicki nie wahał się nawet przez moment. Wypełniała go determinacja, czuł siłę i jedność z maszyną. Kruche wnętrze uzyskało niemal niezniszczalną skorupę.

Przed budynkiem głównym widać było spory ruch. Co bardziej zaskakujące, część pasa startowego została oświetlona, jakby spodziewano się lądowania jakiejś maszyny. Winnicki zrozumiał, że stał się świadkiem ewakuacji wrogiej placówki.

Lada moment wyląduje samolot transportowy, który zabierze całą dokumentację, a także jego córkę.

Strażnicy. Doktor mógł się tego spodziewać. Zauważył dwa Golemy stojące przed budynkiem – zwaliste bryły w kształcie walca o lśniących, metalicznych pancerzach. Sprawiały wrażenie topornych, ale nie było wątpliwości, że jednego z nich doktor widział w gabinecie Waldorfięgo. Winnicki skierował się w bok, odbijając na lewo od budynków.

Jedyną szansą było wykorzystanie elementu zaskoczenia. Szybko ocenił uzbrojenie przeciwników. Mieli na plecach pokaźne butle, najprawdopodobniej miotacze ognia.

Zwolnił, a potem przystanął. Wziął głęboki wdech, starając się oczyścić umysł.

Dopiero wtedy ruszył. Najpierw wolno, potem stopniowo przyspieszył. Golem osiągał coraz większą prędkość i po chwili wypadł z ciemności, uderzając w tył najbliższego niemieckiego żelaznego żołnierza. Winnicki mierzył w zawór butli.

Ten manewr powiódł się mu znakomicie. Zawór pod wpływem uderzenia wyłamał się, a mieszanka zapalająca zaczęła z sykiem ulatniać.

Obstawa po chwilowym zamieszaniu zwarła szyki i otworzyła ogień do nacierającego Golema. Kule odbijały się od wzmacnianego korpusu, nie robiąc doktorowi krzywdy. Ten wciąż napierał na niemieckiego olbrzyma, pchając go ku drugiemu żelaznemu przeciwnikowi. Niemiecki operator nie był w stanie przeciwstawić się tej sile, tracił kontrolę, chwiał się i z trudem utrzymywał na nogach.

Drugi olbrzym ruszył ku walczącym. Winnicki wyczekał na odpowiednią chwilę, uskoczył w bok, tratując kilku ludzi z obstawy. Zatrzymał się, udając niezdecydowanie. Przeciwnik, chcąc wykorzystać ten moment, wycelował wylot miotacza i nacisnął spust. Zawory jego broni otworzyły się, nastąpił zapłon i fala ognia wydostawała się z rury, zmierzając wprost na doktora.

Winnicki wykonał niezgrabny uskok. Operator niemieckiej maszyny nie był przygotowany na ten ruch przeciwnika – wiązkę ognia przesunął w ślad za nim zbyt gwałtownie. Płomień tylko liźnął Winnickiego, za to trafił drugi z metaloszkieletów.

Wybuch targnął budynkiem. Szyby wyleciały z okien, a najbliższych atakujących odrzuciła fala uderzeniowa.

Doktor wykorzystał zamieszanie.

Obstawa uzbrojona w karabiny wciąż próbowała go unieszkodliwić, choć teraz wyraźnie straciła zapal.

Winnicki uderzył najbliższego natręta potężną pięścią od góry, jakby wbijał gwóźdź. Po Niemcu pozostała jedynie krwawa miazga. Kolejny cios odrzucił innych atakujących, gruchocząc im kości. Jednak najtrudniejszy przeciwnik wciąż znajdował się kilka kroków obok. Miotacz został ponownie wycelowany w Golema.

Doktor poruszał się błyskawicznie, dopadł Niemca, zanim ten nacisnął spust. Zmiażdżył w dłoniach lufę miotacza i pociągnął ją ku sobie, wyrwijąc elastyczne przewody. Dwa olbrzymy zwarły się w stalowym uścisku.

Winnicki uderzył piekielnie mocnym sierpowym w łeb żelaznej bestii, a potem w klatkę piersiową. Pancierz wygiął się ledwie zauważalnie. Maszyny naparły na siebie z całą mocą. Doktor zdał sobie sprawę, że w tej chwili stracił większość przewagi. Zwłaszcza że uderzenie, które przyjął na korpus, niemal przebiło jego metalową osłonę. Niemcy przy tworzeniu swoich maszyn musieli użyć lepszego stopu metali.

Winnickiemu udało się w końcu wydostać z uścisku przeciwnika. Odskoczył. Wydawało się, że będzie uciekał, ale nagle zawrócił i pochylając głowę, znów ruszył na olbrzyma.

Obie maszyny runęły na ścianę budynku. Cegły poddały się naporowi i walczący wpadli do wnętrza ciemnego pomieszczenia.

Doktor krzyknął, gdy poczuł rozdzierający ból w ręce. Przeciwnik wykręcił stalowe odnoże Golema, niemal je wyłamując. Stalowy ucisk stawał się coraz większy. Płyty ochronne trzeszczały jak zwykłe deszczułki. Winnicki wiedział, że lada chwila jego pancierz zostanie zgnieciony, a on wraz z nim.

Andrzej starał się znaleźć słaby punkt przeciwnika, pole widzenia miał jednak ograniczone przez przyłbicę. Próbował za wszelką cenę uchwycić pancierz okrywający klatkę piersiową operatora. Stalowa dłoń uderzyła raz i drugi w górną część korpusu i wtedy palce natrafiły na wolną przestrzeń pomiędzy płytą piersiową a górną częścią pancierza. Winnicki zwietrzył szansę i szarpnął mocno w swoją stronę. Nagle podłoga pod dwoma gargantuicznymi cielskami zatrzeszczała.

Runęli kilka metrów w dół. Andrzej stracił oddech, udało mu się jednak okręcić w powietrzu, tak że przygniół swoim ciężarem przeciwnika. Wiedział, że podobna sposobność już się nie powtórzy i musi wykorzystać oszołomienie Niemca.

Zapierając się nogami o korpus leżącej maszyny, szarpnął płytę jej pancierza w swoją stronę.

Niemiec oprzytomniał. Chwycił olbrzymią dłoń Golema, próbując ją odciągnąć, ale to tylko pomogło Winnickiemu.

Ochronna płyta wygięła się i oderwała ze zgrzytem, niczym górna część puszkii.

Przeciwnik stał się bezbronny jak wyciągnięta na brzeg ryba. Doktor bezlitośnie wykorzystał tę słabość i z całej siły uderzył. Widział, jak miękkie tkanki i żebra rozgniatają się pod wpływem uderzenia. Metaliczne ciało przeszedł dreszcz i po chwili niemiecka maszyna znieruchomiała.

Walcząc z ogarniającą słabością, Winnicki zmusił własnego Golema do powstania na nogi. Szybko ocenił uszkodzenia.

Jedno ze stalowych ramion zwisało bezwładnie przy boku. Doktor i tak nie zrobiłby z niego użytku, bo nie był w stanie poruszyć wybitym stawem barkowym. Podobne uszkodzenie miał jeden z elementów skrętnych w nodze. Coś zablokowało się podczas szamotaniny.

Mimo bólu w barku i obitych żeber doktor ruszył ku schodom. Wciąż napędzała go adrenalina i jedna myśl. Wiedział, że gdzieś blisko musi być przetrzymywana Marianna.

– Doktorze Winnicki!

Naukowiec zachwiał się. Nie mógł w pierwszej chwili uwierzyć w to, co widzi. Piętro wyżej, u szczytu schodów, w otoczeniu dwóch ochraniających go żołnierzy, stał prezes Cierzbicki.

– Doktorze, zaprzestań walki. Twojej córce nie stanie się krzywda.

– Boże... – Winnickiego ogarnęła wściekłość. Postawił stopę na kolejnym schodku. – Ty to wszystko zaplanowałaś? Ty?!

– Nie ruszaj się! Stój, na litość Boga!

Przemysłowiec dał sygnał jednemu ze swoich ludzi. Ten wycelował w Winnickiego ręczny granatnik. To poskutkowało, bo doktor przystanął.

– Wciąż ma pan szansę do nas dołączyć. – Cierzbicki skinął głową, wyraźnie zadowolony. – Wierzę, że

ma pan otwarty umysł i zrozumie, co chcemy osiągnąć.

- Jesteś kłamcą!

- Ależ mówiłem panu prawdę, doktorze, nic się w tej materii nie zmieniło. Postęp dla dobra ludzkości, dobrobyt, pokój.

Tylko my możemy go zapewnić.

- Wy?

- Tak. Ja i moi partnerzy. Niemcy, Polacy, Rosjanie, Francuzi, Amerykanie. Międzynarodowe konsorcjum zrzeszające najlepszych biznesmenów, wizjonerów. Jedynie my możemy być gwarantem wolności na tym kontynencie, a wkrótce i na innych. Świat bez granic, swobodny przepływ myśli, towarów i ludzi. Jest pan w stanie sobie to wyobrazić?

- Zastąpię dyktat innych swoim...

- Woli pan Hitlera? Stalina? A może Piłsudskiego? Weźmy chociażby Marszałka i jego zjawy. Przyznaję, wiara Naczelnika w duchy była nawet zabawna. Zwłaszcza że mieliśmy niemały udział w objawianiu się służących dobrą radą widm. Chce mi pan jednak powiedzieć, że popiera takich wariatów jak on? Nie sądzę! Pan, doktorze, rozumie, w którym kierunku podąży przyszłość. Nie chcemy wojny, chcemy pokoju, by móc się rozwijać. Jeśli jednak tylko groźbą możemy pokój zapewnić... to niechaj tak będzie!

- Inie cofnicie się przed niczym? – wyszeptał Winnicki.

- Jest pan człowiekiem inteligentnym, doktorze. Czego się pan spodziewa? Zbawcy Hoovera, który ocali was ode złego?

Polski od morza do morza? Czy może świętego spokoju?

- Nie, nie spodziewam się żadnej z tych rzeczy. Oszukaliście wszystkich, ale nie mnie...

- Doprawdy?

- Oflag. – stwierdził smutno doktor. – Taką wiadomość przekazał mój syn w liście, który rzekomo został wysłany ze Stanów. Być może późno, ale w końcu to zrozumiałem. Pociski transportowe nie leciały do Ameryki. W pierwszej chwili skłaniałem się ku myśli, że to sabotaż, że system podtrzymywania życia przestał działać podczas lotu. Jednak nie, on działał, ale według innych założeń. Wasz plan był dalece bardziej perfidny. Pociski transportowe lądowały w Niemczech, na tyle mogło starczyć powietrza w kapsułach. Żołnierzy internowaliście, sprzęt stawał się wasz. W ten sposób osłabialiście naszą armię. Wszystko w jednym celu, by lada dzień uderzyć, prawda? Niemcy wcale nie szykują się do natarcia na zachód Europy. Są już na to zbyt słabi. Podobnie Rosjanie...

- Brawo, panie Winnicki. – Przemysłowiec teatralnie uderzył w dłonie. – Wierzyłem, że pan to rozumie, ale i tak jestem pod wrażeniem!

- To gra na szeroką skalę. Osłabiliście nas, Niemców i Rosjan. Nikt w Berlinie, Warszawie czy Moskwie nie dostrzegł, że mamy wspólnego wroga. Wroga, który czeka, aż się wykrwawimy. Wojna stała się dla was poligonem doświadczalnym, na którym mogliście testować nowe zabawki, posiłkować wiedzę i arsenał zdolny pokonać każdego przeciwnika... Macie teraz kapsuły transportowe, technologię pocisków rakietowych i Golemy. Zastanawiało mnie cały czas, dlaczego nikt do tej pory nie użył metaloskieletów na polu walki. Czekaliście? Miały dokonać swojego dzieła w odpowiednim momencie.

- Doktorze, decydując się zostać tutaj i odbyć rozmowę z panem, podjąłem ogromne ryzyko. Zrobiłem to tylko w jednym celu: pragnę mieć pana u swego boku. Wierzę, że chciałby pan doczekać dnia, w którym pańskie dzieło zostanie w pełni ukończone. Pięć balonów stratosferycznych uniosło się dziś w powietrzu. Dzięki nim i kolejnym naziemnym przekąźnikom stworzyliśmy sieć, która pozwoli nam na zdalne kontrolowanie armii Golemów tutaj, w Moskwie, Berlinie czy Breslau. Jak pan widzi, doktorze, jesteśmy gotowi. Potrzebujemy jedynie operatora, który będzie zdolny pokierować armią.

- Moja córka tego nie zrobi.

- Będzie więc, proszę wybaczyć porównanie, naszym królikiem doświadczalnym. Znajdzie się kilku chętnych, którzy zechcą... przebadać jej zdolności. Do tego czasu Golemy będą obsługiwane przez tysiące naszych najemników. Wojna być może potrwa dłużej, ale jej wynik według mojej opinii jest przesądzony.

Winnicki czuł, że zaślepia go furia. Wciąż tkwił w paraliżu, który nie pozwolił mu się poruszyć. Wiedział, że kończy mu się czas.

– Doktorze. Pan wie, że w końcu znajdziemy odpowiednich operatorów.
– Co ma mi pan do zaproponowania? – wydusił z siebie naukowiec.
– Kontynuowanie badań, szczęśliwe życie rodzinne... Stworzenie nowego ładu.
– Nowy ład? Na czym miałby on niby polegać? – Już podczas wypowiedzania tych słów, Andrzeja uderzyła pewna myśl. – Hoover... Przylot prezydenta. Co chcecie zrobić? Wszystkich najważniejszych ludzi w naszym państwie będziecie mieć w jednym miejscu...
– To prawda. Czeka na nich niespodzianka... Coś, co pozwoli nam zademonstrować naszą nową siłę.
– Jesteście szaleńcami!
– Doktorze – w głosie Cierzbickiego pojawiło się ostrzeżenie – to ostatnia szansa, by pan do nas dołączył.

Winnicki powoli ruszył w górę schodów.
– Zatrzymać się! Opuścić maszynę! – krzyknął jeden z ochroniarzy.
– Ijak, panie doktorze? – Cierzbicki nie przestawał się uśmiechać, jakby był pewny swojego daru przekonywania. – Dołączy pan do nas?
– Ja... – Winnicki zatrzymał się i wyciągnął metalową dłoń przed siebie. – Puśćcie wolno moją córkę. Znajdę dla was operatora.

Prezes pokręcił głową i westchnął. Wyglądał na zawiedzionego. Ochroniarz zareagował nerwowo, ponownie unosząc granatnik.

– Nie widzę w panu woli współpracy – odezwał się przemysłowiec. – Nasze drogi, chyba się rozejdą.
Winnicki ocenił sytuację. Zdołał podejść na tyle blisko Cierzbickiego i jego ludzi, że wystrzał z granatnika był groźny dla nich wszystkich.

Decyzję podjął momentalnie. Przesunął cały ciężar Golema na sprawne odnoże i ruszył do przodu. Wtedy nastąpił wybuch.

Winnicki uderzył z impetem o ścianę i upadł na schody. Uszy rozdzierał mu palący ból, dopiero po chwili wyłowił w głośnym poszumie krzyki dochodzące z zewnątrz i warkot oddalającego się od budynku paromobilu. Jakimś cudem udało mu się wstać. U stóp Golema leżał trup jednego z ochroniarzy, ale sam Cierzbicki zniknął.

Doktor popatrzył wokół siebie. Budynek płonął, w suficie ziały ogromne dziury, a ściany stały się stosem cegieł i prętów. Surrealistyczne wrażenie potęgował zupełnie nieuszkodzony, leżący na podłodze plakat upamiętniający poznańską Powszechną Wystawę Krajową.

Doktor zakrzusił się dymem. Pokonując opór metaloszkieletu, wolno ruszył do drzwi. Każdemu ruchowi towarzyszyło skrzypienie i jęk przeciążonej hydrauliki. Winnicki oddychał z trudem. Podczas wybuchu płyty pancerza wgięły się do środka i teraz nieznośnie uciskały klatkę piersiową. W końcu jednak naukowiec zdołał wygramolić się z gruzowiska i wydostać na zewnątrz. W odległości dwustu metrów od niego, na pasie startowym, zatrzymała się ciężarówka. Wokół niej zgromadziło się kilku ludzi, wszyscy patrzyli w górę.

Coś rozbłysło wysoko na nocnym niebie. Winnicki też uniósł głowę. Jego oczom ukazała się podchodząca do lądowania maszyna.

– Boże...

Ruszył przed siebie. Dziesiątki kilogramów żelastwa jęknęło, sprzeciwiając się jego woli. Unieruchomiona noga zadziałała jak kotwica, sprawiając, że doktor stracił równowagę i Golem runął na ziemię.

– Nie teraz, błagam...

Podniósł się. Zmusił maszynę do kolejnego wysiłku.

Widział, jak ze sterowca zrzucane są liny cumownicze, a grupa ludzi ściąga go ku ziemi. Miał coraz mniej czasu.

Rozumiał, że za chwilę sterowiec przycumuje do wieży.

Teraz dopiero dostrzegł Cierzbickiego i Mariannę. Jego córka stała na ciężarówce, pochylona, przytrzymywana przez dwóch mężczyzn. Obok niej widać było Kotulę. On także dostrzegł Winnickiego. Poruszył się gwałtownie i wykrzyczał coś do swojej obstawy.

Od cum odskoczyło paru ludzi. Podbiegli do ciężarówki po broń. Chwilę później doktor usłyszał głuchy odgłos pocisków odbijających się od pancerza.

Sterowiec zniżał się coraz bardziej. Winnicki wiedział, że jeszcze chwila i Kotula wciągnie Mariannę do gondoli, da sygnał do ucieczki.

Krzyknął z bezsilności, gdy zrozumiał, że nie zdąży.

Nagle od strony bramy doszedł go ryk silnika. Błysnęły światła ciężarówki. Powietrze rozdarł potężny huk, a brama roztrzaskała się pod naporem rozpędzonych ton żelastwa.

Winnicki rozpoznał pojazd, którym przyjechał do Warsztatów Lotniczych z Olafem. Lokaj gnał teraz w stronę sterowca.

Istniała szansa, że jeśli wpadnie w obsługę ściągającą maszynę ku ziemi, uda mu się przerwać lądowanie i sterowiec znów się uniesie. Tylko w ten sposób można było zyskać na czasie.

W doktora wstąpiły nowe siły. Uwierzył, że ten manewr się powiedzie.

Sterowiec obrócił się leniwie na sterburtę. Rozległ się świst, którego znaczenia w pierwszej chwili Winnicki nie pojął. To ciężarówka prowadzona przez Olafa zmieniła nagle tor jazdy, a potem wpadła w poślizg, gdy opony zostały rozdarte pociskami dużego kalibru.

Kolejny manewr kierowcy i gwałtowny wybuch. Płonąca ciężarówka straciła rozpęd i gwałtownie skręciła w bok.

Ujechała jeszcze kilkanaście metrów i uderzyła w drzewo.

Winnicki wydał z siebie krzyk rozpaczny. Marianna została pchnięta przez Cierzbickiego w stronę gondoli. Doktorowi pozostało ponad sto metrów do sterowca. Ochrona Kotuli wciąż strzelała, odgłos sięgających celu pocisków brzmiał tak, jakby ktoś wrzucał kamienie do cynowego wiaderka.

We wnętrzu gondoli rozbłysło światło. Na wysuniętych schodkach pojawili się ludzie Kotuli. Do doktora doszedł krzyk jego córki. Marianna została wciągnięta na podest, a potem do wnętrza sterowca.

Andrzej przestał nad sobą panować. Dopadł pierwszego z Niemców, który był na tyle głupi, by wyjść Golemowi naprzeciw. Doktor staranował go, gdy ten nasadzonym na strzelbę bagnetem próbował dosięgnąć jego głowy.

– *Schnell!*

Komenda wzbudziła w doktorze furję. Sięgał po kolejnych napastników, zostawiając za sobą kolejne krwawe strzępy.

Z dzikim krzykiem rzucił się do schodków, odtrącając ludzi, którzy do niego przypadli. Poczul palący ból w boku, gdy jedna z kul przeniknęła przez pancerne płyty, lecz nie zwracał na niego uwagi.

Ludzie Kotuli wypuścili cumy holownicze. Sterowiec szarpnął się i po chwili uniósł w górę. Doktor rozpaczliwie sięgnął po jedną z lin. W ostatniej chwili udało mu się zacisnąć na niej stalowe palce. Błyskawicznie zahaczył ją o jedno z przęsł wieży i pociągnął do siebie.

W tym momencie opróżniono zbiorniki z wodą balastową. Sterowiec wyskoczył do góry niczym piłka wyskakująca z wody. Na linę zadziałała potężna siła. Winnicki otoczył nią ramię Golema i zapał się na nogach. Wiele by dał, żeby drugie z ramion również było sprawne.

Ochroniarze Kotuli zaatakowali z większą pewnością siebie. Otoczyli Golema, dwóch wskoczyło mu na barki. W mdłym świetle zabłysły ostrza noży.

Winnicki robił wszystko, by nie puścić liny i nie stracić kolejnego dziecka. Okręcił się w miejscu, strząsając z siebie ludzi Kotuli niczym muchy. Zapał się o przęsło wieży i pociągnął linę cumowniczą. Ta wydała żaloszny dźwięk pod wpływem naprężenia i doktor poczuł, że unosi się do góry. Nagle znalazł się blisko gondoli. Chciał sięgnąć burty, by rozpruć poszycie sterowca i wydobyć z niego Mariannę.

Aerostat jednak znów podskoczył do góry, a doktor uświadomił sobie, że w dłoni pozostał mu jedynie strzęp liny cumowniczej. Runął w dół, na kłębiących się pod wieżą napastników.

1932 WSPOMNIENIA

Zjawa znikła. Nie potrafię się już z nią komunikować... Nie wiem nawet, czy była rzeczywista.

Szum w głowie staje się nie do zniesienia. Jest niczym echo zapomnianej melodii, która próbując przypomnieć o sobie, wraca drażliwym taktom, lęklwym brzmieniem instrumentów, pogłosem dochodzącym z głębin zapomnienia. Słyszę wśród tych dźwięków bardziej rzeczywiste głosy. Dochodzą spoza gabinetu. Głosy mojej żony, przyjaciół, którzy zgromadzili się, by w dzień Wszystkich Świętych uczcić pamięć tych, którzy odeszli.

Stukot obcasów przemienia się w huk dział, brzęczenie kieliszków przypomina kąsanie pocisków. Dochodzą mnie też inne głosy. Jakby zapisane na drugiej warstwie rzeczywistości, tej, która odchodzi w niepamięć, zmieniona i oszukana.

Zdają się mnie przyzywać. A ja czuję się, jakbym nie potrafił zdecydować, do którego miejsca należą. Jakbym miał wraz z tamtą warstwą czasu wyblaknąć, a w końcu zniknąć w niepamięci.

Wciąż jednak tu tkwię.

Stoję przy oknie w swoim gabinecie, wpatrując się w przestrzeń za szybą. Nie tak daleko stąd okopy, w których giną coraz młodszy żołnierze. Chciałem poświęcić, uniknięcia kolejnej wojny, która zniszczyłaby nasz kraj. Co zaproponowałem w zamian? Dekadę głodu, strachu i wyniszczających walk. Pociągnąłem za sobą w otchłań cały naród.

Dostrzegam to w oczach Woyczyńskiego, który wciąż dba o moje zdrowie. Ma mnie za szaleńca. Być może się nie myli.

Przecież za oknem widzę tych, którzy odeszli. Podchodzą po kolei, oddają mi honory, choć powinni splunąć w moją stronę.

Materializują się w zakrwawionych mundurach, zostawiają na śniegu smoliste okręgi. Zaciskam palce na parapecie, sztywnieję, z trudem je rozwieram. Ktoś puka do drzwi. Czując zimny oddech na plecach, odwracam się w stronę światła.

To Ola, moja żona. Woła mnie do przyjaciół, tych, którzy jeszcze są wśród żywych. Idę ku niej i widzę, jak nagle jej ciepły oddech zamienia się w świetlistą parę.

Przez chwilę patrzy na okna, jakby sprawdzając, czy nie zostawiłem ich otwartych na oścież. Przesuwa dłońmi po swoich ramionach, drżąc na ciele. Wychodzę do salonu. Przejmujące zimno towarzyszy mi przy każdym kroku. Powiew chłodu dociera do gości. Są wśród nich i tamci... Długoszowski, Sosnkowski, Radziwiłł... Czarne krople spływają z ich przemarzniętych płaszczy na podłogę. Umarli wymieszali się z żywymi.

– Za mną, tylko ostrożnie ze sprzętem!

Marek znów improwizował. Nigdy jeszcze nie był tak bezczelny jak w tej chwili. Nie mógł jednak okazać wahania. Fartuch i identyfikator mogły mu pomóc pod warunkiem, że wartownicy nie zwrócą uwagi na jego wygląd.

Postanowił wykorzystać zamieszanie, do którego doszło podczas przyjazdu pod halę jednej z ciężarówek. Grupka pracowników zaczęła wyładowywać sprzęt z paki samochodu i do nich właśnie dołączył Blizna. Podniósł jedną z walizek i uniósł na wysokość piersi, przysłaniając twarz.

Strażnicy musieli zostać poinformowani o przybyciu ciężarówki, więc skupili się na kontroli przywiezionego sprzętu. Nie zwracali szczególnej uwagi na pracowników i tragarzy. Wystarczyło okazanie dokumentów Szmida.

Marek miał na nosie okulary zamordowanego mężczyzny. Niewiele przez nie widział, ale w ten sposób mógł sprawiać wrażenie krótkowzrocznego inteligenta.

Przekroczył bramę prowadzącą do hali i znalazł się w kularach budynku. Odłączył się od pracowników w dogodnym momencie. Wypatrzywszy schodki prowadzące na piętro, ruszył na górę. Przeszedł wąskim korytarzem, a potem skierował się do widocznych w oddali drzwi.

Nikt nie podniósł alarmu, być może jeszcze nie zauważono jego nieobecności. W pobliżu nie było też żadnego ze strażników. Marek nacisnął ostrożnie klamkę i uchylił ciężkie skrzydło, pomagając sobie ramieniem.

Przestrzeń, jaka się przed nim roztoczyła, wydawała się ogromna. Przez chwilę Blizna miał wrażenie, że znalazł się we wnętrzu żywej istoty, której klatka piersiowa odlana została z betonowych żeber. Promieniście schodzące się łuki tworzyły kopułę, która zdawała się surowa i lekka zarazem. Ta konstrukcja przytłaczała rozmachem i odwagą twórców.

We wnętrzu śmiało mogło się pomieścić kilka tysięcy ludzi.

Gdy Marek opuścił wzrok i spojrzał niżej, był pewny, że uległ przywidzeniu. U podnóża schodzącego się ku dołowi amfiteatru znajdowała się płaska przestrzeń wypełniona setkami stojących na baczność postaci. W pierwszej chwili młody porucznik doznał irracjonalnego przecucia, że oto stał się świadkiem generalnej próby przed powitaniem kanclerza Rzeszy. Wstrzymał oddech, był pewny, że zaraz wszyscy odwrócą się w jego stronę. Nikt jednak się nie poruszył.

Marek podążył ku schodom. Obraz, który miał przed oczyma, wydawał się nierzeczywisty. Schodek po schodku zstępował coraz bliżej metalowych korpusów, stalowej armii czekającej na rozkazy.

Wolnym krokiem wszedł między szpaler metaloszkieleatów. Czuł milczącą obecność maszyn, które pobudzić mógł zwykły impuls, myśl operatora. Sięgnął do najbliższego pancierza, jego opuszki dotknęły wytłoczonego symbolu – morskiego potwora skaczącego nad falami – i nazwy. Lewiatan.

Blizna zacisnął dłonie. Próbował pojąć to, co widzi, ale implikacje odkrycia stawały się nie do zniesienia.

Naraz w dzwoniącą w uszach ciszę wdarł się rozdzierający dźwięk alarmu. Najprawdopodobniej ochrona zorientowała się, że wśród tragarzy zabrakło jednego z pracowników, który wszedł z nimi do wnętrza Jahrhunderthalle.

Blizna spojrzał na wyjścia ewakuacyjne. Musiał natychmiast podjąć decyzję, którą z dróg wybrać, by opuścić pułapkę.

Szybko znalazł się przy schodach. Miał ruszyć nimi do wyjścia, gdy wokół niego rozległa się kanonada wystrzałów.

Marek spojrzał w górę. Od przejść nadbiegało kilku żołnierzy. Otworzyli ogień bez ostrzeżenia.

Porucznik pochylił się i zaczął biec z powrotem do głównej płyty hali. Jedyne schronienie mógł znaleźć

wśród metalowych korpusów. Był zaledwie kilka kroków od najbliższego rzędu Golemów, gdy poczuł mocne uderzenie w plecy.

Stracił oddech i runął na podłogę.

Ból był paraliżujący. Blizna sięgnął za siebie. Ciepła ciecz ciekła od łopatki w dół pleców. Z trudem ukląkł, a potem wstał na chwiejnych nogach. Grad kul przyjeły na siebie stalowe olbrzymy.

Porucznik zachwiał się. Poczucił się słabo, jakby zaraz miał zemdleć. Zatrzymał się przy jednym z Golemów i oparł rozpalone czoło o chłodny metal. Wnętrze hali rozdarł ogłuszający sygnał syreny alarmowej. Od strony przejść dochodziły okrzyki rozkazów i tupot butów.

Marek wiedział, że nie ma już gdzie uciekać. Decyzja mogła być tylko jedna.

Szarpnął pokrywę piersiową najbliższego metalooszkieletu i po chwili ją uniósł. Akumulatory były naładowane. Płyty ochronne odnoży rozsuneły się, zgłaszając gotowość maszyny do pracy.

Wsunął się do wnętrza Golema.

Pokrywy zamknęły się za nim z cichym sykiem. Blizna chwilę się wahał, ale w końcu zdecydowanym ruchem odchylił głowę do tyłu. Opuszczały go siły. Wiedział, że lada moment straci przytomność.

Oślizłe węże zsunęły się na jego głowę, otuliły czaszkę szczelnym kokonem. Wydało się, że znów jest małym chłopcem, który naruszył prywatność warsztatu ojca. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nagle przestał odczuwać obecność swego ciała, miał wrażenie, jakby znalazł się w próżni, w dziwnym stanie pomiędzy jawą a snem.

Okrzyki dotarły do niego jak przez grubą zasłonę. Ktoś wystrzelił w powietrze zaledwie kilka metrów od niego, ale Marek wiedział, że Niemcy jeszcze nie zdają sobie sprawy, gdzie się skrył. Miał trochę czasu, zanim się zorientują, że schował się w jednym z metaloszkieletoów.

Nagle zdał sobie sprawę, że granice jego postrzegania się rozszerzyły. Zamknął oczy. Wyczuwał obecność setek innych metalowych brył. Były przedłużeniem jego ciała i myśli. Zacisnął metalowe pięści. Wystarczył impuls, nie musiał wydawać polecenia. Stalowe, obce ciało stało się jego ciałem, zupełnie jakby było nim od zawsze.

Psy. Przy głównym wejściu rozległo się głośnie ujadanie. Niemcy lada chwila odkryją, gdzie się ukrył.

Czuł, że wycieka z niego życie. Puls stawał się coraz słabszy, a on zaczynał zapadać w nieprzyjemny letarg. Świadomość zagrożenia zdawała się jednak do niego nie docierać. Jego jaźń rozszerzała się, pokonując kolejne bariery i granice.

Wkroczył na inny poziom. Rozpoczął się proces, który ewoluował i którego granic nie był w stanie określić. Obudziła się w nim świadomość zupełnie innego rodzaju: jakby zbiór świadomości z centralną jednostką decyzyjną.

Umysł rozpoczął opisywanie zjawisk zupełnie nowym językiem, stworzył kolejny zmysł, który był połączeniem dotychczasowych, ale w nowej kombinacji, otwierającej bramę do samopoznania. Poddał modyfikacji następujące po sobie operacje wysyłane wraz z impulsami mózgowymi, zaakceptował ich mechaniczne znaczenie. Opracował nowe formy, impulsy, które przenikały się, tworząc nowe struktury.

Blizna poczuł oszołomienie. Chaos, który go ogarnął, po chwili zamienił się w uporządkowany ciąg myśli i doznań.

Uczucia zostały zintegrowane z procesami myślowymi. Nagle porucznik zdał sobie sprawę, że jest w stanie podzielić swoją świadomość na nieskończenie wiele jednostek. Potrafił je kontrolować, uzmysławiał sobie ich istnienie, potrafił nimi zarządzać w tym samym czasie, w ułamkach sekund.

Mózg pracował w trybie wielozadaniowym. Emocje zamieniały się w funkcje.

Markiem wstrząsnęły dreszcze. Ból nagle minął. Czy to halucynacja? Znajdował się w jednym konkretnym miejscu, jednak czuł, jakby jednocześnie znajdował się wszędzie. Impulsy mózgowie zagnieździły się w skupiskach elektrod, wsiąkły w nie, dały im część życia. Rozpoczął się kolejny proces. Serce nagle przestało bić, tlen przestał docierać do mózgu, ale porucznikowi wydało się, że teraz wypełnia go światło. Ciepłe i życliwe.

Tak wyglądała śmierć?

„Skoro kopia Twojego ja mogła zostać zapisana, pozostaje kwestia przeniesienia tych informacji do czegoś, co mogłoby zastąpić śmiertelne ciało”.

Marek czuł, jak jego świadomość rozrasta się, obejmuje kolejne pola, odbierając informacje sensoryczne, analizując je, przetwarzając.

Unieś dłoń.

Chrzęst metalu. Setki metaloszkieleatów wykonały polecenie.

Opuść.

W hali zapanowała martwa cisza, a potem rozległy się okrzyki strażników, którzy w panice odskoczyli od metalowej armii. Ból, rozdzierający czaszkę ból. Teraz był pewny, że gdyby nie przytrzymujący go pancerz, uniósłby się niczym balon napełniony helem, a potem rozsypał w atomy. Ten proces przeraził go. Nagle strach wyhamował proces ewolucji. Blizna wiedział, że jeśli teraz da za wygraną, rozpad będzie postępował. A on przecież nie mógł się poddać.

Słumił trwogę. Zaprojektował nowy wzorzec. Był w stanie objąć kontrolą każdą z maszyn, był nimi wszystkimi, tu i teraz.

Jego myśli przeskoczyły z jednej formy zapisu w drugą. Stały się precyzyjne, porucznik był w stanie ogarnąć wszystko nowym zmysłem... Białkowe ciało nie było mu już potrzebne.

Zniszczcie wrogów.

Rozbłysk. Impuls.

1932
WARSZAWA,
WARSZTATY LOTNICZE

Winnicki patrzył bezsilnie, jak sterowiec unosi się wysoko, a potem pchany silnikami elektrycznymi prze na zachód.

Sześciu ludzi rzuciło się na Golema, próbując go obalić. Doktor nie był jednak w stanie myśleć o niczym innym niż o tym, że właśnie stracił swoje dziecko.

Otrzeźwił go przesywający ból. Ciepła ciecz chlusnęła poniżej kolana. Ostrze bagnetu musiało przedostać się przez osłony.

Winnicki krzyczał, ile sił w płucach. Widział, że ten krzyk, zniekształcony przez metalową skorupę, budzi strach w osaczających go napastnikach. Zawahali się i ten moment wykorzystał.

Zagarnął najbliższych, jakby chciał przytulić ich do piersi. Teraz oni wrzeszczeli, jeden przez drugiego, gdy doktor miażdżył ich kończyny i głowy, gdy stąpał po ich korpusach, łamiąc kości.

Nie ustępowali, ale i on nie miał zamiaru ustąpić. Nawet gdy powalili go na ziemię, pociągnął ich za sobą.

Golem został odarty z płyty pancерnej. Winnicki czuł, jak czyjeś silne ręce zaciskają się na jego szyi. Uderzał na oślep, roztrzaskując kolejne głowy. Nagle poczuł silne ukłucie w klatce piersiowej. Odtrącił ostatniego przeciwnika, łamiąc mu kark, a sam wypadł z wnętrza Golema na trawę.

Walka była skończona. Nie miał nawet siły zdziwić się, że zabił wszystkich.

Przez chwilę wpatrywał się w nocne niebo, a gdy wydało mu się, że gwiazdy gasną jedna po drugiej, doczołgał się do ciężarówki pozostawionej przez Kotulę. Oparł się o jedną ze skrzyń, których nie zdążono zapakować do sterowca.

Oddychał coraz ciężiej. Musiał mieć przebite płuco, pewnie krwotok wewnętrzny, nie mówiąc już o uszkodzonym barku i ręce. Nie miał złudzeń, wiedział, że pozostało mu niewiele czasu. Ciało odmawiało posłuszeństwa, ale o dziwo, mózg pracował na najwyższych obrotach.

Z oddali dochodziły odgłosy syren. Doktor nie miał wątpliwości, że Sieniawa sam pofatyguje się do Warsztatów Lotniczych, nie sądził jednak, że doczeka jego przyjazdu. Puls mu słabł, przed oczami wirowały ciemne plamy. Nie miał siły uciskać krwawiących ran.

Obrócił głowę. Ciało Golema leżało nieruchome i przez chwilę doktorowi wydawało się, że nad metalowym korpusem unosi się chmara much. Było to tylko złudzenie, Winnicki wiedział o tym, ale ta myśl go rozbawiła. Mózg otrzymywał coraz mniej tlenu.

Ogarnęło go uczucie wszechogarniającego szczęścia, nieskończonej mocy. Jakby jego ciało było trwalsze od tworzywa sztucznego. Niezniszczalne.

Spróbował się podnieść. Musiał powiadomić Sieniawę o tym, że za kilka godzin dojdzie do tragedii. Roześmiał się. Sam nie wiedział, skąd u niego ten stan: dziwnej histerii, której za Boga nie mógł opanować. Prezydent, premier, generałowie, najważniejsi ludzie w państwie, pojawią się, by przywitać wybawcę, dobrego wujka z Ameryki, który załatwi sprawę, pomoże z odwiecznymi wrogami ze wschodu i zachodu. Tymczasem czekało ich coś zupełnie innego.

– Sieniawa, gdzie jesteś?

Miał coraz mniej czasu. W końcu jego wzrok zatrzymał się na skórzanej walizeczce. Tej, którą dobrze znał, z którą nie rozstawał się na krok.

Kotula pewnie chciał zabrać ją ze sobą, ale nie zdążył.

Winnicki sięgnął po torbę i opadł z nią na trawę. Otworzył ją z trudem, wsparł czoło na miękkiej skórce. Najchętniej zamknąłby oczy i zasnął, a potem obudził się w innym, lepszym świecie.

Tylko że nie mógł sobie na to pozwolić.

Uniósł głowę i sięgnął po elektrody. Umieścił je na swoich skroniach.

Miał przed oczami jej bladą, wychudzoną twarz. Ostatnie stadium nowotworu płuc. Doktor Wiertelny bezradnie rozkładał

ręce. Zastosował najnowocześniejsze metody, ale Winnicki wiedział, że czasem ludzki los jest przypieczętowany gdzieś wyżej. Ci, którym nie dawano szansy, przeżywali, a ci, którzy, wydawałoby się, wracali do zdrowia, odchodzili nagle i niespodziewanie. Tak właśnie było z Anną.

Gdy już wydawało się, że nowoczesna medycyna zdziała cuda, nastąpiło pogorszenie. Tkanka nowotworu rozrosła się, małe rakowe załążki powędrowały z krwią, zajmując nowe przyczółki. I tak nadszedł koniec.

Kochał ją. W tamtej chwili jeszcze mocniej, ale nie potrafił tego okazać.

Jej ostatnie słowa były skierowane do niego. Wiedział jednak, że wolałaby w ostatnich minutach życia widzieć przed sobą kogoś zupełnie innego. Tego, któremu oddała swoje nieszczęśliwe serce.

– Opiekuj się nimi... Wiem, że teraz także je obwiniasz za moje błędy, ale to twoje dzieci. Nie wolno ci myśleć inaczej...

Słuchał jej, choć słowa do niego nie docierały. Wciąż przeżywał upokorzenie, wciąż myślał o tamtym. To nie rak odebrał mu żonę, tylko męczyzna, któremu ufał.

- Andrzej, one są najważniejsze, nasze dzieci...

Przypomnił sobie tamten moment. Pech czy zrządzenie losu chciały, że wybrał się do domu mody Bogusława Hersego przy Kredytowej, chcąc kupić kapelusz. To miał być zwykły zakup, ale ekspedient namówił go na przymierzenie modnego płaszcza. Gdy Winnicki wychodził z przebieralni, zauważył Annę. W pierwszej chwili chciał do niej podbiec, uradowany tym przypadkowym spotkaniem. Zobaczył jednak, że jego żona ogląda kapelusze, które ekspedient prezentował przed nią na szerokim blacie. Już wcześniej zachwycała się nakryciami głowy od Młodkowskiego, które reklamował jej filmowy idol, Eugeniusz Bodo. Doktor domyślił się, że przyszła kupić mu nowe nakrycie głowy na ich rocznicę.

Być może gdyby szybciej podjął decyzję o wyjściu ukradkiem ze sklepu, nie zobaczyłby, że Annie towarzyszy męczyzna.

Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie ukradkowe dotknięcia, uśmiechy i czułości, na które pozwalała sobie para, gdy ekspedient zniknął, szukając nowych pudeł z kolejnymi okryciami.

Wtedy słowa Ossowieckiego, które tydzień wcześniej uznał za szczyt bezczelności, stały się jasne.

Winnicki nigdy nie zdradził się przed żoną, że wiedział o jej romansie. Nigdy też nie powiedział tego Sieniawie.

Spróbował otworzyć oczy. Wydawało mu się, że zasnął, uświadomił sobie jednak, że oczy ma otwarte. Ogarnęła go ciemność. Zimna, mokra, szeleszcząca suchymi liśćmi.

Syreny rozbrzmiewały coraz głośniejsze, mimo to doktor wiedział, że Sieniawa nie zdąży, a on nie powie mu wszystkiego.

Maszyna pulsacyjna zahuczała.

Zdobył się na ostatni wysiłek. Chciał, by jego myśli były czyste i klarowne. Pocisk kontynentalny. Pułapka. To nie prezydent przyleci. Zamach. O tym musiał dowiedzieć się Sieniawa, by uprzedzić wszystkich o zamiarach Cierzbickiego.

I inna myśl, ta, która niczym drzazga zaległa się głęboko w sercu. Próbował ją odgonić. Sam przecież gardził małostkowymi ludźmi. Waldorfi dał mu przykład, wznosząc się ponad uprzedzenia.

Jednak ten żal okazał się silniejszy.

Winnicki zdał sobie sprawę, że wypowiada w myślach swoje ostatnie słowa. Inne niż te, które powinien.

Sieniawa pochylił się nad martwym ciałem przyjaciela. Dotknął drżącymi palcami jego powiek i je opuścił.

– Co tu się stało, do cholery! – wychrypiął.

Za jego plecami aspirant Wojtas odchrząknął głośno.

- Jatka, panie komisarzu... To monstrum, ta... ta maszyna zabiła ich wszystkich.

Śledczy spojrzął na szczątki Golema. Nie podejrzewał, że doktor ukrył przed światem prototyp mechanicznego pancerza. Mało wiedział o swoim dawnym przyjacielu.

– Denat... to znaczy doktor Winnicki – poprawił się Wojtas. Wiedział o zażyłości przełożonego z ofiarą.

– Pan doktor przed śmiercią podłączył się do tego urządzenia...

– Przecież widzę! – Sieniawa odgonił niecierpliwym ruchem aspiranta, który nieopatrznie podszedł do maszyny impulsowej. – Nie ruszać mi tu niczego! Cofnąć się! Jasne?

- Tak jest, panie nadkomisarzu.

Większość policjantów i medyków była wstrząśnięta widokiem, jaki zastali w Warsztatach Lotniczych. Teren szybko i sprawnie odgrodzono. Zaczęło świtać. Szron pokrył okoliczną trawę, włosy i ubranie Winnickiego. Na niebie nie było nawet jednej chmury. Sieniawa pomyślał, że to pogoda idealna na dzisiejszą uroczystość. Historyczna chwila w dziejach tego narodu.

Odruchowo spojrzął w górę, jakby spodziewał się, że zobaczy smugę pozostawianą przez pocisk kontynentalny. Jeszcze kilka godzin do lądowania i oficjalnego przywitania amerykańskiego gościa. Nadkomisarz sam miał miejsce w pierwszym rzędzie obok najwyższych dygnitarzy. Nie mógł przegapić tego wydarzenia. Jeszcze wczoraj miał nadzieję, że Winnicki będzie mu towarzyszył, ale teraz Andrzej leżał przed nim martwy.

Wydawało się, że śpi. A on, Sieniawa, mieniący się jego przyjacielem, nigdy nie wyjawiał mu prawdy. Bał się.

Odczuwał rosnący niepokój. Przede wszystkim wstrząsnęła nim śmierć przyjaciela, było jednak coś jeszcze. Nie potrafił zrozumieć tego, co się tu wydarzyło. Śledztwo Andrzeja. Wszystko musiało być związane z Warsztatami Lotniczymi.

Morderstwo Waldorfiego, kilkanaście trupów, których najpewniej wykończył sam doktor. Wcześniejsza katastrofa pocisku transportowego... Gdzie teraz znajdzie odpowiedzi? Nie miał czasu na dochodzenie. Nie miał czasu już na nic. Za kilka godzin wszystkie karty zostaną rozdane.

Sieniawa zdał sobie sprawę, że wpatruje się w maszynę impulsową. Podszedł do niej i uniósł górną pokrywę. W środku znalazł kartę perforowaną, na której widniał wyciśnięty kod. Ponownie zamknął urządzenie.

Drżały mu ręce. Wiedział, że Andrzej, umierając, podłączył się do tego urządzenia w jednym celu: spodziewał się, że ściągnięty przez Olafa Sieniawa przybędzie na miejsce wydarzenia jako pierwszy, i pozostawił mu wiadomość.

Wojtas, pociągając za wąż, w napięciu obserwował przełożonego. Pomyślał, że ma pecha, ostatnio na służbie przydarzały mu się same katastrofy. Najpierw ta z kapsułą pod Wołominem, teraz jatka w Warsztatach Lotniczych.

Widział, jak komisarz podchodzi do dziwnego urządzenia. Chciał go ostrzec; ta skrzynia, z której wystawały przewody przypominające odnóża pająka, budziła w nim lęk i obrzydzenie. Giętkie rurki podłączone do głowy denata zdawały się wysysać jego mózg. Komisarz wyglądał jednak na zdecydowanego i słowa zamarły funkcjonariuszowi w gardle.

Patrzył więc, jak przełożony uruchamia urządzenie, i słuchał, jak z głośników wydobywa się jakiś głos.

Wytężył słuch, ale był zbyt daleko, by rozróżnić jakiegokolwiek słowa. Nie mógł jednak oderwać wzroku od nadkomisarza, jakby oglądał spektakl i czekał na punkt kulminacyjny. Mimo przejmującego zimna pociły mu się dłonie i czoło.

Nadkomisarz nagle zeszytniał. Uderzył mocno w urządzenie, a potem wyjął z niego podłużną kartę. Dopiero wtedy podszedł do aspiranta.

– Pa... panie komisarzu, co to by... było? Jakieś nagranie?

Sieniawa spojrział na niego, ale wzrok miał pusty. Wojtas postąpił jeden, potem drugi krok w jego stronę, ale zamarł.

Był pewny, że to ta diabelska skrzynka doprowadziła nadkomisarza do tego stanu. Sieniawa przypominał teraz ducha, twarz miał popielatą, pozbawioną choćby kropli krwi.

– Panie komisarzu? – aspirant miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Za nic nie zbliżyłby się teraz do tej skrzyni.

– Wojtas...

Aspirant zadrżał, skulił się pod spojrzeniem nadkomisarza. Teraz wzrok przełożonego przypominał wzrok tamtego denata, zanim Sieniawa zamknął mu oczy.

– Wracamy... – Słowa z trudem przechodziły Sieniawie przez gardło.

– Ale co pan tam u... usłyszał, panie nadkomisarzu?

– Nie to, czego się spodziewałem... – głos Sieniawy stał się pozbawiony wyrazu. Przedarł kartę raz, potem drugi.

Niszczył ją, jakby była czymś równie diabelskim jak maszyna, która ją wypluła. – A właściwie... to była informacja dla mnie. Tylko dla moich uszu, Wojtas. On wiedział...

Aspirant popatrzył przełożonemu w oczy. Miał wrażenie, że Sieniawa stoi na skraju szaleństwa.

– Co... co robimy? – Aspirant przerwał pełną napięcia ciszę. – Jakie są pana rozkazy, nadkomisarzu?

– Jedziemy. – W świetle wschodzącego słońca policzki Sieniawy wydawały się fosforyzować białym światłem. – Jedziemy na lądowisko... mamy tam jeszcze sporo roboty przed przybyciem... przed przybyciem tego całego Hoovera...

– Tak jest! – wykrzyczał Wojtas służbowym tonem i ruszył za przełożonym do samochodu.

Sieniawa nie odwrócił się już ani razu. Wciąż powtarzał cicho słowa, które wycisnęły mu się piętnem w mózgu, niczym na perforowanej karcie. Potem w głowie pozostały mu tylko ostatnie dwa zdania: „Wiedziałem o was. Ciemność, dalej tylko ciemność”.

1932 BRESLAU, JAHRHUNDERTHALLE

Marek nawiązał połączenie. Nowe, odległe. Balony stratosferyczne. Zrozumiał, jakie było ich przeznaczenie. Pojawiały się w jego umyśle jedne po drugich. Zgłaszały gotowość. Dawały operatorowi możliwość kontrolowania armii na ogromnej przestrzeni. Impulsy zostały przesłane, balony odebrały inne sygnały, z wielu kilometrów. Sieć nadawczo - odbiorcza funkcjonowała bez zarzutów.

Jesteśmy wszędzie. Zgłaszamy gotowość.

Metalowe Golemy z czerwoną gwiazdą na pancierzach stacjonujące pod Moskwą. Czekają na sygnał od nowego operatora. Kolejne w fabryce pod Warszawą... Tysiące, dziesiątki tysięcy. Następne na taśmach produkcyjnych.

A on miał nad nimi wszystkimi kontrolę.

Perspektywa niezwycięzonej armii, klinów wbijanych w odwiecznych wrogów. Szturmów na Berlin, Moskwę. Czego mógł dokonać? Ratować kraj? Polskę? Teraz miłość i nienawiść stały się obcym uczuciem. Chłodno poddawał analizie fakty, przewidywał zdarzenia. Kilka, kilkanaście posunięć w przód.

Znów strach. Ale tym razem to nie było jego uczucie. Odczuwał strach i ból innej osoby. Odizolował poboczne impulsy, jakby przeczesywał, rozplątywał sznury danych. Połączenie świadomości, dwóch innych istot.

Marianna, to ty? Nie bój się. Jestem tu.

Zrozumienie. Chcieli wykorzystać jego siostrę. Podłączyli ją do systemu. Chcieli, by była im posłuszna, ale on ich uprzedził. Nie będą mieli nad nią władzy.

Idę po ciebie. Nie wiedzą, co stworzyli. Teraz my przejmujemy kontrolę.

Metalowa armia poruszyła się. Szereg za szeregiem sprawnie skierowała się ku wyjściu z hali. To samo działo się w Moskwie, pod Warszawą, w różnych częściach Rzeszy.

Kolejna informacja.

Pocisk transkontynentalny znalazł się w polskiej przestrzeni powietrznej. Lada chwila rozpocznie się lądowanie kapsuły.

Na pokładzie nie było żywych istot. Znajdował się tam inny ładunek, który mógł zmienić oblicze tej wojny i losy całego świata.

Za dziesięć sekund dojdzie do uderzenia.

Dziesięć sekund. Mógł detonować pocisk, zanim ten uderzy w ziemię.

Odnalazł ostatni przekaz ojca. Odczytał dane zapisane w elektroencefalografie. Wiadomość dla nadkomisarza Sieniawy.

Kochała ciebie, nie mnie... Cały czas wiedziałem... Wiedziałem o was. Ciemność, dalej tylko ciemność...

Armia ruszyła. A on odliczał.

Sześć, pięć, cztery...

Marku, boję się. Będziesz wiedział, kiedy przestać?

Już nie słyszał siostry. W stacjach radiowych na całym świecie rozbrzmiał ten sam przekaz, który sam nadawał:

Nowy porządek.

Odliczał dalej.

Trzy, dwa, jeden...

Koniec

POSŁOWIE

Wirujące stoliki? Duchy w Belwederze i seanse spirytystyczne z udziałem Józefa Piłsudskiego? To nie do końca wymysł autora. Oddajmy głos samemu Naczelnikowi: „Stale co wieczora, gdym się położył, słyszałem wyraźne kroki do koła mojego łóżka, ku oknu i z powrotem. Po tym zaczynało się stukanie w szklane naczynie z owocami, w klosz lampki elektrycznej... Jednym słowem cała seria dźwięków niemożliwych do wytłumaczenia. Jednego się zawsze obawiałem: żeby to »coś« mnie nie tknęło – dlatego paliłem światło”.

Żona Naczelnika Państwa – Aleksandra Piłsudska – tak opisywała męża we *Wspomnieniach*: „Czasami miewał coś w rodzaju jasnowidzenia: wiedział, przeczuwał, miał niezachwiane przekonanie, że się nie myli. (...) Zjawiska pozamaterialne zawsze bardzo go interesowały. Toteż kiedy generał Zaruski zaprosił męża w imieniu pana Modrzejewskiego [Franek Kluski – przyp. aut.], bardzo znanego medium, na seans spirytystyczny, mąż wyraził zgodę na wzięcie w nim udziału. Ale seans nie był udany; wyraźniejszych zjaw nie widział; dostrzegł tylko nachyloną twarz kobiety w chustce”.

Marszałek Józef Piłsudski zapisał się w historii jako ojciec niepodległej Polski, wódz narodu, a przy tym wywrotowiec i rewolucjonista, agent wywiadu japońskiego i austriackiego – czemu więc nie jasnowidz i telepata?

Okres wojenny, a także osoba Józefa Piłsudskiego, interesowały mnie od czasu studiów. Podczas pisania pracy magisterskiej na Uniwersytecie Wrocławskim miałem okazję zapoznać się z wieloma ciekawymi źródłami dotyczącymi tego okresu. Wtedy także natrafiłem na anegdoty związane ze spirytystycznymi zainteresowaniami Naczelnika. Pomysł narodził się już wtedy, realizacja nastąpiła wiele lat później.

Impuls przedstawia alternatywną historię Polski okresu międzywojennego. W powieści wykorzystałem wiele faktów i postaci historycznych, a przede wszystkim wzmianek o wynalazkach polskich naukowców. W tym wypadku nie musiałem przesadnie wysilać wyobraźni – wystarczyło docenić geniusz choćby Kazimierza Prószyńskiego czy Jana Szczepanika zwanego „polskim Edisonem”. Które z ich wynalazków warto wymienić?

Na uwagę zasługuje paleograf zbudowany jeszcze przed ogłoszeniem patentu braci Lumiere. Był to aparat służący jednocześnie do wykonywania zdjęć oraz projekcji nakręconych filmów. Warto także wspomnieć o pierwszej na świecie ręcznej kamerze filmowej o napędzie automatycznym – aeroskopie. Od 1914 roku rejestrowane były nią kroniki wojenne z frontu zachodniego podczas I wojny światowej. Równie ciekawy jest telefot czy telektroskop – urządzenia pozwalające przesyłać na odległość obraz wraz z dźwiękiem, działające na zasadzie dzisiejszej emisji telewizyjnej. Oprócz tego przykładem pomysłowości polskich naukowców jest stereos, czyli aparat stereoskopowy, będący pierwszą w historii maszyną do wyświetlania na ulicy lub ścianach wieżowców obrazów i reklam.

Niewielu Polaków wie, że światową sławę Janowi Szczepanikowi przyniosła kamizelka kuloodporna. Była wykonana z jedwabnej tkaniny z cienkimi blaszkami stalowymi. Materiałem tym wyłożono wnętrze karety króla Hiszpanii Alfonsa XIII, co uratowało mu życie w trakcie zamachu. W dowód wdzięczności król udekorował Szczepanika najwyższym hiszpańskim odznaczeniem państwowym.

Warto docenić również jednego z polskich prezydentów, Ignacego Mościckiego, autora ponad czterdziestu patentów polskich i zagranicznych. Po wyborze na prezydenta RP użytkowanie prawa do owych patentów przekazał nieodpłatnie państwu polskiemu.

Wynalazki polskich naukowców wymieniać można naprawdę długo. Znajdą się wśród nich: wycieraczki samochodowe, kasownik biletowy czy wykrywacz min skonstruowany przez Józefa Kosackiego.

Impuls to nie tylko wynalazki i „szaleństwo” Naczelnika. Winien jestem czytelnikom krótkie wprowadzenie przybliżające okres, w którym osadziłem akcję powieści, a dokładnie lata poprzedzające najważniejsze wydarzenia w *Impulsie*.

Rozbiory dokonane przez Rosję, Prusy i Austrię oznaczały ponad sto lat życia Polaków w niewoli.

Dopiero wybuch pierwszej wojny światowej spowodował, że państwa zaborcze znalazły się w przeciwstawnych obozach. Polacy wierzyli, że „wielka wojna” zmieni bieg historii i pozwoli naszemu krajowi odzyskać niepodległość.

Polacy długo czekali na konkretne obietnice ze strony państw zaborczych. Dopiero pod koniec 1916 roku cesarze Niemiec i Austro – Węgier zapowiedzieli stworzenie samodzielnego państwa z monarchią i konstytucyjnym ustrojem.

Rozpoczęło to swego rodzaju licytację o względy Polaków, których chciano wcielić do swoich armii. Kilka miesięcy później prezydent USA Woodrow Wilson mówił już o „zjednoczonej, niepodległej i samoistnej Polsce”.

W połowie 1917 roku władze francuskie zgodziły się na utworzenie armii polskiej we Francji. W tym samym czasie państwa centralne zwlekały z realizacją swoich obietnic. Była to jedna z przyczyn odmówienia złożenia przysięgi na wierność cesarzom Niemiec i Austro- Węgier przez Józefa Piłsudskiego, a w konsekwencji spowodowała jego osadzenie w twierdzy w Magdeburgu.

11 listopada 1918 roku podpisano w Compiègne zawieszenie broni na froncie zachodnim. Dzień wcześniej do Warszawy powrócił zwolniony z Magdeburga Józef Piłsudski. Miał sprawować władzę w Polsce jako Tymczasowy Naczelnik Państwa.

Sytuacja Polski wciąż była trudna. W Wielkopolsce wybuchło powstanie przeciw Niemcom, w styczniu 1919 roku wojska czeskie wkroczyły na Śląsk Cieszyński, toczyły się także zacięte walki polsko- ukraińskie o Galicję Wschodnią.

Ponadto na skutek ofensywy polskiej na Białorusi Polacy zajęli Mińsk.

Podczas gdy podpisany w Wersalu traktat pokojowy z Niemcami ustalał granicę polsko- niemiecką, kształt granicy wschodniej młodego państwa wciąż pozostawał kwestią otwartą.

Wkrótce Armia Czerwona pod dowództwem Michaiła Tuchaczewskiego ruszyła na zachód. W tym trudnym momencie nastąpiła konsolidacja społeczeństwa polskiego. W szeregi armii wstąpiło ponad sto tysięcy ochotników.

W dniach 12-15 sierpnia rozegrała się decydująca bitwa o Warszawę. Podczas niezwykle krwawych walk szala zwycięstwa przechylała się na obie strony. O losach Warszawy, Polski, a być może Europy zadecydowało polskie uderzenie znad Wieprza zmuszające oddziały bolszewickie do odwrotu. 18 marca 1921 roku podpisano w Rydze traktat pokojowy.

W kolejnych latach władze radzieckie łamały postanowienia traktatu ryskiego. Równie trudne były stosunki Polski z Niemcami. Anglia i Francja prowadziły ugodową politykę wobec Niemiec, a zbliżenie pomiędzy Moskwą i Berlinem postępowało.

Jak wiemy, Polskę czekało kilkanaście lat względniego pokoju, a potem kolejna wojna światowa...

Od czego jednak wyobraźnia autora i duchy w Belwederze?

Tomasz Duszyński Cytaty pochodzą z książki Przemysława Semczuka *Magiczne dwudziestolecie*.

PROPONOWANE LEKTURY

Eugeniusz Czubiński, *Historia Polski 1864-2001*.

Marian Marek Drozdowski, *Warszawiacy i ich miasto w latach Drugiej Rzeczypospolitej*.

Maja i Jan Łozińscy, *W przedwojennej Polsce. Życie codzienne i niecodzienne*.

Wojciech Roszkowski, *Historia Polski 1914-1993*.

Ewelina Olaszek, *Edisonowie znad Wisły. 7 Polaków, z których wynalazków korzystają wszyscy* (Ciekwestkihistoryczne.pl).

* Ps. 74:14, *Biblia, to jest, wszystko Pismo Święte Starego i Nowego Przymierza*, według edycji Biblii Gdańskiej z 1632 roku – przyp. aut.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

1919. WSPOMNIENIA

1919. WARSZAWA, SASKA KĘPA, DOM DOKTORA ANDRZEJA WINNICKIEGO

1932. PRZEDMIEŚCIA WARSZAWY, OKOLICE ZIELONKI

1932. FRONT ZACHODNI, OKOLICE RAWICZA

1932. WOŁOMIN POD WARSZAWĄ

1919. WSPOMNIENIA

1932. FRONT ZACHODNI, OKOLICE RAWICZA

1932. W DRODZE DO WARSZAWY

1932. FRONT ZACHODNI

1919. WSPOMNIENIA

1932. WARSZAWA, DOM DOKTORA WINNICKIEGO

1932. FRONT ZACHODNI

1932. WARSZAWA, KAWIARNIA BLIKLEGO

1932. FRONT ZACHODNI

1922. WSPOMNIENIA

1932. WARSZAWA, HOTEL BRISTOL

1918. WSPOMNIENIA

1932. WARSZAWA, HOTEL BRISTOL

1932. FRONT ZACHODNI

1932. WARSZAWA, PAŁAC SZLI MAKOWSKIEJ

1922. WSPOMNIENIA

1932. WARSZAWA, PAŁAC SZLI MAKOWSKIEJ

1932. WARSZAWA, RESTAURACJA OAZA

1932. OKOLICE RAWICZA, FRONT ZACHODNI

1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO

1932. FRONT ZACHODNI, ZA LINIĄ WROGA

1932. WARSZAWA, WARSZTATY LOTNICZE

1922. WSPOMNIENIA

1932. W DRODZE DO BRESLAU

1932. WARSZAWA, KOSZARY PRZY ULICY 11 LISTOPADA

1932. WARSZAWA, KINO MAJESTIC

1932. BRESLAU, OKOLICE AM LEHMDAMM

1932. WARSZAWA, PAŁAC SZLI MAKOWSKIEJ

1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO

1932. BRESLAU, AM LEHMDAMM

1923. WSPOMNIENIA

1932. WARSZAWA, ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ, ULICA OCZKI

1932. BRESLAU, MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA

1932. WARSZAWA, ZAKŁAD MEDYCYNY SĄDOWEJ, ULICA OCZKI

1930. WSPOMNIENIA

1932. BRESLAU, MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA

1932. WARSZAWA, WARSZTATY LOTNICZE

1932. BRESLAU, MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA

1932. WARSZAWA, WARSZTATY LOTNICZE

1923. WSPOMNIENIA

1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO
1932. BRESLAU, MIESZKANIE PROFESORA SYBONIA
1932. WARSZAWA, GABINET SIENIAWY
1932. BRESLAU, OKOLICE STAREGO MIASTA
1932. WARSZAWA, DAWNA FABRYKA LILPOP, RAU I LOEWENSTEIN
1932. WSPOMNIENIA
1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO
1932. WARSZAWA, BUDYNEK TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOSCI
1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO
1932. BRESLAU, JAHRHUNDERTHALLE
1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO
1930. WSPOMNIENIA
1932. WARSZAWA, WILANÓW
1932. WARSZAWA, DOM WINNICKIEGO
1932. BRESLAU, OKOLICE KAISERBRUCKE
1932. WSPOMNIENIA
1932. WARSZAWA, MIESZKANIE STEFANA OSSOWIECKIEGO
1932. WARSZAWA, POLITECHNIKA WARSZAWSKA, GABINET WALDORFIEGO
1932. WARSZAWA, BUDYNEK TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOSCI
1932. WARSZAWA, GMACH POLITECHNIKI
1932. BRESLAU, KAMIENICA PRZY KLOSTERSTRASSE
1932. WARSZAWA, GMACH POLITECHNIKI
1932. WSPOMNIENIA
1932. PRZEDMIEŚCIA WARSZAWY
1932. BRESLAU, KAMIENICA PRZY KOLSTERSTRASSE
1932. WARSZAWA, WARSZTATY LOTNICZE
1932. WSPOMNIENIA
1932. BRESLAU, JAHRHUNDERTHALLE
1932. WARSZAWA, WARSZTATY LOTNICZE
1932. BRESLAU, JAHRHUNDERTHALLE
POSŁOWIE
PROPONOWANE LEKTURY
Strona redakcyjna

Impuls

Copyright © by Tomasz Duszyński 2017
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017











Redakcja – Joanna Mika
Korekta – Aneta Wieczorek
Projekt typograficzny i skład – Bogna Stanaszek, Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Grafika na okładce – Dominik Broniek

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017
ISBN EPUB: 978-83-8129-047-0
ISBN MOBI: 978-83-8129-048-7

-  wsqn.pl
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [SQNPublishing](#)
-  [wydawnictwosqn](#)
-  [WydawnictwoSQN](#)
-  [Sprzedaż internetowa labotiga.pl](#)
-  [E-booki](#)
-  [Zrównoważona gospodarka leśna](#)
-  [Dies diem docet](#)

CZAS WYRÓWNUJE WSZYSTKO DO ZERA

Pył Ziemi jest w połowie drogi pomiędzy twardym science fiction pokroju Poula Andersona a humorystycznymi podróżami autostopem Douglasa Adamsa. To wyjątkowa powieść drogi z oszałamiającą wizją Ziemi przyszłości. Napisana mocnym, literackim językiem i z filmowym rozmachem. Imponuje skalą, porusza i bawi ostrym jak brzytwa poczuciem humoru.



PYŁ ZIEMI CZERPIE Z WIELU GATUNKÓW LITERACKICH, TWORZĄC OPOWIEŚĆ O ŚWIECIE PRZYSZŁOŚCI, W KTÓRYM TECHNOLOGIA SĄSIADUJE Z GOTYCKIM MROKIEM I ABSURDEM.

Szukaj w dobrych księgarniach



www.wsqn.pl

DEFINICJA SPRAWIEDLIWOŚCI ZMIENIA SIĘ W TRAKCIE TRWANIA REWOLUCJI!

Oto opowieść, którą pokochał cały fantastyczny świat: misterna, wielowątkowa i wielopoziomowa, przepelniona duchem Orientu, inspirowana legendami starożytnych Chin. Porywająca historia o walce z tyranią, mechanizmach politycznych, braterstwie i rywalizacji zdolnej obrócić wniwecz wszystko, co cenne, a także brutalnym starciu cywilizacji.



EPICKA SAGA AUTORSTWA
UHONOROWANEGO PRESTIŻOWYMI
NAGRODAMI KENA LIU.

Szukaj w dobrych księgarniach



www.wsqn.pl

TAKIEJ DRAKI WROCŁAW JESZCZE NIE WIDZIAŁ!

Początek lat 50. Funkcjonariuszom milicji i ubecji sen z powiek spędza bestialski morderca pozostawiający makabryczny szlak zwłok pozbawionych krwi.

Na dodatek tajemnicza sekta poszukuje w mieście relikwii zaginionej podczas wojny. Kto stoi za niewytłumaczalnymi morderstwami? Jaki związek ze sprawą ma czarna pobieda krążąca nocami po ulicach powojennego Wrocławia?



WARKOT TO BŁYSKOTLIWY RETROKRYMINAŁ,
W KTÓRYM RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA
MISTERNIE PRZEPLATA SIĘ Z FIKCJĄ,
A CAŁOŚCI DOPEŁNIA SUBTELNY HUMOR.

Szukaj w dobrych księgarniach



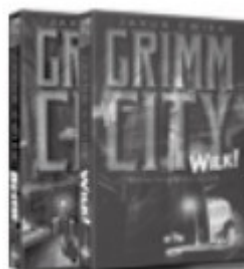
www.wsqn.pl

The logo for SQN Publishing, featuring the letters 'SQN' in a bold, stylized, black font.

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

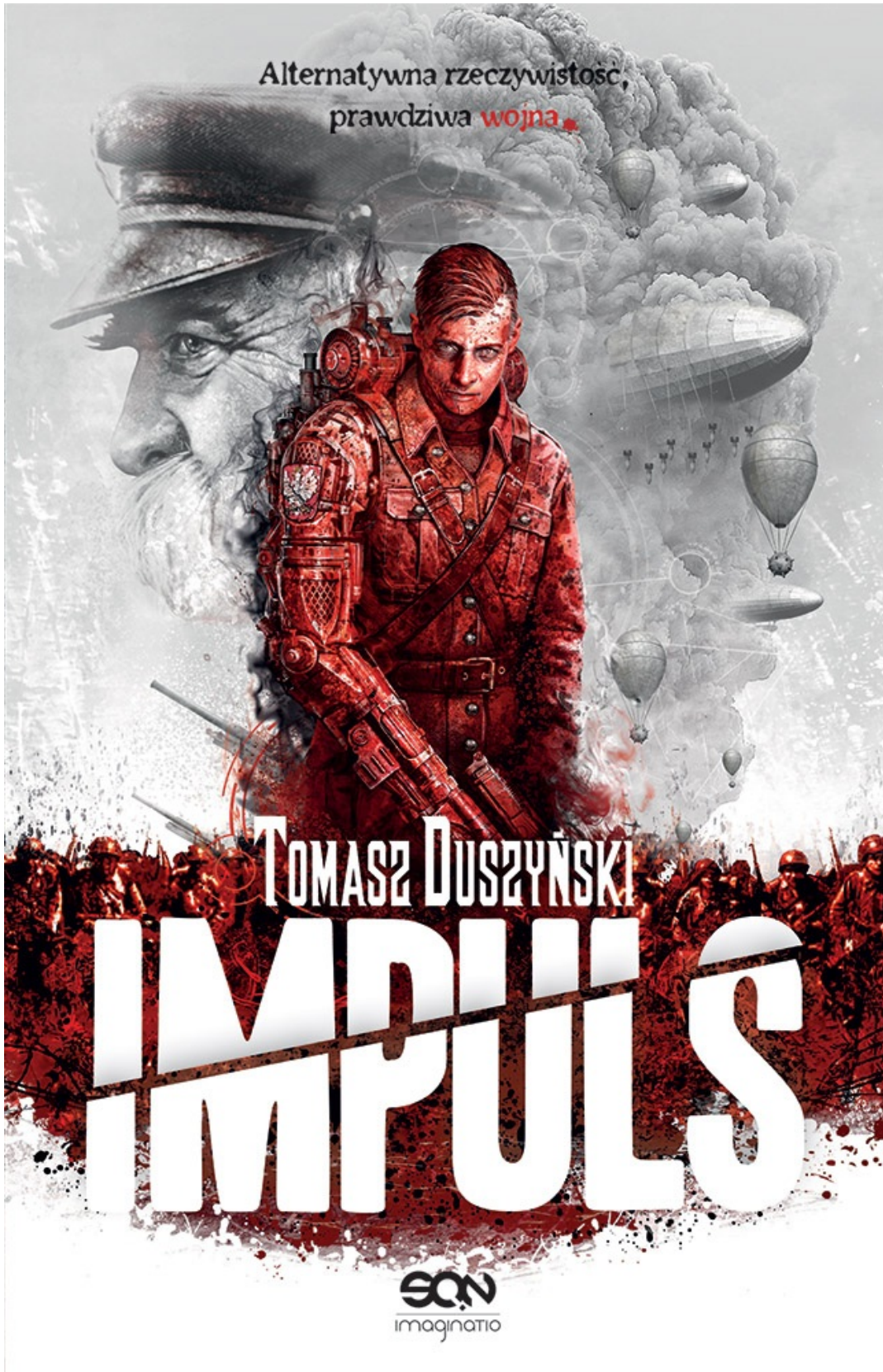
Bądź na bieżąco, śledź nas na:

 WydawnictwoSQN
 SQNPublishing
 wydawnictwosqn
 wydawnictwosqn
 WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl



...

Alternatywna rzeczywistość,
prawdziwa wojna.



TOMASZ DUSZYŃSKI

IMPULS

SQN
imaginatio